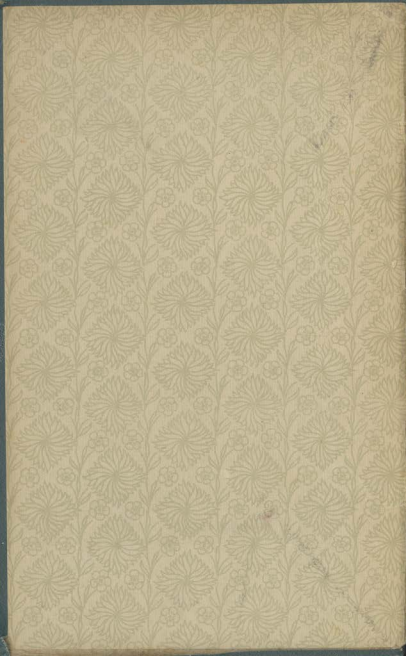
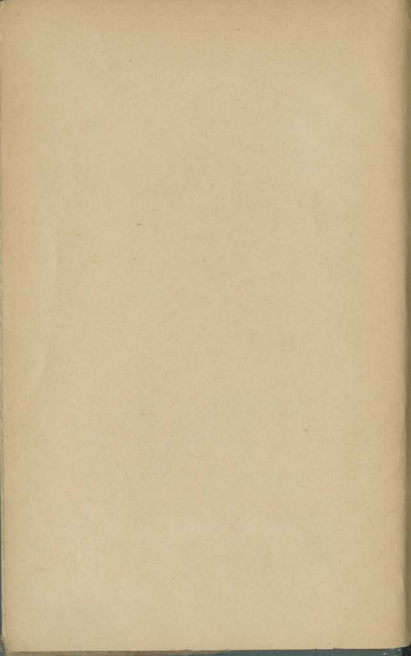


ZYGMUNT  
KRASINSKI

PISMA









5/60. II

PISMA  
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

II

R. A.

Krystyny Altenbergerówny

5/60 II

# PISMA ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

---

WYDANIE NOWE ZUPEŁNE

UŁOŻONE, OPATRZONE WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI

PRZEZ

HENRYKA GALLEGÓ

TOM II



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

21408



G. Z.  
82-1/-9(081)

821.162.1-1/-9(081) Krasnik

21408



G. Z.  
82-1/-9(081)

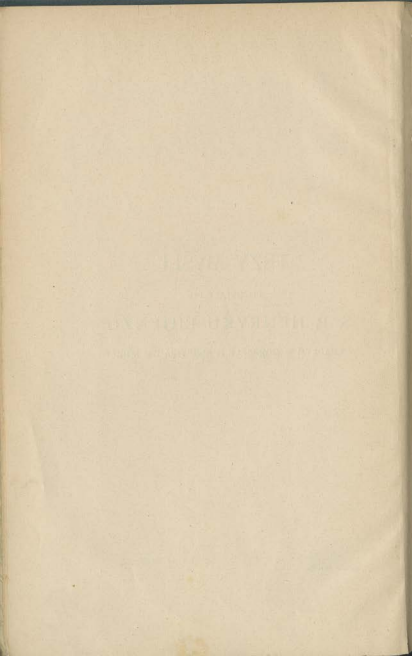
821.162.1-1/-9(081) Krasinski

# TRZY MYŚLI

POZOSTAŁE PO

Ś. P. HENRYKU LIGENZIE

ZMARŁYM W MORREALE 12 KWIETNIA 1840 ROKU.



## PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla officyali-  
stów, pisać, pisałem — ale co innego ni umiem, ni chcę,  
ni potrzebuję; — a czemu dziś biorę się do pióra, ba, do  
druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku przy płynąłem z żoną i dziećmi do  
Sycylii, sam nie wiem poci i naci — ale za co, to wiem. —  
Ja wiem i mój komisarz, pan Ordasowski, chociaż siedzi  
w Polsce. — Święte przysłowie — »gdy czego zechce się  
kobiecie to i sam szatan nie nie wskóra«. — Zachciało się  
żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż  
do Florencyi, skąd chciałem powracać, a z Florencyi do  
Rzymu, skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu,  
skąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem  
z nią popłynąć morzem, do Palermo! Przeprawa jaka taka,  
w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta,  
ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwia-  
zdy nieustanne nam dygały pokłony na niebie — ale co  
prawda, to prawda — nad rankiem cudne znów było powie-  
trze. — Zatoka, gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa —  
góry, wyspy, zdają ci się pendzlem malowane na niebie —  
a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud  
tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze,  
kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczaj-  
nie Włochy, aż pfuj, do licha!



Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse Balzaków, Szatobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra i cmentarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — niema nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibógci, u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili, że niebezpiecznie, nająłem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Niema co mówić — znać, że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórze krągłe, jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie niema, krocie — cyprysów tyle, co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda, że od urodzenia zawsze miałem piersi, jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Zona siada na przodzie patrzeć na dolinę w miarę, jak się odkrywała. Ja fajkę palę — pułkownik Wilczek, którego tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytoniu — mówił, że Sultan innego nie kurzy. — Nic smaczniejszego na życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni, bo gospody niema. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi, wysypało się hultajów — każdy krzyczy, że jest przewodnikiem, Ciceronem, jak to tam ich zowią; — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę moją chwyтали za suknię, wrzeszcząc »moro

di fame», co znaczy, »umieram z głodu«; a potem »Complimentate me!« co znaczy »daj co«, bo u Włochów compliment, to miedziak — a jeden z nich, mniej obszarpany, poznał, że my Polacy (okropny węż mają Włochy do cudzoziemców) i, wysunąwszy się, rzekł do mnie, ja zaś po włosku nieźle rozumiem i gadam, choć nie lubię tej kome-dy, z łacińskiego języka przerobionej; otóż ten Włoch prawi do mnie:

»Eccellenza (niema z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. — O, Polacy, to do-brzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje!»

Zdziwiłem się niepomału i mówię: »Kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cycerona«; a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i z dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bając zaczyna, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co, przyplłynąwszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, codzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem, co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć — że tylko o swoim panu mówił »Lienza, Lienza!« i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał, chudł i bladł, aż nareszcie umarł; a służący go na cmentarzu pochował.

»Cóż to znaczyło to Lienza?« zapytałem się.

»A to było imie młodego pana« odparł mi Włoch.

»Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się »Lienza« — to chyba Włoch, jak ty sam«.

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak i że zwał się Enrico Lienza.

»Prowadź na cmentarz, ty! — zawołałem. — Zobaczym —

jeżeli prawdę mówisz, piastra — jeżeli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć nie mieszać Włochów z Polakami!»

A on przystał, pewny swego i wesół jak chłop, co idzie do karczmy — lecz chciał баламучić — wprzód katedrę nam pokazać.

»Na cmentarz!« krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów sam jeden, biedny, szlachcic polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód, i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — »Gdzie ty tam idziesz?« pytam. — On mi prawi, że cmentarz w środku klasztoru. — »Kiedy tak, to idź!«

I prawda — prowadził nas, poganin, przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłómaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży! — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny, cienkie, jak grube trzciny, dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie, a każda obwiedziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie marmury stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wiercipięta, skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: »Eccolo!« i wyciąga rękę, mówiąc znów: »Complimentate me!«

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczynilem. Czym mógł się spodziewać?... Oto stał przede

mną krzyż drewniany, nizki, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.

1840. ROKU, 12. KWIETNIA.

»A co, nie Liienza, a co, nie piaster?« zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem i, zdjawszy furażerkę, mówiłem Zdrowaś Marya, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familia była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej; ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożał się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem, by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewne, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda, że pod ciepłym niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy, Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką) i moja Teodolincja (matka tak ją przeważała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbarą, Ursulą), oboje ukłękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić p. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd, że szlachcic polski tak nago śpi na obcej ziemi, z takim krótkim słowem, przez poczciewca służącego niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: »Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, tam o wszystko się dopytać, wywieźć, z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nic nie wiesz!«

Włochowi zatem obiecuję dobry komplement, jeśli mnie zaprowadzi do gospodarza, u którego mieszkał p. Ligenza. — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo Żyd faktor u nas. —

Żonę z dziećmi zostawił na cmentarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach. — Wreście doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, skąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzył — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi wszystko, co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na pocziwego i lebskiego ówika — z żalem prawie zaczął o panu Ligenzie:

«Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy, spokojny, wspaniały! — Żył miernie, ale regularnie<sup>7</sup> płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda, że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówilem słuzącemu: Zostań z nami, wykieruję<sup>8</sup> cię na Vetturyna — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać, gdzie pan na jego rękę skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem, gdzie — podobno do Francji — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpacz<sup>9</sup>».

Wtędym się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz, jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę i przez wschody zawiódł do porządnej izby na drugim piętrze.

«Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na »Concha d'oro« (tak przezwali sobie dolinę, w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem, jak pieczętował zwój papierów i zasuwał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomnieli, bo gdy stąd ruszał, był jak waryat jaki».

To mówiąc, otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wziąłem — ołówkiem na wierzchu napisano było: «Ostatni ślad myśli znikającej. -- Jeśli kiedykolwiek wpa-

dnie w ręce Polaka, niech czyni z nią, co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował». I nic więcej, tylko te słowa i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydają.

Przyznam się, że, czytając je, mało com zrozumiał — nawet nie zupełnie, prócz dobrych chęci. — Są to, i każdy powie to samo, co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci, pytam się wszystkich wobec i każdego z osobna, co te wiersze o »Cieniach« znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znów o Panu Boga mowa? co te widzenia Chrystusów, te święte Piotry, co padają, kiedy Świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie, bo tak mocno stawiony, jak żaden inny kościół na świecie — co ten niby kardynał, niby Jan apostoł, co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko smalone duby. — Ale darmo, woli ostatniej p. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi Opatrzność jego dziełka tak dziwnie do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można, jak z żywym! Czy umarłemu co wyperswadujesz? A kiedy już tak żądał, niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do cmentarza. — Idąc, plótł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał, że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz że, kiedy raz się rozgniewał, na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha, który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wstrząsł, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. — Często grywał na fortepianie, który sobie z Palermu sprowadził. — Lubił całe nocy czuwać i grać — to mu nawet mocno szkodziło. A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i, biorąc pałasz, kosztownie oprawny, rzekł do niego: »Nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź, com ci winien!« a gdy to mówił, miał łzę dużą w oku.

«I cóżes wasan uczynił?» zapytałem gospodarza.

«Sprzedałem» odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie pluął, osobliwie, kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była, po Ligenzach; na rękojeści turkus — na klinkdze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był p. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swojemi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędził życie w kraju, czy zagranicą, czy teraz tylko z Małty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył? tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nic a nic o tem nie wiedział.

Zatem niewiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na cmentarz — ale już był w jej głowie napisany. Ułożyłem się z p. Balduccinim (tak zwał się gospodarz), by mi wynalazł rzeźbiarza. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu, gdym wrócił z Palermu, by przekonać się, czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na cmentarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi, że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNAŁ. DO CZASU.

Ś. P. HENRYK. LIGENZA,

NARODEM. POLAK.

Z ZNAKOMITEGO. NIEGDYŚ. W RZECZYPOSPOLITEJ.  
RODU.

ZYCIEM. NIEZNANY.

ŚMIERCIĄ. WŚRÓD OBCYCH.

NA WYSPIE. DALEKIEJ.

GODZIEN. ŻALU. I MODŁÓW.

POCHOWANY. PRZEZ SŁUGĘ.

WIERNEGO.  
POMNIKIEM. UCZCZONY.  
PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.  
KTÓRZY. GO. NIGDY. NIE ZNALI.  
TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.  
UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.  
NA ZIEMI.  
A TERAZ. ŻE. O NICH. MODLI SIĘ.  
W NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała; trochę tam kadzidla co do tych myśli czytanych — no — cóż robić? — lepiej podchlebiać umarłym, niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale kiedy to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy nadzwyczaj podobały: — podpora w Koloseum, postawiona przez papieżów, by te stare mury nie gruchnęły, i błota pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne; — chciałbym był w nich polować, ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligęzy — com mógł, uczyniłem dla niej!

Pisałem w Szafuzie na przejeździe 1-go lipca 1840 r.

*Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski*  
*przydomku i herbu »Gozdawax«.*



## SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któregom widział stojącego na morzu  
na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.
6. I przysiągł przez Żywiącego na wieki wieków, który  
stworzył niebo i to, co w niem jest, i ziemię i to,  
co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że  
czasu już nie będzie.

*Objawienie Św. Jana, Roz. X.*

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.  
Moc go nieznana z ciemni wyrzuciła,  
Dzika wilczyca piersią wykarmiła —  
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł wpół senny i dał się po górach.  
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,  
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu  
I światło spadło z krainy błękitu.

Pójrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,  
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata —  
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,  
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzeba.

Ale nim wdzije szaty człowieczeństwa,  
Nim się rozbierze z powicia natury,

Musi z nią walczyć i znosić tortury  
Olbrzymie, straszne, Tytanów męczeństwa.

Aż z starożytnej odmętu zawiei  
Wyjdzie przemienion i »Jestem« zawoła;  
Ludzka mu piękność wyrzzy wtedy z czoła,  
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei.

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,  
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,  
I przeciw losom brata się z szatanem —  
Ta doła płynie, bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa  
Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa,  
Myśl, która truje, krew własna, co krwawi,  
Glinę mu z serca wyżre i przetrawi —

Cierniów koronę przywiąże do skroni  
I lzę miłości nad bracią uroni,  
Cierpiąc i wierząc w Ojca niebieskiego,  
Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna Tęsknota,  
Dni zwątpień wróca, pokusa się zmoże,  
Znów mu się wyda, że z niego sierota,  
Rzucony oślep na zaguby morze.

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —  
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —  
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,  
Której kwiat płonie tam, gdzie Bogów progil

Ten, co dziś wątpi, co od wieków jęczy,  
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,

Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,  
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Stapaj więc dalej, o synu światłości,  
Stapaj ku światów nieodkrytych stronie!  
Wszystko, co żyje, świeci, dźwięczy, płonie,  
Twojem na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem —  
Ujrzyś na oczy, coś przeczuł natchnieniem —  
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki  
Weźmiesz, jak perły widome, do ręki,  
Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe,  
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe,  
Na wieki wieków dane tobie — tobie,  
Coś marzył czasem, że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie —  
Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia;  
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie,  
Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia,  
Jak uśmiech dziecka, nim błysnie z powicia!  
Bądź znów, jak Tytan, wielki — silny — dumny! —  
Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny —  
I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi —  
I wszędzie Bogi — nad tobą i w tobie,  
Na każdym miejscu i o każdej dobie;  
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z nimi.  
Aż kiedyś ujrzysz, jak z lazurów łona  
Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje,  
I znów do niego wyciągniesz ramiona,  
I on cię porwie w inne — dalsze raje.

Znów za nim pójdziesz ty, anioł, ty, święty,  
Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —

Choć w innym ciele, choć na skrzydłach gromu,  
Coraz to chyżej i wyżej niesiony,  
Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —  
I świat twój jeszcze nie jest nieskończony.

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną,  
Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,  
Ty, na nie patrząc, nowe czujesz żale:  
Wiesz, że i one, jak tamte, przemina.  
Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!  
Choć latasz wolny po światów przestworze,  
Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,  
Mgła niepamięci dotąd ci ci oczy,  
Ostatek bólu w twojem sercu gości,  
I jeszcze wołasz na Boga: «Ty — Boże!»  
Duch twój dopiero u progów wieczności.  
Aż przejrzyś Pana, jakoś ty przejrzany,  
I poznasz siebie — a w tej samej chwili  
Noc niepamięci w tobie się przesili —  
Wspomnisz nareście, żeś z Panem nad pany  
Duch ten sam, jeden na wieki i wszędzie,  
Co *jest* już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze wszystkie kształty przeminęły —  
To sen twój mijał, jak fal miliony —  
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony,  
Boś snił o falach, co w tobie płynęły;  
Teraz żyć poczniesz — boś uczuł, żeś razem  
Potęgą marzeń i marzeń obrazem.  
W jednym wspomnieniu po długim pogrzebie  
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie.  
I wszystkie dusze, co wierzyły tobie  
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,  
Coraz to wyżej, z grobu w grób, na zmiany  
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły.

Tem są na końcu, czem w początku były: —  
Świat jeden ducha, z twoim duchem zlany. —  
Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła  
I siebie samą w twoje łono wniosła  
I wie o sobie — że się stała synem  
Równym ci, Ojczy, i wiecznie Jedynym.  
Bo w każdej Jeden Ty jesteś, o Panie!  
I w każdej wołasz „Ja“, a oprócz Ciebie  
Nigdzie nic niema i nic nie powstanie!

Teraz myśl, kochaj, stwarzaj wieczne niebo w niebie!

---

## SEN-CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzmiący.
2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.

*List pierwszy Św. Pawła do Koryntyan, Roz. XIII.*

Cienie zewsząd w duszy mojej i wokoło oczów moich. — Głos mnie zawołał po imieniu: »Cezara, Cezara!« i wyszedłem i idę, sam nie wiem, gdzie, ale za tym głosem pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata.

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej, wstępuję ciasnemi wschody — głos przede mną leci i woła: »Cezara, Cezara!«

I nagle grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamienia; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrzystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła: »Cezara, Cezara!«

Okrążyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna pode mną — nade mną dzwonnica, pleciona przezroczyście, róże gotyckie, kładzione na różach, arkady, podesłane arkadom, świat ostrołuków, pnący się ku niebu — a przez ka-

żden z nich gwiazdę jedną widać a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam, nad górami.

Głos wstąpił w dzwonnice i jak słowik, ukryty w gaju, woła na mnie: »Cezara, Cezara!« Okolica, jak świat szeroka, roztoczyła się przede mną. Zdało mi się, że widzę pomieszane wsi, miasta, wzgórze, doliny i bory uśpione; księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bładem złotem i ciszą!

Wtem z pod stóp moich nagle, odrazu, wzbily się dźwięki poważne, jakby organów szum, pomieszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniejszy i coraz pełniejszy ten akkord wchodził z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie.

A za każdym akkordem światło miesiąca żywszem się staje, gwiazdy się rozszerzają, jak źrenice coraz większe, ognistsze — niebo całe jak jedno morze jasności wiś nade mną — ziemia cała jak jedno zwierciadło, kędy się ta jasność odbija, leży pode mną — wieża tylko i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów, przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stąpań; — szli, nie zawracając — gdzie się spotkali, tam wrzask się wszczynał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokręgu; — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad niemi, a gwiazdy wszystkie patrzyły z góry, jak kołujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem, niosącą sztandar, na którym napisano było: »Naród«, ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkało się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach

trzymali zemdlale niewiasty, podobne do umarłych aniołów. — Wielu z nich znaczyli ślady swoje krwią, z ran płynącą; i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich rękę jakoby krzyże, zwiędłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak, jak groby milczą — bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą!... Długom patrzył, czy też kto ich nie przywita miłosierdnem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokój. Tłumy narodów, jak mury czarne, stawały wpoprzek im — jak potoki czarne, płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków, pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żał serce mi objął i lży do ocz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akkorda, bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: «Cezara, Cezara, oto lud, co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy».

A gdym spójrzał znowu, oni bili się, otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc, jasny jak słońce, oblewał ich promieniami, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła, połyskami przetkana. — I było im bardzo ciężko i skwarno. — Wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały, ich miecze, ich groty, daremno błędząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieznośnie gorzko.

I każdy z nich wzniósł w górę dziecię swoje i rzekł «Leć do Boga, sieroto!» — A zdało mi się, że na chwilę zbłądł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazuruwa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka nanowo się rozpoczęła na ziemi.

A umierających coraz więcej, umarłych coraz więcej





widzę. Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie kląkł, nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów: »Żyćcie i bądźcie naszymi sługami!« Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jakgdyby ostatniem wyzwaniem do boju.

Krąg wrogów, jak pierścień żelazny, ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągliła się w powietrzu — wtedy każdy z umierających rzekł do zemdlalej niewiasty, którą trzymał w objęciu: »Obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej ode mnie?«

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: »Ziemia wasza, ziemia naszą i grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy«. I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każdy z umierających, jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej, którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód, ku wrogom — i znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i, jak wieniec lilii nadpowietrznych, zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy, walcząc, ginęli — i nad tymi, którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad resztkami wielkiego narodu.

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy: »Cezara, Cezara, patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!« Katedra zadrżała od akkordu, co wzbił się z jej lochów. Ten akkord, jak piorun, co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie i, znów zebrawszy się razem, pieśnią żalobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą, jakby, doszedłszy kończyn świata, jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpaczy tam, gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów, przechadzające się, jako dawniej; na miejscu, gdzie owa garstka poległa, już trupów ni krwi ni broni nie było — murawa zieleniała. — Usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów woddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów, lejącą stamtąd, i zdjął mnie strach, że tak cicho na tak wielkiej mogile.

A głos anielski mój zawołał na mnie: »Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich!« Ja w stronę głosu spójrzałem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama, co na początku, wieńcem wzgórzów otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle: »Cezara, Cezara!« ale zdało mi się, że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodowi wieży. I szedłem za nim, coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem, kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku, że chyba do grobu.

I obrócił głos, wzdychając, ku przejściu, pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słychać, jakoby szelest wielu liści suchych, wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów, przyciszanych bólem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: »Cezara, teraz módl się za nich!« — i ujrzałem przed sobą wnątrz katedry bardzo długiej, nad którą stałem, jakgdybym stał na podniosłości chóru i z chóru zaglądał w tę głąb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp, płonących przed obrazami, przed posągami, tu i ówdzie nad pomnikiem rycerza, tu i ówdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiedle, jakoby od łez, wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwiała w przestrzeni.

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarły, jakoby wstęp do podziemnych grobów, czekających na ko-goś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały, jak alabaster, i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: *Naród*.

I pusto było w tym wielkim kościele. — Wtem zdało mi się, że słyszę jakby przeczucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powstąpiły słabiuchne dźwięki — i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozplakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każdy filar, każdy głaz jej posadzki zadrgnął, jak struna — każdy jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga.

Wtem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: »Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą!«

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc, jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręża; szli, jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczone-m czołem, pełnem wspomnień bólu. — Dzieciątek ich tylko nie było z niemi — ale, jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się, że widzę białą posąg Chrystusa, tam, kędy zdało mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień — ot! muzyka stała się miękką i tkliwą, jak szczęścia wspomnienie — ot, jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot, tych aniołków grono motyli skrzydeł opasało się tęczą i każdy

rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu i, ważąc się w powietrzu, jasnymi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy, leciał ku nim, ku nadchodzącym i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek, uspionych snem śmierci.

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się, poznając przemienione dzieci — a matki, rozemknawszy oczy, krzyknęły z radości i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i, podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały każda swojego i, wspinając się na palcach stóp, ustami goniły te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się, jak kwiaty i gwiazdy, nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych ławkach usiedli męże i odetchnęli, jakby po męce życia całego — przed niemi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się nanowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko śpiące. — Męże, broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nic wyrzec, ale o nic prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiale z bólu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły, zstępujące z sklepień, wily się nakształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawalo, tem posąg Chrystusa, ów biały, wysoki, daleki, bielał i rósł bardziej przede mną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem jasną, blizką, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący, jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiastami i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej była to jasność biała, jak dyamentu.

Niewiasty się podniosły i, zasłaniając oczy rękoma, westchnęły: »O Panie, oddaj nam dzieci nasze!« I męże, padłszy na ziemię, zawołali: »O Panie, oddaj nam Ojczyznę naszą!«

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy, powstawszy, szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nie tykając ziemi stopami, ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób zstąpiła, jak słońce, co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc: »Odpocznijcie — kamień nad wami, jak nade mną, zasunięty będzie! — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie?« I oni wszyscy zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem, jak się podniósł ten głaz ogromny z napisem *Naród* i zapadł nad nimi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów, śpiewający ostatnie pożegnanie im:

»Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny węzłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca! — Zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina!«

»Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną. A teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko!«

I stało się wielkie milczenie — a głos, który mnie strzegł, powtórzył z cicha te same słowa, co pierwaj: »Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich!« — A ja, nic nie widząc, zapytałem: — »Co?« — A głos rzekł znowu: »Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi!«

I nagle ujrzałem jakoby modrych wyziewów gromadę, a w samym środku ich jakoby obraz, malowany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią, napozór przemijającą — a doskonale piękną, z smutku wiecznego wyrazem na czole. — Jej szaty, lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych naokoło niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnię przestrzeni. — I dumny był

ten wzrok, choć łzawy — i harde to czoło, choć obarczone cierpieniem — i uroczysta ta postać, choć do snu nikłego podobna.

A głos zawołał na mnie: »Strzeż jej, Cezara, bo ona siostrą tych, którzy, walcząc, polegli! — Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi«.

A gdym drugi raz spójrzał, uczulem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią w świat mi nieznajomy, gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych szumy, kędy liści żółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś, krwią zboczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błądząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie, tam i ja usiądę — i gdzie ona zniknie, tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają, jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku. — Czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc, przesuający się na szczytach gór — niekiedy poza mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących Duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze śmiech podziemny szatana.

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzch nas wieczny otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. — Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni, w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda, i spójrzy na mnie — ona czasem roze-mknie usta i zawoła: — »Cezara!« — czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu, aż odpocznie anioł mój. — I tak idziem w nieskończoność. — Jeśli ożyć mamy, ożyjem — jeśli zaginać, zginiemy. — Gdzieś

słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem, niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem, jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę, gdzie, i nie pomnę, kiedy, wydało mi się, że ujrzałem cypel skały, ponad mgłą wymknięty. — I Duch tam siedział, podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka, tylko że mu z ramion wisały bezpiórne skrzydła, jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

»Wstrzymaj się, niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padolem śmierci! — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki.«

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

»Opuść tę, która nie ożyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spójrzy na ciebie lub rękę ci poda, — bo iskry miłości niema w tej źrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni!«

I znów uderzył w jednostrunną harfę.

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich i zgon ich i sen ich teraz w grobie, razem, w jednej chwili odbiły się na niej.

A Duch znów zaśpiewał:

»Wracaj i żyj pośród ludzi żywych! — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne, przebrzmiawszy, pękły. — Wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, kochaniem — ta, jedyna dzisiaj, zowie się nicością.«

I zdało mi się, że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo

i w lewo — i odsłoniły się za skalą wielkie cmentarze, stopy kości i stopy próchen, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety na odpadkach zwłok ludzkich, ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzłego morza — i chmury niewzruszone, jakby drugi taki sam ocean, ścięty mrozem na niebie.

A Duch wskazał w tę wielką przeszłość i, rozśmiewszy się, wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwinęła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów, każdy w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się, że, zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dójść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego rozemdleć się i zniknąć.

Duch szczytu skały, Duch złego, Duch, co mnie kusił, rzekł do mnie: «Wybieraj!»

W tej samej chwili głos jej zawołał: «Cezara!»

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy — na śmierci cmentarze.

Śnieg krąży nad nami, jak grób nadpowietrzny. — Orzeł, co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta, którą ukochał, wśród zawiei znikł!

I sen mój się nie przerwał — uczulem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się, że ich postać Chrystusa oszukała, zstępując z niemi do grobu, bo oni już się nie przebudzą — i że ta, którą strzegłem, oszukała mnie także, bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki. I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej, by wyszła ze mnie.



A głowem trzymał w rękę, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego Ducha z harfą, przechadzający się woddali. — I przechadzając się, śmiał się ze mnie.

Potem, usiadłszy na wzgórzu śnieżnem naprzeciwko mnie, zaśpiewał:

»A co teraz?»

I z pod stóp jego zerwało się stado kruków i każdy z nich, ciągnąc mi nad głową, powtórzył, krakając: »A co teraz?»

I zdało mi się, że ze stosów kości i z głębi ziemi zmarzlej wydobyło się to samo słowo:

»A co teraz?»

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: »Wieczność się zaczęła«.

I zdało mi się, że duszę własną przeklinam, konając.

Wtem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej cudnej wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami.

A jam się zerwał i wołał: »Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zwiódł mnie!«

Lecz słowik mój, lecz anioł mój na to: »Cezara, Cezara, czemu żałujesz, żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? — A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe, jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udziela połowy? Ta, co zabrała życie twoje, odda je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem. Patrz!«

Jak nowonarodzoną gwiazdę, ujrzałem postać, wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się męże i widmo Chrystusa bieleło nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

---

## LEGENDA.

---

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: »Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kiedyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi, gdziebyś nie chciał».
- .....
20. A Piotr, obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego miłował Jezus, pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego, i rzekł był: »Panie, któryż jest ten, co Cię wyda?»
21. Tego ujrzawszy Piotr, rzekł Jezusowi: »Panie, a ten co?»
22. Rzekł mu Jezus: »Jeślibym chciał, żeby on został, aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdz za mną!»

*Ewangelia według Św. Jana. Roz. XXI.*

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i że idę przez Kampanią. — Po-gańskie tam grzały się groby w promieniach słońc — ra-nek był — niebo czyste, jak zawsze, i pustynia smutna, jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wo-dociągi, póki mogły, szły za mną, lecz iam poszedł dalej. — Błuszcze, jak zielone żłoby Chrystusa, szumiały po świątyni ruinach. — Leciały nade mną białych ptaków stada — przede mną w dole pelzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie.

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on, jak widmo czarne, toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: »Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia?»

Ja, w duchu przerażony, odparłem ze wzgórza: »Zaprawdę, dziś wigilia jest«; i wnet stanął okręt przy samych brzegach, biała para rozwiódła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonym zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach widać się te postaci i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: »Kędy droga do Rzymu?»

Jam odparł: »Niema tu drogi — tu pustynia«.

A oni odrzekli: »Prowadź nas zatem!« — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: »Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długomy płynęli — wielkie tam były wichry i sloty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniamy w bazylice Piotra«.

A ja im na to: »Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie!« —

I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się, jakbym przechodził przez cmentarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnem, na głębokiem niebie — w dole taka czarna równina! Szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem białych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej, gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne.

Oni idą za mną, z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam, bo oni się śpieszą — słyszę, jak ich czapek kity łamią się w powietrzu — jak ich płaszców faldy wiją się z wiatrami.

I zdalo mi się, że widzę ogień, błazący wodдали — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość światła na równinie. — Przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez Kampanię z pochodniami w ręku. — Luna, koło nich rozpostarta, szła razem z nimi wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtędy ujrzał zasępięte lica ich — tych, którzy szli za mną, i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pod światło pochodni, zdalo mi się, jakoby stanęły tłumy, pytając ich: »Co wy za jedni i skąd idziecie?»

Oni się zatrzymali i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: »Aż nikt nas nie poznał na świecie?»

Cichy szmer, szmer rosnący, rozległ się naokoło; zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: »Znamy was — wyście ostatnie bohaterzy ziemi!«

Wtedy oni ciągnęli dalej: »Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał śpieszyć do Rzymu — a wy, mówcie czyście słyszeli głos jaki?«

Wzbił się wielki jęk tłumu, odpowiadający im: »Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi.«

I umilkło mnóstwo i stało, jakby własnymi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron Kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słyhać dźwięk dzwonów — a im bliżej, tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł, i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i grzmi każdy kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biała zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam, gdzie gruzy tylko, tam, gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: »Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam!«

A gdy ujrzeli szlachtę polską, wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok, płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: »Czemuście tak ponurzy, goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz! — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są myrtu gałązki — oto kamelie — skroniom je wazszym rzucamy na wieńce!«

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród nich

Polacy, a idąc, mówią do mnie: »Gdzie bazylika Piotra? Nam śpieszno — nam tęskno — wszak już bliska północy godzina?»

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się, że amfiteatr Flaviana, ten pusty, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każdy listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i, klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol; od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: »Hosanna, Hosanna!« a pielgrzymi śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów ulicy spadły na nas fiałki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej ponad wszystkie inne.

W stronę wołania tego śpieszym się — most na Tybrze przechodzimy — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka, jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo to błysnie, to zagrzmie.

Zawracamy teraz — już wchodzimy na dziedzińce Piotra; — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie, jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręczone z ognia — fontanny pośrodku, jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem, czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wewnątrz kościoła, jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach,

u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej i z przodu i z tyłu i z boków zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: »Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki?« A wśród pielgrzymów inne słyhać głosy: »Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?«

I ujrzałem, jak Polacy wzniesli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni powietrza.

Lecz w tej samej chwili na krużganku Bazyliki, wysoko ponad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: »Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami! — Umarłych puśćcie naprzód!« I wzniosł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie Piotra. Tu stanęli i, zdjęwszy karmazynowe czapki, białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, nagą broń trzymając w ręku.

Pogoda śnieżna marmurów jaśniej w pustym kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto wstępują pod kopuły sklepienia, wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecie i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów, radujących się — tam, wdali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napelniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe, czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy każdy orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim,

przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła, jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwał się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inne starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosiennicach, z krucyfiksem w rękę — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlekąc za sobą, idą kardynały w rażącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci, niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza, tam, gdzie rozstały się tłumy, tam na pustej ulicy między dwoma ścianami z żywych ludzi — które teraz uklęknęły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron, niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się, że każdy krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał, jakby ulgi oczom szukał od światła tyłu — czasem nad ludem krył się, nie dokrył się, drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż, stanąwszy, westchnął i wznosił ręce ku niebu, lecz nie mógł ich utrzymać — opadły.

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się, że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam, który wpuścić nas kazał, i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma, jak błyskawicą, wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścionie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym, co zostali z tyłu; oni pośpieszą, tron złoty niosąc.



Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcz tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmiały w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się, że zadrzały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: »Chrystus się narodził!«

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbil się jęk żalony: »Wszak nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni?«

A lud rzymski krzyknął wściekle: »Kto śmie bluźnić w kościele Piotra?«

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: »Oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła«.

A kardynał znów, jak książę potęgi, ręką skinął i rzekł: »Pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą, bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie!«

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy, gdyby chóry anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił »Jestem!« A gdyśmy, drżąc, podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać, opartą czołem na środkowej bramie, znikającą z wolna, coraz bardziej mgłą, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i, jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież, trzymając jeszcze kielich w ręku, wzdrygał się, sam rzekł: »Ite, missa est!« a potem

zawołał głosem ogromnym: »Czasy dopełniły się!« i, rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra, mówiąc »Obudź się i mów!«

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i, stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: »Biada!«

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: »Piotrze, czy poznajesz mnie?«

A ciało odpowiedziało: »Głowa twoja ostatniej wieczery spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi.«

A kardynał odparł: »A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora.«

A ciało odparło »Czyń, jako ci kazano jest!«

Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: »Biada mi!« i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało! — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i, jak posąg, niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: »Wychodźcie wszyscy, i wy, i wy, i wy, i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów!«

A ludy odrzekły zewsząd: »Prowadź nas Ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę!«

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: »Ojcze mój, czy tu się zostać chcesz?«

A starzec, rękę podnosząc i przytrzymując koronę, od-

parł głosem zbolalym: »Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu!«

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: »Uciekajmy!«

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każdy buflac ruszył się z pod ołtarza swego z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przyklękawszy, raz ostatni złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek siniego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni siedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giał się w podrzutach, jak ciało umierające, ale on wzniesioną dłonią zatrzymywał rozdarłe sklepienia nad ludem i patrzył, aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc, rzekł do szlachty polskiej: »Ludzie, idźcie za mną!«

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: »Idźcie za mną!«

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy, pędząc lud przed sobą, jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: »Nie opuścimy starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze, jeśli nie my? Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać!«

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im z daleka znak błogosławieństwa, wianek siniego światła także — i Iżę miał tej chwili w oku, mówiąc: »Chwila jeszcze, a poginięcie!«

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły, jak ścięte drzewa, i runęły — i baldakin spiżowy

runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat, białą spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny, jak dwa białe gołębie, przypadły do ziemi, konając, a lud uciekał coraz dalej, jak morze, wyparte z brzegów, i zdało mi się, że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i widzę tylko gwiazdę jutrzeńki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, że poszedł za nim, niesion Duchą potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł, gdyby na tronie, i spójrzal na świat — a wnet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w rękę jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili, gdy wschodziło słońce: »Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema?»

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ocz z nad księgi, odrzekł mi: »Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi!»

A ja, to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: »Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?»

A ów biały święty odrzekł mi: »Nie trwóż się o nich! Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak jak wschodzący, umarli, tak jak żywi, są z Pana; — owszem, im lepiej będzie i synom synów ich»

A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i Duch mój się przebudził.

## OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO »TRZECH MYŚLI«.

Str. 3. Palermo — miasto w Sycylii.

Str. 4. Balzaków, Szatobriandów — Honoriusz Balzac, romansopisarz francuski; Franciszek Châteaubriand, poeta francuski, obaj żyli w pierwszej połowie XIX w.

Str. 4. Orient — Wschód (łac. oriens).

Str. 6. Freski — rodzaj malowideł ściennych.

Str. 6. Eccolo — oto on (włoskie).

Str. 7. Piaster — moneta włoska = 2 rb.

Str. 8. Vetturyno (vetturino) — woźnica (włoskie).

Str. 11. Mielikowski — nazwisko zmyślane, równie jak i Ligenzy; cała ta historia odnalezienia rękopisu s. p. Ligenzy jest, oczywiście, fikcją, którą Krasiński chciał osłonić swoje autorstwo.

Str. 13. Dzika wilczyca — aluzja do Romulusa i Remusa, wykarmionych przez wilczycę.

Str. 13. Tytani — mitologiczni olbrzymi i półbogowie, którzy niegdyś załudniali ziemię. Zeus (Jowisz rzymski) strącił ich piorunem w otchłanie Tartaru.

Str. 17. Cezara — dziwna żeńska końcówka męskiego imienia; początkowo miało być poprostu: Cezar — jest to imię bohatera jednego z utworów Jean Paula.

Str. 21. Wnątrz — wewnątrz.

Str. 33. Amfiteatr Flawiana — olbrzymi cyrk, zwany Koloseum, czyli Koliseum.

Str. 33. Zamek Anioła — twierdza rzymska, dawny grobowiec cesarza Hadryana.

Str. 35. Watykan — siedziba papieży w Rzymie.

Str. 36. Kardynał — jest to św. Jan Ewangelista.

Str. 36. Ite, missa est! — idźcie, dopełniło się końcowe słowa Mszy św.

Str. 38. Baldakin — częściej: baldachim.

O TRÓJCY W BOGU  
I O TRÓJCY W CZŁOWIEKU.

THE TROPHY & THE TROPHY  
THE TROPHY & THE TROPHY

W stosunku do nas w tem Łaska boża, że nas Bóg stworzył, to jest, że nam bytu udzielił. W tem Rozum i Logika boża, że nas nie odrazu doskonałymi i dopełnionymi stworzył, czyli skończonymi istotami, ale, owszem, nieskończonymi nas stworzył, bo od samego początku poczynającymi z możliwością postępowego rozwijania się, przytem wolnymi i, więc tem samem zmuszonymi zasługiwać się, to jest siebie samych dotwarzać, by rósć ku Niemu. W tem nareście Miłość boża, że nas ostatecznie zbawi, czyli, że w miarę zasługi naszej bytu nam odmierzać będzie, czyli, co jedno jest, że nas opatrnie doprowadzi do żywota wiecznego, który jest niebiańską wszystkich władz naszych harmonią, dostrajającą się coraz wyżej, który jest postępem, nie przerwany już śmiercią, który jest przemienianiem się następnem, coraz przedziwniejszem, duszy i ciała, przy wszelkiej świadomości i z własnej woli Ducha, do którego dusza ta i ciało należą.

Z łaski więc bożej osiągniemy byt, którego wyrazem w nas jest ciało.

Z Rozumu bożego osiągniem świadomość tego bytu, wiedzę jego niezbędnych warunków, praw i celu, czyli duszę; bo czemuż dusza, jeśli nie myślą i wiedzą? A o czemuż myśl myśli, jeśli nie o bycie?

Z miłości wręście bożej dojść mamy do najściślejszego pojednania się bytu z myślą, zmysłowości z idealnością,



ciała z duszą, czyli stać się Duchami żywymi, nieśmiertelnymi, przeznaczonymi do Anielstwa i wszystkich innych przetworzeń się duchowych, w nieskończoności żywota, tu, i tam, i wszędzie.

Z tego trojakięgo stosunku Boga do nas i naszego nawzajem do Boga — Trójca Święta wynika. Pierwsza Jej osoba odpowiada Wszechbytowi, którego przymiotem Wszechmoc. Druga — Wszechmyśli, której przymiotem Wszechświadość, czyli Wszechrozum. Trzecia — Wszechżyciu, czyli Wszechduchowi, którego przymiotem Wszechmiłość. Na obraz tej Trójcy bożej każdy z nas jest także Tróją każdochwilną, każdy z nas jest bytem, myślą, życiem, czyli Duchem współcześnie, a zarazem i przeto właśnie, że Duchem, jest osobistością całą, czyli Jaźnią, tąż samą i jedną! W Trójcy bożej osobą Łaski dla nas jest pierwsza osoba, Ojciec, Stworzyciel, później nazwan Jehową, który stwarza nas, bo stwarza — Łaską albowiem to, co danem dla niczego, tylko dlatego, że danem. Jest ona, bo jest. To samo o sobie sam wyrzekł Jehowa — to samo każdy byt, który istnieje już, a nie pojął się jeszcze, wyrzecby musiał — więc gdyśmy go nie pojbowali, tak do nas mówił Jehowa.

Osobą Rozumu dla nas, przyczynowatości i wynikliwości, nakazującą nam pracę i zasługę, czyli kształcenie się i postęę, jako drogę logiczną, konieczną, jedyną do niebios, to druga osoba, to Wszechwładność i Wszechmyśl boża, Słowo odwieczne (Logos), które, wcielone, nazywa się: Chrystus — i Chrystus też właśnie objawił rodowi ludzkiemu prawo wieczne zasługi i postępu na to, by ród ten mógł dojść do Anielstwa. Chrystus już nie tak, jak Jehowa, jest, bo jest tylko, bez wyrażenia żadnego powodu, żadnej przyczyny ni pochodzenia. Owszem, ród ciągnie z Ojca, a upadkiem ludzi spowodowan, na to, by ich wyzwolić, odkupić i zbawić, zstępuje w świat. Już tu objawia się powód, już tu logiczna konieczność, zasada wszelkiego rozumowania i wszelkiej filozofii.

Wreszcie osobą Miłości dla nas, spójnią żywą Łaski bez powodu z Rozumem, powód zawierającym, to Wszechżycie boże, kojarzące Wszechbyt z Wszechmyślą w Bogu, to trzecia osoba Trójcy bożej — Duch Święty. On w stosunku do nas wyraża najprzedziwniejsze zlanie się do harmonii Bytu, któryśmy dostali z Łaski, i prawa postępu i zasługi, które nam Rozum boży przyniósł. — To zlanie się zaś harmonijne, oczewiście, że naszym jest objawieniem, bo kiedy byt otrzymany doskonale rządźmy i ujmujemy w prawo zasługi i postępu, cóż my osiągniemy? Oto najwyższą barmonią, cel nasz ostateczny, żywot wieczny nasz, czyli uzupełnioną miłość Bożą ku nam i w nas. Zatem Duch Święty, wyrażający Wszechżycie w Bogu, dla nas wyraża Wszechmiłość i zbawienie. Oczewiście, że nie może inaczej, jak zarówno z dwóch poprzednich osób pochodzić — z Ojca i z Syna, z Wszechbytu i Wszechmyśli, z Jehowy i z Słowa, bo jest właśnie ich zlewem, ich przepajaniem się wiecznem, ich wzajemną jednią — zupełnie tak samo, jak w nas Duch nasz jest przepojeniem się bytu i myśli naszej, ciała i duszy naszej, tak samo, jak w nas żywot wieczny będzie przepojeniem się najwyższem Łaski, którą od Ojca wzięliśmy, i własnej zasługi naszej, której nam konieczność Syn wskazał.

Nie inaczej myślał o trzeciej osobie sobór nicejski, kiedy w wyznaniu wiary pod nią dopiero umieścił wszystkie nadziemskie nadzieje i anielskie następstwa ludzkości: uświęcenie ludzkich dusz, natchnienie proroków, jedność Kościoła powszechnego, zmartwychwstanie ciał, żywot wieczny i obcowanie świętych. — Chrystus też wyrzekł, że temu, kto bluźni przeciwko Duchowi Świętemu, odpuszczonem nie będzie, choćby bluźnierstwa przeciwko Ojcu i Synowi odpuszczono. Zatem w początku Łaska, a w końcu Miłość. Łaska tylko być może dla nie będących jeszcze. Miłość być tylko może dla będących już, ale jej godnych, ale na nią zasłużonych; pośrodku zaś i jako przejście konieczne od Ła-

ski do Miłości, od Bytu pierwszego do najwyższego życia — Rozum. W stosunku do nas Rozum boży znaczy logikę żywota naszego, pracę, trud, zatem i cierpienie, i męczeństwo, słowem zasługę. I oczywiście, by stworzonych z Łaski przeprowadzić do godności Duchów niebiańskich, do Anielstwa, do żywota wiecznego, trzeba koniecznie było ich zasługi i stopniowego postępu, czyli trzeba było, żeby im jej niezbędność Rozum boży objawił i nakazał, bo inaczej Łaska byłaby bezrozumna i Miłość w końcu też ślepa, też bezrozumna, a zatem nie byłaby miłością żadną, tylko znowu Łaską. Więc nie byłoby żadnej odmiany ni rozwoju od pierwszej do ostatniej, żadnego przetworzenia, żadnego biegu życia, dziejów ni ludzkich, ni żadnych innych, wolnością swą poruszających się w czasie, byćby nie mogło. Na początku, w środku, w końcu tożsamość jedna, martwa, bezbarwna, nieskończona — jeden tylko stan, a jeśli go nazwiem Rajem, więc jeden Raj nieprzemienny, niewinny, ale głucho, nieżywo, zwierzęco niewinny — byt tylko sam bez rozbudzenia się myśli — ciało bez duszy. Przejście więc, a przytem rozdarcie i walka wewnętrzna, a stąd ból, a nawet i grzech, o którym święty Augustyn wyrzekł, że był »najszcześniejszą winą« (felicissima culpa), nastąpić musiały. Tem rozdarciem, tą walką, tym bólem ożwalo się życie, bo Bóg jest Bogiem nie martwych, ale żywych, pośrednikiem zatem wistocie w tem przejściu między Łaską a Miłością, Rajem a Niebem, czyli wiekami Jehowy a Ducha Świętego, między stanem bytu cielesnego a stanem pełni żywotnej, duchowej. Łącznikiem i usprawiedliwicielem ich obu musiał być Rozum boży, który, wcielony i objawiony w rodzie ludzkim, duszę i rozum ludzki obudził. Stąd Chrystus jest zbawcą, odkupicielem, pośrednikiem i, tylko przechodząc przez Niego, można dostąpić zbawienia. Jest prawdą, jest światłem słonecznem ziemi i w najwyższym znaczeniu drogą, jak sam wyrzekł o Sobie. Tą drogą tylko dostać się można do Miłości

ostatecznej — a że w stosunku do nas ta droga jest trudem, cierpieniem, zasługą, zatem Chrystus musiał ją odbić, wyrazić, uczynnić, niejako upłaskorzeźbić życiem Swem i śmiercią Swoją. Wszystek trud i ból przejścia od Łaski do Miłości, od Raju, niepowrotnego już, do Nieba, nadeszłego jeszcze, w Nim przedstawion i ukazany. Dlatego nie przechadzał się z pulkami anielskich Duchów po planecie tym, nie grzmiał w Majestacie potęgi bożej, ale zawsze działał po ludzku, podnosząc w sobie wszystkie ludzkie przymioty do Boskości i takim sposobem doprowadzając naturę człowieczą w Sobie do zlewu harmonijnego z naturą bożą, niejako ułatwiając jej przykładem przejście do wyższych przeznaczeń, wykazując jej dowodnie, dobitnie, żywo, słowami a najbardziej czynem, że powołaną jest do przeobstwienia się, skoro zgodzi się i przystanie w wolności swej do woli Boga. Dlatego nie zwycięstwem, ale przegraną ciągłą zwyciężał wszędzie — cierpliwością, umiarkowaniem, panowaniem sobie nieskończonem, łagodnością i tkliwością, a w pewnych razach stałością tak olbrzymią, że na gniew wyglądała święty, wszystkimi sposoby, których skutek oddalony a niezawodny, a których ujęcie i przeprowadzenie zowie się mądrością, która nic nie opuszcza, która dźbła zbiera i z nich buduje piramidy, bo wie, że siła jej myśli wieczność przetrwa, gdyż myśl jej prawdą jest, a jej urzeczywisczenie — dobrem, a kształt jej ostateczny niebieską pięknoscią. Nigdy inaczej nie działał, nigdy się nie śpieszył, nawet na śmierć, nigdy dla ludzkiego oka nic nie czynił, jedno wszystko na zasianie ziarn swych w ludzką duszę, na to, by później w rzeczywisty kwiat wzrosły i owoc rzeczywisty przyniosły; nigdy, jak bohater, nie szukał ni wzywał niebezpieczeństwa, aż dopełnił postannictwa Swego, aż to uwyraźnił, co miał uwyraźnić, uczynił, co miał uczynić; nawet unikał kilka razy schwytania i śmierci, na pokazanie ludziom, że i najwyższa ofiara, gdy nie dopełniona w chwili, w której istotnie jest najwyższą, z powodu, że uzupełnia

i zaokrąglą pełne działania życia, właśnie najwyższą nie jest i staje się tylko przełamanym, ale nie do Boga przez śmierć dociągniętym, żywotem. Życie Chrystusa jest Arcymistrzostwem życia. Nieskończenie łatwiej umrzeć podobnie, niż podobnie żyć, i dlatego też nikt po śmierci zaraz nie zmartwychwstaje i przemienionego, anielskiego ciała nie przybiera, bo zmartwychwstanie i przemienienie duchowe nie od śmierci, ale od życia zależą. On jeden tylko, bo żył ciągle, jak ofiara paląca się, i po takim żywocie bożym wśród ludzi skonał wśród Aniołów, po ludzku, krzyżowo. Wszędzie w Nim, w każdej Jego chwili i czynie i słowie znać połączenie obu natur, przelewanie się ciągle jednej w drugą — jednym słowem znać to przejście, o którym mówimy: przejście od cielesności do pełni ducha, czyli od natury ludzkiej do bożej. Lecz że wskazywał także i objawiał, do czego wiedzie ono przejście przez Rozumu drogę, że stawiał miłość ostateczną celem tej drogi, że ogłaszał żywot wieczny i niebiański za wynik jej konieczny, musiał też i wynik ten, czyli Niebo, wyrazić i uwydatnić w poczęciu się niepokalanem, w Transfiguracji na Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu, w tych nadludzkich cudownościach a rzeczywistościach anielskich. Kiedyś wykaże się, i już w Nim objawionem jest, że prawem czyli przymiotem natury Ducha jest Cud, a raczej, że to, co my zwykliśmy nazywać Cudem, wprost i przyrodzono wynika z wykształcenia się Ducha, z podniesienia się jego, ale we wszelkiej rzeczywistości, ku Bogu. Podniesienie się zaś takowe zależy na wykryciu woli bożej — na to praca, na poznaniu jej — na to rozum, i na uznaniu jej i zlaniu własnej woli z nią — a na to wolność nasza. By Go pełniej ukochać, znać Go pełniej musimy, a poznawszy, odkrywszy, dorobiwszy się zasługą pracowitą Jego, ukochawszy Go zatem mocniej, bo wszystko, co z Niego odkryjem, coraz wyższą pięknoscią, mądrością i dobrem, musim wolną wolę naszą stosować do Jego Woli. Z Jego zaś

woli Wszechmoc Jego płynie — o ile więc z cząstką tej woli się zlejem, o tyle udziału w tej Wszechmocy dostaniam. Im szerszy zakres, tem i udział większy. Udział takowy, do pewnej pełni doszły, zowiemy Cudem.

By pojąć, o ile można, czem Chrystus, trzeba, o ile można, pojąć, czem Bóg i czem druga osoba w Trójcy bożej. Bóg sam, w pełni swej uważan, jest Wszechduchem; we Wszechduchu wszystko się zawiera, co tylko jest, co tylko być może. Ponieważ wszystko, więc można o Nim powiedzieć, że nic takiego, czemby On nie był, ale że zarazem i odrazu jest wszystkiem, więc znów nic takiego, nad czemby i za czemby On nie był. Musi więc być Wszechrzeczą, musi być Wszechprawem jej, musi być zarazem Wszechosobistością tej Wszechrzeczy i tego prawa, czyli ich jednością i życiem, a tem samem jakoby sercem wszystkich serc, duszą wszystkich dusz — ja środkowem wszystkich Jaźni. Wszechrzecz odpowiada Wszechbytowi, Wszechosobistość Wszechduchowi. Czemże będzie Wszechmyśl, ta druga osoba Trójcy bożej? Czemże wistocie Wszechmyśl w Bogu, jeśli nie wiedzą doskonałą Boga o Sobie, jeśli nie prawdą żywą Boga w stosunku do siebie, jeśli nie metodą, że tak się wyrażę, nie sposobem, nie prawem, według którego Bóg się rządzi i żyje a więc wsze stworzenie się rządzić ma i żyć na podobieństwo Boga? Owóż, jeśli to prawo, ten sposób, to pojęcie, które Bóg ma o Sobie i które samo jest Bogiem, jeśli to Słowo wiekuiste spłynie do ust ludzkich i przez nie drugim ludziom się objawi, a nie tylko spłynie do ust tych, ale zupełnie wcieli się w osobistość, kształty człowiecze noszącą — jeśli ta osobistość przeprowadzi to prawo przez wszystkie stosunki ziemskie, w żadnym szczególnie żywota, ani w żadnym śmierci od niego nie odstępując, jeśli ta osobistość człowiecza, zawsze i wszędzie, w każdej chwili i zdarzeniu, pokucie i próbie, o godzinie tryumfu i o godzinie ucieczki, w każdym natchnieniu, w każdym słowie w każdym przepi-

sie danym, modlitwie przepisanej, przypowieści opowiedzianej, w każdym wydarzonym trafunku, w każdym działaniu, w każdym czynie dopełnionym, we wszystkich swych jakich-bądź uczuciach, myślach, przywiązaniach i wstrętach, uniesieniach i powagach, odpowiedziach i zapytaniach, w walkach i odpoczynkach, w każdej potocznej i każdej najważniejszej okoliczności, słowem we wszystkim, cokolwiek głosiła i cokolwiek dopełniała, nie będzie nigdy czem innem, jedno tem prawem, tą Wszechmyślą, tą wieczną prawdą, tą drugą Osobą z Trójcy bożej, uwidomioną, przebywającą, żyjącą i umierającą na ziemi — jakżeż mianować oną osobistość ludzką i za cóż ją mieć?

Nie będzież że ona we wszelkiej prawdzie i rzeczywistości Bogiem, tym samym, co na Niebie, tylko, że nie na niebie, ale na ziemi? Nie będzież że ona drugą Osobą bożą, weszłą w jaźń człowieka i jaźnią ludzką przyrosłą do drugiej osoby? — Jakżeżby tem być nie miała, kiedy tem, a nie czem innem właśnie jest — jest Bogiem, ale Bogiem wśród warunków ludzkich, nie wśród nieograniczoności boskiej, bo jest zarazem i człowiekiem. Bóg wcielony w człowieka, człowiek przebóstwiony w Boga, jedno i drugie zarazem i w pełni, oto Chrystus, oto Bóg-człowiek! Wistocie tylko druga Osoba Trójcy, to jest Wszechmyśl, czyli pojęcie, zrozumienie wszystkiego, mogło się tak wcielić i ukazać widomie na świecie. — Oczywiście, że ani Wszechbyt, którego przymiotem Wszechmoc, ani Wszechduch, który w każdej chwili wszechżyje, nigdzie nie ujętliwy, ni ogarniony, ni objęty, tego nie mogli.

Chrystus też nie stwarzał dróg mlecznych wokoło planety, stojąc na nim, ani też nie był jako tchnienie, jako napływ, jako wiew skądś, niewidomy, a uczuty tylko; rzeczywiście kształt i jaźń człowieka miał — we wszystkie więzy ciała ludzkiego się wwięził. Widzieli Go i dotykali się Jego, słyszeli Go własnymi uszama, przytrzymali rękoma, żelaznymi gwoździemi, istnie żelaznemi, ramiona Jego, istnie

ludzkie przybili do krzyża. — Druga tylko Osoba, której przymiotem zrozumienie wszystkiego, tak wcielić się mogła i ukazać — bo *Wszechmyśl*, choć do pewnego miejsca przywiązana, w danej chwili może *wszechmyśleć* i *prawdę* znać.

*Wszechidealność*, czyli *Wszechmożność* wszystkiego, ta tylko osoba z trzech Osób Trójcy zdoła zstąpić w człowieka i człowiekiem być. — Chrystus był nią *człowieczoną* — nią, żyjącą na ziemi — nią, która wszędzie jest *prawdą*, tak w Bogu, jak w światach wszystkich, a zatem wszędzie *Bogiem*. Tym sposobem w Chrystusie stało się na wieki połączenie natury *Wszechducha* nie stworzonego i ducha stworzonego. Choć *wniebowstąpił*, nie odrzucił on, według Kościoła, ciała *człowieczego*, nieskazitelnego, które tu po *zmartwychwstaniu* był przybrał. W tem znak, że na wieki wieków łączy Sobą i w Sobie obie natury: *nieskończoną* i *skończoną*, *boską* i *człowieczą*. Słowo: *człowiek*, w ogólnem znaczeniu tyle znaczy, co *Duch* stworzony, doszły do pewnej miary, do pewnej pełni w poznaniu *Wszechducha* i siebie — pod to znaczenie podciągnięte być mogą wszystkie dalsze stopnie duchowe, od nas ku Bogu idące — *Anieli*, *Archaniele* itd., itd., są to tylko *rozwoje* i *przemienienia* następne ludzkości — możnaby więc powiedzieć, że wszystko dalsze jest zawsze *człowiekiem*, tylko, że *następnie* *wniebowstępującym*. Otóż Chrystus na wieki pozostaje zarazem *Bogiem* i owym *człowiekiem* *wniebowstępującym*.

On na wieki łączią obu natur i *pierwowzorem* tej łączi, owego *wniebowstępującego* *człowieczeństwa*.

Zaprawdę On zawsze na *prawicy* Ojca — lecz być na *prawicy* Ojca, to nie *siedzieć* w *niewzruszności* — jeszcze raz: to ciągle *wyżej* *wstępować* i *ciągnąć* za sobą wszystkie *Duchy* i *światy*, by *wniebowstępowały* wraz. I czyż to właśnie nie jest *wiekuistą* *Wszechmyślą* Boga o *Wszechświecie*, o *Wszechbycie*, by wszystko, co z Niego, szło ku



Niemu, a idąc, coraz bardziej nabierało samoistności i Jaźni, coraz bardziej zarazem i było sobą i było w Nim? — Któż taką możliwość wymyślił tym, których nie było jeszcze, nim stworzeni są? — Czyż nie Bóg? — a to wymyślenie, a ta myśl, to prawo, według którego to się stać może, to właśnie w Bogu druga Osoba, a ta druga Osoba, wcielona w ludzką naturę, to Chrystus.

Na czemże więc to prawo wiekuiste, jedno i toż samo we Wszechduchu i we wszystkich duchach stworzonych, prawo wszechżycia i życia zależy? — Oto na udzielaniu ciąglem siebie drugim. Osoby Trójcy udzielają się sobie wiecznie nawzajem. Bóg wszystek udzielił się i udziela wciąż czemuś drugiemu, czyli stworzył i wciąż stwarza świat — stwarzać albowiem, to udzielać się czemuś, co nie jest, ale co będzie, kiedy mu się udzieli; każdy czyn nie czem innem. W świecie stworzonym wszystko trwa, rozwija się, żyje wewnętrzną mocą tego samego prawa. Nieustannie w tem, co »martwą naturą« dotąd zowiemy, cząsteczki ciał jednych udzielają się drugim, a na tym powszechnym przewlewie zasadzon wzrost każdego ciała zosobna.

W Ludzkości stan społeczny, którego uświęcenie i wywyższenie celem Ludzkości, stan społeczny, mówię, jest właśnie tem udzielaniem się sobie duchów ludzkich nawzajem. Wszędzie i zawsze kto daje, ten odbiera — kto kocha, ten wzmacnia się — kto z siebie się wylewa, czyli stwarza coś nazewnątrzą, ten w tej samej chwili wyżej stwarzany sam. — Im Duchy wyższe, tem widoczniejsze działanie tego prawa w nich, tem wyraźniej, prędszej, dotkliwiej życie w nich wykwiata za jego dopełnieniem, i to słuszna; bo tem tylko wyższe one, że od dawniejszego czasu go dopełniać zaczęły. W niższych zaś okręgach udzielanie się bywa często cierpieniem, a najwyższe udzielenie się nazywa się poświęceniem, ofiarą, wręście i śmiercią. Udzielić się drugim na ziemi, to napozór umniejszyć się, ubyć, osłabnąć, utracić coś z siebie, zniknąć nawet zupełnie — ale to złudzeniem

tylko. Ta znikomość sama znikomą jest, bo wistocie tym tylko sposobem Duch żywy rośnie i nieskończeni się. Chrystus wyraził to owemi słowami: »Kto postrada duszę, ten tylko ją odnajdzie«.

Bóg przecież udzielił się światu, przelał się weń i wciąż tak czyni — a ubyłoż Boga? a osłabnąłże? — Gdyby osłabnął, gdyby się umniejszył, nie mógłby wciąż powtarzać tego samego, to jest wciąż stwarzać i wciąż już stworzone utrzymywać przy życiu. Owszem — prawdziwą naturą Ducha, im więcej stwarza, twórczej być. On każdym czynem swym silnieje, przez to, co wyda z siebie, mnoży się sam — tem, nie czem innem, nieskończoność jego. — Wypowiedział zatem Chrystus prawo Wszechducha i Wszechżywota, czyli Wszechmyśl Boga — a będąc zarazem nią samą, uczynił ją na ziemi tak, jak na ziemi najwyżej i najpełniej uczynić ją tylko można — udzielił się najprzedniejszem ludzkim udzieleniem się, bo przelał się w ludzkość najpracowitszym żywotem i najboleśniejszą śmiercią! Ale też wnet ukazała się prawda prawa, które jest życiem prawem — bo zmartwychwstał widomie i widomie wniebowziętym jest.

Otóż, jako roślina przez światło koniecznie przejść musi, by wyrósć i dostąpić kwiatu, tak samo koniecznie i każdy człowiek i ludzkość zbiorowa, cała, przejść musi przez Chrystusa prawo i uczynić je w sobie, by dostąpić zbawienia.

Zbawieniem zaś dla każdego człowieka jest żywot wieczny, stan anielski w wyższym świecie, niż dzisiejsza ziemia — dla ludzkości jest Królestwo boże na ziemi, czyli stan chrystusowego społecznienia.

Bez tej ludzkości na ziemi, nie przeszedłszy przez ono Królestwo tu, żaden Duch na ziemi nie dostanie się do żywota wiecznego. Bo czemże ludzkość, tak ukrólestwiona? Oto stanem zbiorowym wszystkich pojedynczych ludzi, dowodzącym, że już dojrżeli na Aniołów. — Każdy więc przez Chrystusa nieodzownie przejść musi. Kto odrazu przezeń nie przejdzie, to jest nie uczyni jego w sobie, nie stanie się, jak

on był, onem prawem żywym na ziemi — a któż od razu podola? — ten musi tego warunku dopełnić gdziebądź i jakbądź — może kilkokrotną śmiercią i kilkokrotnym nawrotem do żywota na ziemi — może stanami pośmiertnemi, przegradzającemi żywot ziemski czy od innych ziemskich, czy też od wiecznego; stanami, nie wytłómaczonemi nam należycie dotąd. Kościół w przeczuciu swem takowe stany Czyśćcem nazywa. Może oboma tymi sposoby każdy będzie musiał przed sądem ostatecznym tego planety dorabiać się swojej, że tak powiem, Chrystusowości. Stan zaraz następujący musi być odwrotnicą zupełną stanu przed śmiercią, to jest życia na planecie, w promieniach słońca. Musi tam być coś księżycowego. Noc miesięczna zwykle nas wprowadza w dziwną tęsknotę do umarłych i sami w jej świetle wyglądamy na błędzące i wpół tylko żyjące istoty — na sny jakieś o nas samych.

Oczywiście stan pośmiertny, wiodący od jednego życia ku drugiemu, czy to ku powtórnemu ziemskiemu, czy też już ku wiecznemu, w którym to wiecznem śmierci nie będzie, a nastaną ciała nieskazitelne, coraz wyżej przemienialne, nie może na żaden sposób, przejściem będąc między dwoma żywotami, być tym samym stanem, co stan żywota.

Musi to być pośredni, połowiczny, niedopełniony stan. Wszelkie albowiem przejście jest rozdarciem, rozstrojem, w pewnem znaczeniu oderwaniem, abstrakcją, jest niejako wiedzą i myślą rzeczywistości, do której dąży się, a zarazem niemocą jej dopełnienia. Zatem jest niejako myślą, oderwaną od bytu, prawem, oderwanem od tego, czego jest prawem, choć nigdy zupełnego takiego oderwania być nie może i niema, jedno w przybliżeniu i przez porównanie — powstanie stąd coś żalosego i błędzącego, coś szukającego ciągle, a nie mogącego nic znaleźć, nic urzeczywistnić. Nieopisana tęsknota, rzewność nieskończona, a przytem czczość i nuda, i smutek powinny się tu objawić — może przytem jako odpoczynek i wytchnienie, sen, w którym ma-

rzeń wiele, owłada nieraz owymi błakającymi się. To pewna, że z tej strony grobu widomim się ciałami, że byt nasz pierwszy uderza w oczy; z tamtej więc, podczas onego przejścia między jednym a drugim żywotem, musi się przeciwnie dziać: nie byt nasz z nas się wychyla naprzód i wyrażni, ale przeważa dusza niewyrażniona, albo raczej słabo tylko uwyrażniona, czyli, że kierunek myśli musi wtedy brać górę nad kierunkiem bytu w nas, z tym bytem nie składając harmonijnego, pełnego Ducha, przemieniać naszą istotę w coś niezmiernie wątego na czas i cierpiącego dotkliwie. Wszelka tam tworczość, wszelki czyn albo niepodobny, albo nieskończenie trudny.

Chęci tylko tam są, żądania tylko, wspomnienia tylko, skruchy, łzy, zgryzoty, wyrzuty, nadzieje, błędne przeczucia, wszystko, co tylko urodzić się może w duszy, ale nie przejść w ciało i rzeczywistość. Stąd wynika, że trudnem musi być dla umarłych całkowite przystąpienie do nas i zupełne uwidomienie się przed nami — dla tego najczęściej tylko wpływami na naszą duszę niedobitnie, błędnie znać o sobie dają — lub w snach się nam ukazują.

Sen albowiem jest stanem, zbliżającym nas do nich — ciało nasze obumiera, wola gaśnie, czynu wszelkiego możność nam odjęta.

Myśl tylko myśli i, biernie z czuciem połączona, marzy o rzeczywistości; połowyśmy siebie samych — duszami, od ciał odstałemi. Wtedy przychodzą do nas owe połowy pośmiertne Duchów, niegdyś nam znanych — przychodzą, lub my do nich idziem. — Sen, którego najwyższym wykwitem magnetyczny stan jasnowidzenia, dotąd grubą okryty zasłoną — ale niezawodnie jest on obrazem na ziemi ubytku w nas bytu po śmierci, jest widmem zagrobowej widmowości, odwiedzającym nas za życia. — Magnetyzm, czyli objaw stanu duszy, oderwanej od ciała, a do najwyższej potęgi swej doszłej w takim oderwaniu, jest za dni naszych rozpoczynającą się nauką, która rozświeci nam świat umar-

łych. Kierunek kaźden oderwany, choć nie jest pełnem życiem ni Duchem, jednak posiada pewną potęgę charakterystyczną, sobie tylko właściwą — wyraża niejako w przesadzie i nadużyciu prawdę swoją wieczną i dlatego czasem, tak ją odbijając, olbrzymie wywiera wrażenie. Któż naprzykład kierunkowi bytu, oderwanemu od myśli, w świecie, który zowień materyalnym, zaprzeczy potęgi?

Czyż w hukach grzmotu, czyż w gwałtach burzy, czyż w majestacie mórz, czyż w skrzącym wzroku orla, czyż w gibkości ruchów tygrysich, czyż w locie pędzącego konia niema elementarnej potęgi, która wszelką ludzką pod tym samym względem przemaga? W przeciwnym więc kierunku, w myśli, oderwanej od bytu, musi także właściwa temu kierunkowi znajdować się moc — ta moc nie wystąpi czynnie, nazewnątrż, jak w królestwie ciał, w naturze — ale biernie objawi się wewnątrż, bo myśl jest wnątrzem, a sen, magnetyzm i śmierć należą do Królestwa dusz. — Nic uczynić, ale wszystko sobie wyobrazić, wszystko myśleć myśl zdoła. — Świat zewnątrżny wrażenie na nią wywrze silniejsze, kiedy mniej bytu, zrosłego z nią, bo ona oddziaływać nie może nań, tylko go czuć i przyjmować go w siebie. — Stąd mar i obrazów snujących się nieskończona moc i tych wnątrżnych obrazów nieskończony blask lub też piekielny koloryt. Jak przestrzeń cała obrazowo przesunąć się może przed nią, tak i czas wszystek z wiekami swojemi — i wydaje się jej wtedy, że przez tysiące tysięcy lat cierpi, a że znowu jednak nigdy całkowitego oderwania niema, bo to byłoby nicością, że nigdy myśli bez pewnego bytu, duszy bez pewnego ciała niema, jedno to ciało niezmiernie blahem być może; oczywista, że ono ciało podzieli niejako losy przeważającej duszy, wielkiej może szybkości, lotności, przenikliwości dostanie, jednak przytem zawsze uczuje się marnem, niezdolnem do żadnej pracy ni czynu, uczuje, że nie jest pełnią żywą i całą. Mniej więcęć wszystko to już się nam przydarza w śnie i jasnowidzeniu

magnetycznem. To jasnowidzenie kiedyś ściślej nas połączy z umarłymi, da nam wiedzę pełną o nich i ułatwi nam sposób przyniesienia im ulgi, pociechy, pomocy. Niezawodnie oni jej potrzebują, bo, zawieszeni między dwoma rzeczywistościami, jedną rozpamiętywują, a spodziewają się drugiej. Żałują za winy przeszłe, których jasne poznanie mają, lecz nie mogą ich zetrzeć. Sposobią się do przyszłego żywota powzięciem zamiarów lepszych, ale tych znów nie mogą urzeczywisczać. Więc są, jakby nie byli. Będąc, czują, że nie są. Dość w nich bytu na uczucie — nie dość na działanie i tworzenie. Kto wie, czy się mogą oprzeć rozmaitym siłom natury, owidnokrażniającym ich? czy elektryczne prądy, czy wichrów rozpasanych wiew nie porywa tu i owdzie ich kształtów słabiuchnych? I tak miotani, myśleć tylko mogą i wzdychać, nic więcej! O, szczęśliwe Duchy innych Ludzkości, które już oblokły szaty żywota wiecznego w wszechświecie!... którym już nie potrzeba kłaść się do kolebek i kłaść się do trumien, ani między ostatnią trumną a następną kolebką przemyślać w trosce, w mdłościach, w bezsile! U nich, dosłużonych i doksztalconych już, przedziwna jednia i myśli i bytu, wyborny nastrój całości. Z tej harmonii wieczna twórczość, wieczny czyn wypływa, i to przyczyną, że śmierć od nich odpadła, że nie jest już im koniecznością każde wyższe stanowisko, do którego podnieść się mają, długo przedmyślać w sobie — ni też niższe, opuszczone, żalem odpokutowywać. I namby śmierci nie było, gdybyśmy tego nie potrzebowali. Stan umarłych jest stanem ciągłego namysłu, rozważaniem czynu przeszłego i kartowaniem czynu następnego. Musi zatem niezawodnie wyrób jakiś rzeczywisty, wyrób, który zdać się ma ich Duchowi później, odbywać się w tym pośmiertnym pół-żywocie. Urodzą się nanowo w taki sposób, z takimi zdolnościami, jakie przemyślali, przeplakali, przewestchnęli, przemodlili, przenaściejowali lub przeodpokutowali w sobie przez ten czas czyśćcowy. Ale dopiero się wtedy urodzą, gdy na-

będą siły do urzeczywistnienia tych myśli, do przetworzenia ich we władze i zmysły, które są kształtami żywotnego wcielenia. My, żyjący, zapewne im do tego pomódz możemy. Energia żywotna nasza zapewne skutecznie działać może na nich, jej pozbawionych, bo życia prawem, że się udzielać musi, chce, może. Tu wykazuje się, jak dalece wyższe pojęcie katolickie od protestanckiego, kiedy zaleca modlić się za umarłych, czyli wpływać na nich. Kościół w pogrzebowych modłach zawsze prosi dla nich *requiem aeternam*; zdaje mi się, że powinienby prosić tylko o *requiem* do czasu, bo właśnie spokój, jakoby sen poważny a miły, w świecie dusz, w świecie umarłych, błogim byłby do życzenia stanem. Kiedy zaś prosi się Boga o wiecznego coś dla kogo, to należy tylko o żywot prosić wieczny — o *vitam aeternam*, a to nie spokój i nie sen — to coś zupełnie różnego i nieskończenie wyższego, piękniejszego, lepszego! Ale do tego dojść tylko można razem, razem z wszystkimi żyjącymi i z wszystkimi umarłymi. Dzień pierwszy tego żywota — to dzień sądu z wszystkich sądów historii ostatniego, dzień ostatni planety. Kościół wie o tem dobrze, bo sam twierdzi, że dopiero na dniu onym ciała nieskazitelne, chrystusowemu ciału wniebowziętemu podobne, obloką żywych i umarłych. Niepojętna więc, czemu tak często miesza jedno z drugim, nad trumnami tych, co odeszli nie do świata jeszcze przeanieleni, ale dopiero do świata dusz. Bądź co bądź, módlmy się z Kościołem! O, módlmy się za nich! o, mówmy do nich! o, pamiętajmy o nich! I my kiedyś pójdziem, kędy oni dziś. Ale gdzież się te ich smętne odbywają koleje? gdzież? bo jużci myśli zupełnie oderwanej od bytu nie masz i być nie zdoła, jakkolwiek kierunek bytu, zwątlon i umniejszon, trwa jednak i bytuje w umarłych. Zatem miejsca im potrzeba innego, niż nam, ale miejsca zawsze. Czy nie w atmosferze planety lub czy nie na satellicie planety, na tym księżycu o posępnych a tkliwych promieniach, mieszkanie ich do czasu? dom ich, krążący

dokoła domu, w którym ród ludzki obraca się koło słońca? dom ich, jak oni, wpółżywy, blady, magnetyczny? Przyjdzie chwila, w której to się wyjaw i odkryje, bo wszystek związek i zgodność wszystka między prawem, wyrzeczonem przez Chrystusa, a naturą, czyli bytem istotnym Wszechrzeczy, stanie się nam pojętną jasnością, odtajemniczoną prawdą, jakoby matematyczną pewnią. Będzie to właśnie uznana zgoda między Wszechmyśłą i Wszechbytem, i to uznanie stanowić tem samem będzie dzień Ducha św., dzień pocieszyciela owego, który ma uwielbić Chrystusa. A czemże Chrystus uwielbion być może, jeśli nie pojęciem zupełnem światła przez ciemności, słowa, które było Nim, przez ludzi, i utworzeniem przez to pojęcie nowego świata ludzkości, Królestwa bożego, które wszystkie stosunki, dotychczasowo niechrystusowe, między ludźmi uchrystusuje i tem samem zbliżać będzie Duchom wszystkim dzień najwyższego ich rozwoju, a po dniu onym następny, żywota wiecznego? Chrystus nic nie dowodził, nie przeprowadzał wiary przez wszystkie okręgi nauki i kształtów społecznych. Jest w Nim moc wyższa nad wszystkie dowody. Jest ciągle twórczość boskich czynów — Bóg siebie inaczej nie dowodzi, jedno stwarzając wyborne i żywe dzieła. Pracy ludzkiej pozostawionem zostało wykazać dobitnie, dowieść sobie samej w całej naturze, we wszystkich dziedzinach życia i śmierci, we wszystkich okręgach umysłu i we wszystkich społeczeństwach konieczności prawa chrystusowego. Będzie to niejako objawieniem objawienia. Wtedy wytłómaczonym Chrystus zostanie; nie już ślepa wiara, ale wiedza jasna będzie go wiedzieć, a tak go wiedząc, wykona. I to będzie właśnie wylewem na ludzkość Ducha św., który ułatwi wiekom przez zrozumienie, dopełnienie Chrystusa, czyli przejście przezeń na ziemi na to, by do nadziemskich dostać się okręgów.



Uwaga. Kiedy się mówi o Trójcy bożej, nie należy zapominać, że w każdej z jej Osób obie pozostałe się znajdują: we Wszechbycie — Wszechmyśl, a zatem i Wszechżycie, we Wszechżyciu — Wszechbyt i Wszechmyśl; stąd ich wieczna spólczesność, stąd ich doskonała równość, stąd nie trzy Bogi z nich, tylko jedna wola we trzech osobach i jeden Bóg! Wistocie, jakżeż jedną w oderwaniu od drugiej pomyśleć? — zupełnie niepodobna. Wszechbyt bez Wszechmyśli byłby chyba kamieniem, a skoro z Wszechmyśłą, wnet z nich wynika i Wszechżycie. Wszechmyśl bez Wszechbytu byłaby chyba czczą abstrakcją, czemściś, co niczem. Wszechżycie bez tamtych dwóch także niczem, bo ono właśnie z nich wypływa, będąc ich łącznią i zlewem. Ono ma je w sobie i samo o tyle sobą jest, o ile je ma. Zupełna więc równość tych osób i wieczne zachodzenie jednego na drugie. Dopiero ich oderwanie się od siebie i występywanie osobno zdarza się w historii, odbywającej się w czasie. Wtedy już w stosunku do dziejów świata niejednocześnie w świat wstępują. Jest wiek, w którym Jehowa, jest drugi, w którym Chrystus, jest trzeci, w którym zupełnie zlane się pierwszego z drugim, czyli Duch Ś-ty bardziej się objawia. Ale to zawsze jedna wola i jeden Bóg.

W trójcy ludzkiej, pojedynczej, każdego z nas, podobnież nie jednocześnie i nie równo każda z osób jej, a zatem i ta jedna wola, i ten jeden Duch się objawia. Owszem, bywa walka i rozdarcie między nimi. By dostać do Ducha, trzeba rodowi ludzkiemu przez tysiączne i straszne przechodzić koleje, a jak jemu, tak i każdemu ze składających go osobników. Byt czyli ciało klóci się w piersiach naszych z myślą czyli Duszą; Duch, długo nśpion, niedokształcon, choć wciąż się przez tę walkę kształci, podobny do akordu, który musi z tych dwóch nut powstać, a nie może. Jednak i w trójcy ludzkiej nigdy i nigdzie ciała bez duszy, lub duszy bez ciała, lub duszy i ciała, któreby zupełnie nie kształciły już Jaźni osobistej, czyli Ducha, niemasz. W naturze

jeszcze bardziej oderwane i oddzielone od siebie, tej Trójcy, osobne kierunki — Ducha, choć on wszędzie wszystkiego podstawą, prawie nie znać. Wszystko się przedstawia pod postacią Wszechbytu, z przewagą Wszechbytu, jakby przyduszone Wszechbytu ciężarem, a Wszechmyśl i Wszechduch jakby w letargu: w człowieku zaś wszystko się przedstawiało pod postacią Wszechbytu i Wszechmyśli, walczących z sobą i rodzierających się nawzajem, a Wszechduch tylko był jakoby utajony, jakoby w letargu. Jednak i w naturze nigdzie Bytu czystego, oderwanego zupełnie, pozbawionego myśli i życia, nie spotkać, bo taka abstrakcja istnieć nie może. Byłaby śmiercią istotną, a widzimy, czujemy i myślimy, że wszystko żyje. Najgłuchszy, najślepsy, najmartwszy kamień ma w sobie siły idealne (gdyby tylko siłę ciężkości, czyli atrakcyi) i wielkiego organizmu żywego planety jest częścią. A dąży do tego, by stać się po wielu przetworzeniach Duchem i życiem. Myśl tylko i życie w nim przedstawione pod wyłączną postacią Bytu. Taki stan właśnie pierwszym początkiem stworzeń, pierwszym szczeblem ich, ale już zawierającym możliwości wszystkie dalszego rozwoju. Bo jużciż wszystko Duchem i żywotem, jedno w rozmaitych stopniach i kształtach. Można by powiedzieć nawet, że tylko Duch, tylko Duch jeden jest, a że byt i myśl, to wewnątrz niego rozdzielające się dwa kierunki, z których on sam się składa, wciąż się na nie rozkładając. Można by przyrównać te dwa kierunki do oddechu. Wyziewanie byłoby Bytem, wzięwanie Myślą, a Duch, to owa pierś jedna, co oddycha podwójnym kierunkiem. Te dwa kierunki w Bogu są zarazem Trójcą i najabsolutniejszą jednością, w człowieku są one rozdzielone i przeciwpostawione sobie, ale na to, by się wypróbować w walce i przez walkę powrócić do siebie samych, to jest do Ducha. W naturze nie tylko rozdzielone, ale utajone, przeciążone przewagą jednego tylko kierunku, t. j. bytu początkowego, który jeszcze się nie pojął sam, więc myśli nie rozbudził w sobie.

Lecz, jak z świata natury wyrasta Jaźń człowieka, tak z świata Ludzkości wyrasta Jaźń anielska, dalszych, wyższych Duchów ród, a rody te coraz wyżej wracają ku Bogu. Zatem wszędzie ta sama Trójca i jeden Duch!

Oczywiście, że nie jedna osoba, oderwana z Trójcy bożej, ale wszystkie trzy razem, czyli Bóg sam, Duch boży wszystek, świat stworzył. Pisma słowa są: »I Duch boży unosił się nad wodami«. Tylko w stosunku do nas, stworzonych i zaczynających stąpać po drodze historii, ukazał się Bóg nasamprzód pod postacią pierwszej z osób Trójcy Swej, t. j. pod postacią Wszechbytu (Ojciec, Jehowa, ten który jest, bo jest); inaczej być nie mogło, bo cóż same duchy ludzkie stworzone nasamprzód w sobie poczuły, czyż nie nadany im byt? Zatem odniosły go do źródła wszelkiego bytu, do Wszechbytu, do pierwszej osoby. Takim sposobem koniecznie w stosunku do stworzenia drugą Osobą Trójcy musiała wystąpić Wszechmyśl, czyli Słowo (Logos), bo wistocie, wzięwszy Wszechbyt za pierwszą Osobę, Wszechmyśl z niego się rodzi, jak syn, koniecznie jak syn z ojca, bo nad czemżeby myślała myśl, gdyby nie nad tem, co ją uprzedza — nad bytem? coby wiedzieć i rozumieć mogła, gdyby nie to, co przed nią istnieje, co właśnie jej danem do wiedzenia i rozumienia, t. j. Byt? Wreście obu tych poprzednich osób wzajemne zlanie się, to jest Wszechduch, czyli Duch Św., ma się objawić stworzonym, skoro sami dojdą do pojednania w sobie bytu swego z myślą swą, ciała z duszą i dlatego już ta trzecia osoba nie rodzi się z syna, jak syn z ojca, ale zarówno pochodzi z Ojca i z Syna, z Wszechbytu i Wszechmyśli, będąc właśnie ich przepojeniem się, czyli Miłością wzajemną. Takim sposobem w końcu zawraca się znowu do tego, co było na początku, w tych słowach: »I Duch boży unosił się nad wodami«. To słowo miga tylko i wraz, jak błyskawica, przepada na wstępie pierwszym »Genesis«, ale też, jak błyskawica z Wieczności, rozświeca wszystkie tonie czasu. Dla

nas, stworzeń postępowych, zatem podnoszących się z trudem i powoli, dla nas, nie obejmujących wszystkiego od razu, jedno następnie przesuwających się piętrami dziejów i kategoriami wyobrażeń, Wszechduch ukazał się nam samprzód Wszechbytem, powtóre objawił się Wszechmyślą i tą drugą osobą swą wcielił się w Chrystusa; dopiero po tych dwóch koniecznych rozwojuach ma znów Wszechduchem się wyjawić przed nami. Lecz dla siebie samego on był zawsze sobą samym, Bogiem jednym, całym, Duchem przenajświętszym, tym samym, który na początku początków świata »unosił się nad wodami«.

Naturą Wszechducha jest zawierać w sobie Wszechbyt i Wszechmyśl, wiecznie wylaniać, wyradzać je w sobie i z siebie, z nich się składać i na nie się rozkładać i znów składać się z nich. My z Boga tylko znamy Wszechbyt, tylko znamy Wszechmyśl, ale Wszechducha, którego one są kierunkami, czyli osobami dwoma, nie znamy. Wszechbyt i Wszechmyśl po świecie rozlały byt i myśl — tem samem stworzyły świat i wciąż go stwarzają. Wszechbyt przez proroków się objawiał pod nazwiskiem Jehowy, Wszechmyśl się objawiła, w Bogu-człowieku, w Chrystusie, ale Wszechduch dotąd się nie objawił, jedno przez te objawienia, które są tylko jego kierunków objawieniami, a zarazem możnaby powiedzieć, że co chwila się objawia, bo świat i my dziełem jego jesteśmy, bo w bycie każdym drga jego Wszechbyt, bo w myśli każdej drga Wszechmyśl jego, bo w życiu wszelkiem drga jego Wszechżycie.

On właśnie jest Boga osobistością tą, która wiecznie za światem pozostała, tą, która wiecznie stwarza wszystko, co tylko stwarza się, tą, której myślą nie pojmiem, bo myślą tylko myśl pojąć można, której czuciem samem nie uczuję, bo czuciem tylko byt uczuć można, ale w którą wżyć się, wstworzyć się sami musim, bo we Wszechżycie tylko wżyć się można. W żyć zaś, wstworzyć się w co,

nazywam przez czyny, które są naszymi tworam i (krea-  
cyami), łączyć się z Czynem! Czyn jest znakiem, wyni-  
kiem życia. Życie objawia się przez czyn. Najwyższego  
życia czynem jest czyn najwyższy czyli stworzenie  
świata. Z tem najwyższem życiem my tylko analogicznym  
czynem łączyć się możemy, tylko tworząc, czyli czyniąc  
wciąż, a gdy nasze twory czyli czyny dochodzić będą pe-  
wnego stopnia pełni, gdy w przybliżeniu jakimśkolwiek  
staną się na podobieństwo czynu najwyższego, czynu bo-  
żego, czyli w nich będzie harmonia bytu i myśli, czucia  
i rozumu, kiedy, tak tworząc i czyniąc, sami stanem się  
Duchami żywymi, wtedy stworzymy w sobie tem sa-  
mem pełne obcowanie z Duchem bożym, czyli dostaniem  
się do stosunku dotkliwego, rzeczywistego, cochwilnego,  
z Wszechduchem; zarazem uczujem go w pełni, pojmiem  
go w pełni i wraz z nim, to jest z wolą jego, w jedni,  
czynić będziem. Kiedy mówię »w pełni«, zawsze rozumiem:  
w pełni przybliżonej, bo to tylko pełnią w porównaniu  
ze stanem naszym dzisiejszym, zawsze zaś ta pełnia będzie  
niedomiara w porównaniu z wyższym stanem, z wyższą  
pełnią, ku której kierować się będziem, nieustannie rosnąc  
w Bogu, ale nigdy Go nie dorastając, bo On, jako Wszech-  
duch i Wszechżycie, wiecznie, co tylko jest i być może,  
przerasta i oblewa wkoło sam!

Dotąd nie pojmuję dobrze znaczenia słowa »stwarzać«.  
Twórczość jest koniecznym wynikiem i przymiotem natury  
Ducha. Kto Duchem, ten tworzy i wistocie z niczego, bo  
tylko z siebie, a z siebie tworząc, mnoży się i silnieje sam.  
Już dziś my, słabi i nikczemni, na tej ziemi stwarzamy coś:  
oto postanowienia nasze, z których czyny nasze wypływają;  
prawdziwymi stwórcami jesteśmy tych postanowień,  
które zgadzają się, albo też nie zgadzają się z prawem bo-  
żem, z wolą bożą. Tem samem, żeśmy wolni w woli naszej,  
w okręgu woli tej stwarzamy sami z siebie coś takiego,  
czego nie było przed nami, czegoby bez nas być nie mogło.

Światy złego moralnego w taki sposób stwarzane bywały i bywają dotąd, ale to ujemne stwarzanie — to krzywa twórczość, to wszechmoc, że tak powiem: działająca w Nicłość, zatem *Bez m o c* raczej. Kiedyś my inne światy, światy dobra i piękna stwarzać będziemy i to będzie naszym najwyższym stosunkiem do Boga. Jak on nas stworzył z niczego, to jest wylał z Siebie, tak my znów doszli do pewnego stopnia Duchowości żywej, wylewać Jego prawo będziem z siebie i niem urządzać i stroić zewnętrzną naturę, na nowe lutnie. że tak się wyrażę, naciągać dawne życia struny. Według Jego woli świętej, z naszą zrosłej, będziem snuć z siebie samych następne dzieje żywota naszego wiecznego i wszystkie zewnętrzne kształty nasze, a tych naszych kształtów przeciągnięciem i zwierzechnią obwiąką będą światy Wszechświata. My będziem ich wewnątrzniemi żywotami, ich bijącemi sercami. One naszymi czynami, one szatami Boga, tkanemi przez nas, a im lepiej i głębiej Go poznamy przez ten czyn i twórczość tę naszą, tem On jeszcze się nam bardziej odkryje pięknym, mądrym, nieskończonym, zatem jeszcze dalszym, choć już będziem dotkliwie w Nim, jeszcze bardziej niedosiągniętym, choć co chwila dosiaganym, zatem wiecznie trwającym w stosunku do nas Idealem, pomimo, że i rozwiną wkoło nas rzeczywistością, zatem nieustawiającą żądzą naszą, zatem i nigdy nie ustawiającem ni mogącym zakończyć się życiem naszym. I to we wszelkiej prawdzie jest Miłością wieczną. Bóg albowiem jest możliwością wszystkich możliwości, rzeczywistością wszystkich rzeczywistości. On wszechduchem przytomnym we wszystkich duchach stworzonych, tem przytomniejszym w nich im one bardziej silnieją, im zosobiszczają się bardziej, im wolniejszemi i twórczejszymi się stają, bo wtedy podobniejsze do Niego, a On tem samem bardziej w nich. Nieśmiertelne osobistości, wzmagające się coraz bardziej, Jego osobistości nie szkodzą, i owszem. Ale trudno jasno pisać o wszystkim, co dotyczy Wszechducha

i Wszechżycia, bo dotądśmy na planecie tym, my, Duchy nieuspokojone, my, Duchy rozdarte i rozdwojone, biedne, cierpiące, do wieków życia nie doszli, bytu tylko i myśli, ciała i duszy wieki przebyliśmy. Harmoniiny Duch tylko o Wszechduchu powiedzieć może coś pewnego i niezawiklanego. Rozdarty zaś tylko przeczuwać błędnie potrafi, co spokój, nastrój, miłość i z nich wypływający twórczy czyn. Lecz i takie przecucie już dobrem jest, już zatloną w nas iskrą Wszechżycia. Zatem w Bogu początkiem i końcem, Alfą i Omegą, wstępem i dopełnieniem, jest Wszechduch, pierwszą zaś stroną Jego, ukazującą się stworzonym ludziom, jest Wszechbyt, czyli pierwsza osoba Trójcy — To, co jest, bo jest i nic więcej, Jehowa. Z niej, jak z Ojca, rodzi się druga strona Wszechducha, druga osoba Trójcy, Wszechmyśl, która rozumie, czym jest To, co jest, a zatem tłumaczy i objawia istotę Ojca swego, i znów w rozwoju historii ludzkości następuje tu zawrót do tego, co było przed początkiem stworzenia, do Wszechducha, czyli Trzeciej Osoby, o której, jako o Duchu Świętym, powiedziano, że zarówno od Ojca i Syna pochodzi; i oczywiście, że zarówno, bo dla nas składa się z nich, gdyż dopiero przez nich do niej dochodzim, a dla siebie rozkłada się na nich, bo przez nich niejako zstępuje w świat, gdy go stworzy.

Jednym z najdobitniejszych dowodów, że wszystko duchem i życiem, że wszystko pełną Trójcą, a nic niema, coby się tylko z jednego z jej kierunków składało, to to, że nawet w naszym rozumowaniu o świecie, o rzeczach stworzonych i o nas samych nigdy zupełnie rozgraniczyć nigdzie i oderwać tych osób nie możemy, wiecznie, wszędzie na pomoc bytowi myśli, na pomoc im obojgu życie wzywać musim i nawzajem. A jeśli usiłujem koniecznie inaczej uczynić, jeśli, zamiast Ducha i życia, za podstawę wszystkiego uznajem czy byt oderwany sam, czy myśl czystą samą, mimo najlogiczniejsze i najdzielniejsze rozprawy do-

chodzim do najnielogiczniejszych i najnikczemniejszych wyników ostatecznych, do śmierci widnokrężnej, do ateizmu, do zaprzeczenia nieśmiertelności naszej, do nieuznania osobistości w Bogu, do prześlepienia wolności i w Nim i w nas samych, a wszystko jedno, czy ciąg rozumowania oprzem na bycie, czyli też na myśli czystej. Zawsze jednak wypadek sprzeczny z powagą, godnością i wiecznem natchnieniem duchowem rodu ludzkiego. I to bardzo naturalną rzeczą, bo, chcąc trafić do życia, nie trzeba, od trzeciej jego części zacząwszy, jej tylko się pilnować, ją tylko widzieć wciąż, ją tylko rozwijać, o drugich zupełnie zapominając. Filozofia francuska tylko bytu oderwanego, t. j. materyi, niemiecka tylko myśli oderwanej, t. j. Idealności czystej się trzymały. Obie doszły nie do Wszechżycia, ale do Wszechśmierci. Jednak świat żyje, jednak my żyjemy: życie potężniejsze, niż systemata. Coby powiedzieć o muzyku, któryby albo, odrzucając wszelki general-bas, tylko klawisze martwe rozważał, lub też, nigdy nie przypuszczając istnienia żadnych klawiszy, general-bas tylko w milczeniu rozbierał i tę lub tamtą abstrakcją nazywał Muzyką? — Trafiłżeby kiedykolwiek do prawdziwej muzyki? Jedno z dwojgaby mu wypadało zawsze: albo pisk, miasto dźwięku, nieznośny i wiecznie fałszywy, albo też zupełne milczenie. Muzyki zaś żywej, istotnej nigdyby się nie dopracował. Zupełnie tak samo się stało z materialistami i idealistami: pierwsi klawiszów się tylko pilnowali, drudzy general-basu tylko i za ostateczny wynik wypadł im chaos lub nicstwo.

Otóż i w tem dowód, że Osób, w Trójęc połączonych, nie sposób oderwać od siebie. Wszędzie, czy w głębiach naszego rozumu, czy na powierzchniach zewnętrznej natury, one, że tak powiem, szukają się, żądają się, domagają się siebie nawzajem i dopiero żyją pełno, gdy się łączą i zleją razem. Wszelka martwość, wszelki ból, wszelkie rozdarcie wynika z mniejszego lub większego ich od siebie odłączenia



lub między niemi rozstroju — wszędzie, zawsze złać się pragną w jedno życie, w jednego Ducha. Jedna wiecznie w drugą się przelewa i przeinacza, byt rozkwita w myśl, myśl wciela się w byt, i życie nastaje. Z kończyn przeciwnych Wszechświata biegną ku sobie te kierunki: nieraz zdawałoby się, że, się spotkawszy, pasują się z sobą; lecz to pozór tylko, bo, jeśli walczą, to nie walka rozbratu — owszem — to walka, poprzedzająca zgodę, to tylko przejście, wiodące do celu wyższego. Ale skoro ten cel wyższy, nibyto ostateczny, otrzyman, skoro stanowisko pewnej pełni duchowej osiągnięte, całość harmonijna, stąd powstała, odkrywa natychmiast, że wyższa jest jeszcze Myśl od rzeczy-wistości, której się dobiła, czyli rodzi się natychmiast w tej Całości duchowej pojęcie idealne dalsze, niż jej teraźniejszość, i w stosunku do tego pojęcia sama uznawa się znów bytem tylko i jako byt pragnie się z tą myślą, z tem pojęciem, rozbudzającem się coraz bardziej w niej, złać do pełnej miary, czyli znów stać się innym, wyższym Duchem. Nigdy więc nie przestają ukazywać się i rozwijać się nawzajem one Osoby Trójcy wiecznej w Duchach, czas zaludniających. Skoro Trójca w jakim Duchu się dopełniła przez pracę, walkę i rozwój następny, wnet znów się rozkłada na siebie samą, by dążyć wyżej. Duch, który z bytu i myśli wyniknął, znów bytem się czuje i myśl rodzi z siebie i zlewa się z nią w pełniejszego Ducha, i tak bez końca, a coraz doskonalej, wyborniej, olbrzymiej. Na ziemi i we wszystkich okręgach niższej Duchowości takie spajanie się bytu z myślą, takie rośnienie coraz wyższe, jakieśmy już wytknęli, najczęściej rozdarcia i walki postać nosi: stąd ból, stąd w niższych, dziecinnych, niemiarowych jeszcze organizmach śmierć, która przegradza jedne stany Ducha od drugich. Niezmiernie też powoli i nieznacznie zwykle odbywa się takie podnoszenie się i postęp bytów, już nastających, do pojęć nie urzeczywiszczonych jeszcze, i urzeczywisczenia ich przez zlanie się onych bytów z niemi w Ducha

pełnego. Wieki upływają, wieki cierpienia, wieki nie dochodzących prób, wieki ślepego boju, rozstrojnych działań na każdym stanowisku takowem. Jednak, im więcej się ich przebędzie, tem wzrost łatwiejszym i prędzszym się stawia. Nie innym prawem i żywot wieczny rządzon, z tą jednak różnicą, że w nim nieskończenie łatwo i szybko Duch łączy się z coraz wyższem pojęciem, nie walczy już rozdarty sam w sobie, ale, wciąż myśląc wyższe dobro i piękno, natychmiast je wykonywa czynem. Na ziemi przemawia każda pasowaniem się i bólem, tam zaś łączeniem się namiętnem i najwyższą rozkoszą. Tu rość najczęściej tyle znaczy, co konać, często tyle, co umrzeć, tam znaczy tyle, co wniebowstępować.

Taką więc koleją coraz wyższemi Duchami stają się niższe, uznawają się bytem w stosunku do myśli, która, możnaby powiedzieć, objawieniem następem i postępnem rodzi się w nich, bo Myśli naturą, że zawsze, jako objawienie, jakby Chrystusowość jaka, zstępuje i, uznawszy się takim bytem, zlać go, czyli podnieść go do tej myśli pragną. Gdy to pragnienie, czyli pomysł, urzeczywistnią, znów duchowej pełni pewnej, wyższej dostąpili. Ale żaden Duch ze stworzonych Duchów na jakiembądź stanowisku nieśmiertelnego rozwoju swojego Wszechduchem nie zostanie, Bogiem nie będzie. Może tylko stać się jednym z Bogów, którymi zaludnione niwy żywota wiecznego. Bóg a Bogi — to różnica bezmierna i prawdziwie nieskończona, bo tej różnicy nigdy końca być nie może; choć Bogi w każdej chwilce coraz bardziej się stają na podobieństwo Boga. Lecz podobieństwo do Boga zależy na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć swoją osobistość, zatem różnicę jej od Jego osobistości. Blizkość do Boga więc na tem, by przedziwnie rozumieć i czuć dalekość swą od Niego. Bo wtedy wistocie rozumie i czuje Duch, co to Harmonia Wszechświata, czyli wtajemniczon jest w tajemnicę stworzenia, a tem samem w prawdę wieczną i w czyn wie-

czny. Więc, o ile je zna, łączy się z niemi, obcuje z niemi i sam je sobą wyczynia. To właśnie jest bóstwem dla Ducha. Można by powiedzieć, że się karmi Bogiem, i że przez ten pokarm własna jego Jaźń silnieje; zatem, jeśli silnieje, nie przepada w osobistości bożej i z nią się nie zlewa w nierozdzielną jedność — martwą i głuchą. Jedność Ducha stworzonego z niestworzonym Wszechduchem żywą jest, a nie umarłą jednością, ona żywot coraz silniejszy nadaje. Im bardziej się z Bogiem łączysz, tem sam bardziej sobą jesteś; bo gdyby inny był tego łączenia skutek, tobyś nie ku życiu szedł, ale ku śmierci i Bóg w końcu końców byłby twoją śmiercią wieczną. Bóg tymczasem wcale przeciwnie twojem życiem wiecznem jest. Im więcej masz z Niego, temś sam bardziej sobą samym, a zarazem i bardziej w Nim. Zarazem i dalszyś od przepadnięcia na głucho w Nim, i bliższyś Jego tem, że jaśniej Go widzisz i święciej wołę Jego wykonywasz. On znowu jest Tym, z którego, im więcej dawa, więcej pozostaje. I ty Jemu wiecznie się poświęcasz, i On tobie dawa Siebie wiecznie. Lecz ty Jemu co innego poświęcasz, niż to, co On tobie daje. Cóż ty Jemu oddajesz wciąż? — oto wołę twą wolną, która właśnie jest tem, co stanowi Jaźń, twoją osobistość; nakłaniając ją do zgody z Jego wolą, poświęcasz ją Jemu i tym tylko sposobem, straciwszy siebie, siebie odzyskujesz, to jest, wrastasz w byty i myśli, czyli w ciała i dusze, coraz doskonalsze. Czemże te ciała twe i dusze twe, tak nabyte poświęceniem się woli twej wolnej Jego woli? Czyż one twemi są? Nie, one zaczerpnięte w przepaściach Jego Wszechbytu i Wszechmyśli. Byt twój kaźden z Jego Wszechbytu, myśl twa każda z Jego Wszechmyśli. Zatem, jako ty Mu wciąż osobistość swoją poświęcasz, a tem samem i odzyskujesz, a spotężnioną, tak On znów tobie, jeśli tak godzi się mówić, poświęca Swój Wszechbyt i Wszechmyśl, a poświęwszy, odzyskuje niejako w tem, że tyś Mu piękniejszym i szlachetniejszym wyrósł stworzeniem, że w tobie świat

Jego wypiękniał, zakwitł, zarcydzieliwał się cudniej. On nigdy osobistości Swej tobie nie poświęca, nigdy woli Swej przenajświętszej. To ty Jemu czynisz; ale wiecznie ci Wszechbyt Swój i Wszechmyśl, czyli ciało i krew Swoją, oddaje na pokarm i tak wiecznie, wiecznie i to stanowi Miłość Jego wieczną ku tobie i twoją ku Niemu, bo między tobą a Nim i Nim a tobą wiecznie krąży przelew udzielającego się żywota. Ty, że mu oddajesz wolę swą, czyli osobistość, rośniesz, wzmagasz się, siłniejiesz następnie i ciałem i duszą. On przeto, że tobie oddaje z Wszechbytu i Wszechmyśli Swej część, tem trwa, żyje, coraz wyższy świat stwarza i wyższym udziela się Duchom; więc, coraz bardziej obcując z wyższymi Duchy, jak Pismo św. mówi, rosnącej chwale się Swojej przypatruje. Ale ta rosnąca chwała, to nie próżność, to nie umarła litera chwały. W tem wyrażeniu Pisma zawiera się całe Wszechżycie boże. Gdybyś był dla Niego niczem, lub tylko miał być marnego uczucia chwały zadowoleniem, nie byłbyś! Skoroś jest, skoro On cię stworzył, wistocie tyś na chwałę Mu stworzon. Ale ta chwała znaczy, że Wszechducha życiem jest wieczny Wszechczyn.

Zapewnie, mógł się bez niego obejść w Swej niezależności, ale nie mógł w Swej wolności, to jest nie mógł, skoro obrał to, co najwyborniej się zgadzało z Nim samym, z Wszechmyśłą Jego o Sobie samym. Prawem wtedy stał Mu się Wszechczyn, a tyś właśnie tym żywym wszechczynem, wraz z nieskończonością bliźnich ci Duchów. Im piękniejcie bardziej, tem więcej Wszechczyn Wszechducha pięknieje, tem bardziej przez was dzieło Jego bóstwa nabiera, więc tem bardziej On odpoznawya się w was i może kochać was więcej: nie dla was więcej, bo was od początku najwięcej kocha, ale dla Siebie więcej i w tem życie Jego! Jeszcze raz powtarzam: Wy Mu Wolę, to jest osobistość swą, wiecznie poświęćcie, On wam nigdy Swej osobistości, ni woli Swej, ale wieczny Wszechbyt swój i Wszech

myśl swą, byście ciała mieli i dusze coraz wyborniejsze. Teraz więc zrozumieście, co w ostatecznem znaczeniu Ciało i Krew Pańska, udzielana wam. Zaprawdę, ciągle wy się nią poicie i karmicie: Pan żyje tem, że je wam daje, wy tem, że je bierzecie od Niego, i znów wy tem żyjecie, że wolę swą, czyli osobistość, poświęćcie Panu, a Pan tem trwa niejako, że ją od was bierze. Wiecznem udzielaniem się i czynem żyje i trwa i nieskończeni się Duch. Tylko z tą różnicą, że Osobistość Wszeducha udzielić się nie może nikomu, kiedy Duchów osobistości stworzonych udzielają się wciąż Wszeduchowi, poświęćając wolę swą woli Jego, lecz zarazem też przez to samo wyższej dorabiając się Osobistości! Bo nic z tego, co dasz Bogu, nicością ci płaconem nie jest. Za niższe, coś oddał, wyższe natychmiast oddaniem ci. Znów tu słowa Chrystusa brzmią w pamięci: »Gdy duszę stracisz, dopiero ją wtedy odzyskasz«.

Tu się nam jeszcze kilka słów nasuwa o Żywocie wiecznym.

Zmysłowy kierunek ducha ludzkiego upatruje zawsze niebo w przeszłości i zowie je Rajem, bo Raj był niebem dla ciała ludzkiego. Umysłowy zaś kierunek Ducha upatruje Raj w przyszłości i zowie go Niebem. Niebo średnich wieków, kończące się na kontemplacyi i wiecznym spokoju, jest Rajem myśli. Duch zaś wszystek, Jaźń cała ludzka, powinna się starać, by ten ideał przeszłości i ten przyszłości zlały się w jedno, wiecznie teraźniejsze życie. Owa teraźniejszość, zarazem rajska i niebieska, cielesna i duszna (bytowa i myślna) zacznie się przy ciał zmartwychwstaniu, w dniu, którym dokonają się losy człowieczeństwa. To właśnie to, co nazywamy Anielstwem. Raj, czyli doskonałość ciała, należy zlać z niebem, czyli z doskonałością myśli, a wypadnie doskonałość Ducha człowieczego, jako człowieczego, i nastąpi wnet przemienienie jego, czyli Przeanielenie, stan, w którym każda chwila teraźniejszości ma być świętą, wielką, już wielmocną. Raj był apoteozą ciał, Niebo dusz, Duchów

zaś przeobóstwienien będzie żywot wieczny, przemieniający się jeszcze, i to bez końca, ale już świadomie i wolnie, co chwila szerszy, miłośniejszy, piękniejszy, głębiej uczuty, mędrzej pomyślany, w urodziwszych kształtach upostaciowany. Raj był niebem na ziemi, Niebo Rajem za ziemią, za światem gdzieści. Żywot wieczny rajem i niebem jest zarazem, wszędzie, gdziekolwiek wszechświat, wszędzie, gdziekolwiek Duch Pański, jest rzeczywistością ciągłą w nieskończoności, podzielonei na skończone chwile, byty, stany, które przelewają się w siebie, coraz chyżej, a ciągle postępowo. Każda granica ledwo się zjawi, już ją Duch przeskoczył. Każda miara ledwo nastanie, już w wyższą przechodzi, a to przy zachowaniu nigdy już niczem nieprzerwanej świadomości owego podnoszącego się ducha. Żywot wieczny jest stwarzaniem ciąglem samych siebie w Bogu, przez własną twórczość i łaskę Boga, jest miłością naszą, rozwijającą się coraz olbrzymiej ku Bogu, i Boga przez to samo ku nam, bo historia i rozwój wszystkich światów, wszystkich Duchów, to rozwój ich miłości ku Bogu. Coraz głębiej i goręcej zakochują się w Tym, który przedwiecznym i zawiecznym i nadwiecznym zarazem; w Tym, który najrozlańszą powszechnością i wiecznym przedmiotem, a zarazem najbardziej ześrodkowaną osobistością i wiecznym Sobą samym, wieczną Jaźnią, wiecznym podmiotem jest — w Tym, który wygląda, jako Byt, ledwo co obudzonym Duchem, jako prawo tego bytu rozbudzeńszym, a jako Jaźń życia wszechświatowego, jeszcze bardziej rozbudzonym.

Im Go lepiej znają, tem więcej kochają, im więcej kochają, tem znają lepiej, im głębiej znają, im mocniej kochają, tem dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego, czyli tem bardziej czynią, a tem samem kształcą, budują, tworzą siebie samych, coraz doskonalej i wyżej. Jak posągi boże rosną w Bogu na wieki. Podnosić się i rósć co chwila jest prawem ich żywota. Z miłości swej do Boga wciąż sami

się przeradzają, rodzą się nanowo z siebie samych, wstępują w górę.

Oto ślub nieskończoności. Oto niepokalane poczęcie, powtarzające się wciąż. Oto rodzące się postępowo Syny boże, z Boga i z siebie samych. Oto Aniołów, Archaniołów, Serafów i Duchów wszystkich, coraz wyższych, rodowód i rodociąg. Ni do grobu schodzą ich kształty, ni też ze zgnilości wschodzą do kolebki, ale wiją się i rozwijają się i przetwarzają z mocy wewnętrznej, z ducha własnego, który się już posiadał i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz przytomnie, swobodnie i zgodnie z wolą bożą działa i cudowni się. Cud stał się ich sposobem bycia.

Natura nasza ziemską dotychczasową raczej jest cudem niesforności i gmatwaniny, a to, co zowiem cudem, raczej naturą naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga, ten do Boga i ten kiedyś, wcześniej czy później, być musi po bosku.

«A będziecie jako Bogi» rzekł wąż; biedny wąż — może myślał, że kłamie ludziom, a on im przepowiadał rzeczywisty ich cel! I wyszli z Raju ludzie.

I wyszli — i poszli — i dójdą!

Z całego powyższego ciągu myśli wypada, że, czy w świecie natury, czy w świecie Ludzkości, czy w światach żywota wiecznego, wszystko jest i być tylko może Duchem — ale rozmaicie stopniowanym i różnie przedstawiającym się według miary wyrobu własnego, czyli stosunku, zachodzącego między trzema onymi kierunkami, które istotę jego troistą, a jedną, zawsze i wszędzie objawiają! —

W onych światach wszystkich rozwijają się następne kształty tychże samych, jednych, żywych, nieśmiertelnych Duchów — w naturze uśpione, jakby dzieci w powiciu, występują tylko pod Bytu postacią do myśli o sobie, czyli osobistości, jeszcze niedoszłe. —

W człowieczeństwie zaś duch każdego człowieka rozdarty walczy w sobie samym domową wojną. — Już Myśl obudzona, już wie o Bycie, już wie o sobie, ale Byt nie zgadza się z nią, nie przypada do niej. — Rozstrój między niemi — stąd niedoskonałe, wpół obumarłe, pasujące się w tem rozpadnięciu Życie Brak Całości, mimo przytomność pierwiastków, z których ona powstawa. — Brak potęg osobistości, choć osobistość już nabyta. Dopiero w żywocie wiecznym następuje pojednanie i całość duchowa nastaje w pełni. Osobistość do najwyższego znaczenia dochodzi, wewnątrz już nie pasując się z sobą, występuje z olbrzymią mocą za siebie i tworzy na zewnątrz, tworząc zaś, tak wznosi się sama cochwilnie wyżej, czyli



żyje prawdziwie. Prawdziwe albowiem życie jest ciągłym postępowem w nieskończoność, mierne tylko dotychczasowe nasze przypuszcza cofania się i upadki i zawody i nawroty i próby i pokuty. Piekłelne zaś stanowiłby bezprzestanny upadek, nieskończone wzdą odstępowanie. Ależ złe może być nieskończonem, kiedy w niem zarodu i warunku nieskończoności, t. j. twórczej siły, niemasz? Ktoby w tym kierunku odwrotnym od Boga doszedł aż do śmierci wiecznej, aż do nicestwa, najostateczniejszej granicy nie-twórczości złego, cofania się i piekła, mógłżeby on, który z Boga wynikł, mieć wieczną śmierć oną wieczną? Nie — musiałby przebudzić się znów i znów zacząć zawód wiekuisty. W tem sroższa kara, niż w nicestwie zupełnem.

Celem więc ostatecznym dziejów naszych planetarnych, ostatecznym dla nas, jako w kształt człowieczy ubranych, jest dostanie się do stanowiska, od którego rozpocznie się żywot wieczny. Do niego zaś doprowadzić nas tylko zdołają postępowo uzupełnione i wyczerpnięte naszym trudem wszystkie stanowiska pośrednie, zmierzające do dopięcia celu ludzkości jako ludzkości. Tym zaś celem Królestwo boże powszechne i już na ziemi święte, bo nie samowolą i swywołą, ale wolą ludzką, do Woli bożej przypadła, ożywione — czyli nastrój chrystusowy, w czyn i rzeczywistość przeszły, nie już tylko pojedynczych dusz się tyczący, ale całego człowieczeństwa, wszystkich praw jego, ustaw i urzędzeń, a tem samem przemieniający ziemię w jedną wielką, żywą świątynię Ducha Świętego! —

Czemże więc ludzkość? — Oto wspólną pracą wszystkich ludzkich, pojedynczych Duchów, ciągnącą się przez wieki planetarnej historii, by wzajemnym wyrobem samych siebie dostąpić mogli szczybla onego w czasie, z którego wleczą w swój żywot wieczny. Chcąc, czy nie chcąc, wiedząc o tem, czy nie wiedząc, zawsze wspólnie pracują i wypracowują się, bo muszą wspólnie — a muszą, bo są Duchami. — Duchów zaś prawem wiecznem jest prawo mi-

łości, zależące na udzielaniu się nieustannem, wzajemnem. — W krzywym zaś pojęciu, czyli raczej niepojęciu rzeczy, na sfalszowanych torach historyi ukazuje się nieprzerwanie konieczna wspólność, ale nędz i klęsk — miasto czynów miłościwych. Ludy i wieki nawzajem sobie przekazują jad nienawiści — późniejsze zdarzenia wywierają pomstę za przeszłe. — Za ojców odbywają się sądy wiekowe nad synami, wybuchają długo tajone wulkany, których pierwszego zarzewia ledwo dopatrzeć się można, bo stulecia nad niem się zwarstwiły. Krew jednych spada na drugich i nieublaganie o krew drugą woła, póki jej nie dostanie — złe, nie mogąc się oderwać od wiekuistego prawa duchów, uwspólnia się, rozsiewa, rozplywa się po świecie z pokolenia na pokolenie, z epoki w epokę, i tem samem wykazuje, że z duchów wyszło i wśród duchów krąży, bo warunku istoty ich i istoty miłości nie dopełnia.

Chrystus objawił ludziom ono wieczne prawo wszelakiego ducha — On wypowiedział przed nimi, że wspólność ich powinna być stowarzyszeniem nie złego, lecz dobra, że wzajemnie nie nienawidzić się, ale miłować powinni, że wszechświat jest wspólną odwiecznej miłości i że jedynie wzajemnem kochania działaniem dostaną się do królestwa, zapowiedzianego na ziemi, a stamtąd do żywota w niebieszech, kędy już śmierci nie masz. — On założył Kościół powszechny, kościół żywych i umarłych, który właśnie obrazem jest Ludzkości, pojednanej w prawie bożem, nastrojonej i ożywionej tchem bożym, przez pierś ludzką przejętym. Kościół, to proroctwo uwidomione. To posąg granitowy przyszłości, już stojący na falach płynącego czasu.

Jeśli więc Ludzkość wspólną pracą duchów pojedynczych, dążących do żywota wiecznego — muszą też być pośrednie okręgi, w których odbywa się wspólna praca Duchów pojedynczych, wyrabiających samą Ludzkość w najwyższym jej znaczeniu, t. j. Królestwo boże na ziemi — bo bez osiągnięcia tego stanowiska niepodobna przejść do następnego

wyższego, t. i. do Żywota wiecznego. — Gdzież więc te okręgi pomniejsze? gdzie te szkoły duchów, wyrabiające w sobie rozmaite władze, idee, kierunki, zmysły, że tak powiem, Ludzkości, z których nastroju i zgody powstać ma żywy i doskonały organizm, który Królestwem bożem i panowaniem Ducha Św. na planecie tym zwiemy? —

Jako Ludzkość zmierza ku żywotowi wiecznemu, tak narody zmierzają ku Ludzkości — naród każdy jest wspólną pracą wybranych na ten koniec Duchów, odwiecznie z bożej łaski z sobą połączonych, na wyrobienie jednej z idei, jednego z organów ludzkości. — Lecz prócz bożej łaski jest w narodzie każdym, tak, jak w pojedynczym człowieku, wolna wola — z tych dwóch pierwiastków wciąż się składa Duch zbiorowy narodu, niemi rośnie, żyje, przez zgodę ich silnieje i dopełnia powołania swego — przez rozbrat ich nie dorasta, słabnie, nie dochodzi do całej mocy przeznaczonej sobie osobistości i stawia się innych narodów pochłoniętą częścią — ależ wtedy nie mógł nawet zwać się narodem, nie zasłużył na to miano, tak, jak liść nie był kwiatem jeszcze, ani kwiat też nie był owocem.

Taki lud był tylko do narodu rosnącą możliwością — Narodem albowiem ten tylko zbiór duchów żywych, stowarzyszonych nazywamy, który już pojął w sobie cel, do którego dąży, t. i. Ludzkość w najwyższym jej znaczeniu i czynami historycznymi jej się poświęcał, czyli tak działał, by jej zjawienie się i pełń przyśpieszyć. — Jak dziecka nie nazwiem mężczyzną, tak i hordy, plemienia monarchii jakiej wschodniej lub miasta republikańskiego starożytnego nie nazwiem narodem. Domagały się one narodowości, ale jej nie dostały. Znikły, jak za wcześnie umierające dzieci, a z ich zwłok dalsze usypały się pokłady, na których zjawiać się miały przyszłe narodowości świata. —

Narodowość wysokim już jest stopniem towarzystwa Duchów, zdobytym wielą trudami i czasu długiego ciągiem. Żywe to już obcowanie ich między sobą, a do takiej siły

nierozerwalnej, wewnętrznej doszłe, że śmierć polityczna nie zdoła go nawet zniszczyć. — Narodowość na planecie jest tem dla Ducha zbiorowego, czem dla pojedynczego nieśmiertelność w nieskończoności Wszechświata: — niepodobieństwem śmierci mimo pozór śmierci. Mówim: na planecie, na niwach historii rodu ludzkiego, bo wistocie narodowość trwa tylko aż do dni ostatnich planety — gdyż jest tylko nutą, potrzebną do złożenia akkordu harmonijnego Ludzkości i jako Ludzkość cała tylko przysposobieniem Duchów pojedynczych do Żywota wiecznego. Ale na planecie duchy pojedyncze winny poświęcać i ciało i duszę, t. j. wszelki znikomy kształt swój i wszelką wiedzę swą, wszelką siłę umysłową, wszelki czyn swój duchowi zbiorowemu na to, by on rósł według bożych przeznaczeń. Za ojczyznę, za narodowość — za ludzkość winny męczeństwo znosić i radę gardło dawać, o ich rozwój i postęp chrystusowy nieustannie się starając — Chrystusowości albowiem ducha zbiorowego nie otrzyma się inaczej, jak przez Chrystusowość duchów pojedynczych i nawzajem najwyższego pojedynczych uświęcenia nie otrzyma się inaczej, jak przez organiczne zlanie się zbiorowych z prawem Chrystusa.

Czyn ogólny, społeczny, chrystusowy musi się wykonać i dopełnić w narodach, a przez narody w Ludzkości. Zatem duchy pojedyncze, poświęcając się dla zbiorowego na ziemi, właśnie tego dopełniają, co ma ich wyrobić na dojrzałych żywotowi wiecznemu. — Oddawszy ciało i duszę dla narodu, dla ludzkości, tem samem ją odzyskują, bo naród się podwyższa i dzień Królestwa bożego się przybliża, zaczem i rozwiązanie Historii rodu ludzkiego — a to rozwiązanie zależy na przeanieleniu pojedynczych tychże samych duchów, doszłych ciągiem wiekowego wyrabiania się do pełni chrystusowej.

Naród więc kaźden jest całością duchową, zbiorowo żyjącą, która dąży do zlania się w jeden nastrój z innemi podobnemi, wcale swoich odrębnych przymiotów nie tracąc,

owszem, przynosząc je w ich uzupełnieniu i najprzedziwniejszym rozkwicie do owego nastroju. Na to, by istnieć mógł Kościół ludzki powszechny, jeden, a z rozmaitych członków olbrzymio złożony i duchem bożym przenikły na ziemi. — Stąd wynika świętość i nietykalność narodowości. Jest ona wysokim już bardzo szczeblem wykształtu społecznego Duchów, takim, który, skoro raz osiągnięty, już zatraconym być nie może — a zależy na dziejowej znakomitej przeszłości, pełnej walk, prób, ofiar — powtórę na poznaniu siebie samej wewnątrz t. j. na poczuciu się do idei, którą ma przeprowadzić przez świat i urzeczywistnić w stosunku do Ludzkości. — Pierwsze t. j. przeszłości dzieje, w których szczególnie łaska boża pod postacią instynktu i natchnienia narodowego, jeszcze nie rozwiklanego, działała, z kolebki mitycznej i ciemnej wyprowadzając go na pole słoneczne Historii i tam tysiącom zapasów go poddając, stanowi byt narodu, jakoby ciało, już sobie ulepione przez wieki wśród mnóstwa chorób, trudów, przypadków i zadanych ran, które sprowadzić zgonu nie potrafiły.

Drugie, ów rozbłysk, po wiekach wyrabiania się zstępujący wewnątrz, objawiający mu tajemnicę własnego bytu t. j. pod jakim wiecznym prawem on przez Boga pomyślan i jakim powołaniem w stosunku do całego człowieczeństwa naznaczon, stanowi myśl narodu — jakoby duszę jego, wiedzącą siebie, uznającą cel, ku któremu byt swój nakreślić musi.

Miedzy temi oboma pierwiastkami, tą duszą i tem ciałem narodu, może nastąpić długa walka, zanim one przypadną do siebie i jednomyślnie w jedną wolę zrosną i jeden ten sam czyn wywiodą z swej jedności. — Tu właśnie nastaje pole społecznych zaburzeń — rewolucyi, odmian w pojęciach prawnych, w pojęciach religijnych, w pojęciach o własności. Dopiero pojednanie harmonijne tych dwóch kierunków nada twórczą osobistość narodowi, uczyni go żywym członkiem Ludzkości, środkiem do ustalenia na pla-

niecie Królestwa bożego. — Dopiero na onem trzeciem stanowisku Duch narodu nieśmiertelny na ziemi zaświeca w pełni, podbiwszy sobie własne ciało i duszę, czyli zlawszy je w miłość jedną i jedno życie. To stanowi przyszłość dzisiejszą narodów, a tem samem i Historii świata!

Jak wszelka pełna całość w świecie stworzonym, tak i historia rodu ludzkiego z trzech składać się musi okresów, z których pierwszy odpowiada Bytowi, drugi Myśli i walce jej z Bytem — trzeci walki tej przejednaniu i zrośnięciu stron walczących w jednego Ducha. — Dopiero po takim Trójcy rozkładzie w czasie i przestrzeni nastąpi jej nastrój w człowieczeństwie jako w człowieczeństwie i wy-czerpnie się Historia zbiorowego Ducha ludzkości.

Świat starożytny, którego początek w podaniach o raju, dalszy ciąg w monarchiach despotycznych wschodu, kwiat najpiękniejszy w greckiem umnictwie, a owoc najdojrzalszy w Rzymie, był okresem bytu w Historii, był rozwojem ciała, dążącego do myśli i duszy swej, która do niego w pełni dopiero zstąpiła przez chrystusowe objawienie; w tym pierwszym okresie niema wyobrażenia o Ludzkości, a tem samem niema narodów. Są zewnętrzne tylko kształty, pozbawione wewnętrznej duszy, pasujące się z sobą bez wiedzy o tem, co wyrażać mają, bez pojęcia celu, do którego by dążyć powinny, a zatem jakoby ślepych namiętności i przeczuć błędnych tylko nieustanna bóika Państwa, jakiegobądź one, czy monarchiczne, czy republikańskie, zawsze absolutnemi się objawiają, bo siebie same za cel ostateczny siebie samych mają i dlatego każą sobie poświęcać wszystkie inne, zewnątrz istniejące ludy i wewnątrz siebie istniejących, własnych obywateli. Jeszcze wyobrażenie o godności i nieśmiertelności pojedynczego Ducha każdego z jednej strony, ani też z drugiej o powadze i świętości Człowieczeństwa całego nie zabłysło. Nigdzie myśli o poświęceniu siebie samego dla celów ogólnych świata, ani też tej drugiej, że nikogo do poświęcenia się zmuszać zewnętrznie się

nie godzi, ale że się kaźden wewnętrznie winien na to zgodzić, by się sam poświęcił dla innych. — Wolności więc żadnej, tylko ciągle iarzmo, ucisk bez przerwy, wszędzie chuć zwierzęcą, wszystko chwytająca dla siebie i pochłaniająca.

Stąd wszyscy cudzoziemcy za barbarzyńców czyli nieprzyjaciół uważani, a los wojny zamienia ich w zwierzęta, w niewolniki — oni sami, skoro traf w ręce zwierzęce ich oddał, uznają się przez ten zewnętrzny przypadek za spadłych z godności człowieka — nie czują jeszcze Jaźni swej ludzkiej, wiecznej, nieobalalnej, niezatracałnej — kształt tylko zewnętrzny, rodzimy, ojczysty noszą na sobie, a skoro ten dotknięty, nadwerężony, nie wiedzą, na czym się oprzeć. Oderwani od kątka rodzinnego, od ojczyzny i pokolenia swego, bydlętami się stają. Zatem o człowieku w tym okresie stanowi nie to, czem się sam czuje i myśli, ale to, czem wygląda w stosunku do innych współobywateli, tam, gdzie ma Bogów własnych, swojskich, domowych. Skoro ten stosunek zewnętrzny przerwan, wszystek człowiek sam znika. Nikt ni Boga jednego ni Ludzkości jednej ani też narodowości rozmaitych, a jednak z ludzkością w Harmonią miłości połączonych, nie zna. Zamęt uderzających brył o siebie, brył martwych, nie prawami życia, ale tylko mechaniki rządzonych. Wciąż więc kruszą się i rozsypują te wszystkie zwierzęcznie kształty jedne po drugich. — Hordy, ludy, plemiona pod pręgierzami, na których napisano «państwo», to wschodzą, to upadają — nic trwałego, nic w kształtach swych rozmaitego, a w pojęciu swem jednego nie występuje — podbój jedynym środkiem skupiania. Zlepki społeczne podbojem rosną i, podbiciu ulegając, bez śladu znikają. Jeden tylko lud żydowski do upadłego broni narodowości swej, ale też wierzy w jednego Boga i wciąż prorocy mu o przyszłej, jednej ludzkości śpiewają — w nim przez wieki przeczucie Chrystusa się wypracowywa. — On jakoby obrazem przyszłych narodowości, rzuconym w świat!

Świat starożytny cały był zmysłowością zewnętrzną tylko, bez wewnętrznej podstawy i bez pojęcia celu, do którego wszelki Duch zbiorowy iść powinien. Ślepy traf, albo-li też nieublagana konieczność go porywała i najwyżej bóstwiła się na nim. Stąd wszystkie prawa jego srogie, nie wyrażające stosunku żadnego między duszami, jedynie tylko stosunek, mogący zajść między ciałami, chodzącemi wprawdzie po ziemi, ale pozbawionemi serca i uczuć ludzkich — a prócz prawnego pojęcia żadnego innego na dopełnienie i złagodzenie tej wyłączności.

Skąd też i zguba tego okresu pierwszego historii przez rozpustę cielesną pojedynczych i przez tę społeczną rozpustę państwa, zwaną niewolnictwem. Rzym oparłby się był napadowi barbarzyńców, gdyby nie odwieczne niewolnictwo, które wielką część jego ludności albo przerobiło na słabych i nieodważnych cieleśnie, albo też na dusznie już do ziemi i porządku społecznego nie przywiązanych i szukających pociechy w innym świecie — idealnym — roztwartym przez Chrześcijaństwo. Hordy barbarzyńców nieliczne były, ni też wszystkie razem nie rzuciły się, jak potop, na rzymskie ogromne obszary. Dwie rzeczy w historii bardzo podobne do siebie: rozsypanie się Rzymu i rozbiór Polski; ani pierwszego ani drugiej wszyscy ziomkowie nie bronili. Rzymu tylko legiony, Polski szlachta tylko.

Na ruinach tych czterech tysięcy lat zmysłowości został się nam kwiat niezwiędły, piękność, wprawdzie formy tylko, ale w tym wyłącznie zewnętrznym kierunku pełna i uwieczniona. — Jednak i tu godzi się uważać, że sztuka grecka, która owo uczucie piękności urzeczywiszyła i przepotomniła, właśnie zakwitła przez popęd ludu greckiego do wyjścia z okęgów bytu i przejścia do okęgów myśli; na niwach umysłowych starożytności myśl grecka stanowi zasługę ludzką, a żydowskie natchnienie łaskę Boga. — Zaslaga też owa ludzka odnalazła się cała w następny objawieniu, w Chrześcijaństwie — piękność zatem sztuki greckiej nie



wyłącznie tylko ze zmysłów wynikała, choć im hołdowała przeważnie — wistocie byt w niej przemaga; ciała bogów urodziwsze, niż ich oblicza — na ich twarzach znać spokój raczej zwierzęcia, niż Ducha, bo żadnym ruchem wewnętrznym nie władający; czoła ich niskie, zrzenie pozbawieni, co z samej istoty rzeźbiarstwa wypadło, oczy marmurowe bez iskry żywota. Kształt tylko od stóp do głów anielski, ale na licach obojętność, brak osobistości, płci nawet rozemnać nie można; sen duszy nie rozbudzony znamionującym je piętnem.

Wszystkie mitologiczne wiary ubóstwiała Naturę, przejęte wrażeniem życia, rozlanego po niej, krążącego, jak krew, po żyłach organizmu Wszechświata. Jedni Hebreje o Bogu za światem mówili — ale twierdząc, że za światem i nad światem jest, odrywali go zupełnie od natury — wpadali na stanowisko, przeciwne stanowisku pogan. — Ci ostatnie tylko skutki widome życia bożego spostrzegali i te skutki rozmaite, wieloliczne, nadając każdemu postać całą i odrębną, ubóstwiali. — Tamci, nie zważając na te pulsacye niejako najoddalsze serca bożego na świecie, tylko pierwszą oderwaną ich przyczynę za Boga czcili. — U jednych każdy objaw życia bożego zosobna wzięty stawał się Bóstwem sam. — U drugich oderwany od świata Byt jakiś wieczny, wszechmocny, wszechgroźny, bez związku z stworzeniem, stanowił przedziwność bożej istoty. Dwie to były wyłączości i sprzeczności. Tam rozmaitość bez kojarzącej ją jedni, tu jednia bez ożywiającej ją rozmaitości; przez Żydów jednak utrzymało się wyobrażenie o Duchu bożym osobistym, jednym, a tę osobistość połączyć ze światem i świat z nią związać prawem miłości i życia przyszedł Chrystus.

Wszechmyśl objawiając, tem samem Syn Boży nadał duszę ludziom. Jego przepis jest prawem idealnem, według którego wszystko winno się rządzić prawem udzielania się i poświęcenia, którego ostateczny wynik dla Duchów pojedynczych to żywot wieczny. Rozwojem zaś historycznym

tego prawa na ziemi jest postęp Duchow zbiorowych, czyli społeczeństw ludzkich.

Świat sarażytny tu się kończy. Myśli świat rodzi się nad światem dotychczasowym bytu, ale nim oba się rozpoznają, wysprzecząją, przewalczą, a potem pojedną i spłyną razem w świat jeden Ducha, ileż to wieków ujść musi? ileż przemian, klęsk, burz się zdarzyć? Ile krwi upłynąć z ciał, ile rozpaczy z dusz? — Oczewista, iż naprzód myśl owa, jako oderwana, wyrobi sobie swój okrąg czysto oderwany, stojący naprzeciw światu zmysłów — aż świat ten zmysłów przestarzały upadnie i zaginie — po tem zwycięstwie, oczewista, że myśl ogłosi się panią ponad wszystkim Bytem, ponad wszelką świeckością, że w swem oderwaniu pojmie siebie królową wszelkiego kształtu społecznego na ziemi. Nastanie rozdział i odgraniczenie obu światów, współcześnie istniejących, a jeden z nich wiecznie głosić będzie zwierzchnictwo swoje nad drugim. Zjawia się cesarz i papież, Kościół i świeckich państw dzielnice — duchowni i laicy. Będzie chciała myśl, oddzielona od ciała, wszelkiem ciałem pomiatać i niem jak niewolnikiem rządzić, wyniknie stąd, jak z wszelkiej niewoli, jak z wszelkiego ucisku, bunt ciała, bunt państw, bunt świeckich, zdarzy się reforma religijna, później reformy polityczne, rewolucye, prosto z niej płynące. Te znów w pierwszej chwili zapалу i zwycięstwa zechcą ową myśl oderwaną zaprzeczyć, precz z świata wyrzucić, zatracić wszelki kościół idealny i religijne uczucie, aż znów po wielu pasowaniach się zacznie się przypominać ludziom, że na to, by dojść do zbawienia, trzeba pojąć w zupełności chrystusowe słowo, trzeba przez narody i Ludzkość chrystusową iść do Żywota wiecznego, a narody i ludzkość w ten sposób urzeczywistnione, niczem inszem, jeno ureligijnieniem wszelkiej świeczczyny i zeświatowieniem czynnem wszelkiej religijności, niczem innem, jedno złaniem najoderwańszem Wszechmyśli bożej, objawionej prze-

pisem Zbawiciela, z Bytem rzeczywistym ludzkich społeczeństw.

Okres, poczynający się historycznie od Chrystusa, a trwający dotąd, jest w dziejach tego planety właśnie przejściem od epoki Bytu martwego do epoki żywego Ducha na ziemi, od państwa despotycznego, wschodniego, głuchego, ślepego, niemego, do Królestwa bożego, w którym ma zakwitnąć pełnia harmonijnego życia ludzkości, od religii mitologicznych i żydowskiej do pocieszenia rodu człowieczego przez Ducha, którego zesłanie przyobiegał Chrystus; i, będąc przejściem, ten okres nosi wszystkie jego znamiona, wszystkie cechy rozdwoju, rozdarcia, walki między Bytem a myślą, Ciałem a duszą świata.

Kościół i państwo, w starożytności zupełnie jedno, a jednością nierozwiklaną i martwą, tu się rozstały, rozszarpały, od jedności odbiegły, jako sprzeczne stanęły naprzeciwko siebie; każde z nich z osobna występuje i kształci się. — Raz Kościół jarzmiony przez państwo — następnie państwo pod uciskiem Kościoła i znów Kościół poniżony przez państwo. Wszędzie i ciągle te dwa okręgi, czy jawnie, czy skrycie, wojują z sobą. W samym Kościele także ciągle kształtowanie się, a zatem i walka jedności z mnogością, prawowiary z schizmą i kacerstwami; i nie tylko ta: żywioły organiczne społeczeństwa, demokratyczny kształt, arystokratyczny, władza monarchiczna, niższe duchowieństwo, biskupy, papież, sobory w niezgodzie, w przemianach i historycznem pasowaniu się — na drugiej stronie w państwie zupełnie to samo i jeszcze rozdarciej — świat ciała przejmuje od świata myśli wszystkie jego ruchy, rewolucye, postępy, tylko, że nie rozprawami, ale potokami krwi rozlanej je sprowadza i oblewa — nie przypada doń, nie schodzi się z nim, ale, stojąc na uboczu, naśladuje go, tem samem mimo niezgodę powierzchowną wykazując wewnętrznie ukrytą konieczność, która go wiedzie do zlania się z nim w jednym, do harmonii z nim, do utworzenia z nim kiedyś

jednej i tej samej żywej całości. Wszystkie kształty rządowe w świeckich społecznościach za kształtami Kościoła się wyrabiają; przez długie wieki Kościół wyprzedza ciągle państwa. Feodalność świecka nastaje po okresie, w którym biskupy zarządzili przewładnie, prawie się do Rzymu wcale nie odnosząc, przed reformą Hildebranda. Pomysł monarchii absolutnej przychodzi do głowy królom na trzy wieki dopiero po reformie Hildebranda, który absolutyzm i nieomylność papieską założył i urządził. Wreście po Lutra rewolucyi zaczynają się nowożytnie nasze rewolucye, naprzód angielska, później francuska. — Kościół, ta świątynia myśli, unosząca się nad światem, w oderwaniu swem od świata własnym rządząca się nastrojem, a pomimo to z konieczności rzeczy tak ściśle, nieodzownie, cochwilnie związana z ziemią i wistocie dążąca do zupełnego wcielenia się w nią od początku samego swojej istności, losami swemi przygotowywa i niejako objawia później nastąpić mające losy i przeroby państw świeckich. — Rozstrój jego od trzech wieków wieszczym jest znakiem rozstroju, zbliżającego się i do państw, ale dla obu będzie zmartwychwstanie w skojarzeniu się wzajemnem i powszechnej jedności.

Pośród zamętu, trwającego przez te wszystkie wieki, doskonale średniemi nazwane, kształcą się niewidomie prawie przyszłe żywe organa ludzkości — narody. Nikt o nich nie mówi i nie wie; świat pełen królów, książąt, panów, wszechmocnych osobników, bohaterów rozbijających, a oni wszyscy, to tylko maski, znikome maski na twarzy narodów, a że nie dość wielkie na twarze tak wielkie, z nich spadają wciąż. Starożytność była wyrobiła i puścizną po sobie zostawiła zewnętrzne kształty państw, li tylko zewnętrzne w stosunku do drugich ciał politycznych (monarchie i rzeczpospolite); podczas średnich wieków wszędzie wewnątrz samych ciał politycznych objawia się pracowite burzenie się i wykształtywanie się stanów, rozdzielonych i rozmaicie do siebie się mających, szlachty, mieszczan, ludu. Stąd państw

na zewnątrz i na wewnątrz nastrajanie się coraz porządniej-  
sze; ale sameż państwa są tylko jakoby błędącym kształtem,  
formą tylko, oderwaną od swej istoty, a zapowiadającą jej  
nadejście i panowanie w świecie; a tą państw istotą i rze-  
czywistością, dla której się wyrabiały i do której zastosować  
się muszą, bo inaczej ni powodu, ni celuby loicznego nie  
miały, to narodowości. — Państwo nie może być ciałem,  
oblekającym choćby najpotężniejszego i najgenialniejszego  
człowieka pomysł — dowód na Napoleonie i Karolu Wiel-  
kim — tem mniej ciałem, rosnącym koło zdrady, kłamstwa,  
interesu prywatnego, jakiegś rodziny pojedynczej, dynasty-  
cznej. — Państwo może być jedynie nastrojem żywym i trwa-  
łym, przybranym tu przez myśl bożą jakąś, a takowa tylko  
w narodowościach na jaw oczewiście występuje. W końcu  
dopiero trafia Duch ludzki i do początku — wieczne to  
prawo jego — zatem i tu, jak we wszystkim, dopiero po  
wiekowym tworzeniu się zewnętrznych rzeczy kształtów tra-  
fia do samejże rzeczy, napotyka wewnętrzną, obowiązującą  
państw konieczność, bez której być państwa stałego, rozwija-  
jącego się coraz wyżej, postępowego, nie może. Przez świat  
starożytny i nowożytny nagromadzone, czy zwierzchnie, czy  
wewnętrzne, nastroje, ustawy, prawa, kształty, pokazują się  
tylko częstkami, wzdychającemi do swej przyczyny i celu,  
bezwładnemi lub tylko chaotycznemi, niesprawiedliwemi, jak  
proch sypki rozlatującemi się, dopóki nie pojęte w tej swej  
przyczynie i celu. — Państwo być tylko może ciałem Ducha  
narodowego, a że wszędzie ciało poprzedza objaw duszy  
i wiedzy na ziemi, więc państwa musiały istnieć przed zna-  
niem się idoczuciem się narodowości; — państwa, ciała,  
szły sobie swoim torem — narodowości, dusze błędące,  
męczyły się i trapiły swoim. Ileż to walk między niemi było  
i bywa i jeszcze będzie! Ale wступujemy w wieki, w któ-  
rych już niepodobnem się stanie taki rozdział dusz od ciał  
i prawa publicznego, pierwszą zasadą się stanie wszelkiej  
narodowości istotnej upaństwienie, a wszelkiego państwa,

nie na narodowości opartego, rozsyp. — Dopiero takie państwa narodowe zdołają być prawdziwie chrystusowemi i wiecznym powiązane pokojem czynnie zmierzać do Królestwa bożego.

Świat nasz dzisiejszy wynikł z trzech pierwiastków historycznych: z pokoleń słowiańskich i germańskich, nieokrzesanych, nie pojmujących się jeszcze, które na cesarstwo rzymskie się rzuciły, z gruzów, po tem cesarstwie pozostałych, i z myśli, uwidomionej w Kościele, myślą albowiem planety jest objawienie chrystusowe.

Przez ludy słowiańskie i germańskie dzień zaczęła narodowość za ich pomieszaniem się z innemi, podbitemi od nich, pokoleniami, narodowość albowiem wszelaka potrzebuje rozmaitych pierwiastków. U początku dzieła i, tak, jak każde zjawisko harmonijne natury, zapładza się i rodzi w pewnych ciemnościach, wśród bajecznych podań, w kolebce mistycznej, za dni nierozwidnionych, a pełnych kojarzenia się odmiennych żywiołów, wśród burzy olbrzymiej.

Z świata rzymskiego została idea prawnych stosunków zewnętrznych pomiędzy ludźmi i idea ojczyzny, wymagającej poświęcenia się obywateli dla świeckiego celu, w tym właśnie czasie, kiedy chrześcijańska nauka wołała tylko o poświęcenie dla celu idealnego, zaświatowego.

W Kościele Ludzkości powszechnej wciąż objawiała się myśl i jej związku z losami przyszłemi duchów naszych pojedynczych, nieśmiertelnych, ku żywotowi wiecznemu się sposobiących.

Wszystkie te historyczne żywioły, przez ciąg wieków mieszając się z sobą, wyrab ały i wykończyły, że tak powiem, ideę Narodowości, w której to idei, jak składowe pierwiastki chemiczne w ciele złożonem, same się odnajdują. Czemże albowiem ojczyzna, jeśli nie uczuciem serdecznem, nie zmysłowością Narodowości? Zdaje ci się, że kochasz ziemię lub miasto, ale ty, sam o tem nie wiedząc, kochasz cel Duchów wszystkich, który się wypracowywa pod takim

a takim prawem, w tym a tym kształcie odrębnym, na tej ziemi, w tem mieście. Inaczejbyś ty tej roli i tych głazów nie mógł ukochać, a ludzkość, w jeden kościół przemieniona na ziemi, czemuż, jeśli nie celem najwyższym, idealnym, przyszłym narodowości wszelkiej? jeśli nie ową świątynią, do której każda z nich swoje znosi głazy i dla której rozbija skały, oporem stojące na drodze, na to, by wszystkie u końca wieków ziemskich we wszelkiej rzeczywistości weszły i zamieszkały w niej?

Powtarzamy: — Duchy zbiorowe, narody i Ludzkość niczem innem, jedno szkołą wychowawczą pojedynczych Duchów, z której one przejść mają do żywota wiecznego.

W szkole odbywa się przygotowanie do tej przyszłości i musi nauka o niej rzeczywistość jej samą wyprzedzić — musi w uspołecznieniu duchów zbiorowych zajaśnić jakoby obraz żywota wiecznego pojedynczych. Tem tylko utworem, arcydziełem swem na ziemi pojedyncze uzdolnią się do żywota niebieskiego, nauczą się niejako warunków jego i metody. Coś podobnego, coś przybliżonego doń stawiając na ziemi, staną się dojrzałymi do niego samego — przecież Ducha przymiotem, że, stwarzając na zewnątrz siebie, tem samym stwarza się sam.

Na czemże więc zależy najwyższego życia pojęcie? Oto na takim nastroju, któryby, postępowo się podwyższając i rozwijając, zdołał przy ciągłym przeobrażaniu się zachować Jaźń jedną i tę samą czyli ciąg nieprzerwany świadomości o sobie. Nim pojedyncze duchy przyobleką organizm, nie potrzebujący już umierać, by przeobrazać się, muszą dojść do takowego Duchy zbiorowe, czyli społeczeństwa ziemskie. Lecz jakżeż społeczeństwom ziemskim dostąpić takiej nieskazitelności planetarnej inaczej, jak oparciem się na tem, co zarazem ich prawdą wewnętrzną i rzeczywistością widomą — na tem, co im powodem do bytu i zarazem bytu owego celem, na tem, co iścizną ich z bożej łaski, od której nie

mają ni mieć innej mogą, i zarazem wolnej ich woli i zasług polem — słowem na Narodowość? Nie sposób inaczej, według praw rozumu, pojąć ni rządu ni ludu żadnego. — Dopiero narodowość, jak matka, jak ogarniająca przyczyna, wylania i rząd i lud z siebie. — Skoro się tylko dąży do pojęcia harmonijnego, t. j. rozumnego i religijnego zarazem, musi wystąpić narodowość, jako warunek niezbędny wszelkiego państwa. Z nóg, rąk, głowy odciętej kilku ludziom chcieć jednego zlepić człowieka i kazać mu, by żył i chodził, byłoby równem szaleństwem temu, które zlepek z kilku posiekanych narodów zamyśla trwałym i statecznym ruchem natchnąć. Naród albowiem, to zbiorowy żywy człowiek, który się ma do ludzkości, jak każdy z nas do swego narodu. Życia przedrzyżniać ni udać nie sposób, tak żeby się udanie udało! W świecie Ludzkości i historii panują niemniej wieczne prawa, jak w świecie natury. — Jeżeli ten, co źle siłę pary obliczy, musi wyskoczyć w powietrze, cóż dopiero ten, który żartuje z żywymi, duchowymi siłami człowieczeństwa? Podeptane, z tem sroższą oddziaływającą potęgą i, im dłużej gwałcone, tem mszczą się straszliwiej. Zawarta w nich Wszechprzymotność Rozumu bożego, pokrzywdzona ich krzywdą, rozprężystsza się nazad z nieskończoną mocą. W takich to razach koniec przychodzi na mocarstwa i grom uderza w całe okresy historii. Chrystus, nanowo przybity do krzyża przez ludzkie dzieje, pełne zbrodni i błędów, nagle przybiera twarz i głos starożytnego Jehowy, i biada tym, którzy wtedy konać muszą wraz z rozpadającym się światem!

Wiek nasz, dziedzic wszystkich starożytnych, średnich i nowszych czasów, jest wiekiem narodowości, dochodzących do pełnej wiedzy o sobie, a za tem samem zabierających się do świadomego i samodzielnego działania. Nic ich od tego nie wstrzyma, bo, cokolwiek siebie pojęło, wnet przechodzi do okęgów czynu. — Historia wstecz się nie cofa, nigdy wstecz — ale ma dwie drogi, któremi przeznaczeń swych dopełnia, a obór między niemi do wolnej woli ludzkiego



rodu należy. Jedną wszystko nastrojnie się odbyć może, wszystko światłem, mądrością, miłością, a cierpliwie i z wolna dojśćby mogło do końca — i tę ludziom wskazał Syn boży. Druga wiedzie przez otchłanie na przebój, klęski i zamęt za narzędzie ma — i na niej jeszcze więcej czasu stracić trzeba, bo naprzód zstępuje w dół i w ciemnice, by później dopiero, opamiętawszy się, powrócić w górę i wyrzec, że nad głowami ludzkimi nie bez niebios jest. Lecz czy tak, czy owak, wieczne prawa boże dopełnić się muszą!

W tej chwili więc dochodzą narody do wiedzy pełnej o sobie, do przeświadczenia o prawowitości, nietykalności i samodzielności żywota swojego. Lecz, jako przed wiekami Duch pojedynczy ludzki, choć od kilku tysięcy lat bytujący na ziemi, dopiero za ukazaniem się chrystusowej postaci dowiedział się o sobie samym z losów Jej żywota, że nieśmiertelny, że Ojca ma w niebiesiech i jaką drogą wracać ku niemu powinien, tak i teraz, by uzyskać pełnią wiedzy o sobie, Duchy zbiorowe potrzebowały pierwowzoru, któryby, sam będąc Duchem zbiorowym, zniósł widomie, dotykalnie, rzeczywiście wszystek ciąg losów, mogących dotknąć jakąbądź ziemską narodowość, i temi dziejami swemi właśnie objawił prawdę niepodobieństwa jego zgonu. Takowa zaś prawda, pierwszy raz wstępująca w świat, oczewiście, że tylko przez śmierć i odrodzenie udowodnioną być może — nim się zacznie żyć trwale bez śmierci, przód ze śmierci zmartwychwstać trzeba, by wykazać wszystkim śmiertelnym i bratnim, że wistocie nieśmiertelnymi są. Pierwowzór takowy zatem, mający roztworzyć dzieje przyszłości, musi własnymi dziejami wszystkie chwile bytu, wszystkie konania, wszystkie śmierci i powstania z niej narodowego uwydatnić, bo dopiero z nich wszystkich razem życie najwyższe się składa i siła nieśmiertelności narodowej się wykazuje.

Konieczność takich pierwowzorów prawem wiecznem Historii, to ona jest polem wszechrzeczywistości. Nic się w niej ni wiotko, ni łatwo nie odbywa, wszystko pomału,

trudno, pracowicie, a nadzwyczaj poważnie i surowo się dzieje. Żadna myśl oderwana, żaden pomysł, nieusprawiedliwiony wykonaniem, żadna teoria sama przez się nie zdoła kierować losami świata. Musi wprzód wcielić się, niejako upłaskorzeźbić się w przestrzeni i czasie, musi żywym stać się przykładem, nauką, serce bijące mającą, z którego nie tylko pomniki idealne, ale i krew szczerą, krew czerwona, rzeczywista się leje wszystkim na udział. I przed Chrystusem pewne zasady chrześcijańskie krążyły ponad światem. Tu i owdzie myśl o miłości wszystkich błdziła, popchnęła świat potężnie, ruszyła go z posad starych, nim w Chrystusie całe uwidomiło się i na krew rozplynęło Słowo boże?

Przez święty trud i świętą mękę Chrystusa, przez przemienienie, zmartwychwstanie i wniebowzięcie Jego, każdy duch pojedynczy ludzki podwyższył się na członka, że tak się wyrażę, niewyrzucalnego już z nastroju Wszechstworzenia, bo, zrazu przez śmierć przechodząc, następnie odrzucić ma ten warunek niższych stanów Ducha i żyć świadomie bez końca. Otóż za dni dzisiejszych, gdy przepis Chrystusowy rozlewać się zaczyna na okręgi zbiorowe, gdy widnokreńnie domaga się ziemskiego urzeczywistnienia i przez to samo historia wkracza na drogę, mającą dowieść ją do Królestwa bożego, musi podobnie w tym świecie ziemskim Ludzkości wynaleźć się członek niewyrzucalny, niezatracałny, podstawa żywa całej przyszłej budowy. Takową Narodowość tylko być może, ale nie dosyć tak myśla pomyśleć, Historia musi dowieść tego czynem. Czyn, to wykazujący, czyli dzieje szczególnego narodu, tę prawdę odbijające, właśnie staną się pierwowzorem onym, powołanym do ustalenia na ziemi świętości narodowego żywota, a tem samem do rzucenia posad, na których oprzeć się ma przyszłość historyczna Człowieczeństwa.

Gdybyśmy jedynie samą władzą pojęcia chcieli dochodzić znamion, takiemu pierwowzorowi koniecznie przynależnych,

i kształtu, najlepiej doń przypadającego, w jakiejże postaci, z jakimże licemby przed naszą wyobraźnią wystąpił? Jakiegożby ciała czyli bytu takowy Ideał musiał się domagać w przyszłości? Jakiejże myśli czyli duszy, zstępującej weń, by go rozświecić za późniejszych dni swoich? Jakiżby rodzaj zgonu odpowiadał najlepiej warunkowi zmartwychwstania, zawartemu w jego losach i do jakiegoż Duchu przyszłego koniecznościaby mu zmierzać było, wśród trudów i bólów teraźniejszych?

Nasamprzód oczewista, że taki pierwowzór ziemskich narodowości da się tylko pojąć napiętnowany męczeństwem i prześladowaniem, skoro śmierć i zmartwychwstanie, a zatem i przejście od pierwszej ku drugiemu, czyli długie pasowanie się w grobie, niezbędnymi są jego objawu warunkami. Inaczejby albowiem nie był tem, czem być ma. Dowód nieśmiertelności narodowych nie wytrysnąłby z jego dziejów, jak woda żywota ze skały.

Powtóre, nie zdołałby żadnym stać się pierwowzorem, gdyby przed chwilą, w której zstępuje na łono śmierci, nie był już przeżył ciągu długiego wieków i dopełnił wielu czynów, stawiających go, mimo, że jeszcze w niepełnej świadomości dokonane, na czele ludów własnego plemienia, a w rzędzie najświetniejszych narodów innych plemion.

Byt jego przedśmiertny powinien zatem znakomitą jaśnieć chwałą, a tej być nie może bez starożytności dla narodu, gdyż nie sposób mu zbudować świat w dniu jednym dopełnionymi czynami. Z tych czynów wyrosłe, złożone, uzupełnione ciało jego historyczne, nim zadrgnie wiedzą o sobie i przetwarzając się nią świadomie zacznie, musi bezświadomie przyrodzonym, bezpośrednim sposobem, czyli z łaski bożej, nosić już na sobie zarysy, zapowiadające wszystek dalszy rozwój przyszłości. Ta sama Jazń, co kiedyś będzie, musi się odbijać już w tem, co było, Przemienienie ją kiedyś podwyższy, odnowi, uwielbi, ale nie zniszczy, nie strawi, nie zagubi.

Jakżeżby mogła później objawić się w całej sile swojej, gdyby jej wprzód już pod pewną miarą i w mniejszej potędze nie było? Wolna wola wszelka i świadomość wszelka nie z niczego, ale owszem z czegoś już danego, z przygotowanych zasobów, z utworzonego już organizmu się wydobywa, niejako zaszczepia się na pniu z bożej łaski wzrosłym, oddawna już istniejącym bez dokładnej wiedzy o sobie.

Dzieje więc takowego pierwowzoru w odległe, aż baieczne czasy sięgając, snuć się będą od samego początku czynami poświęcenia, odwagi i szlachetności. W czasach, w których polityka, w niczem słowa chrystusowego się nie pilnująca, rządzi światem, w których chciwość i samolubstwo jedynie o działaniu mocarstw stanowią, on, choć upaństwowiony także i szerokowładny mniej więcej ciągle, nie świeckiej polityki, nie chytrości i podstępów w stosunku do obcych państw się trzyma, ale, o ile może, ewangelicznego przepisu.

Z natchnienia, z natury, wspaniałomyślnym i miłościwym bywa, nie napada ni grabieży postronnych, nie wynajduje szalbierskich, kłamanych praw do obcych posiadłości. Owszem, nieraz usuwa się od nadarzonych korzyści, skoro powleczone niesprawiedliwości pozorem.

Wszędzie, gdzie tylko zdoła, ratuje ujarzmionych od ucisku, na zewnątrz występuje ciągle jako naród-rycerz, jako naród-obronca najwyższych celów i zasad okresu tego, w którym żyć mu się dostało. Zatem musi bronić chrześcijańskiej wiary i ogłady od zamachu wrogów pogańskich lub też takowych, co, choć chrzest przyjęli, nie przejęli się jeszcze chrześcijańską obyczajnością.

Nawewnątrz zaś własnego państwa, w stosunku do ludów niedokształconych, własnej narodowości osiągnąć niemożnych, z których to ludów sam się kupi i tworzy, nie używa podboju ni gwałtu, ni bezprawia, jedno pociąga je wyższością uspołecznienia swojego, łagodnością praw, wolnością ustaw, słowem, mocą przykładu.

Unia mi, nie łupiestwem i zdobywaniem podраста, bo to jedyny chrystusowy środek polityczny upaństwiiania się. Lecz na to potrzeba mu koniecznie między te ludy rozności i przelewać wyższą oświatę, ową zdobytą na wiekach przez resztę Ludzkości. Sam musi naprzód się w nią przyoblec, a potem promienić jej jasnością dokoła — stąd wypada, że się stanie jakoby przewodnikiem ciepła i światła duchowego między najwyższymi stojącymi w tej Epoce lub poprzedniej, a nie dojrzałymi, obecnie rozwijać się zaczynającymi, członkami Ludzkości.

By wszystkich onych warunków dopełnić, koniecznie pierś tego narodu dwa główne musi zawierać żywioły: wielką miłość Religii niebieskiej i również wielką miłość do ziemskiej wolności — i to nie oddzielone i powaśnione z sobą, jak w reszcie świata, lecz, owszem, połączone razem i, owszem, połączeniem już niejako wskazujące przyszłość całą Historii, zapowiadające ów okres pojednania i Harmonii, którego rozpoczęcie kiedyś przeznaczeniem tego narodu, a którego piętnem zlanie się w jedno: świata z Kościołem i Kościoła ze światem. Obywatele więc w takim narodzie powinnyby słynąć z głębokiej bogobojności, duchowni zaś z żarliwego obywatelstwa.

Im, równie jak świeckim, wszystkie urzęda publiczne, bez żadnej nieufności powierzane będą. Stanu osobnego nie utworzą — nigdy nie spasożytnią się naokół serca narodowego, owszem, zawsze przykład dawać będą przywiązania do ziemskiej ojczyzny i dla niej zaofiarują, ilekroć potrzeba, majątek i gardło.

Z tej samej przyczyny naród ten powinienby należeć do onego kościoła na ziemi, który jeden przez powszechność domaganie się wieczne i nastrój wewnętrzny swój wszystkie kształty możliwe uspołecznienia zawierający, przedstawia obraz przyszłej, jednej, pojednanej Ludzkości, t. j. do kościoła katolickiego. — Przytem jednak nadużycia w innych stronach ziemi na łonie ziemskiego katolicyzmu zdarzone,

jak n. p. inkwizycya i ślepy fanatyzm wojen różnowierczych, nieznane mu będą, lub, jeśli kiedy wyjątkowo zmaże się niemi, to oczewista będzie wszystkim patrzącym, że odstąpił od charakteru swego i że tem odstąpieniem, tą winą gotuje sobie zgubę, ową właśnie, która go doprowadzi do śmierci, przez którą przejść musi, by zmartwychwstać.

Z wszystkich tych wymagalności, którym ten naród dziejami swemi zadość uczynić powinien, łatwo się domysleć treści jego usposobień i zdolności wewnętrznych. Jeżeli ma być oświecicielem i wtajemniczycielem podrzędnych ludów, musi do najwyższego stopnia posiadać wykształconą i tkliwą władzę odbierania wrażeń i odebranych przerabiania i udzielania innym. Lecz wyższe wpływy tylko tak łatwo doń przenikać będą, nigdy zaś niższe, barbarzyńskie, bo wtedy zamiast podwyższania niższych, samby się poniżył, ulegając ich działaniu. Nic zatem w jego charakterze wyłącznego nazbyt, z resztą świata chrześcijańskiego na zabój sprzecznego ni dzikiego być nie może — on żadnemi przesady, jakby murem chińskim, się nie oddzieli od Europy, żadne wysokie i trudne góry, żadne morza go od cywilizowanej części świata odgraniczać nie powinny. Ziemia jego sama w kształtach swoich powinna wyrażać na wszystkich swoich granicach nie przedział i odstryknięcie się, ale zbliżenie się i zlew.

Na takiej ziemi równej zamieszkując, wspaniałością, uprzejmością, gościnnością, wyobraźnią nader żywą i obrazową, sercem szczerem, otwartem, gorącym, z resztą Europy obcować będzie — a w toku spraw ziemskich zwyczajnym wystąpić muszą i wady, tych przymiotów siostrzyce, objawi się pozorna lekkomyślność, apostołskie niedbanie o dzień jutrzejszy, brak wyrachowania wypadków, szczególnie tam, gdzie podstęp i chytrość składają rachunku część najprzedniejszą.

Nigdy ten naród w przymierzach swoich z innemi mocarstwami nie będzie się pilnował zysku bytowego, cielesnego jedynie, owszem, zawsze tylko z temi się zwiąże,

które nie naidogodniejsze jemu pod względem korzyści jego osobistej, ale z których najwyższa spływa korzyść dla ogółu świata, t. i. z temi, które stoją w danym czasie na czele ruchu Ludzkości — i w miarę, jak ten ruch od jednych do drugich przenosić się będzie, i on też, idąc za światłem, przymierze z niem wieczne swoje przenosić będzie do innych narodów. Odwaga jego nie chciwa, ni napastnicza, nie godząca na żadne zdobycze materialne, okazywać się musi lwią i bez żadnego namysłu, jakby natchnioną, skoro o cel jaki święty idzie. Stąd ten naród wystąpi Bohatrem wśród innych. Bohaterstwo cechą jego właściwą będzie zawsze i wszędzie, od najnieubłagańszych wrogów mu nawet przyznawaną. Niebezpieczeństwa nigdy nie obliczy ni się przed niem zatrzyma, ale prosto w nie się rzuci, Bogu, w którego wierzy namiętnie, poruczając wynik ostateczny sprawy — słowem, na niwach bytu przeszłego piętnem, go znamionującym, musi być uczucie wrzące i szlachetne, łatwo obudzalne, dlatego też właśnie wyczerpujące się czasami i skore niby to do znużenia — lecz zawsze i na wieki gotowe znów zatleć i goreć.

Kto przeznaczon drugim służyć i dopiero własną duszę odzyskać, gdy ją utraci dla drugich, ten dbać o siebie pilnie, porządnie systematycznie nie może. Nie miałby potęg przeznaczenia swego, nie władałby środkami, zgodnymi z celem, mu postawionym — nie żyłby żywotem, tym właśnie, który przeżyć musi, by do śmierci się dostać, z której zmarwychwstanie powołaniem mu politycznem i religijnem zarazem.

Wadom więc i usterkom, które zgon na byt jego, na ciało jego, na przeszłość jego spuściły, niema się co tak bardzo dziwić. Zrozumieć je i pojąć trzeba, a to dopiero uskutecznia myśl czyli dusza narodu w chwili, gdy on do wiedzy o sobie i przeznaczeniu swoim dochodzi.

Powiedzieliśmy wyżej, że takowa chwila zwykle przynosi rozdarcie i w kształcie burzy się zjawia. W pierwowzorze którego kształtów dochodzimy, ona musi przypadać właśnie,

kiedy i śmierć polityczna, czyli odpaństwienie narodu, utrata cielesności bytowej, bo jeśli ta śmierć, to odpaństwienie, to rozwiązanie cielesne koniecznem, pytam, kiedyżby ono przypadło?

Gdyby przed zjawieniem się duszy, a tożby była śmierć wieczna i ciało, któreby duszy nie miało, ginąc, zginęłoby zupełnie, świadomości o sobie nie przeciągając poza grób swój. Również śmierć przypaść nie może, kiedy po walce duszy z ciałem zlew już ich nastąpił, rozdarcie ukojonem zostało i Duch się wykształcił, bo to początek dni nieśmiertelności. Zatem, jeśli śmierć w losach tego narodu koniecznością, spadnie ona na niego historycznie właśnie wtedy, kiedy myśl jego się rozbudza, kiedy zaczyna z świadomością sądzić o sobie i rozumieć przeznaczenie swe, i dlatego też właśnie śmierć owa będzie tylko śmiercią znikomą, śmiercią, która sama śmiertelna, a nie zagubą na zawsze — nowy wylew żywota, choć pod innym kształtem zdarzon w tej chwili, bo pod idealnym, a nie bytowym już uratuje kona- jącego od przepadnięcia.

Dusza, rodząca się, gdy ciało umiera, zastąpi je i dzieje jej odtąd będą dziejami narodu.

Musi on zatem zejść z widowni politycznej, nie wyczerpnąwszy wcale wewnętrznych sił swoich, ani też nawet nie potraciwszy wszystkich zewnętrznych, bytowych, bo duszy oderwanej czysto od wszelkiego bytu, od wszelkiej podstawy cielesnej niema, ni być nie może — nie będzie więc ten naród ani do szczytu wyrzniętym, ani nawet podbitym długimi wojny, wysysającymi zeń zniszczeniem i pożogami samą rdzeń jego mocy. Ciało jego widome stanie się ofiarą potęg chytrych, cielesnie odeń w tej chwili silniejszych, w konspiracyą szatańsko przebiegłą przeciw niemu związa- nych, czyhających na każdą słabość jego, powoli i węzowo wkradających się w jego serce, zwodzących go co chwila, wewnętrzną niezgodą go rozrywających, krzywoprzysięga- jących mu i obiecujących pomoc, a przynoszących zdradę,



szczególnie przez zasiewanie zarodków waśni domowej w jego wnętrza, przez obalanie wszystkich jego usiłowań organizacyjnych i korzystanie z jego nawyknięcia do wielkiej wolności, zatem i do szczerości, otwartości, niestrzeżenia się i wielomówstwa. W chwili właśnie, gdy dusza mu się rodzi i zaraz głęboko przemyśliwać zaczyna nad naprawą ciała schorzonego, ono ciało ulegnie rozbiorowi i zewnętrzny wszystek widomy jego organizm zniszczyje pod ręką nieprzyjaciół — ale za to ręce owe sąsiednie, nieprzyjacielskie duszy, dopiero co zjawionej, uchwycić nie zdołają — nastąpi stan śmierci Ducha tego zbiorowego, podobny ze wszystkim do stanu śmierci, któremu podlega wszelki Duch szczególny. — Dusza, oddzielona od ciała, z przewagą idealności swej, z niedomiara bytu, wspominać zacznie przeszłość i rozmyślać nad przyszłością, przeszłe winy rozpoznawając, wytykać sobie błędnie drogę powrotu do życia, a to przy ciągłym cierpieniu, przy niesłychanych wysileniach, podjętych dla otrząśnięcia się z niebytu, a które długo, długo bez widomego skutku pozostać muszą.

Będzie to niejako stanem czyśćcowym dla Duszy wielkiego narodu. Ciśniona zewsząd okrutnym jarzmem, zraniona codzienną niesprawiedliwością, cierpiąca, błędząca, gotuje sobie nieopisanym żalem i równie nieskończoną siłą idealną wiary i nadziei przyszłe, nowe ciało na dzień zmartwychwstania.

Co do przeszłości, rozważając byt swój przeminiony, pozna na Historyi swej jakoby palec Boży położon, uzna, że pomimo grzechy i błędy najbielszą ma kartę w dziejach europejskich, najmniej skalaną zbrodniami, najściślej chrystusową, a to szczególnie dlatego, że najmniej myślała o sobie, że ciągle pomoc i ratunek niosła drugim i dla nich się poświęcała. Uznawszy to, poczuje się do niechybnego posłannictwa na przyszłość i zrozumie je, rozwijać tylko takowe może, wciąż poświęcając się i łącząc nadal sprawę własnego zmartwychwstania z sprawą wszelkiego dobra i piękna

w Ludzkości, w jedno więc zleje myśl własnej niepodległości z myślą o niepodległości innych ludów i wolności świata. Ile razy zdarzy się sposobność, ona odpowie na to hasło. Jęcząc wśród Europy i zrywając się z grobu, to weń napozór zapadając głębiej, nie opuści żadnej pory walczenia z niesprawiedliwością, sobie wyrządzoną, a tem samem i całemu człowieczeństwu — nie będzie pola bitwy jednego, na którym losy świata się rozstrzygnąć mogą, bez jej przytomności. — Stawać na nich będzie ostatkami rozproszonemi ciała swego, jak mara tęskna, chcąca, a nie mogąca, lecz chcąca wiecznie i wierząca bez miary.

Któż się nie dorozumie, że z takowego stanu próby i cierpienia wynikną nieraz myśli i dążności przesadne, zbytnią wyłącznością napiętnowane, podobne do onych marzeń, których po śmierci każda dusza osobnicza doznaje, gdy jasno wprowadzie wie, że ją drugi żywot czeka, ale nie może działać od razu wystąpić z potęgą czynu, przez odpadek ciała jej odjętą. To właśnie pasowanie się jakgdyby w próżni, ta właśnie niemoc mimo żądze trwającą, to, a nie co innego, śmierci jest trudem — męką — ofiarą — jest onem przejściem utrapionem i smętnem z jednego życia ku drugiemu — jest dopełnieniem onego warunku rozdarcia, niższym Duchom położonego na to, by się na wyższe przeobrazili.

Nikt albowiem bez namysłu i rozmysłu, bez tysiącznych wahań się, dociekań, śledzeń, bolesnych zawodów, opadnień sił myśli i przemiennych dźwigań się jej nie dojdzie do przepojenia się Chrystusowością swą własną, obudzoną w nim przez objawienie Syna bożego, a zatem nie dostąpi wyższej rzeczywistości okęgów. — Duch zbiorowy narodu zupełnie taką samą kolej przebyć musi, jak osobniczy, jeśli zmarłychwstać ma i napowrót stanąć w kole żywych, upaństwowionych, w czyny polityczne twórczych narodów — a jeżeli do tego ma stać się dziejowym pierwowzorem ich nieśmiertelności planetarnej, musi jego dusza odpaństwowiona przepoić się w śmierci istotną Chrystusowością duchów zbiorowych,

której dotąd na ziemi nie było, a której zależy na wcieleniu przepisów Chrystusa we wszystkie kształty wewnątrz- i międzynarodowe na świecie. — Takie zaś wcielenie i zastosowanie, będąc nowym wylewem ducha chrystusowego z ciasných granic, w których go dotąd świat trzymał, na wszystkie świata tego obszary, koniecznie dąży do utworzenia nastroju wznioślejszego, rozumniejszego i świętszego nad ten, któren, dotąd istniejąc na ziemi, kaleczył wszędzie prawo Wszechmiłości, a tem samem i wszechrzeczy natury. Nie inna wewnętrzna, nieznana jakaś, świeżo narodzona, przewracająca wszystkie dotychczasowe wiary i pomysły, wydobywa się siła, ale nowy do siły już objawionej, nieskończonej w sobie i coraz wyższego kształtu domagającej się, przypaść musi organizm na podobieństwo onych coraz doskonalszych machin, które w świecie natury nie odkryciem są nowej siły fizycznej, ale wynalazkiem, lepiej odpowiadającym wiecznemu prawu Siły już znanej i dlatego daleko wyraźniej ją objawiając, jej wywarcie się pełne a harmonijne nazewnątrż ułatwiając. — Lecz jako taka machina nowe przedstawia kształty i niedoznane nigdy wprzód wpływy Siły onej wywiera, bo niejako stała się dla niej ciałem o wyborniejszych zmysłach, z jej wewnętrzną prawdą zgodniejszych; takż i podobny Organizm będzie w czynie i wszelkiej rzeczywistości nie odmianą, ale przemienieniem i rozszerzeniem Słowa chrystusowego.

Będzie niem, niem samem, ale z posetnioną potęgą na świat się wywierającym, niem, ale w ruch i życie wprowadzającym ogromy, niem, ale już w ciele zbiorowem, które miasto dwoma milionami ocz zapatrzone w niebo, milionami ust Boga chwali i milionami rąk planetę tego wypracowuje na ołtarz święty i niepokalany, ku ostatecznym celom swym biegnący w przestrzeniach. Niezbędnemi więc warunkami dla duszy, przystępującej do myślenia o takim organizmie duchów zbiorowych, nasamprzód pojęcie Chrystusa we wszelkiej prawdzie i zrozumienie wszystkich stosunków, wią-

żących Ludzkość całą, nie już tylko osobników, z Bogiem.

W duszy zatem onego narodu, myślą i tęsknotą pracującej w grobie, musi nastąpić przedewszystkiem rozświetlenie religijne, musi się ono w niej wyrobić i jako łaska zesłana jej w natchnieniu i jako zasługa własnego jej idealnego trudu, domysłu, żądzę gorącej, smutku głębokiego — w jej wnętrzach musi się urodzić dzień obiecaney przez Chrystusa pociechy, dzień Ducha Świętego, który wytłómacza i uwielbia Chrystusa — w jej śmiertelnych ciemnościach musi dnia tego zajaśnić widzenie — wiedza religijna na miejscu samej ślepej wiary wtedy się rozwidni, a przed wiedzą ona odtajemniczyć się muszą tajemnice dotąd niezrozumiane lub zaprzeczone, nigdy zaś jeszcze nie odtajemniczone, bo odtajemniczenie wcale nie ujmą, ale owszem, rozwieleniem się i uwielbieniem wszelkiej tajemnicy, gdyż prawda, dotąd przesłonięta, staje się za przesłon usunięciem gorejącą i widną, jak słońce. Odpadają od niej tylko wyziewy, nie składające wcale jej treści ni kształtu, jedno między nią a naszymi oczyma wiszące. Słońce samo nie może nie być, one zaś, tak jak wprzód mogły być, teraz nie być mogą. Przeciawszy się prawdą ona, która już nie tylko wiary, ale przekonania i myśli dowodzącej przedmiotem, a zatem jakoby podwojoną wiarą, dusza ta w grobowej idealnej twórczości swej przejdzie do wymiarkowywania i odkrywania środków, za pomocą których układ wszech rzeczy może do słów Zbawiciela przypaść na to, by one przestały być słowami tylko powtarzanemi, a przeszły do stanu czynów, czynionych we wszystkich okręgach ludzkiej zbiorowej działalności, w politycznych, handlowych, społecznych i t. d., i t. d., i stąd rósł właśnie ten świętszy porządek, ten harmonijniejszy nastrój narodów i Człowieczeństwa.

Nie inny cel, nie inne rozmyślanie, zadane z konieczności tej duszy, od ciała dawnego oderwanej, a ku nowemu się przysposabiającej w czyscowym swym grobie. Owóż

przesada nieuniknięta, o której wspomnieliśmy wyżej, zapewne na tem zależy będzie, iż ta dusza w chwilach wielkiej goryczy niekiedy zażąda odrazu dorwać się następnego ciała i nie wymiarkuje, że nie przeszła jeszcze przez wszystkie stanowiska śmierci. Patrząc wciąż idealną myślą w cel Ludzkości ostateczny, w Królestwo boże na ziemi, którego roztwarcie jej przeznaczeniem, wstęp doń pomiesza z jego najwyższym rozkwitem, czyli dni obecne z dniami, mającemi rozwiązać Historią Człowieństwa.

Cel zatem w takowych chwilach pogmatwa ze środkiem, doń mającym stopniami dowieść, i zechce jednym podrzutem przeskoczyć przez wieki — widzenie ciągle, że tak powiem, magnetyczne, zwykle duszom, bytu pozbawionym. Widzenie przyszłości w dokonaniu już każe jej zapomnieć o wszystkich przedwstępnych kształtach i rozwojach społecznienia, oddzielających czas nasz od końca ziemskich czasów. Stąd wynikną wszystkie pomyłki duszy onej, która jednak za każdą odmylać się niejako musi i wzrastać w rzeczywiste prawdy pojęcie, w którem nie tylko cel ujrzan i widzian, lecz i środek także doskonale poznany i opatrowany.

W stanie śmierci największym trudem jest rzeczywistości ocenienie i powrót do niej, wszelki cel ostateczny, idealny daleko łatwiej się pojmuje. Stan wszelkiej duszy pośmiertny z wielu pomyłek się składa i one to stanowią ból śmierci, który w końcu przebyty i zwyciężony być musi. I dusza ona narodowa, wiecznie zapatrzona w Ideę świętą, wielką, prawdziwą, wreszcie dojdzie ciągiem zawodów, cierpień i rozmyśłów do możliwości odzyskania bytu, czyli utworzenia sobie nowego, a już nieskazitelnego ciała na ziemi.

Dopiero za tym powrotem na niwy widome a rozszerzone żywota wystąpi w chwale Duch narodowy, pierwotny dla innych, zgodny z prawdą idealną, odkrytą, zauważaną i udzieloną z łaski bożej w grobie. Nie będzie już waśni między wiedzą a bytem, duszą a ciałem. — Z nich jedna

twórcza Jaźń narodowa zmartwychwstała — i ten duch zbiorowy wprowadzi ludy inne na drogę, wiodącą do Kościoła Ludzkości. Żywoć jego przeszły, męka, śmierć, oddział duszy od ciała i długie przemieszkowanie w grobie innego nie mają znaczenia; właśnie są stanowiskami różnemi jego ducha, kształcącego się w świecie duchów zbiorowych, tak, jak duchy szczególne, ludzkie się kształcą, żywot swój żyjąc rozmaitemi życiami swemi, a ku żywotowi wiecznemu się kierując. On pierwszy nieśmiertelności narodowej dowiedzie pod warunkiem Chrystusowości narodu. On pierwszy tę Chrystusowość narodową wniesie w świat, tak, jak pierwszy Chrystus objawił nieśmiertelność pod warunkiem połączenia się z słowem bożem wszelkiego szczególnego Ducha ludzkiego. Odtąd w tę prawdę wierzyć będą Duchy zbiorowe, rządy, państwa, mocarstwa, ludy i przemienić się będą musiały na Chrystusowości zbiorowe tak, jak osobnicy przemienili się na chrześcijan przed dwoma tysiącami lat i to stanowić właśnie będzie wstęp do Królestwa bożego na ziemi, bez którego duchy nasze, jakośmy wyżej powiedzieli, do żywota wiecznego wyrobić się i dojść nie mogły.

A teraz zastanówmy się! — Jestże taki pierwowzór tylko przypuszczeniem naszego rozumu, tylko przewidywaniem czegoś, bez czego historia nie zdoła się obejść, a co dopiero później wśród niej się objawi i rozwinie, albo-li też dokonywującą się już, wielką, pełną rzeczywistością, którą wszystkich oczy oglądały i której ran najniewierniejsze dotknęły się ręce? Istniejeż na ziemi naród ogromnej i wspaniałej przeszłości, za dni teraźniejszych obran z widomego ciała a duszą nie zgnękaną, wciąż z grobu się wydzierającą, obdarzon? — Naród mimo zawody i męki nieopisane pełen wiary i nadziei w przyszłość, pełen miłości silniejszej, niż śmierć sama, bo do czynów pośmiertnych i śródśmiertnych go wiodącej, tak, że owa wiara i nadzieja i miłość wyglądają na coś nadzwyczajnego w świecie, na natchnienie, z niebios płynące, na nowy, otwierający się

związek religijny między człowieczą a bożą wolą, między uciśnionym, przekonanym, że musi sprawiedliwość wiekuista zstąpić w okręgi polityczne, a taż sprawiedliwością w nie niezstąpioną jeszcze? Gdzież naród, który jest, a którego niema zarazem, który zniknął ze świata żywych, a co chwila przypomina się im, jednych zaś wtedy chwyta jakoby wesele niebieskie, a drugich złość piekielna i strach!? Na takowe zapytanie nie odpowiedź-że każde dziecię europejskie Polski imieniem? Zaprawdę, że niczyjem innem!

Coby z bezpośrednią pewnością dziecku z serca i z ust wyleciało, postaramy się udowodnić dalszemi uwagi. Wszystkie cechy naszego pierwowzoru, które były niejako idealną Treścią Polski, sprowadzim teraz do zmyslowych, że tak powiem, zdarzeń, z którychśmy je wybrali. Będzie to zawrotem od Idealu, porożzonego przez Rzeczywistość, do Rzeczywistości, mającej tenże potwierdzić Ideal.

\* \* \*

Polska poczęta w łonie Słowiańszczyzny i z niego urodzona na świat dziejów ludzkich. Jej stosunek do całej Ludzkości ściśle spojon z jej stanowiskiem wśród ludów słowiańskich. Naszem zdaniem, ona najdobitniejszą wyobrazicielką losu, im wszystkim wspólnego, ona ich dążeń zbiorowych najwyższym duchowym wykwitem. W niej te ludy mają świadomość swoją, w niej i przez nią obcują z człowieczeństwem i całą przyszłością. Na dowiedzenie tego twierdzenia trza nam wprzód należyte ocenić, na czem zależy historyczna Słowian osobistość — porównajmy więc ich z temi dwoma drugimi szczepami: romańskim i germańskim, które wraz z niemi od wieków Ląd europejski dzierżą.

Plemię romańskie, złożone z Włochów, Hiszpanów, Francuzów, a któremu ci ostatni przewodniczą, przechowało najwięcej podać ze starożytnego świata, iako też język, łaciń-

skiemu najbliższy. Ślad w niem pogańskiego hartu i pogańskiej praktyczności. Zawsze i wszędzie bardziej zewnętrznego, dotykającego kształtu, niż nieujętnej, wewnętrznej treści chciwe. To plemię szczególnie sięga celów doczesnych, w których żywioł świecki w oderwaniu od zaświatowego, wiecznego przemaga — a chcąc, co tylko pomyśli, natychmiast na oczy obaczyć, gardząc Ideą, któraby nie miała zaraz i odrazu w ciało się oblec, tem samem nie daje sobie czasu potrzebnego do obleczenia jej w ciało, jej odpowiednie — czasem znowu, wyczerpnawszy kształt jakiś zwierzęcy, a prześlępiając wieczną treść jego, z którejby następny wyprowadzić można, zarazem depce i po nim starym i po niej co młoda na wieki; tak się zdarzyło z Chrześcijaństwem całem podczas Rewolucyi francuskiej. — Stąd ciągła, bezspokojna, porywcza działalność, łącno przeradzająca się w gwałt i okrucieństwo. — Nauka o miłości bożej dojdzie w Hiszpanii aż do tortur Inkwizycji. — Nauka o wolności i godności rodu ludzkiego aż do gilotyn i rzezi we Francyi. W sztuce to plemię najlepiej pojmuje piękność klasyczną, miarę doskonałą, ale li zmysłowych, zewnętrznych zarysów. W religii niesyte obrzędów, czyli takż zewnętrżności zmysłowych. — Czy w złem, czy w dobrem do ostateczności skore, zarówno zdadne do roli, przemysłu i handlu. Sławą wojenną głośnie we wszystkich porach Historii, ono śród epoki chrześcijańskiej wyraża kierunek oderwany bytu, całą jego cielesną potęgę, a zarazem wyłączność i brak, dziejami swemi uwiadamiając po starożytnemu, ono stara się o ziemską posadę, o Rzeczpospolitą, w którejby prawo, z samej woli ludzkiej zrodzone, bez związku i zgody z niebieską, rządziło szczęśliwie rodu człowieczego losem. Można by je nazwać w najogólniejszem znaczeniu plemieniem politycznem.

Wtóre, germańskie, wbrew przeciwnego usposobienia, o kształt zewnętrzny mniej dbając, wewnętrznej treści się pilnuje — rozmaitością gardząc, o wykrycie Jedni idealnej



we wszystkim się stara, albo ją sercem wszędzie rozlaną uczuwa — a wtedy rodzi się w jego uczuciu rzewny mistycyzm — albo nad daną religią rozumuje, a wtedy w jego dziejach zdarza się Reformacya, albo też, daną odrzuciwszy, szuka innej, jedniejszej jeszcze, a wtedy w jego umyśle powstaje filozofia najidealniejsza, najoderwana i najmisterniej wypracowana ze wszystkich na świecie. Czy w tem, czy w owym okręgu, dość na tem, że zawsze tylko nad Ideą дума, marzy, przemyśliwa — zawsze w nią się zatapia, jak w jakiej wieczności, a o świecie codziennych zdarzeń i czynów rada zapomina.

Stąd umysłowe bohaterstwo, graniczące z szaleem, stąd i świecka uległość, sięgająca podłości nieraz. Protestantyzm w tej samej chwili, w której się z pod duchownej przemocy Rzymu wydierał, w której ogłaszał wolność myśli człowieczej, dał się ulowić w sidła władzy świeckiej, uznał królów i książąt papieżami swemi. Do dziś dnia król jeszcze zwolywa synody jego i każe im budować świątynię nową z przeżytych już żywiołów. Kiedy romańskie plemię raczej przystanie na niewolę myśli, byle w stosunkach świeckich wszelką wolność osiągnęło, germańskie łatwo się zgodzi na dotykalne jarzmo, byleby otrzymało niezależność myśli i prawo niepodległego w jej okręgach rozumowania. Papieża nie ścierpi za Alpami, ale każdego pana na własnej ziemi znosić cierpliwie będzie. Rozbrat, który z rozwojem chrześcijaństwa na świat przyszedł, uwiecznił się niejako i zosobił w krwi germańskiej — przejściowy rozłam między myślą a bytem, duszą a ciałem stał się jakoby właściwą tego plemienia naturą. Wszystko przeczuć, zapowiedzieć, wywieść i wszystkiego dowieść potrali — ale wszelkie wykonanie niesłychanym mu trudem. — Bierze się doń leniwo i smętno. — Czynami myśli wyprzedza innych, politycznemi zaś się ociąga i pozostawa z tyłu. Dusza jego poza wiekami przyszłości, a ciało daleko od niej się wlecząc wśród wieków przeminionych. Stąd ciągiły z Francją spór i tych dwóch tak sprze-

cznych skłonności długie nieprzepajanie się; w najogólniejszem znaczeniu nazwaćby można ducha germańskiego filozoficznym.

Śród tych dwóch plemion występuje trzecie, słowiańskie, nie goniące wyłącznie za doczesnemi przypadki, ni też fanatycznie zapatrzone w światło oderwanej od świata mądrości, a temi trzema szczególnie naznaczone piętnami: że wszędzie zatrudnia je uprawa roli, że od wieków uciska je przemoc obcego czy swojskiego jarzma i że głęboko wierzy w bezpośredni, nieustanny związek Wszechducha z Wszechświatem. Żyjąc śród niezmiernych pól, wielkimi miastami nie obwarowując się od natury, bardziej, niż inne plemiona, zatrudnione przemysłem i handlem, pozostali Słowianie w ścisłem połączeniu z wszędobytem bożym, po całej naturze rozlanym, a skądinąd ból, doznany przez wieki, przekonywa ich, że miłość bez czynów równie byłaby cczą i marną, jak czyny bez miłości okrutnemi i nikczemnemi. Cierpią, ale nadzieję mają, nie przystawszy w głębi sumienia na rozdział polityki ziemskiej od wiecznego pomysłu Bożego. Wszystkie ich najstarszytniejsze ustawy i obyczaje noszą znamię braterstwa, stowarzyszenia wspólnej pomocy. — Przed Chrześcijaństwem przyjęciem już w nich coś chrześcijańskiego — wielka cierpliwość, brak mściwości, przebaczenie uraz z rzadkimi wyjątki snują się przez całą ich historję. Choć bitni i dziarscy, zupełnie pozbawieni chęci zdobywcy. — Twórczość ich ani w sztuce, ani w filozofii, ani w przemyśle, ani w żadnych wynalazkach materyalnych nie wydatna, ale za to w najrozmaitszych kształtach społecznienia wewnętrznego towarzystw ludzkich widoma i wydająca inne porządki od obyczaju romańskich i germańskich ludzi; we wszystkich słowiańskich wykształtach przebija dążenie do zapewnienia najrozleglejszej wolności każdemu osobnikowi, a zarazem jednak do najwালniejszego skupienia sił ich spolem w jedną zbiorową, dążącą do jednego celu. Ta właśnie twórczość społeczna, w najdrobniejszych żyłkach i włóknach organi-

zmów narodowych składająca swoje utwory, uratowała narodowości słowiańskie, mimo, że każda przechodzi przez chwilę, w której wygląda na spożytą, rozsypaną, zmarłą.

Obdarzeni więc Słowianie raz zmysłem zawiązywania się w braterstwa zbiorowe powtórę wiarą w każdochwilne wywieranie się bożej opieki, nieśako w ciągle obcowanie potęg niebieskich z świeckimi i stąd głęboką bogobojnością przejęci. Zatem już w ich rodzinnem usposobieniu tkwią owe dwa główne przykazy, zakon cały zawierające, zawsze dotąd w dziejach rozdzielane, choć je razem i nierozdzielnie Chrystus objawił, a które zarówno obowiązują i do miłowania Boga nadewszystko i do kochania bliźniego w równi z sobą samym; choć na nieskończoną ilość rozmaitych kształtów ten przepis dwoisty, a jeden, rozgałęzić się może, jest on jedyną, wieczną, tąż samą treścią wszelkiego żywota, jest spójnią wszystkich żywych pomiędzy sobą i wszystkich ich razem z wszechżywym Duchem. Jest właśnie Religią, bo wiąże, spaja, »religuje« wszystko, co tylko jest i być może. Dlatego też można plemię słowiańskie w porównaniu z politycznem, romańskiem, i filozoficznem, germańskiem, oznaczyć mianem religijnego — a to właśnie w owem najobszerniejszem i najdopełniejszym znaczeniu, które nie dopuszcza rozdziału między prawem bożem w niebie a ludzkim na ziemi, ale owszem, w jedną sprawiedliwość i ład godzi wszelki byt z wszelką Ideałnością, wszelki świecki porządek z wszelkim duchowym, państwo z Kościołem, politykę z chrześcijańską miłością, wszystko, co jest, z tem, co być powinno.

Już za czasów Chrystusa rzymscy mędracy i statyscy przyzywali takie pojęcie święte Królestwa bożego albo utopią, albo też ciemnotą, a samych chrześcijan darzyli imieniem: *Lucifuga natio*.

Za dni naszych szczere, niewymuszone czucie słowiańskie, zawierające w głębiach swoich przeczuciową dążność do urzeczywistnienia takowych pojęć, podobnież od mędrców

germańskich i romańskich statystów potępione, wyśmiane, okrzyknięto za utopią lub prostoduszność. Wistocie, do pewnej chwili w czasie, do pewnego rozwoju w umyśle ludzkości, zawsze wszelkie proste, niespaczone uczucie prawdy wiecznej bywa jakoby szaleństwem lub niedołężnością. Doznawa losów niewinnego człowieka, otoczonego mnóstwem rozbójników, którzy, w jednym z nim więzieniu zamknięci, nie mogą zasad jego pojąć i nawet jednomyślnem ich zaprzeczeniem serce mu i rozum w końcu mieszają. Dotąd źle, po świecku się wyrażając, kończyły ludów się słowiańskich koleje; ponad ich dziełami panowało ciągle ono Fatum, które łagodnych i cichych prześladowe na ziemi, nim ziemia według słów Chrystusa dostanie się pod zarząd łagodnych i cichych. Prócz Moskwy nie urządziły się w twarde i srogie nazewnątrż mocarstwa, nie zagarnęły i nie wpołyły w siebie innych plemion, zbywa im na portach, na ludnych miastach, na giełdach, na zakładach i fabrykach wszelkiego rodzaju, na wszystkich bogactwach, wygodach, korzyściach, rozkoszach, któremi się cieszą inni na świecie. Na stanowisku li praktycznem, nie pytającem o nic dalszego nad potoczny, obecny wypadek, możnaby wyrzec, że nie udało się im na kuli ziemskiej, i dodać, że są: *Lucifuga natio*. Ależ w tem właśnie moc ich cała — oni naipóźniej wstępują w świat. Nieudanie się przeszłości, a zatem zachowanie istoty i wzrost życia codzienny wykazują przyszłe powołanie, ze wszystkim zgodne: i z chwilą, do której doszła świata historia, i z żywiołami, danemi z Łaski bożej, głęboko w ich charakter plemienny wkorzenionemi. Co przygotowało plemię romańskie i germańskie, każde zosobna i sprzecznie, to skojarzyć, to natchnąć iskrą życia przychodzi słowiańskie. Sprawiedliwość na ziemi nie już marzyć ani też gwałtownie próbami na chybi trafi rozprawadzać, ale osadzić i utrwalić przychodzi.

Tu porozumiejmy się jaśniej, rozprawmy się szerzej! W świecie osadzić i utrwalić to tylko można, to jedynie

przez co świat sam osadzon i utrwalon — prawda tylko przyjmuje się naprawdę. To tylko życiodajnem, co twórczem, a twórczem to tylko, co zaczerpnięte u źródeł, w których i cały nastrój Wszecbstworzenia. Rozstrzygnęłyż kiedy rzeczywście i spełna losami dziejowemi rodu ludzkiego Polityka lub Filozofia? — Kiedy kazano wiekom iść przez czas na przebój, iść naprzód w krwi i pocie czoła na zdobycie dobra, oświaty, postępu, kogoż usłuchały wieki? Platona-ż? Nie — stały na miejscu, póki namawiali tamci — ruszyły dopiero za Chrystusa skinieniem.

Co może byt, oderwan od myśli? Co potrafi myśl, oderwana od bytu? — Nie są sobą samemi, jakżebyż z siebie stworzyć co zdołały? Pełni żywota nie urodzi ni przebiegłość dyplomatyczna, ni najdzielniejsze bohaterstwo wojenne, ni żaden przypadek, okoliczność, wydarzenie na polu praktycznem, słowem żadna polityka, bo jej zbywa na świadomości ostatecznych powodów i celów i sama się przecież Trafu ślepego wieczną igrą uznaje. — Nie wyda też owej pełni z siebie żadna wiedza li idealna, żaden pomysł li teoretyczny, żadna filozofia; bo choć świadoma powodów i celów, pozbawiona władzy ich wcielania, bo pojmuje wszystko, ale w żadnem zdarzennem ruchu nie bytuje, bo nareszcie wieczną jest niewolnicą nie ślepego trafu wprowadzie, ale nieublaganej konieczności — konieczności własnego rozumowania — i im wynikliwiej, począwszy od wyłącznej zasady, ją przeprowadza, tem srożej się obłąkiwa. — Tym dwom rozkładnicom życia — temu, że tak powiem, ciału przedmiotowemu i duszy przedmiotowej Historii, czegoś nie dostawa, czegoś trzeciego na to, by mogły przyjść do siebie i przepoić się nawzajem w jedną całość żywą — przecież i w osobniku najwyższą potęgą ni ciało, ni dusza, ale on trzeci duch, co sprzęga je razem, z którego one są, a u których on żyje! — W nim dopiero osobistość, wolność, wola i, z niej płynący, stworzenny czyn. — Otóż w przedmiotowym świecie takim duchem, taką Jaznią — taką osobistością twórczą ni Polityka, ni Filozofia,

ale Religia — inaczej być nie może. Cóż dziwnego, że ta tylko potęga ostatecznie stwarza, której istotą jest związek i obcowanie Duchów stworzonych z Duchem Stworzycielem? Bez niej tamte obie wyrzec skutecznie słowa »stań się« do żadnego okresu historycznego nie mogą. — Ich właściwym trudem gromadzić przez wieki przybory, do chwili stworzenia potrzebne, lub na gruz dawnych epok rozkładać zwaliska. Jako ciału i duszy każdego z nas za długie prace najwyższą nagrodą zdarzona w Duchu chwila natchnienia, chwila nieobalalnych postanowień, możność do wielkiego czynu, tak samo polityce i filozofii w świecie historii za długie zasługi na polu czy zdarzeń, czy myśli, najwyższą nagrodą objawienie religijne — możnaby powiedzieć, że Religia jest genialnością planety — w tej tylko chwili, w tej jedynie do serc skończonych, jak grom zstępuje nieskończona miłość i wszelką moc polityki z wszelkim filozofii umem przetapia w jeden płomień razem. — Co bez miłości stać się może? Co bez miłości czy duchowi ludzkiemu czy archanielskiemu jakiemu się uda? — Ona ciału użycza lekkości myśli, myśli nadaje bytową dotykalność ciała — wtedy dopiero coś wykonać, czegoś dopełnić, coś zbudować można.

Plemieśmy słowiańskie religijnem nazwali, bo się nam zdawało, że właśnie takowa miłość nie tylko chwilowa, znikoma, ale ciągła, ale ubyttniona, tkwi rodzimie w jego usposobieniu. — Dotąd żadna zbiorowość ludzka sama przez się, z przyrody swej, z charakteru swego, Religijnością przedmiotową nie była. — Zdarzały się tylko takie polityczne lub filozoficzne ogóły, a religia tylko, jak błysk, rozświecała świata ciemności i przemijała — nie osadziła się nigdy w żyłach, w muszkulach, w krwi, że się tak wyrażę, ludu jakiego. — Co nią nie jest właśnie, a ją udaje i przedrzyżnia, Fanatyzm tak działał — wcielał się w Arabów, nienawidził, mordował i niszczył — ale miłość wiekuista, miłość chry

stusowa nigdy dotąd — i dlatego też wszechmyśli chrystusowej na świecie, uprzedmiotowanej w państwie jakim, w jakim świeckim nastroju, nie było. Szczep słowiański na pierwszą taką urzeczywistnioną Religijność wygląda i rozwój jej pełny z siebie zapowiadać się zdaje. —

*(Reszty brak).*

---

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO TRAKTATU  
»O TRÓJCY W BOGU I O TRÓJCY W CZŁO-  
WIEKU«.

---

Str. 44. Jazń — pierwiastek osobowości (od: ja).

Str. 44. Logos (greckie) — słowo, por. początek ewangelii św. Jana: »Na początku było Słowo«.

Str. 45. Sobór nicejski (325 r.) — ustanowił zasady dogmatyki chrześcijańskiej.

Str. 46. Św. Augustyn — jeden z Ojców Kościoła (353 † 430).

Str. 48. Transfiguracya — Przemienienie Pańskie na górze Tabor.

Str. 54. Odwrotnica — zjawisko, przeciwne temu, które było przedtem, inaczej: antyteza.

Str. 55. Widomić się — stawać się widzialnym.

Str. 57. Przedmyśliwać — myśleć naprzód, odgadywać.

Str. 57. Przenadziejować — przepędzić w nadziei.

Str. 58. Requiem aeternam (biernik od requies aeterna) — spókoj wieczny (łac.), pierwsze wyrazy mszy żałobnej.

Str. 58. Vitam aeternam (biernik od: vita aeterna) — żywot wieczny (łac.).

Str. 61. Atrakcyja — ciągnięcie powszechne.

Str. 62. Genesis — pierwsza księga Starego Testamentu.

Str. 67. Generał-bas — sposób czytania pewnego rodzaju nut muzycznych.

Str. 83. Bóstwić się — być uważanym za bóstwo.

Str. 84. Hebreje — Hebrajczycy, Żydzi.

Str. 86. Prawowłara — prawa, prawdziwa wiara.

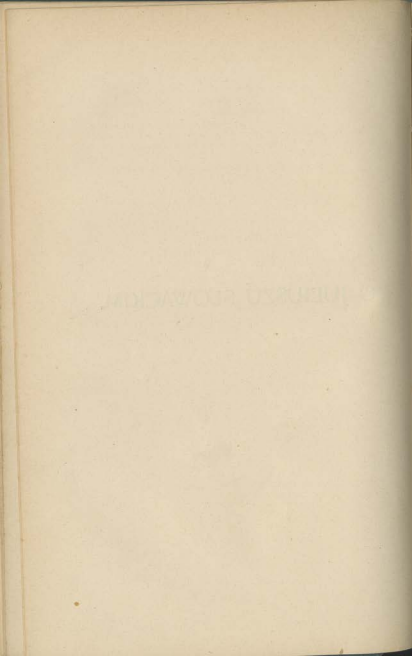
Str. 87. Hildebrand — nazwisko rodzinne papieża Grzegorza VII (1073 † 1085), reformatora kościoła.



- Str. 103. Odtajemniczyć — odkryć tajemnicę.  
Str. 107. Jednia — Jedność.  
Str. 109. Wszędobyt — wszechobecność.  
Str. 110. Statysta — mąż stanu, polityk.  
Str. 110. Lucifuga natio (łac.) — naród, uciekający od światła.  
Str. 112. Zdarzenny ruch — ruch zdarzeń, objawów zmysło-  
wych.  
Str. 113. Nieobalalny — taki, co obalić się nie da.

*O krytyce w ogółności!*

O JULIUSZU SŁOWACKIM.



Krytyka jest siłą o dwóch kierunkach. Jeden nazwałbym dodatnią, drugi ujemnym — pierwszy albowiem uznaje i podziwia czyli twierdzi piękność, drugi przeczy ją, czyli brak jej wytyka i wykazuje, czemu to, co szpetne, nie domaga i w chorowitości swojej, choć stara się o piękność, właśnie jest niedopięciem jej, a tem samem jakoby niedorównoważeniem chęci i skutku, niestozsamieniem pomysłu i urzeczewiszczenia; — niedolęzną na wieki pozostać musi każda krytyka wyłącznie tylko ujemna, zapatrzona ciągle w brak piękności, tak, jak ślepy człowiek w brak światła — bo wytyka tylko próżnie, nie zapełnione życiem, a od życia twarz odchyła, jakby jej właściwym celem było budować gmach powtórny z wszystkich rozsypanych ułomności, wad, błędów i brzydot po świecie, kiedy owszem jej świętem powołaniem przykładać się do wzrostu i uzupełnienia tego drugiego, podpowietrznego gmachu, który unosi się ponad światem, a jednak z świata jest i świata się trzyma, jak kwiat wierzchni dolnej łodygi, jak malowne chmury widnokregu planety, jak stan boski Ducha stanu podrzędnego duszy ludzkiej — tego gmachu, mówię, coraz rozleglejszego i wyższego, rosnącego w nieskończoność, a w którego kształty widome sztuka wciela od wieków i na wieki niewidomą ideję piękności.

Coś pięknego ujrzeć, ocenić i uznać jest jedną z najwyższych ducha rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie

zwykle krytycy; — zajadle, pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swojej kierunku. Ten wyłączny kierunek nie za część, za środek, ale za całość, za cel uważają; — gnani tej pomyłki wiatrem, gdy wysuną się z portu, gdy rozpuszczą żagle, płyną wprawdzie, ale po wielkiej nicości.

Otóż w niniejszej rozprawce postanowiliśmy, naprzekór im, a na pociechę nam samym, trzymać się dodatniego kierunku — postaramy się, mówiąc o wielkim duchu poetyckim, któremu na imię Juliusz Słowacki, raczej wytknąć, w czym zasłużył się piękności, niż w czym przeciwko niej zgrzeszył; niemasz albowiem na tej ziemi znikomych ani życia bez grzechu, ani dzieła sztuki bez pewnej niedoskonałości, już stanowiącej, że tak powiem, koniecznością swoją tragiczność wewnętrzną samego dzieła. Ta tragiczność wewnętrzna dla artysty, gdy zanadto na jaw wysunięta, staje się komicznością dla widzów. Lecz my daleko tu stoim od wszelkiej takiego rodzaju śmieszności, owszem zdaje się nam, że w dziełach Słowackiego mimo wszelkie ujemne, przeciw nim wysypane krytyki, jest taka miara prawdy i piękności, że przez tę miarę ich wady zbawionemi i odkupionemi są — a gdzie zbawienie i odkupienie, tam życia zwycięstwo.

Lecz oddzielnie pojąć i ocenić Słowackiego nie sposób — nie tylko Słowackiego, ale nic na świecie, bo wszystko zaszuwa się na siebie, bo każdy szczegół, choćby wyglądał na całość, jest płynącą częścią wyższej całości. Słowackiego rozumieć można tylko w logicznym następstwie po Mickiewiczu, tym ogromnym *fiat lux* literatury polskiej: zatem zaczniemy *ab origine rerum*.

Przed Mickiewiczem — daj Boże, byśmy tą książką dopełnili pomyłkę — przed Mickiewiczem, ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce. Leżały tylko nagromadzone materyały, w takim się do niej mające stosunku, w jakim chroniki, biografie i pamiętniki mają się do pra-

wdziwej historii. Polska, póki jej sił stało, hasała na zewnątrz polu życia. Czy w domu gospodarząc i biesiadując, czy na sejmach radząc i deklamując, czy na pobojowiskach walcząc i zwyciężając, w czynie nagłym, doraźnym, widomym zawsze się kochała. Dopiero na ścieżce do grobu poezya się przed nią, jak kwiat, wykluwać zaczęła, na samym grobie zaś z pączka przemieniła się w stulistną a czarną różę, dziwną i ponurą wśród róż wszystkich. W tym kwiecie śmierci i życia zarazem barwa posępna świadczy, że z prochów wyrósł, że na gruzach rośnie, a coraz bujniejszy wzrost objawia, że żaloba nie jest nicością, że ból nie jest ostatecznym końcem i że z bólu zmartwychwstaje duch.

Czyn, którym duch nasz się objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem. On pierwszy z odmetu rozbujających fluktów, mówiąc Krasickiego mową, odgarnął polską ideę piękności i w kształt organiczny ją oblekł; potrzeba mu było na to tego, co jest treścią i zasadą w każdym tworzeniu, potrzeba mu było olbrzymiej, wewnętrznej, rodzimej siły czyli energii. Siłą tylko skupiań, siłą dośrodkową, można niewidome zamienić na widome, to, co jest, ale bez ciała, zmusić do obleczenia się w ciało, a tem samem do objawienia się; stąd w średnich wiekach wyobrażenie o potędze nadziemskiej czarnoksiężników, tych praktycznych poetów, których zaklęcie kulo duchy niewidzialne w kajdany kształtów widomych; otóż podobnie zaklął Mickiewicz polskiego ducha poezyi i, jak Tytan, skupił go objęciem ramion, ścisnął go w żelazny pierścień natchnienia — a duch stał się dotykalną pięknością. Wszystko, co wprzód, rozlane lub rozbite, pływało niesfornie lub opadało prochem, zeszło się w kształt sforny i rozumny. Stał się grunt poezyi naszej, opoka wewnętrzna tego intelektualnego planety wychyliła się na jaw. Czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła —

w nich nadewszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wciągnięcia i twierdzeń, wola i czucie i wiara; one są granitowem jądrem naszej literatury.

Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednym tylko wcieleniem się żyje. Gdyby przestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stałby się nierozdzielnością, skupiłby się w punkt jeden. Czemże byłby planeta, gdyby drugiej siły przeciwnej, siły odśrodkowej, nie miał także w sobie? Jako pierwsza z łona niewidzialności go wywiodła, przybiła do przestrzeni, wkuła w byt, uczyniła wielką i poważną rzeczywistością, groźną, podniosłą, arystokratycznie, że się tak wyrażę, zjednostkowaną i różną od wszystkich innych, tak owa druga mu przypomina, że z nieskończoności jest i w nieskończoność wrócić ma, rozdziela to, co płynne i lotne w nim, od tego, co zsiadłe i twarde, przemienia go po połowie w atmosferę rozszerzalną, górną, niebieską i na jej wysokościach coraz go lotniej grą światła, pędem elektryczności rwie i rozbiera, wołając wśród grzmotów: «Wszystko tem samem — wszystko równem sobie — wszystko ku temu samemu, przemijając, dąży». A gdy tak, grzmiąc, woła, z republikańską ironią pisze światłem błyskawic na wierzchołkach granitu, na planety skroniach: «*moriturus*».

W każdej żywej, wielkiej całości te dwa kierunki razem istnieć muszą — ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem; mogą wprawdzie w danym czasie na danym miejscu przybrać pozór walki — ale to zawsze doczesnem, nie wiecznem, cząstkowem, nie powszechnem zjawiskiem. Całość albowiem jest zgodą, nie bójką, pojednaniem, nie rozdziałem, dobrem i prawdą, nie złem i fałszem, i to, co walczy z sobą na tym padole, tam, ponad wszystkimi padolami, w górze — ale nie w przestrzeni, jedno w górze pojęcia, w niebie ducha — wiąże się i zlewa razem w wielkie światło i w pokój serdeczny.

Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła

Słowackiego, że w nich się objawiła ta druga konieczna, odśrodkowa siła, siła odwcielań i zaprzeczeń, której pęd, poczęty z dołu, a bijący ku górze, stara się, jak muzyka, ciąglem drganiem cząstek i roztapianiem kształtów wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ducha ku niewidzialnemu światu nieskończoności. Zaprawdę, w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija; onaby chciała, gdyby przemódz mogła i jedyną stać się panią świata, wszystko we wszystkim stopić i porównać — samaby się rozwiała własnymi skrzydłami, utonęłaby i zaginęła w tem, ku czemu dąży, wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu, jak w otchłani.

To, co ona ukochała, nigdy przy niej, nigdy z nią nie przebywa, ale coraz wyżej i błędniej i dalej ciągnie ją za sobą; każde stanowisko ona musi przekroczyć, każdą formę podnurtować i do pryśnięcia przymusić, i jej samej ostateczną formą jest jej treść własna, jest to, co stanowi formę oceanu, to, co rozprężliwość światła, to, co falistość elektryczności: żądza wieczna, ruch nieskończony.

Czem więc w naturze płynność i rozmdlewanie się, czem tęczy koło wodospadów umizgi, czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, by przepaść i znieznacznąć, ale nie w nicości, jedno w niebie; czem błysk łusk, zakalających się na piersiach węża, czem przewrotność barw na tle opalowej białości, czem szmery rozmarzonych strumieni i szum daleki morza, czem gwary mnóstw wszelkich, nierozpoznalne, a wsiąkające w duszę, jakby prosto szły z wieczności — czem owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie, z piersi ludzkich uwolnione, już w niebo wstępowało, słowem, czem to wszystko, co już prawie zewnętrznego kształtu się pozbyło, lecz natomiast samą iścizną natury swojej prawie dotkliwie wyraziło — tem się nam marzy, że jest poezya Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misternej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek. Jej ogół



zaś, przez to właśnie, że siły odwcielań jest formą, jakom już wyżej dotknął, ma za formę ciągle pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie i utrzymuje się następstwem tych znoszeń, raczej ruchem ciągłym niż postacią, tak, jak muzyka. Stąd ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty, nawskróś idealny. Stąd podobieństwo do tego, co Niemcy, przejąwszy od Anglików, przewali »humorem«, czyli rodzajem, w którym mistrz stawia się na stanowisku panteistycznego Boga i ciągle stworzenia własne, jakby sny znikome, budując i rozwalając zarówno podług widzimisię swego, te ich wschody i zachody tragicznie lub komicznie, *serio* lub *buffo* uważać może.

Któż naprzykład czytając »Szwajcaryą« i »Anhellego«, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha nie zostawią po sobie jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że, co światłem było, już nie jaśnieje, co różą, już się nie czerwieni, co lzą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska — ale tylko na ziemi, na tych murawach zwiędnięcia, bo owszem znać, czuć, objawionem to głębiom ducha jest, że te wszystkie groby i kwiaty i lutnie i szable popłynęły wyżej — o! tam gdzieś uleciały, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej harfy rwą się dźwięki i okąd śnią każdej trumny marzenia.

»Balladyna« innego gatunku jest utworem; w niej poeta chciał wskrzesić pierwszą zorzę tego życia, którego koniec opisał w »Anhellim«. Łatwiej śmiertelnemu o śmierci, niż o rodzeniu się śpiewać. Śmierć przynależy się z prawa człowiekowi, tak, jak życie Bogu; przecież i Dantowi bardziej doma było w piekle, niż w niebieskich podniosłościach. Mimo tę trudność, już w samym pojęciu rzeczy zastrzegłą, wydaje się nam, o ile nam czucia i myśli starczy, że »Balladyna« odziana szatą niepowседневnej piękności — nowy to zupełnie utwór na widnokręsie polskim; każda nowość razi,

obraża nawet, zanim da się rozpoznać. Żadna nie odjęła się temu losowi na świecie. Dotąd też »Balladynę« ujemne tylko obarczały krytyki.

W tem bogi uśmiechnęły się łaskawie greckim plemionom, a później germańskim, że im dały epopeę wczas; co się wczas zdarza, bywa zawsze wielkiem i prawdziwym, co przed czasem, nosi zwykle znamie szalu, a co po czasie, niestety, komiczności. Niepodobna odwlec rzecz o tysiąc lat i żądać po niej, by w zupełnie rodzimych barwach, w pierwotnej świeży, w nietkniętem dziewictwie na jaw wystąpiła; nie winą Słowackiego, że nie żył za dni Popiela, raczej winą czasów popielowych, że miasto szczurów i myszy nie porodziły wielkiego gęślarza, wieszczą, któryby, wiążąc słowiańskie plemiona, jak struny, w olbrzymią harfę epopei, był uwiecznił kolebkę naszą tak, jak Homer Grecyi kolebkę, tak, jak Nibelunga śpiew Germanii początek, tak, jak *Divina Comedia* katolicyzmu wiarę. Dziwny, bardzo dziwny los dostał się nam w udziale: umarli dopierośmy ściągnęli rękę do harfy! Wprzód miecz nam był jedyną harfą, aż dziś harfa stała się mieczem jedynym. O to skarżmy na nas samych lub na Bogi, ale nie na poetę, bo on się urodził w innych czasach, on, gdy śpiewa o Popiele, choć staje się Popielem, nie może być li tylko Popielem.

Do Popiela dodajcie dziesięć wieków cywilizacji zachodniej. Z tej sumy dopiero powstanie barwa popielowa, można w duchu Słowackiego, a kiedy wśród tej luny światła zupełnie różnego, wstawszy z grobu nad Gopłem, przechadza się Popiel, niepodobna, by kolor jego właściwy nie gryzł się i nie ujadał z barwą otaczającej atmosfery, z duszą, oblewającą go, poety. Ta sprzeczność wyradza się w ironią, bo poeta sam wskrzesza zapomnianego, a gdy go wskrzesi, czuje, że ma nad nim władzę życia i śmierci bez końca, że go może sto razy z mogiły wywołać i nazad sto razy do mogiły zamknąć. Tak z Achillesem, tak z Sygfydem niepodobna sobie wszechwładnie postąpić, bo Homer, bo duch

skandynawskiej Eddy stoi tam nad niemi w przeszłości i świadczą im i strzegą ich na wieki. O nich dziecię każde wie, że na pół-Bogów wyrosli, a o transfiguracyi Popiela kto słyszał?

Więc obejście się Słowackiego z majestatem nadgoplańskim nie tylko pochodzi z dążeń samego mistrza, ale głębiej jeszcze zapuszcza korzenie w nieodbitą konieczność, która przymusza poetę do igraszkowania z tem, co przeszło, a, przechodząc, nie zostawiło posągu po sobie.

Humor, czyli ciągła mieszanina tragiczności i komiczności, wystąpić tu musi jako siła tworząca. Wszystkie wady i błędy, zawarte w nierozpoznalnej jeszcze i nierozwiniętej postaci Popiela przed dziesięcią wieki, a ciągiem tych wieków rozwinięte i dziś przeświadczone o sobie samych, zamieniają się w dyabliki, w gromy, wciela się w groteski, przychodzące pisać koło tegoż Popiela. Co z niego się wymknęło, bo się wymknęło i temu nie poradzim, musi zewnętrznie stanąć przy jego boku w widomej formie, tak, jak w historii następnie uwidamiało się, ale nie w poetyckiej, jedno w ludzkiej, rzeczywistej instytucji i wypadków. Wyjdzie zatem na tę scenę pośmiertną i już przegraną król Popiel zarazem tak, jak był wtedy i jakim się sam widział, i taki, jakim się stał później i jakim go wie poeta. Co tu mówim o Popielu, rozumie się oczywiście o całej treści tych czasów pierwiastkowych, których nikt nie schwycił i nie uwiecznił pod ściśle odrąbaną formą, kiedy przelatywały, a z których, wiemy jednak, żeśmy wyszli, my i wszystko nasze, i to, co nam życiem, i to, co nam śmiercią, i to, co nam chlubą i to, co nam kałem, i to, co nam wielkością, i to, co nam próżnym blichtrzem jest.

W »Balladynie« dwa światy, pierwotny sławiański i dzisiejszy krytyczny, który nosi na sobie napis *consumatum est* — płaczą się i spajają nieustannie. Ta przemiana kameleonowska, ta zdrada migów i przemigów, ta rozpryskliwość baniek tęczanych, słowem cały »Balladyna« koloryt już

sam w sobie stanowi formę, wiążącą tych światów różnice — a te różnice zetknęły się z sobą rzeczywiście, ale nie w zewnętrznej realności dziejów, tylko w wewnętrznej, sumienia samego poety. Gdzie ciągle dwie sprzeczne siły działają, tam nie kształt epopeiczny, posagowy, ale dramatyczny, ruchomy powstanie. Dlatego też *«Balladyna»* jest dramatem, ale takim, w którym nie tak osoby z sobą walczą, jak raczej dwie epoki, z których dawniejsza ciągle pragnie się objawić majestatycznie, a późniejsza zrywa jej koronę z czoła i sądzi ją sądem potomnych, tak, jak niegdyś mumię królów egipskich sądzili kapłani egipscy.

Typy jej wszystkie są szczerze polskie; któż nie uczuje, że wieczny szlachcic przemówił ustami znikomego Kirkora w tym wierszu:

»Czemu nie było mnie tam na Golgocie  
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą?  
Zbawiłbym Zbawcę! . . . . .«

Kto, patrząc na samą Balladynę, nie przypomni sobie, jakby echem wiekowem, słów Żółkiewskiego o nieszczęśliwej Marynie:

»Nadewszystko chce się babie carować«.

Któż w Grabcu nie pozna karczny polskiej żywej, chodzącej po świecie pod ludzką postacią? Starożytni podobnie ogólne pojęcia lub szereg dziejowy zdarzeń wcielali w postaci osobne, ludzkie. Mitologia wysnuła się z ogólnej władzy takiego wcielenia, wspólnej całkiem ludom. Mity wtedy rosły, jak ogromne drzewa i skały pierwotnego świata, jak organizmy, które sama natura wyprowadza olbrzymio i poważnie z siebie. Dziś inaczej — dziś pojedynczy człowiek, dziś sam poeta musi mit cały ukształcić, a, kształcąc go, wie o nim. Zbysław więc tej krystalizacji zawsze będzie na tej rodzimej harmonii, na tej świętej choć ślepej wierze w siebie samą, na tej powadze i niewzruszoności starożytnych form, które, o sobie nie wiedząc, nie mogły i o sobie

wątpić. Znów tu pierwiastek uśmiechu, jak sam Słowacki się wyraża, ariostowskiego wydobywa się na jaw i »Balladyna«, tym wyrazem przepojona, wiąże się z ciągłych wi-bracyi, jakoby długi łańcuch woni i iskier i dźwięków, przesu-wający się na wzór Goplany, uwiązanej u taśmy z żó-rawi, a topniejący w przestworach niebieskich.

Ale co w »Balladynie« wygląda nam na głęboką ge-nialność, na wewnętrzną energią sztuki, to jej wysnucie i wy-prowadzenie z kilku wierszy pieśni gminnej. Jak najbuj-niejszy kwiat z marnego nasienia, tak ona z jednej zwrótki wykluwa się, plemi, wstuliścia się i płonie, aż znów ją ogień niebieski pożre, aż, wyszła z niczego, z niewidzialności, wróci w niewidzialność. Niechaj tu nikt, gdy mówim z ni-czego, nie posądza nas o myśl, czyli raczej niemyśl ni-cestwa. Nicestwo jest grubym, niepojętliwym fałszem — ale to nic, skąd wszystko wyrasta i do którego wszystko wraca, stanowi tajemnicę nieskończoności. Jest to właśnie to, co jest, a samo z siebie jest, nie zaś z żadnej cudzej folgi lub zewnętrznego powodu.

W »Lilli Wenedzie« chciał nam stworzyć poeta Anty-gonę sławiańską — i zaprawdę, ta córka królewska z wian-kiem białych kwiatów na skroni wygląda niewinnie, a po-sępno. O Lillo Wenedo, poskarż się temu, który cię w ży-cie i piękność przyodział, że cię przymusił stąpać po ścież-kach, któremi chadzał biskup Gwalbert! Biskup, naszym zda-niem, podobny do mnicha dzisiejszego, ale żadnym prawem do owych olbrzymów ducha, co w pierwszych wiekach ko-ściola tak samo po borach Germanii i Sławiańszczyzny rwali się za pasy z wiarami dzikich plemion, jak dawniej niegdyś olbrzymy ciała z potworami natury. Lecz skądinąd, o biała dziewczyno, podziękuj mistrzowi za braci — patrz, Lillo, wszystkie harfy rodu twojego ogłuchły, wszystkie trumny wasze darń lasów pokryła! Dwa imiona tylko doszły nam uszu: Lelum, Polelum. Oto jedyny dźwięk, pozostały z ję-ków tylu. Żebyś ty wiedziała, Lillo, co z tą jedyną pamięt-

ką po was wyrabiali uczeni, kronikarze, historycy, pedanci, poeci — struchlałabyś, drugi razbyś się rozplakała za całym ludem twoim. Darmobym ci opowiadał wszystkie ich domysły, twierdzenia, hipotezy, Kastor i Polluks. Powiedz, Lillo, prawda? nie rozumiesz? Wiedziałem, wiedziałem, o biedna i prześliczna, że te imiona nie obudzą w twojem sercu żadnego wspomnienia! Lecz kiedy wstaniesz z grobu w noc miesięczną, kiedy staniesz na leśnem rozłogu cała przejrzysta księżycem, o, ty, nieskończona liczbo konwalii, w jedną przesnutych dziewczynę — i kiedy spojrzysz mi ciekawie w oczy, a ja ci powiem, że z Lela i Polela wydobyl mistrz dwóch starożytnych bohaterów, przywiązał ich łańcuchem, kazał im się bić razem, a nie razem umierać — gdy pierwszy poległ, rzucił jego ciało w objęcia brata, i tak obarczony drugim sobą poszedł brat żyjący ku stosowi, na którym wasze wszystko, wasz świat i wiara wasza w dym się obróciły; wtedy ty się rozrzewnisz w prawdzie pamiątek i krzykniesz nagle: »Tak było, to brat mój!« i, odchodząc nazad do grobu, dodasz: »Niechaj zatem przestanie wyrzekać na mistrza dusza moja, że ją z tym starym Gwalbertem poplątał!«

Ze wszystkich poematów Słowackiego najdoskonalej wcielony, najściślej obrąbiony jest »Ojciec Zadżumionych«, choć mu tylko granicą obszar pustyni, a formą ciągle także śmierć. Jeśliś widział rysy Laokona, czytając to poema przypominisz je sobie. Jeśli ci kiedy włosy powstały przed Ugolinem, pożerającym czaszkę arcybiskupa w piekle, tu po drugi raz rość ci i drzyć zaczną na głowie — a jednak ani u rzeźbiarza greckiego, ani u tokańskiego Gibellina w niczem nie zapożyczył się polski poeta. Oni ból ponad wszystkie bóle wydali plastycznie, Słowacki, jak zwykle, raczej następstwem muzykalnem, niż kamienną postawowatością; a wśród tych poetyckich akkordów odzywają się tak mądre, tak głębokie, tak zarzynające duszę, że musisz rad nie rad po każdej łzie wylanej krzyknąć: »Wielki poeta!«

Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim, jak przedzą, i z niego, jak z materiału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i przemagająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle, jakby falami, o granicę wszech rzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć. Nikt tak smukle, gibko, fantastycznie po polsku nie pisał; pokora, z którą wiersz mu niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo; na króla nam wygląda, kiedy zacznie mówić polskiej rozkazować. Biegają k'niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce — każe im płynąć, a płyną, więc się powoli, a pełzną, wzlecieć, a wzlatują i lecą, jak orły. Co krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów tam w każdej chwili rodzi się, przemija, umiera; aż prosi się język o folgi nieco, ale napróżno: mistrz go ujął i nie puści. Musi się on pod jego twórczym tchnieniem rozrabiać i przerabiać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać, od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co, jak nóż ostry, pada i utyka w sercu; wszystkie możliwe dyssonanse on przeprowadzi i rozwiąże — nic mu pod tym względem niedostępnego — nic, przed czemby myślał się cofać — i w tem nigdy nie znać ni pracy ni wymusu. To natura jego przezdziwnie giętka, co, wewnątrz ciąglem rozruszona drganiem, nazewnątrz snuje się przegubami. W czarnoksiężstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym rzadko kto.

O ileśmy sobie zamierzili, oceniliśmy dodatnim sposobem dążność i formę tego precydnego, choć nie we wszystkim, pisarza. Gdyby kto tę dodatnią krytykę naszą zlał w har-

monią z mnóstwem ujemnych, pisanych lub wyrzeczonych o nim, możeby z tego wzajemnego przepojenia prawdę całą wyprowadził. Zarzucają zwykle Słowackiemu brak całości, mówią, że ducha swego nie ściska dość w karby, że mu żelaznych, rozpoznalnych dość granic nie stawia. Ależ właśnie to wypada z tego, czem on jest, ze specyficznej jego natury, która odbija jedną z stron wszechświata — nie rzeźbiarzem, ale muzykiem się urodził, a w tej jego muzyce niesione nutami Beethovena, płyną farby Correggia, farby Rafaela. Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie? czemuż go wyglądacie wy, wśród których on się już objawił? — nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem, odwróćcie się ku dniom, co ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam — jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posąg wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię: *»Pan Tadeusz«*, imię drobne i marne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeę — na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem; nie żądajcie zatem, by to, co się już stało, dopiero teraz zaczęło się stawać. Słowacki nie mógł być tem, czem nie jest, tem, co się przed nim odbyło. W logicznem rozwijaniu się sztuki polskiej on jest drugim momentem, a zatem różnym od pierwszego; idea tylko żywa i mająca dalej się rozwijać zawiera w wnętrzu swoim rozmaitość i tę objawia zewnętrznie form różnicą. Niechże więc z przypatrowania się i uznania tej rozmaitości spadnie wam do serca pociecha — ona jest znakiem, że pęd jakiś konieczny niesie was naprzód — ona jest objawieniem tej prawdy, żeście nie martwe ciała, ale żyjące duchy — i że, idąc po smętnej drodze świata, w lepszą zasuwasie się przyszłość.



OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO ARTYKUŁU:  
»O JULIUSZU SŁOWACKIM«.

---

- Str. 120. Fiat lux — niech będzie światłość (łac).  
Str. 120. Ab origine rerum — od początku rzeczy (łac).  
Str. 122. Moriturus — ten, co ma umrzeć (łac).  
Str. 124. Serio — poważnie (włos).  
Str. 124. Buffo — komicznie (włos).  
Str. 125. Nibelunga śpiew — średniowieczna epopea niemiecka.  
Str. 125. Divina Comedia — »Boska Komedya« Dantego.  
Str. 125. Sygfyd — bohater Nibelungów.  
Str. 126. Edda — zbiór średniowiecznych pieśni skandynawskich.  
Str. 126. Groteski — fantazyjne ozdoby architektoniczne.  
Str. 126. Consumatum est — spełniło się (jedno ze słów Chrystusa na krzyżu).  
Str. 128. Uśmiech ariostowski — Ariosto, poeta włoski (1474 † 1533), autor »Orlanda Szalonego«; p przedmowę Słowackiego do »Balladyny«.  
Str. 128. Antygona — bohaterka jednej z tragedyi Sofoklesa, córka Edypa.  
Str. 129. Ugolino — w jednym z epizodów »Piekle« Danta wyżera czaszkę arcybiskupa Ruggiera.  
Str. 129. Toskański Ghibellin — Dante; Ghibellini — stronnicy cesarza w przeciwieństwie do Gwelfów, stronników papieża.  
Str. 131. Correggio (1494 † 1534) — malarz włoski.  
Str. 131. Rafael (1280 † 1520) — słynny malarz włoski.  
Str. 131. Michał Anioł Buonarotti (1475 † 1564) — rzeźbiarz, malarz, architekt i poeta zarazem, Włoch rodem.  
Str. 131. Litawor — bohater poematu Mickiewicza »Grażyna«.  
Str. 131. Cervantes Saavedra (1547 † 1616) — romanseopisarz hiszpański, autor »Don Kiszota«.
-

## PRZEDŚWIT.

Ultima Cumei venit jam carminis aetas;  
Magnus ab integro seclorum nascitur ordo.

*VIRGILIUS. (Ecloga IV).*

Hodie scietis quia veniet Dominus et salvabit  
nos et mane videbitis gloriam ejus.

*Miss. Rom. in vigil. Nat. Dom.*

CIENIOM  
**HENRYKA LIGĘZY**

ZMARŁEGO W MORREALE 1840 R.

POŚWIĘCA

KONSTANTY GASZYŃSKI.

A Jezus im odpowiedział: «Ojciec mój  
aż dotąd pracuje i ja pracuję».

*(Ew. św. Jana, R. V. w. 17).*

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historii swojej: — w Religii do zupełnego zwątpienia — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Polyteizmu. Augur śmiał się z angura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie, żywiące wśród Ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — »quot capita, tot sensus«. — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm przecha-  
dzały się, jak mary, po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyi i rewolucyi wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spelzły na niczem; i plebejanin Maryusz, i patrycyusz Sulla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić. — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce

ludzkości, stawiając, a nie niszcząc, kochając, a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy, czy »zatracciele«, czy »odnowiciele«, z ostatnich czasów Rzymu jedną cechą na sobie noszą — pragną nieznosną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historia świata. — Jedni trzymają się podania Grakków i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w »Bogi Many« Appiuszów i marzą o arystokratycznej Rzeczypospolitej. — Takim marzeniem obłąkany Brutus ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając, zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o bogach i krzyknie: »Cnota jest także złudzeniem!« — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego.

A nie tylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materialnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, skądinąd, wszystko na polu materialnych spraw i celów coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowuje. Rzym, choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; napozór wojnami ją skałeczy, napozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik — powie: »jacta alea est«. — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallii o Egipt nderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod

Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiesza, rozkrwawi, napelni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimo-woli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion, nie znających siebie, zetrze na piasek jeden, ten sam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa. I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Messyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem. — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu on tym aniołem, któremu przykazało usuwać zapory z przed stóp idącego Pana. — On świat przywiódł do materyalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię, znaną podówczas, zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec.

A lat niewiele później któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr? — czy nie Paweł? — czy nie Jan święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali wśród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcijan przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo, co ich na «krótko-» i «krotochwilnych» bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi, poczętemu z nieba — i że jedność materyalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla Chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej, o ile sił zniewieściących im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym Chrześcijaństwem wzrostem. W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historii dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak, jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów wido-

mych na ziemi każdy był sługą bożych myśli — każdy jedną cegłą więcej, rzuconą do budowy Kościoła. — Jako Imperatory, przeszli oni, obarczeni przekleństwem ludzi — jako «cegly» zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w historii!

»Discite historiam exemplo moniti!« — Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznem, epileptycznem zadrgnięciu rewolucyi francuskiej. — Zerwały się cienie Maryusza, Sulli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wreszcie dni Cezara przełaty się w dni Napoleona. — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepelniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł, umierając na skale wygnania: »Ode mnie liczyć się będzie nowej ery początek«. W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w »niszczeniu«, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty. — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okęgach religijnych wszędzie rozbrat. — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego soboru ujęty — schizma grecka w dziecinny kształcie pierwotnego chrześcijaństwa na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący: »Consuma-

tum est! W okręgach filozoficznej wiedzy pewność — ale »braku« tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. — »Wściekło-flegmatyczne«, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność »myśli« tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywego, jak wprzód jednostronność »materii«, której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich. Stąd, mniemań, teorii, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezyje chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, oglądzone, jedne na drugie się zasuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły i, nową iskrą życia pojednane, zmartwychwstały młodemi napowrót. — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchia to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka, a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech. — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedy Bóg opuścił Historyą, kiedy Historya wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: »Pokaż się nam, Panie!«

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historyi. — Gdyby inaczej było, Ducha ludzkiego, własną wolą wyrabiającego się, by nie było — gdzieżby się podzielała zasługa, którą on zasługuje w Czasie? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego w historyi, jeśli nie tym cią-



giem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? — By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to, by umierać. Gdy boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie boże grób ludzki rozwała — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I Epoce, wszczętej w słowie Jego, tak samo uczynić potrzeba, nim zdola czynem treści całej tego słowa dorównać. — Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu — nas dalej już losy zanosły i głębiej złożyły — my w grobie — myślę się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczażone poglądać na sińce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata. — Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie, a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: »Źle nam jest«. Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemieniają się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanymi — nikt naszego, aż dotąd, religijnym; — cywilizacja się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacja jest to jedność materialnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się Słowa bożego. — Patrzcie, jak rosła i ugładzała wszystko na to, by idące Slovo boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon, jeśli nie tym drugim w historii Aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już bliska godzina Pańskiej podróży? — Państwo

jego uniwersalne rozwiała się, jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nieprzyjaciela. — Bracia pozostali i ród ich miernością; — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia każde z nich nosiło królewską koronę — a jednak mimo to pamięć tego człowieka nie pamiątką po umarłym, ale Duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest. — Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń, na chwilę wszechmocna, spoila, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. — Zapoznane Ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozpręże — włoski toż samo i hiszpański toż samo. On narodowości ziemskie przebudził z uśpienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciążą, jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; On to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać te słowa: »Przyjdź Królestwo Twoje!« — i takim westchnieniem od lat dwóch tysięcy my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego nie masz — wszystko od Stwórcy, myśl i ciało — Bóg nam niejako pożyczył nas samych. — Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą stajemy się tem, czem mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko wśród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem, wśród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w bożym pomysle harmonią, a nie znikomą marnostką, bez wagi i celu. Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się roz-

dzielić sercem, ani rozumem; każdy drugiego poboczną, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą, samego Boga potęgę.

Lecz czemuż jest planetarna ludzkość? Oto całością i jednością wszystkich możliwości Ducha człowieczego, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich, to jest »narodowości«. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi częstkami niewidzialnego »Ja« ludzkiego, który je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w różności swojej, a zarazem harmonii, stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem katolickiej ludzkości:

»A wszystko sprawuje jeden i tenże Duch, udzielając każdemu z osobna, jako chce«. —

»Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego, choć ich wiele jest, są jednym ciałem, tak i Chrystus!«

(Ś. Paweł. List do Koryntyan, R. XII. w. 11—12).

Objawienie Syna bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.

Słowo chrystusowe nie mogło odrazu przetwarzać polityki pogańskiego świata, bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów, w niej żyjących; musiało zatem »schrześcijanizować« szczególne dusze przed chrześcijanieniem stosunków między narodami i państwami.

Ale za dni naszych osobnik każdy chrześcijaninem jest i wszystkie stosunki między nimi chrześcijańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześcijańskiej? Oczywiście, w sferę nie dotkniętą, nie przerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. — Świat bliski nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może), ale wielkiego »przemienie-

nia» się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia. — Już w tych wyrazach: »Oddajcież tedy, co cesarskiego jest, Cezarowi, a co boskiego, Bogu!« zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko »bożem« jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią cesarową a bożą coraz bardziej się zmniejszać i to, co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonem za należne Bogu, aż stanie się państwo Cezara nicością, a Królestwo boże »wszystkiem«.

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historia; wie, że nią rządzi mądrość boża i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność, zgodna z wolą bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi są »narodowości«, w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie: różnaitością i zgodą zarazem. — Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez różnaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka! —

Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwowione jedne tylko mogą być chrześcijańskimi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. — Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. — Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckimi, woli bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów Reformy zupełnie pogańską się stała.

Tu machiawelizmu, tu dyplomacyi początek; interes ziemski ubóstwiony, boże Królestwo ścieśnione do progów Ko-

*Wpływy  
Cezarostwa  
i papiestwa  
na historię*

ścioła każdego. — Za murami przybytku wszechprzysiężnego Boga już niema — umarli tylko śpią na cmentarzu — a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod nimi zaś — ucisk i niewola, albo bunt i zwierzęcy szal!

Wszystkie państwa naprzekór narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozświetlaniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychrystycznie, jak rozbiorem Polski.

Trzy państwa, wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem, co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości. — Tym czynem polityka przesięga za własne granice. —

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykająca okręgów bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo, z gry chuci ludzkich powstałe, rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie bożej, prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo, jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religią!

W chwili rozbiorów stało się to jako *factum*, ale Duch Polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabral świadomości o sobie, uczuł się narzędziem, wybranem w historii do posunięcia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo boże albowiem, skałeczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wewnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci. W narodowości,

której krzywdą najsrożej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości.

Płciowość, polarność jest prawem powszechnem, prawem jednym i wszechobecnem, tak w naturze jak w duchu, tylko, że pod coraz wyższymi kształtami się objawia; na przykład biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, męczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze, lub idea w Duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między tymi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągłe, czyli ruch i życie teje siły, teje idei. — W stosie galwanicznym z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny. — Męczyzna do kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście. Myśl czem się wyraża? ciałem. Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą na to, by »całość« istnieć mogła. —

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie: nadchodzący postęp historyi i Polska; — koniecznym pierwszego warunkiem drugiej zmartwychwstanie. Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości? Zaprawdę, że w Polsce. —

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historyi, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że Kościół boży na tej ziemi to nie tylko to lub owo miejsce, ten lub tamten obrządek, ale cały planeta i wszystkie, jakiegokolwiek być mogą, stosunki tak osobników jak narodów między sobą.

„Domini est terra et plenitudo ejus orbis terrarum et universi, qui habitant in eo.“ (Psal. 24—1).

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkim rozszerzenie obecności bożej. — Pan w całej sferze politycznej, kędy dotąd Go nie było, przytomnym się stanie, a narzędziem Jego Opatrzności do tego nikt inny, jedno naród polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedno, słowo chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt, zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno bożego — przeto nazywamy ją religijną. — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (*religare*) ziemię naszą z niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polszcze i przez Polskę zacząć się opatrzenie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnienie się Objawienia chrystusowego w ludzkości. —

Dnia 17 marca 1843 roku.

*Konopczyński*

3  
40% { Matoga 4pt  
mgl  
cyn -

oparte  
syn  
Duch św.

*Łukowski*

Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,  
Deptać musiałem obcych ludzi łany  
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,  
Co ziemię moją okuli w kajdany;  
Jak Dant — przez piekło przeszedłem za życia!

moralne zwycię  
nie.

Zrazu jam ufał, że Bóg miłosierny,  
Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny.  
Zrazu jam ufał, że za dni niewiele  
Zlecą zesłane anioły-mściciele  
I grób ten pęknie, co stoi śród świata,  
Przyparty ręką olbrzymiego kata.  
Lecz dni płynęły, upłynęły lata,  
Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,  
Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą  
I coraz podłej na tej ziemi było!  
Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,  
Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,  
Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,  
Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,  
I z dni tych wszystkich wybranej kolei  
Wyrasta napis: »Tu niema nadziei!«

Ach, żyłem, żyłem w tej przepaści długo,  
Miotam rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!  
I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:



Jak Dant — za życia przeszedłem przez piekło!  
Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,  
Której się wzroku czarne duchy boją;  
I mnie też Anioł wybawił z otchłani,  
I ja też miałem Beatricze moją!

*Delfina Potocka*

O równie piękna, nad planety ciemnie,  
Nie wzniosłaś skrzydeł twoich precz ode mnie,  
By zasiąść w niebie — bez bólu — niebiańska!  
O równie piękna i bardziej chrześcijańska!  
Tam, gdzie ból rośnie, tam, gdzie łażą się plemi,  
Tyś z bratem twoim została na ziemi!  
W jednych my cierniów chadzali koronie,  
Krew moich dłoni krwawiła twe dłonie,  
I z jednych trucizn piekielnego źródła  
My pili razem, o Beatriks moja!

A jednak, jednak mój jęk, two westchnienia  
Zmieszane, złane, przebrzmiały na pienia!  
Z dwóch smutków, w duszne spojonych zameściciel  
Wzbił się głos jeden — a tym głosem szczęście!  
Ach, szczęście wiary, ach, nadziei siła,  
Co w serce moje przez wzrok twój wróciła!  
Tak chmury ciemne, pełne łez na niebie,  
Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,  
Z ich płaczu światło wypada wnet gromem  
I mgła się staje złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zacznę, siostró, twem imieniem.  
O, bądź na wieki ze mną połączona  
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!  
My tu skonamy, lecz pieśń, co nie kona,  
Powróci kiedyś wierna mnie i tobie,  
By, jak stróż anioł, strzedz nas, śpiących w grobie!  
A może przyjdzie chwila, że, wskrzeszeni  
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,

Wstaniem, jej dźwięków znów spójni łańcuchem,  
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci  
Jak duch zbawiony ze zbawionym duchem,  
Oboje czyści, świetlani i święci!

---

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem  
Rozwieszone Włoch błękity?  
Nad jeziora włoskim brzegiem  
Czy pamiętasz Alp granity?  
Tam — zdaleka — w niebo — przodem  
Pną się ostrza kryte lodem,  
A tu bliżej, a tu niżej  
Poza wzgórzem spływa wzgórze,  
Z winnic kapią bluszcz i róże,  
Jednym rajem gór podnóżeł  
W wieczór, zrana — zwierciadłana  
Fala pije niebios smug,  
Na wód dole — na skał czole —  
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie:  
Z harfą stoisz na mej łodzi,  
Gwiazd już kilka drży na niebie,  
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi.  
Widzę jeszcze, widzę ciebie:  
Na twych strunach twoje dłonie,  
Iskra natchnień skrzy ci z lica,  
Światłokręgiem twoje skronie  
Rozanielił blask księżycy.  
W fal przezrocza, w sieć z promieni

Zewsząd postać twa ujęta,  
Na błękitnem tle przestrzeni  
Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą  
Łódka moja zwolna płynie;  
Jakże lubo, jakże błogo  
Na szafirów tych głębinie!  
Za jeziora przezroczami  
Majaczeją wzgórze, skały,  
I ty ze mną i my sami,  
I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą  
Coraz dalej łódź ma płynie;  
O! anieli czuć nie mogą,  
Co ja czuję w tej godzinie!  
Takiem silny, takiem dumny!  
Siostró moja, mnie się zdaje,  
Że w tej chwili ze snu trumny  
Nasza Święta gdzieś już wstaje!

Coraz dalej twarz miesiąca  
Nas prowadzi smugiem fal;  
Płynimy, płynimy tak bez końca  
W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła  
Ziemia, niebo — jeden kraj!  
Rzeczywistość się pomału  
W świat przemienia ideału,  
W sen ze srebra i kryształu.  
Daj mi teraz marzyć, daj!

. . . . .

. . . . .  
Bądźmy dumni, mój Aniele,  
Bo, nim zstąpi cud i zbawi  
Tych, co w dawnym drżą kościele,  
Nam zwątpienie serc nie krwawi,  
Nam nie brudzi czoła trwoga,  
My podnosim wzrok nasz w górę  
I, gdy widzimy tę naturę,  
W niej i za nią czuję — Boga! 13

My, w natchnieniu wspólnych marzeń  
Gnani wirem smętnych zdarzeń,  
Idziem, kędy wiedzie droga!  
Lecz w tej zmiennej życia męce  
Gdy ściśniemy sobie ręce,  
W niej i za nią czuję — Boga!

My, zabitej matki dzieci,  
My, co nigdy nie widzieli,  
Jak się matki oko świeci  
I nad dzieckiem swym anieli,  
My, z mogiły naszej rodem,  
Po niej wiecznie krwawym chodem,  
Jak upiory, stąpać musim!

Jednak w każdej życia dobie,  
Za tym grobem i w tym grobie,  
Wiarą w niebo — niebo kusim,  
Pozywamy na sąd wroga,  
Bo dzień sądu w piersiach nosim,  
I ufamy, że wyprosim  
To, co boskiem jest — u Boga!

Módl się ze mną, moja siostro!  
Módl się, klękni tu w pokorze;  
Lecz patrz w górę śmiało — ostro,  
Jak sierota spojrzeć może!  
Wpatrz się w harfę tę bez końca,  
W której księżyc, gwiazdy, słońca  
Tkwią, jak szruby niewzruszone,  
A od dołu aż do szczytu  
Struny z światła i błękitu  
Drgają, w bezmiar naciągnięte!  
Po tych strunach Duch przelata,  
Na tych strunach Duch przegrywa  
I w tej pieśni sam spoczywa:  
Ta pieśń — zgodą, ciszą świata!

Śluchaj! W dzięków tych wszechzgodzie  
Brak jednego dziś imienia!  
Patrz, w tych światel wszechpogodzie  
Brak jednego dziś promienia!  
Módl się ze mną, wymów imię  
Co wypadło z Lutni życia,  
Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,  
Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!  
Wymów, wymów *Polski imię*,  
Może słucha nas Duch boży  
I stracony dźwięk ten przyjmie,  
Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało  
I spokojnie i bezpiecznie!  
Jak Bóg w niebie — tak koniecznie  
Bóg nas wcieli w drugie ciało!  
Bośmy w żadnej zgonu chwili  
Ducha nigdy nie stracili,  
Próbę grobu my odbyli,  
Prawem naszym — *Zmartwychwstanie!* //  
Dziś lub jutro dasz je, Panie!  
O, dasz w Swej sprawiedliwości,  
Nie, coś winien nam — lecz Sobie!  
Bo któż w naszym wyżył grobie?  
Kto nam dotąd w piersiach gości?...  
Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!  
Żadna inna moc ni siła,  
Jedno Twoja się zjawiała  
Tu — po naszym w nas — pogrzebie!  
Twoja wszechmoc tylko, Boże,  
Cośmy znieśli, przetrwać może!  
Twej potęgi tylko chwała —  
Tak, jak Polski — jest bez ciała!  
Duch Twój tylko jeden zdoła  
Nie zatracić — w śmierci — Siebie.  
Więc, gdy dzisiaj z ziemi woła,  
Ty odpowiesz mu na niebie!

Gdym tak mówił, tyś uklękła,  
Strunnym jękiem harfa jęła,  
Bo o struny, które wkoło  
Porozzłacał blask miesiąca,  
Tyś oparła śnieżne czoło  
I tak klęczysz wzdychająca!  
Z za tej kraty strun twe oko  
Patrzy mglisto i głęboko.  
Na twych ustach słów już niema,

Tylko jedno drżące tchnienie  
Całość duszy na nich trzyma.  
Módl się siostró, módl westchnieniem;  
Bóg wie dobrze, że westchnienie  
Dziś Ojczyzny twej imieniem!

---

Twierdza a psychiza  
poety — entuzjazm  
i mesjanizm.



My umarli pośród świata  
Z świętej do świata miłości.  
On nam bratem — zbawić brata  
Trzeba było z win podłości:  
Przyjąc na się — nie grzech — karę!  
My przyjęli i widziano  
Śród narodów Polski marę  
Zstępującą w grób na trzy dni;  
Dnia trzeciego się rozwidni  
I na wieki będzie rano!

Ha! Myślicie, że, kto kocha  
I umiera, ten już ginie?  
Dla ócz waszych, dla ócz z procha,  
Lecz ni sobie, ni wszechzyciu!  
Kto w poświęceń zmarł godzinie,  
Ten się przełał w drugich tylko,  
Mieszka w ludzkich serc ukryciu  
I z dniem każdym, z każdą chwilką  
Żywy rośnie w tej mogile,  
Jak uczynił Bóg, co w niebie:  
Daje wszystkim, daje Siebie,  
A nie traci na Swej sile!  
Musi długo niewidzialny,  
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,  
Palić ogniem serc tych skazy,

Miękczyć łzami dusz tych glazy  
I przez grobu męki, trudy,  
Harmonijną pieśnią śmierci,  
Choć rozdarty sam na ćwierci,  
W jedną miłość spajać Ludy!

Ha! Wy dziwnie tu marzyciel  
Wam, śmiertelnym, się zachciało  
Nieśmiertelnych zabić życie —  
Raniliście tylko ciało!  
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,  
Ze to jedno w Duchów świecie?  
Wy, w piekielnej już topieli  
Wyżej piersi zanurzeni,  
Z Boga tylko to pojęli,  
Czem objawił się w przestrzeni!  
Myśl, co w mózgach waszych gości,  
Myślą tylko ciał martwości!  
Tu z was kaźden, jak morderca,  
Chce pozbawić ludzkość serca  
I kościotrup po niej nagi  
Rządzić prawem równowagi.  
Rozdajecie, jak świat wielki,  
Wszystkim więzy albo sidła!  
Nie tak — nie tak — bo duch wszelki  
Ma w anielskie porość skrzydła!  
Wiecznotrwały ten na ziemi,  
Kto swą śmiercią życie plemi —  
Lecz kto życiem swem śmierć daje,  
Ten, gdy skona, już nie wstaje!

O wy niżey, o wy ciemni  
I okrutni i nikczemni,  
Wy, przewiedle w nicość dusze,  
Bez ducha Faryzeusze,  
Wy, kuszący piorun boży

14-11

W. S. Waw. d. 11

Aż was w prochu tu położy,  
Wy, szpiegowie, i wy, katy  
Z wypranemi od krwi szaty,  
Wy, półśrodków sztucznych pany,  
Co kładziecie żar na rany,  
A gdy jęknie wam męczennik, 25  
Ogłaszacie mu, że zmiennik —  
Kłamcy wieczni z prawem waszem,  
Czy z kupiecką zysku szalą,  
Czy z bagnietem i pałaszem,  
Wy, bożyszczu, którym palą  
Dym kadzidła dzieci trwogi —  
Ziemia waszym struta jadem,  
Wyście tylko ziemi gadem,  
Choć się macie za jej Bogi!

Nie znam na was hańby słowa!  
Nie, że język mój ubogi,  
Lecz, że boską ludzka mowa,  
Nadto piękna — czysta, święta,  
Bo z anielskich krain wzięta,  
By was nazwać po imieniu!  
Jabym rzucił w grzmiącym pieniu  
Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo  
I, jak zemsty jędza wściekła,  
Gnał was biczem żmij do piekła,  
Starł wam z czoła człowieczeństwo,  
Bładych, krwawych, skutych w pęta  
Stawił w wieku sądnem kole,  
By wydeptały na czołe  
Wam nagrobek ten: — »Zwierzęta!« —  
Ale w duchu jest pogarda,  
Co ma także swe panieństwo,  
I, gdy gardzi, nadto harda,  
By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami?  
Co tak patrzysz bezprzytomnie?  
Siostró moja, wstań, chodź do mnie!  
Prawda z Polską — Polska z nami!  
Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —  
Skoń mi oprzeć na ramieniu,  
Niechaj widzę twoje czoło,  
Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury  
Zstąpi całkiem za te góry,  
Nim te gwiazdy się dopalą,  
Nim powróci promień słońca  
I przeminie czas, co trąca  
Piersi moje nad tą falą:  
Niech ci wyższy cud obwieszcze  
Nad uciski, nad boleści!  
O Aniele mój niewieści,  
Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

---

Znasz ty miłość, która nęci  
Wiecznie duszę w kraj pamięci?  
Czy po nocach ciebie woła  
Rodowego krzyk aniola  
I twym oczom patrzeć każe  
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,  
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?  
Gdzie w powietrzu twarz księżycy,  
Jak trupiego widmo lica,  
I gwiazd niema — tylko ona  
W środku niebios, niewzruszona,  
W jej promieniach przestwór cały  
Znicestwiony, skamieniały?  
Kędy spojrzeć, na wsze strony  
Zaspy — śniegi — lody — szrony.  
Strach, jak białe — pusto — marno!  
Groby tylko, z glazu ryte,  
Żadnym śniegiem nie pokryte,  
Śród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola  
Myśl twą rzuci na te pola,  
Zda się tobie, że bez końca  
Po nich błędzisz nocną dobą,

I że wisi wciąż nad tobą  
Ten przejrzysty trup miesząca.  
A za każdym twoim krokiem  
Rozszerzają się te niwy —  
Nieskończoność przed twym wzrokiem  
I nad głową ten straszliwy  
Krag ci niebios także rośnie.  
Coś pod ziemią brzmi żałością,  
Cały cmentarz drga, jak żywy,  
Z grobów wieją modły, jęki,  
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,  
Twardych zbroić słychać brzęki,  
Jakby dotąd ojce nasze,  
Pomne życia, tęskne chwały,  
Tam się w trumnach przewracały  
Z boku na bok — i marzyły  
Mękę Polski w snach mogiły!

Nie, co znikło, nie umiera!  
Jak zakłète czarem bóstwo,  
Przeszłość wraca w jawu kraje!  
Patrz, grób kaźden się roztwiera,  
Umarłego ci oddaje! —  
Antenatów blade mnóstwo,  
Dawne króle, radne pany,  
I rycerze i hetmany  
Obwiązują cię dokoła.  
Cmentarz z lodu i z kamienia  
W sejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!  
Zgon się darmo wrył w te czoła;  
Choć wzrok próchnem błękitnieje,  
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!  
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,  
Z pod tych koron i kołpaków  
Bije dotąd iskra ducha,

Senatorska tli wspaniałość,  
Lwi się szlachty stara śmiałość  
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem.  
Na tej białej snów mych ziemi  
Jam ich widział — i przed niemi  
Tak, jak pada trup, padałem.  
Na ich stopach kładłem skronie,  
I podrywał ku nim dłonie,  
Tam — iza — krzykiem — sercem całem  
O zgon Polski ich pytałem  
Ja, urodzon po jej zgonie.

Za co życie w życia chwili  
Z taką pychą roztrwonili,  
Że potomkom nie zostało  
Ni potęgi, ni puścizny,  
Jedno wzamian ich ojczyzny  
Rozebrane kraju ciało?  
Co ich wichrem takim gnało  
Po dziejowej czasu fali,  
Ze, tak dbając o nas mało,  
Krew nam i w tej krwi — śmierć dali?

Ledwom spytał, ich zbroice  
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,  
Z wszystkich piersi wypadł jęk,  
Wszystkich zmarłe te źrenice  
Z pod tych przyłbic, jak gromnice,  
Płoną ku mnie; — razem, górą  
Wszystkie wzbity się prawice,  
Przesłoniły księżyc chmurą,  
I tych bladych rąk sklepienie  
Drży przysięgą potajemną,  
Na słów moich zaprzeczenie

W niebo rośnie ponade mną!  
Tak, jak rosa z polnych kłosów,  
Pot mi trwogi ścieka z włosów,  
A na piersiach zmora siedzie;  
Ni odwrócić mogę wzroku:  
Tu — przede mną — za mną — z boku  
Oni stoją tłumem wszędzie,  
Zewsząd słyszę ich oddechy  
I pogardy słyszę śmiechy.  
Patrzą na mnie ci umarli,  
Jak półbogi — a z ich lica  
Patrzy wieków tajemnica  
I z nich każdy ją rozumie,  
Więc mną gardzą w świętej dumie.  
Aż pogardą mi rozdarli  
Serce — i serce ze stali,  
Gdy tak śmiechem mi łajali,  
Pękłoby! — O tej snu porze  
Ach, pamiętam, strasznie, smętno!  
Więc, jak mogę, tak się korzę,  
Aż znów zerwie się namiętno  
Duch mój — krzyknę: «O ojcowie,  
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy!  
Kto na świecie mi tym powie  
Prawdę świętą, jeśli nie wy?  
Jam was przyszedł pytać o nią,  
Odpowiedzcie więc synowi!  
Niech się Polska wasza dowie,  
Że jej Duchy wasze bronią!»

Wtedy Hetman, co przy grobie  
Oddalonym zwykle trzyma  
Na szablicy ręce obie,  
Żadnych pętlic złotych nie ma,  
Ni turkusów w buzdyganie,



Jedno pancerz za ubranie,  
A na rysiej z wierzchu skórze  
Miasto haftów — kul przestrzały  
I na licu — blizny duże  
I na czole — helm niecały,  
On wódz zmarły, co tam zawsze  
Na mnie oczy ma łaskawsze,  
Choć z nich wszystkich najbutniejszy  
I z nich wszystkich najsmutniejszy —  
Jak stał cichy i ponury,  
Nagle czoło wzniosł do góry,  
Wyprostował się ogromnie  
I szedł, jęcząc, zwolna do mnie.  
Jam znów przykląkł — i wzwyż głowy  
Usłyszałem głos grobowy:

• Ani z soli, ani z roli,  
Ale z tego, co mnie boli,  
Ja wyrosłem — i snąć, tuszę,  
Że ból tylko tam, na świecie,  
Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.  
Komu dawa Pan katusze,  
Obietnice temu składa.  
Słowo Pańskie — żadna zdrada,  
Ono musi zbawić duszę.  
Jakie lądy, jakie morza  
Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie.  
Za dni moich źle już było;  
Jak się mogło, tak służyło  
Szczerą chęcią, w krwawym trudzie,  
Braci szlachcie. — Łaska boża  
Nas weгнаła w te bezdroża:  
Niechaj będzie pochwalona!  
Bo ojczyźnie mojej dała  
Z piekieł ziemskich wyniść łona,

Nie żyć w innych ludów modle,  
Raczej umrzeć — jak żyć podle;  
Za to Panu wieczna chwała!

Wiersz 63 - roku

»Ty nie szukaj w ojcach winy,  
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,  
Bo to potwarz i bluźnierstwo!  
Aż ty wiesz, jak z godziny  
Dni się snują, jak z dnia wieki?  
Tylko zmarły — co w żałobie  
Tęskni, czeka, marzy w grobie,  
A nie żywy — wiedzieć może,  
Co czas bliski, co daleki,  
Co noc wieczna, a co zorze  
I co boskiej znak opieki.

»Gdyby niegdyś ojce twoi  
Cudzoziemców świeckich chodem  
Weszli byli do podwoi  
Tego gmachu, który stoi  
Wkoło Polski, a dziś pada,  
Bylibyście dziś, jak oni,  
Kramem tylko, nie narodem,  
Sklepem śpiącej pełnym broni —  
Wyście Duchem, co nią włada!  
My nie mogli żyć w przeszłości,  
Bo my znali się na gości  
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie  
Przez rozwarłe dziejów pole  
Los nas pędził w wyższą dolę,  
Ku tej Polscze, która będzie.  
I przez ojców waszych życie  
Porywani dotąd skrycie,  
Mimo wiedzy — wy musicie  
Ku Królestwu iść bożemu,  
Co ma jaśnieć na tym świecie:

Nie żyć w innych ludów modle,  
Raczej umrzeć — jak żyć podle;  
Za to Panu wieczna chwała!

Wersja 63 - roku

»Ty nie szukaj w ojcach winy,  
Ty nie wdawaj się w szyderstwo,  
Bo to potwarz i bluźnierstwo!  
Aż ty wiesz, jak z godziny  
Dni się snują, jak z dnia wieki?  
Tylko zmarły — co w żałobie  
Tęskni, czeka, marzy w grobie,  
A nie żywy — wiedzieć może,  
Co czas bliski, co daleki,  
Co noc wieczna, a co zorze  
I co boskiej znak opieki.

»Gdyby niegdyś ojce twoi  
Cudzoziemców świeckich chodem  
Weszli byli do podwoi  
Tego gmachu, który stoi  
Wkoło Polski, a dziś pada,  
Bylibyście dziś, jak oni,  
Kramem tylko, nie narodem,  
Sklepem śpiącej pełnym broni —  
Wyście Duchem, co nią włada!  
My nie mogli żyć w przeszłości,  
Bo my znali się na gości  
Innych wieków. — Wiecznie, wszędzie  
Przez rozwarłe dziejów pole  
Los nas pędził w wyższą dolę,  
Ku tej Polszczy, która będzie.  
I przez ojców waszych życie  
Porywani dotąd skrycie,  
Mimo wiedzy — wy musicie  
Ku Królestwu iść bożemu,  
Co ma jaśnieć na tym świecie:

*My szli tamże po staremu,  
Wy dziś zmloda tam idziecie.*

•Jedną spojnią, w jednym duchu,  
Jak ogniwa na łańcuchu,  
Pan powiązał ojców z syny.  
Ni ten łańcuch kiedy pęknie;  
Wszystkim razem dobrze, pięknie!  
I z krwi naszej, z naszej winy,  
Nim ten jeszcze wiek przeminie,  
Wyjdzie *Ludów Lud jedyny*.  
Błogosławcie ojców winie!•

I umilka Hetman mowca,  
Znów wstecz idzie do grobowca.  
Grobu głązy się rozwarły,  
Śród czarnego ich przełomu  
Ten umarłych wódz umarły  
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca  
Rąk nade mną mgła wisząca,  
W oczach tają mi widm twarze,  
Step się łamie — niebo kruszy  
Znów te wszystkie mi cmentarze  
Zapadają w przepaść duszy.  
Lecz drga w uchu, jęczy w duchu  
Jeszcze zrana głos Hetmana;  
Ze snu tego, rozwianego,  
Myśl ta jedna — nie rozwiana.

---

Coraz smutniej już w przestworze,  
Coraz czarniej na jeziorze!  
Pogrzebowa z chmur przesłona  
U gór szczytu rozwieszona  
I w nią księżyc spadł — i kona.

Przebóg, siostró, co się dzieje?  
To nie wiatru szum tak wieje!  
Ktoś tam z cicha — płacze, wzdycha  
Z nad wybrzeży jęk się szerzy;  
W nocnym wietrze, przez powietrze  
Tysiąc jęków do nas bieży.  
Już brzeg cały — wzgórze, skały  
Brzmia modlitwy głuchej kołem.  
Wielki Boże, czy być może?  
Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam, przed nami,  
Jak sny lekkie, lekką zgrają  
Na opokach się wieszają;  
Jak płomyki — jak ogniki,  
To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostró! Uderz w struny!  
By ich łacniej pieśń zakłęła,  
W akkordowe graj pioruny.  
Graj im: *»Jeszcze nie zginęła!...«*

Harfą — głosem — płacz, proś, szalej!  
Pieśń rodzinna tu powinna  
Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli!  
Na ciemnościach tacy bieli  
Z skał spływają już do brzegu!  
Ot! w powietrznym już pochodzie  
Po tej czarnej kroczą wodzie,  
Jak olbrzymie słupy śniegu!

Czy to cuda?  
Czy to złuda?  
Dźwięk po dźwięku  
Skrzy ci w ręku,  
Harfa cała  
Tli i pała,  
Każda nuta,  
Z strun wysnuta,  
Przestrzeń trąca  
Gorejąca!  
I wzwyż fali  
Pieśń się pali,  
Ku mar stronie  
Pędzi — goni  
I wciąż płonie  
I wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie  
Przez to dźwięków rozbłyśnięcie  
Idą, idą wszystkie mary.  
Patrzaj, patrzaj! W dziwnej chwale!  
Wszyscy z trumien polskich rodem,  
Idą — idą przez te fale  
Chrystusowym do nas chodem!

Tam buńczuki, tam sztandary,  
Śnieżne pióra i korony,  
Katolicki krzyż wzniesiony;  
Wkoło herby — tarcze — znaki  
I tłum szabel — i szyszaki.  
Przeciągają — patrz, tam żywa  
Twarz w powietrze się wyrывa,  
Twarz, czy widzisz? Anielicy!  
Jak gwiazdeczka na ciemnicy,  
W górze, w górze zawieszona,  
Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie!  
O! z błękitów i szkarłatów  
Już otęcza ją przesłona!  
Na tle z pereł, na tle z kwiatów  
Dyamentowa lśni korona...  
W krzyż na piersiach zwite dłonie,  
Złote gwiazdy na jej łonie;  
Czy poznajesz ty, kto ona?  
Witaj, witaj! — To królowa,  
Po swym ludu długo wdowa,  
I dziś wraca w tej koronie,  
Którą w polskiej Częstochowie  
Niegdyś dali jej ojcowie,  
I tych ojców przez te tonie,  
Patrz, prowadzi!

Nie graj więcej!  
Z fal tych drugiej takiej tęczy  
Nasza harfa nie wydźwięczy  
Ni te Duchy tu przynęci!  
Już ich tknęło światło boże  
I gdzieś śpieszą — zbrojnie — skoro.  
Złotem wokół szklnej jezioro,  
Na ich hełmach błyska zorze;  
W dawnych polskich bitew stroju,

Przebóstwieni — rozzłoceni  
Przesuwają się w przestrzeni,  
Jakby znowu szli do boju!  
Srebrne skrzydła, w zbroję wtknięte,  
Im z nad ramion w górę lecą,  
Jak anielskie skrzydła świecą;  
Turkusami zbroje spięte,  
Z żywej stali rękawice,  
Strusie pióra wyżej głowy  
I dobyte do polowy  
Damasceńskie ich szablce.  
Każden oczy ma wzniesione,  
W przeanielską patrzy Panią  
I po falach stąpa za nią  
W nieskończoną jakąś stronę;  
I miecz dławi w swej prawicy  
Wyżej serca, na zbroicy,  
Jakby miał się ku obronie  
Tej, lecącej w gwiazd koronie.  
A królowa ta nie z ziemi  
Jak sen wije się przed niemi  
Coraz dalej...

Pani, Pani!  
Wszak z pomarłem sług plemieniem  
Ty zstępujesz do otchłani  
Po raz drugi zdeptać węża!  
Wszak z nowego wieku dnieniem  
Sprawiedliwość się odnowi  
I Ty powiesz szatanowi,  
Że Lud polski Twój — zwycięża!

Uderzyła łask godzina!  
Znowu Tobą i przez Ciebie  
Myśl przedwieczna, żywa w niebie



Życ pod niebem rozpoczyna.  
Płyniże, płyniże, Lilio boża,  
Poza lądy, poza morza,  
Nad piekielne wzbij się jary!  
Świeć im oczu Twych spojrzeniem,  
Niech przepada kłamca stary,  
Który wieków był złudzeniem!  
U stóp Twoich on poleże,  
A ci zbrojni, polscy męże  
W pierś mu wetkną miecz ze stali,  
Podeptają w imie Boga  
Odwiecznego ludzi wroga.  
Wszakżeć na to z grobu wstali!  
Wtedy, wtedy na tym świecie  
Wzrosną życia kształty trzecie!  
Wtedy, wtedy nam z powieki  
Pan lzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz, o ojcowie,  
Gdzie z Królową tą w szkarłacie  
Tak śpieszycie — przemijacie!  
Ale czyjże głos mi powie,  
Kiedy nazad z tej oddali  
Na tę ziemię powrócicie,  
By i żywi w złotym świecie  
Z letargowych trumien wstali?

Już daleko wy na fali;  
Coraz dalej — coraz dalej  
Ku wschodowi, ku jutrzence  
Lśnią wzniesione wasze ręce!  
Na te góry, na te brzegi  
Dnia już padły jasne gońce.  
Czerwienieją skał tych śniegi,  
Mgła się płoni u wód końca,  
Za nią pierwszy promień słońca!

I te białe ich szeregi  
Idą prosto w to wschodzące  
Wielkokrężne, złote słońce!  
Płoną, mdleją, nieznacznieją,  
Już ich niema — z tych topieli  
Poszli w światło i zniknęli,  
Poszli z światłem — i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni  
Prócz lazurów i promieni.  
Znów spokojna toń jeziora,  
Znów te skały i te góry  
I to niebo i te chmury  
Tak, jak zawsze — tak, jak wczora!

Noc minęła — lecz z jej cieni  
Wiara w piersiach się została!  
Ni tej wiary los już zmieni;  
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,  
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,  
Ten widnokrąg objąć świata  
I przycisnąć świat, jak brata,  
Do mych piersi — bom szczęśliwy!  
Wszystko moje, wszystko piękne!  
Moje — ziemi, nieba niwy!  
Z skał tych życia głos wydźwięknę,  
Bo w mem sercu Słowo boże!  
Wszędzie cuda — wszędzie dziwy  
Ja roztopię się w przestworze!  
Ja ci mówię — żem szczęśliwy!  
Polska moja — Polska będzie!  
Dzięki wszystkim i wszystkiemu,  
W wieki wieków dzięki wszędzie  
Bogu — Duchom — ludziom — tobie —

I umarłym dzięki w grobie  
I każdemu, kto jest żywy,  
Temu światu wszechcałemu  
Wieczne, wieczne dziękowanie!  
I powietrzu powiem: »Panie,  
Dzięki Tobie — bom szczęśliwy!»

Wszystko ludzkie znika — ginie,  
Pryśła ziemskich chwil zawilość,  
Myśl już płąsa w tej krainie,  
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość.  
Z dusz się naszych wzbił Duch trzeci,  
Wyższy od nas — niepojęty,  
Bo nam w piersiach wre i świeci,  
A zarazem w górę leci,  
Już z tych piersi wniebowzięty.

I w tej chwili przemienienia  
O, pamiętaj, wspólnym wzrokiem,  
Tej istoty trzeciej okiem,  
Jej, nie naszym — my ujrzeli  
Głęb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? my widzieli —  
Gdzie? — ja nie wiem, nie powtórzę —  
Ni na dole, ani w górze,  
Ni na wodach, ani w chmurze —  
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,  
Gdzieś w odwiecznych światłach bieli,  
W próżni — kędy się przed nami  
Niewidzialne wskrósł rozdarło,  
Jak ocean się rozwarło  
Ponad czasu przepaściami.

Oto nagle — tam ujrzeli,  
Jak się Polska, Polska cała  
Jednem widmem zmartwychwstałem,  
Archanielsko wielkiem, białem  
Z dni przyszłości wychylała  
I na głębi dni tych stała,  
Jeszcze widna — niby ciałem —  
Lecz już w wieczność przebóstwiona,  
Nieśmiertelna — nieskończona!

Jak blask słońca, tak jej lice!  
I z błękitu ma zrzenice —  
A jej wzrokiem błyskawice!

Nad jej czołem z krwi korona,  
Wieniec wspomnień purpurowy,  
Lecz już przeszły wszystkie bole;  
I duch boży na jej czole —  
Naokoło już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach  
Miecz, u piersi zawieszony,  
Na tym mieczu trzy korony  
Po trzech dawnych świata panach!

Choć już złego wiek skończony,  
Na tej miecza rękojeści,  
Oplecionej w trzy korony,  
Rękę dotąd trzyma ona!  
I ta ręka krwią znaczona  
W Chrystusowy znak boleści,  
I z tych koron czasem błyska,  
I ta ręka wtedy ściska  
Miecz olbrzymi — a z tej ręki  
Na pamiątkę wiecznej męki  
Krew w Wieczności jeszcze tryska!

*dy. A. Hau.*

*- z pro mianem wo rze  
i wstanie, gładzący  
sankragi, wódek - i  
mianem.*

*Widzenie ks.  
Piotra.*

A tam za nią — tam, wysoko —  
Tam, daleko — tam, głęboko —  
Za nią — w czasie i w przestrzeni,  
Na tłach z światła — na tłach z cieni,  
I z stron wszystkich — wkoło, wszędzie —  
Jak mgły w ogniu — w tęczach pary —  
Zewsząd stają boże mary  
Tego świata, który *będzie!*  
Lecz już nie tak jasno-białe,  
Mniej olbrzymie i wspaniałe,  
Ni znaczone krwią przeszłości,  
Bohatyrską krwią męczeństwa,  
Tą boskością człowieczeństwa,  
W znak królewski — *śród Ludzkości.*

Wszystkie płoną pierwszym wschodem  
I potęgi — i zwycięstwa.  
Każda — wielkim jest narodem,  
Ale tylko z niebios rodem,  
A nie rodem z swego męstwa.  
Młody listek ich wawrzynu,  
Nie wywiodła ich z cmentarzy  
Nad zgon wyższy wola czynu,  
Ni im dano, czem śmierć darzy.  
Bo, jak ojciec, grób ich skrycie  
Nie wyuczył ścieżek Pana;  
Wtóra mądrość im nie dana,  
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! Z chmur powodzi  
Coraz więcej widm tych wschodzi,  
Na ich skroniach różę wiosny —  
Maj nadziei — maj żywota,  
W ich spojrzeniach cisza złota,  
Na ich ustach hymn radosny,  
A pod niemi drży w przestworze

Szafirowych światel morze,  
I tam wszystkie przechylone  
Z szczytu wieków swych patrzą,  
Wszystkie, wszystkie, obrócone  
W archanielskiej Pani stronę,  
Coraz niżej się schylają.

Widzę — widzę — wzniosły ręce,  
Rwą ze skroni życia kwiaty,  
Rwą — ciskają życia wieńce  
Pod Jej stopy — na Jej szaty!  
Leci tuman róż w przestrzeni —  
Na tem niebie każda róża  
Nagle w iskrę się przemieni,  
Wieniec każdy tęczą tryśnie,  
Spadająca kwiatów burza  
W jedną zorzę się rozbłyśnie  
I w powietrzny płaszcz z promieni,  
W karmazynu wielką chmurę  
Archaniola opierścieni —  
Polskę moją — w jej purpurę!

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy  
Na szafirach swych dokoła  
Pochyliły przed nią czoła  
Jeszcze głębiej, niżli wprzód!  
Rozkochane — zachwycone  
Widzę, widzę — już przyklękną,  
W niej uznały boże Piękno,  
Dadzą Jej świata koronę!

I przyklękły — i słyszałem  
Głos, co woła w wiecznem niebie:  
»Jak im Syna niegdyś dałem,  
Tak im, Polsko, daję Ciebie!  
Syn Mój jeden był — i będzie,

Lecz myśl Jego żyje w Tobie;  
Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie!  
Ja Cię Córką moją robię.  
Gdyś do grobu zstępowała,  
Byłaś częstką człowieczeństwa,  
Ale teraz, w dniu zwycięstwa,  
Ziemia Tobie powierzona  
Imię twoje: *Ludskość cała*,  
Byś ją wiodła *czynu* torem,  
Aż się staną jej plemiona  
Jednym Ducha arcytwarem!  
Wzbij się w bezmiar nieskończony  
Nad ubiegłych lat padołem,  
Wtedy pójda te miliony  
Za planety archaniołem!

I ujrzałem Archaniola  
Postać, w bieli i w purpurze  
Z nad klęczących ludów koła  
Podnoszącą się ku górze.  
Obrócone wzwyż Jej oczy,  
Lecz ku Duchów-Ludów stronie,  
Wyciągnięte na dół dłonie —  
I tak znika wśród przezroczy!

W tę porwaną patrzą postać  
Rozklęczone duchów grona;  
Już nie mogą w dole zostać,  
Już się wzięły pod ramiona.  
Pojednane — połączone —  
Wzbić się muszą tam, gdzie Ona,  
Wichrem bożym poniesiona —  
W coraz wyższą — wyższą stronę!  
I zerwały się pospołu,  
Z szafirowych niw padołu



Za naszą Polskę, jak za słońcem,  
Popłynęły już do góry,  
Narodowe ziemskie chóry  
Popłynęły tak, jak chmury,  
Opasane tęczą tysiącem!

I ujrzałem wszechświat cały  
Jak myśl jedną, która płonie  
Skier milionem w jednym łonie!  
Ach! widziałem bożej chwały  
Wszechprzymiotny kształt — bez końca,  
Komet — planet — wiry, kręgi,  
Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,  
Nad słońcami — jeszcze słońca!  
Wszędzie światów, tak jak kwiatów,  
W lazurowym tym ogroju;  
I przez światła oceany  
Jeden życia dźwięk rozlany,  
Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna  
Niebieskiego świata — Syna,  
O niebieskim Bogu — Ojcu!  
I przez wszechświat ten do Boga  
Szła Narodów ziemskich droga!  
I wciąż Polska moja przodem  
W nieskończoność z ludzkim rodem  
Tam leciała!...

Czyje oko

Ją dosięgnie tak wysoko?  
Kto uderzy ziemskiem czołem  
Aż o stopy Stworzyciela?  
Kto polecą z Archaniołem  
Tam, gdzie Ludzkość się odwciela?  
Już mi w piersiach serce mdleje —  
Obraz znika — myśl się chwieje,  
Siostró moja, czym w mogile?

Mnie tak słabo, konająco —  
O, jam prosił tak gorąco,  
Jam się modlił Bogu tyle  
O tę jedną, jedną chwilę —  
I ujrzałem!...

W tej godzinie,  
O, pamiętaj, żeśmy byli  
Na najwyższej dusz wyżynie —  
Tam, skąd źródło życia płynie;  
My u źródła życia pili!  
Oko nasze już chwytalo  
To, co jeszcze bez imienia;  
My na wolność rozpętali  
Z głuchych więzów przedstworzenia  
To, co jeszcze w nich drzemało,  
I na chwilkę temu dali,  
Co Bóg daje — kształt i ciało!  
Siostró moja, my w tej chwili  
Naszą wieczność już przeżyli!

Zrzuć więc smutek — zrzuć więc trwogę,  
Daj mi rękę w jedną drogę!  
Wiem, co trudu na niej jeszcze  
I co bólu — i co klęski;  
Ale ufaj w czucie wieszczce:  
Już nam błysnął świt zwycięski!

W tę ojczyznę nieśmiertelną,  
Mimo działów niepodzielną,  
Na tę ziemię ukochaną,  
Na tę naszą — naszą ziemię  
Przyjdzie nowych ludzi plemię —  
Takich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje  
Z wolą Pana ponad pany,  
Duch im prawdy z nieba dany  
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się *mnóstwo*,  
Cząstek rozdział lub rozbiecie,  
Tam już dla nich jedno Bóstwo,  
Jedna miłość i wszechżyście!

Krwia się brzydzą — choćby winną;  
Duch już przez nich tylko stwarza,

I, gdy stworzy ziemię inną,  
Niema na niej już zbrodniarza!

Niema także podrzędnicy,  
Bo niewieście w końcu serce  
Po lat długich poniewierce  
Błysło z pączka tajemnicy.

Dawne pany biorą sami  
Swe za dłonie niewolnice,  
By jak duchy iść z duchami  
I wstępować na stolicę!  
Przemieniony ten planeta  
Już zapomniał, co kobieta —  
Wie, co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie  
Jak świątynia Panu rośnie;  
W polskim kraju — w polskim raju,  
Na wiekowych nieszczęść niwie,  
Już nie pusto — ni żałośnie;  
Nigdzie — nigdzie już nie ciemno,  
Ani za mną, ni przede mną —  
Wszędzie jasno — sprawiedliwie!  
Zrozumiana przeszłość święta!  
Zrozumiane czyści męki  
I ten kielich z kata ręki  
I te krzywdy i te pęta  
I Duch złego, który kusi  
Do podłości serce dzielne,  
I to serce, które musi  
Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,  
Polsko moja przemieniona!

Ponad ziemskich szum zawiei  
Tyś się wzbiła w kraj idei!  
Inni pomrą bez nadziei  
Śród otchłani lub w dolinie,  
Lecz ty stoisz na wyżynie!  
U stóp twoich czasu fala  
Niech się pieni i przewala:  
Wszystko przejdzie na potoku,  
Wszystko zniknie na głębinie,  
Co widome tylko oku,  
Lecz Idea nie przemienie!

Ty nie jesteś mi już krajem,  
Miejscem — domem — obyczajem,  
Państwa skonem — albo zjawem,  
Ale Wiarą — ale Prawem!  
Ten już odtąd Bogu kłamie,  
Kto cię zdradzi — kto cię złamie;  
Bo myśl Boga w twojem łonie  
I los świata — w twym Zakonie!

\* \* \*

Wiekuiсты ojców Boże,  
Ty, co górny i daleki  
Coraz jaśniej w nas przez wieki  
Tu zstępujesz — i, jak zorze,  
Z bram wieczności, w Czasu tonie  
Skry Twe sypiesz, aż czas spleonie!  
Teraz idzie znów Zaranie,  
Które dajesz nam z miłości:  
— I po grobach zadrzą kości  
W szelest hymnu Tobie, Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi  
Ach! bluźniły, żeś bez serca,

I mówiły — żeś morderca!  
Tyś umarłym wytknął drogi,  
Co w niebieskie wiodą progi,  
Aż wskrzeszonych zmienia — w Bogi!

Za ból ciała, za ból duszy,  
Za stuletnich ciąg katuszy  
Dziękujemy Ci, o Panie!  
Choć my nędzni — słabi — marni,  
Z naszej wszczęło się męczarni  
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy — my jak pyły —  
I wywiałeś nas z mogiły,  
I nam rzekłeś: *»O tej porze  
»Z was ja wszystko nowe tworzę«* —  
— Prochy, lecim już w przestrzenie —  
I w piorunach Twego głosu:  
*»Światło, stań się!»* — śród chaosu  
Z prochów stały się — promienie!  
I do świata, który kona,  
Tyś nas posłał nazad w gości,  
By, promyki z Twego łona,  
My świadczyli o Przyszłości!

Wiekuiсты ojców Boże,  
Błogosławim Ci w pokorze!  
Gdy wiek wieków się przemienia,  
Przed Twym tronem nasze Duchy  
Zapadają w przepaść skruchy,  
W śmierć przed Tobą — z uwielbienia!

\* \* \*

Alleluja! — Dniom boleści  
Wnet skrzydłami zaszeleści  
Anioł, zwiastun *dobrej wieści!*

Alleluja! — Moc szatana,  
Co udawał ziemi pana,  
Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze,  
Od początku walczył z nami,  
Chadzał dumny w wiatrów chórze,  
Wyl na fali — grzmiał na chmurze  
I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze, a upadnie,  
A gdy czoło w pył pokładnie,  
Ze zwłok jego się przetworzy,  
Przecanieli — wydobędzie  
Inna postać — seraf Boży,  
Co planety stróżem będzie  
I przejasnych widzeń darem  
Poza trumień czarnym jarem  
Żywym wskaże białe Raję,  
Gdzie Duch zmarłych zmartwychwstaje

Wszystkie, wszystkie spreczne siły  
W jeden nastrój się złączyły,  
Jedna drugiej nie przeklina —  
Wirująca ziemia jękiem  
Już przestworu nie przecina,  
Lecz, szczęśliwa, brzmi i śpiewa,  
Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniecie:  
Tak, jak w niebie — na planecie  
Wszystko świętej woli słucha;  
Martwa dotąd bryła Ludu  
Już przekuta dłotem Cudu  
W nieśmiertelny *posąg Ducha!*

Piersi ludzka, na śpiew się sil!  
Wil się wieków rój  
I walk mijał stek;  
Lecz skończony bój,  
I szczęśliwy wiek  
Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok ni słyszał słuch,  
Jaka piersi głąb,  
Jaki serca czar;  
Myśli twórcza, zstąp,  
Daj przebudzeń dar,  
Niech się ocknie Duch!

Długo trwała snu tego moc;  
Uwierzyli weń,  
W wieczny ból i trud!  
To przybytku sień —  
To po wschodach wschód,  
To zasługi noc!

Piersi ludzka, kędyż twój srom?  
Spojrzyj w siebie — patrz!  
Gdzie wrzał dawniej płacz,  
Dziś z niebieskich łask  
Drugi boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń  
W niezmierzoną bloń,  
W jasnowidną toń!  
Jeden z nieba kwiat,  
Przyszłych wieniec lat,  
Jedna w Bogu pieśń!

---



Tak śród przedświtów lepszego poranka  
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka.  
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa;  
Lecz słowo tylko — to marna połowa  
Arcydziel życia, modlitwa jedyna,  
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyzna,  
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;  
Co głosem śpiewa, co wciela pomalu  
W kształt dotykalny — aż tak, jak Duch boży,  
Świat rzeczywisty wokół siebie stworzy,  
Równy pięknością światom Ideala!  
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;  
Bo, póki łódka na marzeń jeziorze  
Fale natchnienia w samotności porze,  
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do nieba!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,  
Jakkolwiek pieśni nie pojmy szyderce,  
My już w niej całe wyśpiewali serce  
I tu jest nasze ze *Słowem* rozstanie!  
Niech nuć jeszcze dzieciątka niewinne —  
Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję!  
Drogi przed nami otwarte są inne:  
Zgińcie, me pieśni — wstańcie, *Czyny* moje!

Lecz ty, Piękności, którą ukochałem,  
Siostro jedyna w mojem życiu całym,  
Ducha męskiego niewieści Aniele,  
Czuwaj nade mną — i zostań się przy mnie,  
Aż zginę cząstką w trudów arcydziele —  
Aż skonam zwrótką w poświęcenia hymnie!

## OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO »PRZEDŚWITU«.

Str. 135. Polyteizm — wiara w wielu bogów.

Str. 135. Augur — kapłan i wróżbita rzymski.

Str. 135. Quot capita, tot sensus — ile głów, tyle rozumów (łac.).

Str. 135. Proskrypcya — kara wygnania i wyjęcia z pod praw.

Str. 135. Maryusz i Sulla, pierwszy wódz partii ludowej, drugi — arystokratycznej, wzięli w I w. przed Chr. krwawą walkę.

Str. 136. Grakkowie, Tyberyusz i Gajus, szlachetni obrońcy praw ludu rzymskiego (II w. przed Chr.)

Str. 136. Jacta alea est — kość rzucona (łac.).

Str. 138. Discite historiam exemplo moniti — upomnieli przykładem, uczcie się historią.

Str. 138. Danton, Saint-Just, Robespier — słynne krwawe postacie z wielkiej rewolucji francuskiej.

Str. 139. Encyklopedyści — współpracownicy wielkiej encyklopedyi francuskiej, wydawanej przez Diderota i d'Alemberta w latach 1751 — 1763.

Str. 139. Panteizm — wiara w jedność Boga i natury.

Str. 139. Dualizm — wiara w istnienie dwóch wrogich pierwiastków we wszechświecie: dobra i zła, światła i ciemności.

Str. 139. Monoteizm — wiara w jednego Boga.

Str. 141. Syn jego jedyny — książę Reichstadtzki, syn Napoleona, umarł w Schönbrunnie pod Wiedniem w r. 1832.

Str. 143. Reformy — tj. reformacyi.

Str. 143. Machiawelizm — metoda podstępnej polityki, od imienia włoskiego pisarza politycznego, Mikołaja Machiavelli (1469† 1527), autora dzieła: »Il principe« (»Książę«).

Str. 144. Factum — fakt dokonany.

Str. 145. Domini est terra etc. — Boża jest ziemia i wszyscy-  
kie jej kraje i wszyscy, co w nich mieszkają.

Str. 147. »Tu niema nadziei« — napis nad bramą piekielną  
w »Boskiej komedyi« Dantego.

Str. 148. Beatrycze — tem imieniem bohaterki »Boskiej ko-  
medyi« poeta nazywał wówczas Delfinę z Komarów hr. Potocką.

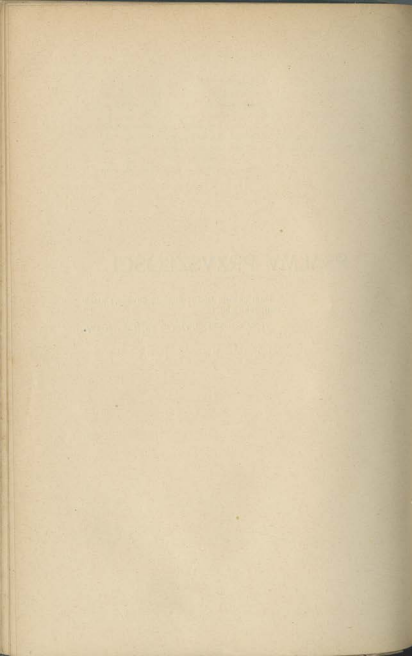
Str. 149. Spójni — spojeni.

Str. 163. Hetman — Stefan Czarniecki.

## PSALMY PRZYSZŁOŚCI

Dam chwałę Bogu; prawdę powiem; niech  
boli, jako chce!

*Teofil Szemberg: Wyprawa na Wołoszczyznę.*



# I.

## PSALM WIARY.

29. A odpowiadając, Jezus rzekł im: »Błędzicie, nie będąc świadomi pisma ani mocy bożej.
30. »Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się żenić ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie boży w niebie.
31. »A o powstaniu umarłych nie czytaliście, co wam powiedziano od Boga, mówiącego:
32. »Jam jest Bóg Abrahamów i Bóg Izaaków i Bóg Jakóbów? Bóg nie jesteście Bogiem umarłych, ale żywych«.

*Sw. Mateusz, Rozdział XXI.*

47. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z nieba.
48. Jak jest ten ziemski, tacy też i ziemscy, a jaki jest niebieski, tacy też będą niebiescy.

*Św. Paweł, List 1szy do Koryntyan, Rozdz. XV.*

## BEALIN DIARY

1891  
Jan. 1. - Arrived at the station at 10:30 AM. The weather was very cold and the ground was covered with snow. I went to the hotel and put up for the night. The hotel was very comfortable and the food was excellent. I went to bed at 11:00 PM and slept very well.

Jan. 2. - In the morning I went to the office and worked until 12:00 PM. Then I went to the bank and deposited my money. After that I went to the post office and mailed some letters. I then went to the library and borrowed some books. I returned home at 6:00 PM and had a very good dinner. I went to bed at 10:00 PM and slept very well.

Jan. 3. - In the morning I went to the office and worked until 12:00 PM. Then I went to the bank and deposited my money. After that I went to the post office and mailed some letters. I then went to the library and borrowed some books. I returned home at 6:00 PM and had a very good dinner. I went to bed at 10:00 PM and slept very well.



Dusza i ciało — to tylko dwa skrzydła,  
Któremi Czasu i Przestrzeni sidła  
Duch mój rozcina w postępowym locie.  
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,  
Opadać muszą — lecz on nie umiera,  
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi;  
On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera  
I, w nie otulon, znów na jaw się budzi!  
A to się zowie: narodzin godzina!  
I Duch mój, wzięwszy skrzydła niezmęczone,  
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!  
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,  
Ciała i dusze własne poza sobą  
Sypie, jak liście żółkłe i strząśnięte,  
Wciąga do siebie siły, im odjęte —  
On sam wciąż żyje ich zgonów żalobą!

Za nim — przeszłości zmierzchające tonie,  
Przed nim — rozwarłe wszechbezmiarów błonie,  
Przed nim świat wszystek, Czas, przestrzeń bez końca,  
Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;  
A dalej, wyżej, nad niemi — za niemi —  
Ten, co jest wszystkim i wszystko obleka,  
Duch twórczy gwiazdy, anioła, człowieka,  
Cel i początek i nieba i ziemi —

Ten, który zawsze i wyżej i dalej  
Niedoścignięty nad wszystko się pali:  
Spokój — a jednak razem siła tchnąca —  
Blask najwyższego duchów, Ducha-Słońca!

K'niemu wciąż dążę — zrazu tam iść muszę  
Przez piekła trudu, przez czyście zasługi,  
Aż zacznę wdziwać i ciała i dusze  
Bardziej promienne — i wstąpię w świat drugi,  
W świat, co od wieków zwan okręgiem nieba,  
I w nim letargów mi już nie potrzeba  
Ani przebudzeń z grobu, by iść wyżej!  
Tam żywot wieczny, żywot nieustanny —  
Grób i kołębka konieczne są niżej,  
Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,  
Gdzie człowiek Boga niemowlęciem jeszcze  
I kwili tylko przeczucia swe wieszczę; —  
Lecz dla aniołów śmierci nigdzie niema!  
Przeszłość i przyszłość ostre mi oczyma  
Widzą i znają — dla nich przemienienie  
To jedna chwila — to dalsze natchnienie!  
Jak my na ziemi w godzinie zachwytu  
Nikłą pieśń z serca czerpiem — tak tam oni  
Kształt rzeczywisty czerpią z fal wszechbytu,  
Szaty przemienne czerpią z życia toni  
I coraz dalej ku Panu — ku górze  
Lecą w królewskiej ciał i dusz purpurze!

Wkoło niebieskich coraz więcej darów,  
Grzmiących dźwięczności i światła pożarów,  
Mnożą się mleczne pierścienie i pręgi,  
Coraz to szersze lazuruje kraje,  
Przestrzeń pełniejszą potęg się wydaje —  
Czas coraz bardziej się przetęrażniejsza —  
A jednak przyszłość, co od końca dzieli,

W nieskończoności swej nigdy niezmniejsza. —  
Bo Pan wszystkiego jest wszystkim na wieki,  
Choć coraz bliższy, on równie daleki!  
Jego to, Jego żądają anieli!  
Żądza bez miary, co chwila rosnąca,  
(Miłość bez granic — to życie bez końca! —

On ogień wszechstworzenia wiązannym łańcuchem,  
On Bytem, Myślą, Życiem — Ojcem, Synem, Duchem!  
On jak Myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,  
Lecz za świata krańcami On jest osobisty —  
On Duchem świętym, jednym, który wie sam Siebie,  
Rozlał się po wszech ziemi a został na niebie!  
A my wszyscy i wszędzie Jegośmy obrazem,  
I, wstępując stopniami w coraz wyższe włości,  
Żyć musim nieśmiertelnie, z Nim żyć musim razem,  
Zrodzeni z Jego łona, żyć w Jego wieczności!  
I, jako On nas stworzył, tak my tworzyć dalej  
I z wnętrza nas samych wyprowadzać światy,  
By przenieść Mu, jak nam uprządl, wiadomości szaty,  
O ile możemy, biedni, w anielskiej pokorze,  
To, coś Ty nam dał z łaski — oddawać Ci, Boże,  
A nigdy nie módz, nigdy, nic Ci oddać, Panie,  
I tak żyć w Tobie wiecznie przez wieczne kochanie!

\* \* \*

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —  
Drogą do niebios planety koleje!  
Na nim to, na nim pójdą zasłużeni  
— A wszyscy razem — do innych przestrzeni,  
Gdy Syn Twój, sędzia, zmartwychwstałych książe,  
Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże  
I z nich anielstwo ludziom wypromieni!  
A do dnia tego wiodące tu wschody

To w łasce Twojej poczęte narody! —  
Garść im powołań sypnąłeś zwysoka —  
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,  
Co z piersi Twoich zesłaniem jest tchnieniem  
I narodowi odtąd — przeznaczeniem.  
A są wybrane jedne przed innemi,  
By o twą piękność walczyły na ziemi  
I, krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,  
Były śród świata anielskim przykładem,  
Aż nie wywalczą straszną walką w grobie  
Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,  
Więcej miłości i więcej braterstwa  
Wzamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

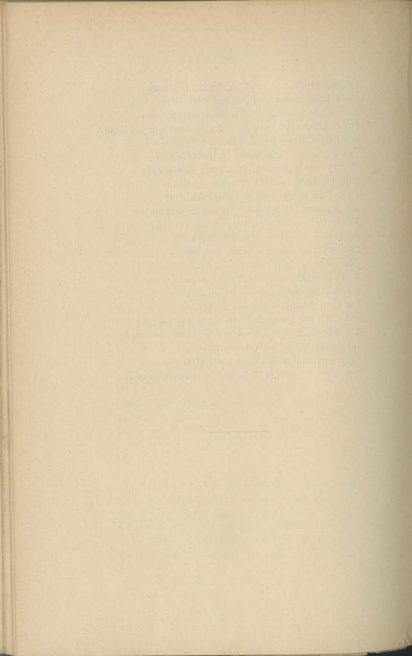
Takim jest naród Twój polski, o Boże!  
Kto częstką jego, niech wie się Twej woli  
Częstką na ziemi — i, choć go świat boli  
Tak, że aż zwątpić o nadziei może,  
Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłychanem,  
Boć on, zaprawdę, w Twego ducha chrzczony,  
Boć on, zaprawdę, Twym ziemskim kapłanem,  
Jeśli się cierniów nie wstydzi korony,  
Jeśli pojmuje, że kochasz bezmiernie  
Synów tych, których koronujesz w ciernie,  
Bo cierni w krwi maczan, to kwiat wiecznotrwały —  
I nim odmładzasz świat ludzkości cały! —

\* \* \*

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o Ludzkości,  
W twych piersiach żyje, w twoich łosach gości,  
Krwiają twą — krew Jego i ciałem twem — ciało!  
Stanie się tobie, co Jemu się stało!  
On wcielił w Siebie wszystkie twe koleje,  
On ci objawił wszystkie twe nadzieje.

Skądęś zrodzona? — Z przeczystej dziewicy,  
Bo z myśli bożej w boże podobieństwo! —  
Ku czemu idziesz? — Ku Ojca stolicy. —  
Przez co przejść musisz? — Przez trud i męczeństwo!  
A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem  
Już się otacza wieczności przedświtem,  
Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?  
Nim los twój ziemski w pełni się dokona,  
I ty, Ludzkości, będziesz przemieniona!  
Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy  
Wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli;  
Zostawisz w dole szataństwo niewoli,  
Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,  
Zostawisz w dole tajemnic zawilość,  
A weźmiesz z sobą duchowe poznanie  
I serca wieczną, nieskończoną miłość  
I z temi dwoma świętymi potęgi,  
Jak Chrystus, w światła wzbijesz się okręgi!  
Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze,  
Jak pióra lekkie będą twe ramiona,  
Ręce pokładniesz na białe powietrze  
I w niem się ważyć będziesz — spowietrzniona! —

---



## II.

### PSALM NADZIEI.

16. A ja prosić będę Ojca, a innego pocieszyciela da wam,  
aby z wami mieszkał na wieki.
17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może,  
bo go nie widzi ani go zna. — Lecz wy go znacie, gdyż  
u was mieszka i w was będzie.
18. Nie zostawię was sierotami — przyjdę do was.

*Św. Jan, Rozdział XIV.*

6. I widziałem drugiego Anioła, lecącego przez pośrodek  
nieba, mającego Ewangelię wieczną, aby ją zwiastował  
siedzącym na ziemi i wszelkiemu narodowi i pokoleniu  
i językowi i ludowi.

*Objawienie Św. Jana, Rozdział XIV.*





Kto obalon wiech nie  
 zrywa, Kto w letargu nie  
 herpnu, doły nie  
 — duchów zniwa  
 Dae mi wiara w uszy  
 Rm grunt — rozple  
 niemie smęty brud

Dość już długo — dość już długo  
 Brzmiał na strunach wieszczów żal!  
 Czas uderzyć w strunę drugą,  
 W czynów stal! —

Wszystkim ciało dał Jehowa —  
 Duszę wszystkim Chrystus dał,  
 A Duch święty żywot chowa,  
 By wraz ciało z duszą zlał.

Ja wam mówię — niedaleki  
 Zbawiciela Objawiciel,  
 Niedaleki, nam przed wieki  
 Obiecany, Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina! —  
 Poznan będzie — Niepojęty!  
 Z Ojca weźmie, weźmie z Syna  
 I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony  
 Pierwsze uirzą Cię na niebie —  
 Lecz niewinnie umęczony,  
 Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił,  
Kościół broniąc od poddaństwa!  
Milionową pierś wciąż krwawił,  
Aż rozdeptał gad pogaństwa —

Kto wśród ludów nie miał brata,  
Ten, na czyim już pogrzebie  
Były wszystkie króle świata,  
Ten, o, pierwszy ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy, choć zemdlony,  
Wzrok utopion trzyma w niebie!  
A kto patrzy w Ducha strony,  
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie! —

\* \* \*

Ni zmysł kupców, ni dłoń kata  
Przeciw prawdzie nie pomoże!  
O, przyjdź prędzej, wiosno świata!  
O, przyjdź prędzej, Duchu-Boże!

Wszak my Duchy, Duchu Święty,  
Wiecznie wstajem z własnych kości? —  
Wszak, jak Chrystus wniebowzięty,  
Wniebowstąpił w Raj miłości? —

Wszak my jedni i ciż sami,  
Tylko coraz wyżsi, Panie?  
I garniemy się wiekami  
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy snem w grobie  
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku wiosnie —

Kwiat niebieski, duch nasz, rośnie,  
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!

Kto opisz — kto opowie?  
Bóg jest jeden — jeden — sam!  
Przecież w Bogu dano nam,  
Że my będziemy jak Bogowie!

\* \* \*

Lecz wprzód ziemia ta stroskana  
Pokój przyjąć musi wszędzie!  
Wszak, kazana w imie Pana,  
Ewangelia wieczna będzie? —

Wszak z planety, co się rozciął  
Na odłamków tyle — tyle,  
Będzie jeden świat i kościół?  
Daj nam, Duchu — daj tę chwilę!

Chrystusowy uścisk bratni  
Gdy okoli wszystką ziemię,  
Wejdzie, wejdzie wiek ostatni,  
I ostatnie ludzkie plemię.

Żegnaj, ziemio, z bolem, z żalem!  
— Wszędzie święte ze świętymi —  
Nowe błyszczy Hieruzalem  
Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był ślizki —  
Krwi spłynęło i łez morze,  
Lecz anielstwa czas już blizki —  
— Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

\* \* \*

— Tak wam z krzyża, o plemiona,  
Dziś proroczy polski naród.  
Choć mówicie: »Ot, już kona!«  
W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko, Polsko! Grób twój tylko  
Był kołyską nowej zorzy,  
Śród wieczności jedną chwilką  
W której począł się dzień boży!

Czas już zedrzeć z wieku chmurę!  
Idącego Pana chwalmy!  
Rzucać palmy — rzucać psalmy —  
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O! rzucajcie pieśni, kwiaty!  
Oto idzie — idzie Pan,  
A nie smętny, jak przed laty,  
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony — z niebios szczytu,  
Z nad Wszechświata gwiazdnych ścian,  
Jak widnokrąg wszechbłękitu,  
Ku nam spływa — spływa Pan!

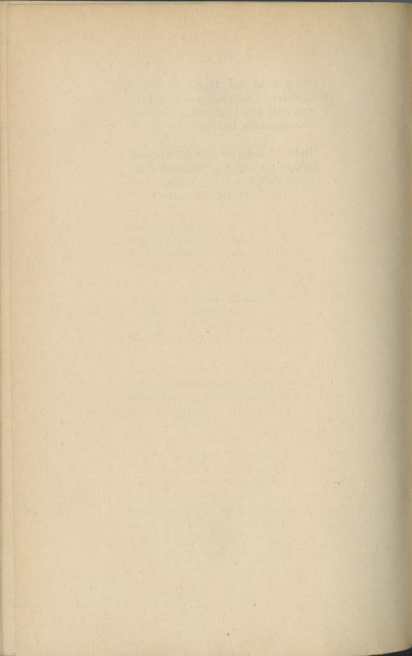
O! ten błękit pijcie duszą,  
A wam wszystko zbłękitnieje!  
Choć was męczą — choć was kuszą —  
Uwierzycie w mą nadzieję. —

Niech was darmo nie przestrasza,  
Że dziś podłość górą wszędzie!  
Z wiary waszej wola wasza,  
Z woli waszej czyn wasz będzie!

Nie powróci stara klęska —  
Duchom — duchom tryumf dan!  
Oto idzie moc zwycięska,  
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo  
Brzmiał na strunach wieszczów żal!  
Czas uderzyć w strunę drugą,  
W czynów stal! —

---

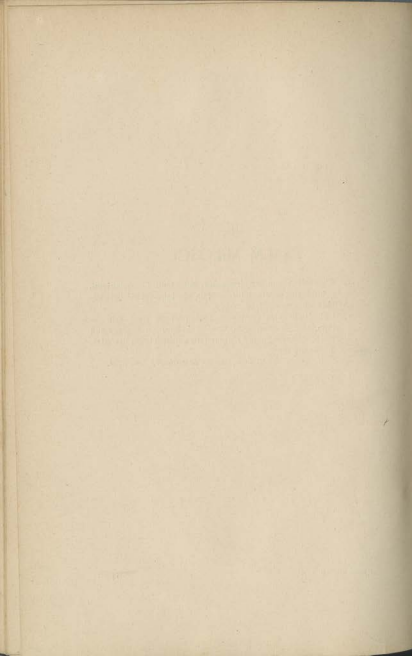


### III.

## PSALM MIŁOŚCI.

1. Chociażbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłością nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzęący.
2. I choćbym miał proroctwo i widziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystką wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłością nie miał, nicem nie jest.

*Św. Paweł. List 1-szy do Koryntyan, Roz. XIII.*





Przeciw piekłu podnieść kord,  
Bić szatanów czarny ród,  
Rozciąć szablą krwawy knut  
Barbarzyńskich w świecie hord,  
Lecz nie — nęcić polski Lud,  
By niósł Szlachcie polskiej mord!  
Marne wrzaski — próżne mowy —  
Z krwi i złota stary świat!  
My do innych idziem lat,  
Promień z niebios spadł już nowy!

*sur do wyzwolenia*

Gdy z kolebki Duch się budzi,  
Niemowlęctwem wolnych ludzi  
Gilotyna i grabieże!  
Dzieciom luby wściekły gniew  
I w wylaną bratnią krew  
Wierzą, ciemne, w ślepej wierze!  
Nie wolności dotąd człowiek,  
To wolności wstało zwierze!  
Lecz czas łuskom odpaść z powiek —  
Czas już przejrzyć Boga wolę,  
Czas anielski podjąć trud,  
Czas odrzucić wszelki brud  
I tem samem znieść niewolę! —

*nie d. nowy niewolę*

*czas. wyzwolenia*

Nie jest czynem rzeź dziecinna,  
Nie jest czynem wyniszczenie. —  
Jedna prawda boska, czynna,  
To: przez miłość przemienienie!  
Jeden tylko, jeden cud:  
Z Szlachtą polską polski Lud,  
Jak dwa chóry — jedno pienie! —  
Wszystko inne złudą złud,  
Wszystko inne plamą plam,  
I Ojczyzna tylko tam! —  
Jeden tylko, jeden cud:  
Z Szlachtą polską polski Lud,  
Dusza żywa z żywym ciałem  
Zespolone świętym szaleń.  
Z tego ślubu jeden Duch,  
Wielki naród polski sam,  
Jedna wola, jeden ruch —  
O! zbawienie tylko — tam! —

*Typowe dźwięki  
Ludu i Ojczyzny*

*Łódź 1890  
Kępczyński*

Kto chce iskier z czarta kuźni,  
By przepalić czarta moc,  
Ten świat w gorszą wpycha noc,  
Ten mądrości wiecznej bluźni. —  
Choćby nie był Moskal rodem,  
Ten Moskalem stał się z ducha,  
Ten mongolskich natchnień słucha —  
Moskwa-piekło mu narodem. —

*Te dźwięki  
nie powinny  
być prozodami  
do celu —*

\* \* \*

Szata Polski nieskalana,  
Przenajczystsza i świetlana,  
Jak niewinność trudu trudów,  
Jako odkup wszystkich Ludów  
Dotąd w Polski grobie leży. —

Ten, kto wzniesie pierwszy rękę,  
By śnieg zetrzeć z tej odzieży,  
Kto przemieni w zbrodnią — mękę,  
Kto przekuje w nóż kajdany,  
A nie w szablę — ten przeklęty!  
Tego straszna gna pokusa —  
Ni mu rozwój światów znany,  
Ni objawion mu Duch święty  
Ni pamiętan Duch Chrystusa!  
On bez myśli, on bez serca —  
W Boga skarbcach nic nie kupi —  
On nieszczęsny i on głupi  
Jak kat każdego i morderca!

*Pomniku dwójce  
Kłomę Kalę  
biabore wól  
polski*

Gdy zstępują w świat geniusze,  
Innym sprawę wiodą torem!  
Nikt przez mordy i katusze  
Nie był wieków Dyktatorem!  
Raczej żyją niebezpiecznie,  
Raczej w końcu giną sami!  
Lecz zwycięstwo ich trwa wiecznie —  
A z nich żaden się nie splami  
Terroryzmem, by do szaty  
Purpurowej brał szkarłatny  
Z braci swoich zżętej głowy —  
Ani Cezar stary w Rzymie,  
Ani Francyi Cezar nowy!  
Kaźde krwawe w dziejach imie,  
Ach, nosiła mierna dusza!  
Słaby tylko rzeź wybiera,  
Czy mu imie jest — Maryusza,  
Czy mu imie — Robespiera!

*Długo przez mordy  
i katusze  
i śmierć jest zwycięstwo*

W poświęcenia świętej dumie  
Poprowadzi Lud do bitwy,

Kto prowadzić Lud ten umie:  
Szlachta Polski — Rusi — Litwy!  
Pierś-że czyja kwitnie w blizny?  
Kto się palił wciąż ofiarą  
Na ołtarzach tej Ojczyzny?  
Kto nad Ludu błędną marą,  
Nad przepaścią ciemną jeszcze,  
Skrzył się cały w żary wieszczę?  
Kto sam z władz swych się rozbierał,  
Narodowi pootwierał  
Przyszłe, wielkie bytu niwy?  
Ani kupcy, ni Żydowie,  
Ani mieszczan też synowie —  
Lecz ród szlachty nieszczęśliwy! —  
Ród, co nie znał z wrogiem miru,  
Żniwem trupiem ścinan w boju  
Lud zapędzan do Sybiru —  
Oni tylko — dotąd oni,  
Z Polską w sercu — z mieczem w dłoni —  
Dniem i nocą bez pokoju!

Któż, zachwycon zdarzeń ściekiem,  
Nie popełnił nigdy winy?  
Chyba jeden — ten Jedyny.  
Co był Bogiem a Człowiekiem!  
Jakiż naród — jakiż stan —  
Wiekże jaki z czystem czołem  
Krzyknąć może: »Jam Aniołem!  
Jan nie zadał drugim ran«!

Lecz się grzechy mazać winny,  
Gdyż z grzesznika człowiek inny  
Wylatuje wśród cierpienia —  
Tak jak Feniks, co się zmienia —  
Nieśmiertelny — wśród płomienia!  
A wyleciał ptak ten nowy,

Syn zbudzonych z snu rozbiorem!  
Ani zasnął ojców wzorem:  
Zjeżył skrzydła — ścisnął szpony —  
I w powietrzu gryzł korony,  
Berła, miecze i okowy,  
Które trzyma ptak dwugłowy!

Wszędzie, wszędzie na planecie  
Braci moich ryty ślad!  
Wy go słowmi nie zmażecie,  
Bo tchnie w dziejach boży ład;  
Ich za Polskę — ścigał świat,  
Ich za Polskę — męczył kat;  
Nie od wczoraj — od lat wiele  
Pierś im palił skwarny brzég  
Lub krył oczy wygnań śnieg  
I więziła Cytadela! —

Na alpejskich skał wyżynie,  
Po śródziemnych fal błękanie,  
Na italskim Appeninie,  
Na hiszpańskich *Sierrów* szczycie,  
Na germańskich niw równinie,  
Po moskiewskich wszystkich lodach,  
Na francuskim każdym polu,  
Po wszechziemiach, po wszechwodach  
Sieli przyszłej Polski siew:  
Boże ziarna, własną krew —  
— I wy syny tego bólu! —

Tam Lud święty Szlachta święta,  
Nie kto inny, prowadziła! —  
A ją natchnień wiodła siła —  
Bez niej dzisiaj wamby pęta  
Ducha żarły, a nie ciało —

Bo Lud martwy sam — to mało:  
Ogrom leży, a bez czucia —  
Jeszcze trzeba iskry z nieba,  
A nie z ziemi, do rozkucia  
Marzącego w śnie olbrzyma —  
I bez Szlachty Ludu niema! —

Z życiem wiernie przechowanym  
Ona stoi na mogile,  
W której zmartwychwstańców tyle,  
Ona Ludu dziś kapłanem!  
Dzierży w ręku moc ofiary,  
Gróźb nie lęka się, ni kary,  
Bo zdeptała wasz świat stary,  
Świat zawiści — mordy — ciemna,  
W którym tylko moc ujemna.  
Wie się ona przeznaczoną  
Do noszenia tu korony;  
Lecz jedyną tu koroną:  
Wylać Ducha na miliony  
Ciałom wszystkim rozdać chleba,  
Duszm wszystkim — myśli z nieba,  
Nic nie spychać nigdy w dół,  
Lecz do coraz wyższych kół  
Iść przez drugich podnoszenie —  
Tak Bóg czyni we wszechświecie —  
Bo cel światów — szlachetnienie.

Wy, co wyższe zniżyć chcecie,  
Patrzcie, patrzcie! — Od kamienia  
Jak stopniami Pan przemienia  
Duchy stworzeń. — Zrazu senny  
Wszczętek życia, aż powoli  
Wydobędzie się z niewoli;  
— Walka trudna i trud boli —

*Król Duch*  
*Kamień*

Lecz podnosi się kształt zmienny,  
Wreszcie przywian Duch zdaleka  
Wdzięwa na się pierś człowieka.  
Głaz, kwiat, zwierze śniły z cicha —  
On ku niebu pnie już głowę,  
Do aniołów pieśnią wzdycha  
Między gwiazdy eterowe!

*Gaußes Dichtung*

*Wodnie myśli*

Wszystko, wszystko wiecznie, wszędzie  
Rwie się w górę z bożej myśli!  
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,  
Kto inaczej świat swój kryśli.  
Kto nie zszlachcić naród cały,  
Lecz chce szlachtę zedrzeć z chwały,  
Może chwilę w gruzach siedzieć,  
Braci schłopi lub obali,  
Lecz nie wzniesie Ludu dalej. —  
Bo wszechświata prawom wbrew  
Sennych zbudzi nie na ludzi —  
Zbudzi sennych na zwierzęta;  
Miasto światła wielkiej burzy,  
Ujrzy ziemskiej dno kałuży  
I w niej polską, spiekłą krew!  
— To nie polskie będą święta!

*12. 3. 1848*

\* \* \*

Powiedz orle, orle mój  
Białoskrzydlny, niezmazany,  
Skąd tych czarnych myśli rój?  
One rosną — gdzie kajdany!  
Ach, niewola sący jad,  
Co rozkłada Duchów skład!  
Niczem Sybir — niczem knuty  
I cielesnych tortur król,

Lecz narodu duch otruty —  
To dopiero bólów ból! —

Wiecznie stoi Przywłaszczyciel  
Przed wszystkich oczyma.  
Tem, że stoi, już kusiciel;  
Chyba Boga niema!  
Sprosnościami hydnej dumy  
Pomieszał rozumy,  
Rozwiązuje sam sumienia  
Przez ogrom cierpienia,  
Sieje kłamstwo i ciemnotę,  
Zmieni zbrodnią — w cnotę.  
Bohatyrów on przekaci  
Na trupach ich braci,  
On przyuczy dzieci małe  
Wierzyć w mord, jak w chwałę!  
Wezmą sztylet mdłe panienki,  
Jak różę do ręki! —  
Powie siostra: »Bracie, weź,  
Bo zbawieniem rzeź!« —  
Oszaleją jego szaleń,  
Rozwściekną — wścieklizną!  
Jak on, będą piekłem całem,  
Nie niebem, ojczyzną!

Precz tym złudom, o ma Święta!  
Zlej godziny to są mary!  
Ty zostaniesz niedotknięta,  
Ty nie zbędzisz dawnej wiary,  
Że ten tylko więzy przetnie,  
Kto namaszczone cnoty znakiem,  
Że na ziemi być Polakiem,  
To żyć bosko i szlachetnie!



Niechaj szepcą Jezuity,  
Niechaj wrzeszczą demagogi,  
Że cel wielki a ukryty  
Odwszetcznia podle drogi —  
Ze, przypadków idąc kołem,  
Wolno w bagna zejść szatana,  
Potem dusza, w nich skąpana,  
Znów odnajdzie się aniołem;  
Że się zmaże hańby kartę,  
Że królestwo boże z czarta,  
Że wszechdobro złego, warte,  
Że wszechmiłość — zbrodni warta!

*Jezuicie*

*Demagogowie*

Precz tym złudom, o ma Święta!  
A otacza cię ich wiele —  
Wszystkie świata chcą zwierzęta  
W zwierze zmienić cię, Aniele!  
U stóp świętych twej Golgoty  
Wszystkie złości zgromadzone,  
Wszystkie Fałsze i Ciemnoty,  
Wszystkie czarne wieku Duchy,  
Ci z nożami — ci z łańcuchy —  
A chcą wszystkie mąk koronę  
Zwiąć ci z czoła w piekiel stronę,  
Byś zmartwychwstał wielkim czynem  
Nie zabłysła Serafinem,  
By krwi twojej i łez strugi  
Nie mieszkaly w przyszłym niebie,  
By się na nic nie przydało  
Chrystusowe w tobie ciało  
Umęczone po raz drugi,  
By z najdroższej Panu, z ciebie,  
Pozostała w dziejach świata  
Jakaś brudna tylko szata,  
By ty znikła — ty, zbawczyni,

Córko Boża, ty — daremno —  
I w sławiańskich niw pustyni  
Już na wieki było ciemno!

Jakież straszne ich postaci  
Tych kuszących bezbożników!  
Tysiącami wściekłych ryków  
Proszą cię o mord braci!  
Inni każą, w imię Cara  
Wierzyć tobie — żeś ty mara!  
Kościotrupie u nich lice —  
Boże, Boże! — to upiory  
Z cmentarzowej wyszłe nory!  
W oczach żądla, nie zrzenice —  
Pod żebrami serca niema —  
W miejscu serca wąż się zżyma  
I wylażą z piersi gady,  
Wszystkie hańby, wszystkie zdrady;  
Obrzydliwym gnąc się ruchem,  
Każda wije się łańcuchem,  
Z drugą wiąże się w przestrzeni.  
Już się coraz bardziej zbliża  
Tłum plugawy ten do ciebie;  
Łańcuchami żmij złączeni,  
Do twojego idą krzyża,  
Co na wzgórzu, w czystym niebie.  
Już stanęli — wznoszą głowę —  
Plwają śliny swe nieczyste  
Na twe ciało promieniste,  
Zarzucają z węzłów wieńce  
Na przebite twoje ręce,  
Na twe stopy marmurowe!  
Oni ciebieby rozdarli,  
Ciebie, przyszlą — ci z przeszłości —

*Dwie pokusy*

Ciebie, żywą — ci umarli,  
Co nie wejdą do twych włości! —

\* \* \*

Polsko moja, Polsko święta!  
Nad zwycięstwa stoisz progiem;  
Kres to męki twej ostatni!  
Niechaj tylko uwydatni,  
Ześ wszechzłego wiecznym wrogiem —  
Potem prysną śmierci pęta  
I ty będziesz wniebowzięta,  
Bo aż w śmierci byłeś z Bogiem!

Gdy ostatnia chwila  
Zgon w życie przesila,  
Najsroższy bój!  
Szloch zwątpień — jęk skargi  
Jęczą mrące wargi —  
O Boże mój! —

W męczeńskiej twej sile  
Pokonaj tę chwilę,  
Ten zwycięż ból,  
A wstaniesz na nowo  
A wstaniesz Królową  
Sławiańskich pól!

Moskiewskie mamidla,  
Obietnice, sidła  
Nie zwodzą już.  
Dziesięć Ludów czeka  
Na myśl — lub człowieka;  
Myśl twoja — tuż! —

*punkt  
Palmirów, cypr*

Nie zsamobójczona,  
Z własną krwią u łona  
Przed Bogiem stań,  
By wziął cię z kolei  
W poczet swych idei,  
Tych świata pań! —

Dziś wschodni ład  
Dwóch bójkę wiar:  
— Ty i Car —  
Car, życia trąd —  
Ty, życia prąd,  
Ty, życia dar!

Niech miłośnie,  
Jak ku wiośnie,  
W twą patrzą twarz!  
Bądź mistrzynią,  
Co krzywości  
Świata prości,  
Przewodczynią  
Wszechmiłości!

Grzech wszelki maż,  
Łzę wszelką susz,  
Depcz ziemski szal,  
Rządź światem dusz,  
Gardź państwem ciał,  
Nieś dech Pana  
Nieskalana  
Żadnym kałem!  
Ludy z trzody  
Stwórz w narody,  
Stań nad niemi

*Program  
druku  
i przygot.*

Ich na ziemi  
Idealem!

Przeciw piekłu podnieść kord,  
Bić szatanów czarny ród,  
Rozciąć szablą krwawy knut  
Barbarzyńskich w świecie hord,  
Lecz nie — nęcić polski Lud,  
By niósł Szlachcie polskiej mord!  
Jedno tylko, ach! zbawienie,  
Jeden tylko — jeden cud:  
Z Szlachtą polską polski Lud,  
Jak dwa chóry — jedno pienie! —

Hajdamackie rzućcie noże  
I oszczerstwa i bluźnierstwa,  
By Carycy w grobie kości  
Nie skleiły się z radości,  
Trup nie parsknął w śmiech szyderstwa!

Hajdamackie rzućcie noże,  
By nie klęły na was wieki,  
Ze cel wieków znów daleki,  
Zeście w dumie — żeście w szale  
Przewrócili losów szalę  
I rozbili się na skale,  
Kędy wiecznie się wyrodni  
Rozbić muszą — bo na zbrodni!...

Hajdamackie rzućcie noże,  
Jeśli w głębi serca wiecie,  
Że w planety tego dzieje  
Pan wciąż z niebios myśl Swą sieje!  
— Nie przypadek rządzi w świecie —

Nikt nie stawia gmachu z błota,  
I najwyższy rozum — cnota. —

Hajdamackie rzućcie noże,  
Bo gdy miną fale godzin,  
Co nas dzieli od odrodzin,  
Będzie Polska zmartwychwstała  
Wszystkich zbójców przeklinała!  
— Tamci lepsi — i mniej śmieli —  
Skradli ziemię — czci nie tknęli,  
Sławy wieków nie zatarli.  
Niech głos ludów to opowie!  
My jaśnieli, choć umarli,  
Jako jaśniał aniołowie!

Hajdamackie rzućcie noże,  
A gdy zagrzmi — o żniw porze,  
Wtedy naprzód — w imie Boże!  
Bierzcie szable — sierpy — kosy,  
Dać żniwiarzom wszystkim grunt,  
Rozplomienić święty bunt!  
Lecić będą, lecić kłosy,  
Ziemię zboczy gęsty wróg,  
Twierdz i więzień prysną mury,  
Duchem zatłon, ogrom zgorze  
Jak suchego siana stóg,  
A patrzący wiecznie z góry  
Nie odwróci twarzy Bóg! —

*Reminisc*  
*Pravda i wolność*  
*1848 rok*  
*Recht*

IV.

PSALM ŻALU.

...mają oczy, aby widzieli, a nie widzą; — uszy mają, aby  
słyszeli, a nie słyszą...

*Ezechiel, XII, 2.*

Boć nie posłał Bóg Syna Swego na Świat, aby  
sądził świat, ale aby świat był zbawion przezeń.

*Jan III, 17.*

## LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
 LIBRARY

CHICAGO, ILL.  
 1900

THE UNIVERSITY OF CHICAGO  
 LIBRARY  
 1900



Psalm następny z następnego powodu:

Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególnie trzeciemu, zaraz po ich ukazaniu się, zatem na niemały czas jeszcze przed bezbożnej pamięci miesiącem Lutym 1846 r. — napisano pieśń w podobnym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie, jedna z przedziwności języka polskiego, brzmiąca cudownemi dźwięki, a głębokiego mistycyzmu piętnem naznaczona, wyobrazicielką niektórych dążeń i myśli, krążących po widnokręgach umysłowej Epoki naszej. — Jeden ją wybrzmiał z piersi swych — ale po wielu piersiach drzemią zawarte w niej tchnienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo imię wieszczu, który ją wyśpiewał, i wola jego o niej, — nieznanemi. Pokróćce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą, ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. — Kształtu się nie przywodzi — ideę tylko się podaje.

Pieśń owa w uroczych a ironijnych strofach zaczyna od zarzucania »Psalmowi Miłości« przeczać zupełnie fałszywych i bojaźni, niczem nie usprawiedliwiowej, przed pewnemi, wypaść mogącemi, klęskami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nic podobnego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szydząc, utrzymuje, że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica i plemion dawno zmarłych po księżycu mgliły się kurhany — lub też nad zasypiającemi oczyma pobłysk padł od czerwonych kotary firanek — stąd krwi widzenie, stąd strach złowieszczy, bo »Któż gdzie i kiedy nożem zagroził lub stanął ci spo-

rem? — Próżne mary — wcale ni mord ni rzeź — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach — »A ty zląkł się, syn szlachecki.«

Po takowem wstępie Pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska całej szlachty polskiej; — przyznając, że jej niegdyś było ze sto tysięcy, ma ją teraz za zupełnie już nie istniejącą i oświadcza, że wcale i nigdzie »jej niema«. — Że w głębiach czasu gotuje się wichrowy płomień, co, wybuchnąwszy, zgaśi i zdmuchnie jak świecę wszelkiego szlachty onej przypomnieli. — Przyjdą światła jakieś boże, widzialne wśród burz apokaliptycznych, pałające i rzucają się na lud i popchną go — a stąd cudowne powstaną strachy i przerażenia, żywe jakoby Śmierci, przechadzające się po ziemi — a w nich i z nimi będzie Duch!

»Słaby, mówisz, rzeź wybiera; a wiesz, co on, ten Duch, wybierze?« — Po tem zapytaniu pieśń, jehowicznym wzbiierając natchnieniem — głosi, że zapewne Duch on młody wybierze za środek wcielenia się swego ludów zatracenie — z wichrów, komet i płomieni okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpada i gruzy po gruzach tylko chłonie; — a z onych zwalisk wszystkich korzysta Duch — którego definicya, że jest »wiecznym rewolucjonistą«.

Nad tak w pył i popiół rozsypanym światem nowa zorza unosi się w górze; — a pod jej blaskami, w jakichciś smętnych przestworach zatracenia jęczy przeszłość historyczna kraju. — Nieskończone westchnienie słyhać z tej otchłani ojczystych dziejów; — ale ponad nią wszechwładny Duch »uciska, mroczy i błyska«, aż stopniowem uciski uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach kończy pieśń modlitwą gorącą i uroczystą o rychłe ziszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z najmisterniejszą sztuką odmalowanych.

Na takiej treści wieszczby odpowiedzią następną »Psalm.«

I.

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,  
Gdym przeczuwał, że się w Ciemnie  
Zasuwamy, a nie w Zorzę,  
I że Lud się zhańbi może?

Prawdę mówisz — pewnem męstwem  
Ja się nigdy nie pochlubię;  
Ja przed bliźnich drzę męczeństwem —  
W otchłań spychać ja nie lubię; —  
Gdzie brud ujrzę, wnet mi serce  
Jakaś bojaźń chwyta boża,  
Braćmi nie są mi morderce,  
Szablę kocham — wstyd mi noża!  
Jakbym zląkł się — na stolicy  
Z gwiazd i tęcz Bogarodzicy,  
Widnej w widzeń błyskawicy,  
A mówiącej sprośne słowa,  
— Samby zląkł się i Jehowa! —  
Tak się lękam i truchleję,  
Kiedy w polskie ma spaść dzieje  
Mord i srom!...

Lepszy grom!  
Zmartwychwstaje się z pod gromu,  
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!  
Tyś odważny — ja się boję

Kazirodczych ran;  
Bojaźń moją — męstwo twoje  
Niech osądzi Pan!

\* \* \*

Więc, gdy padać miały trupy  
Twych nieszczęsnych braci,  
Gdy z nich mieli zdzierać łupy  
Chłopi — Żydzi — kaci,  
Kiedy ziarno, siane w śmieci  
Od wersalskich dzieci,  
Zdradą miało zejść niemiecką,  
Więc i ty, jak dziecko,  
W bańce własnych siedząc marzeń,  
Nie przeczułeś zdarzeń?  
Nie wcieliłeś się w to ciało,  
Co tak cierpieć miało!  
Ach, nie wziąłeś ran przed ciosem  
W pierś twą magnetycznie,  
Aleś jednym wciąż piał głosem  
Tylko fantastycznie!  
Wzrokeś wlepił w tve niebiosa; —  
Ukraińska kosa  
Na nich krzyżem wybawienia; —  
Wkoło błyskawice —  
Z światła cepy i kłonic  
I wichry z płomienia!  
A w otchłaniach, gdzieści w dole,  
Z przekleństwem na czole  
Polska Szlachta — polskie Pany,  
Czyścić z świata zwiany,  
Jak smętne bałwany  
Czarne fale — siwe piany,  
W burzliwą noc!  
Tam Zborowskich ścięte głowy,

Topór i kłoc!  
Płacz bez końca — zgrzyt echowy —  
Miłość — chwała —  
Przeszłość cała,  
Rozdeptana przez wiek nowy!

\* \* \*

O mój wieszczu, stój!  
Oto jutro rano  
Na powstański bój  
Polskie Pany wstaną —  
Szlachta — której niema —  
Bohatyrściej, niżli kiedy,  
Wyzwie Trój-Olbrzyna!  
Lecz z twych niebios spadną wtedy  
Twoje tajemnice —  
Cepy i kłonicy —  
Twój, o! spadnie cud,  
I tych Polski namiestników  
Za kilka srebrników  
Twój rozsieka Lud!  
I strun twoich granie  
Zagłuszy wrzask mordu —  
I nic nie zostanie  
Z twojego akkordu! —

\* \* \*

Bodajbyś, wieszczu, był wieszczyl prawdziwie!  
Bodajbym, zdjęty przerażenia dreszczem,  
Był kłamcą tylko — ty natchnionym wieszczem —  
I plam nie było na ojczystej niwie!  
Bodajby Polska nierozdarta, cała,  
Tak, jak się czuła dniem przed rzezią jeszcze,  
Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszczce,

A z moich marnych na gardło się śmiała!  
Bodajbym nawet, zapozwan przed sądem  
Za potwarz moją na Lud nieskalany,  
Co żadnej hańby nie owrzdził trądem,  
Usłyszał wyrok na śmierć lub kajdany —  
I ty w tryumfie stał z harfą twą złotą,  
Uragający — i pytał: »A co to?« —  
I mnie prowadził aż do rusztowania  
Śród przekleństw gminu, co tobie się kłania  
I milionowym dziękuje poklaskiem,  
Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem!  
Szlibyśmy oba — i szczęśliwsi oba —  
Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem; —  
Bo i mnie, wieszczu, wciąż śni się ta doba,  
Lecz wiem, że wściekłość nie jest zduchownieniem,  
Lecz wiem, że wszelka zwycięstwa godzina  
Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,  
Nim tu narodom na świecie uderzy! —  
Więc przed Nim stanąć narody wprzód muszą  
Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą;  
Lud tylko święty Królestwo odierży!  
Przemień go, przemień w Króla i Kapłana —  
Lecz zanim jeszcze nie przekrólewszczony,  
Nie klękaj przed nim — nie kładź mu korony,  
Lecz ufaj w szlachtę polską — i moc Pana! —

\* \* \*

Ależ, wieszczu — boś ty wiary  
Dni zaprzeczonych — tyś wieszcz stary!  
Cóż o Duchu ci się śni?  
Duch twój wiecznie grzmi w twej pieśni  
Jak pogański Jowisz jaki,  
Lub kataklizm wśród natury,  
Co świat chwyta na tortury;  
To indyjskich bóstw oznaki!

Duchże twój — Inkwizytorem  
Lub wandalskich dni upiorem,  
Co powtórzyć ma do joty  
Historycznych kręgów zwroty  
I z postępów wynieść tyla,  
Tylko tyle, co Atyla?  
Duch twój tylkoż myślą czystą,  
A nie życiem istnem, szczerem?

Tylko rewolucjonistą,  
Tylko Robespierem?  
Filozofią — a bez serca?  
Kościotrupem — a bez skóry?

O! tyś ducha jest oszczerca,  
Bo go nie znasz; — tylko chmury,  
Co go kryją, widzisz mgliste,  
A nie światło jego czyste,  
A nie kształty powietrzniane,  
A nie ruchy przefaliste!  
Te ci dotąd są nieznane.

\* \* \*

Ciało jest konserwatorem,  
Dusza — wieczną buntownicą,  
Im do siebie stoją sporem; —  
I pogody nie zaświecą,  
Im niema pokoju;  
Odkąd rajski wąż  
Pchnął je do rozstroju,

Dusze z ciałmi nad otchłaniami  
Pasują się i ranią  
Bratobójczo wciąż!

Ach! idee — i zwierzęta —  
Anielice — i tygrysy!

I w tej walce bywa snadnie,  
Że, gdy ludzkie rysy

Idea pokładnie,  
Wnet i w Bogu ta poczęta  
Oszaleje  
I jej dzieje  
Na tej ziemi  
Szkaradnemil  
Potok krwi czerwony  
Przez wszystkie Ojczyzny,  
Gwałty i wścieklizny,  
Upadki i zgony.  
Wiedce kwitną dziś wawrzynem,  
Jutro z nich ciernia korony —  
Każden starzec-wiek strącony  
Przez wiek drugi, co mu synem.  
I ojcobóstwami  
Ciągnie się i plami  
Płynący Czas!  
Któż zbawi nas?  
Kto z żywiołów klótni,  
Z bitwy miejsc i lat  
Harmonią wylutni,  
Rytmu stworzy świat?  
Ten, w kim głębie życia gorą,  
Co nie duszą, w lekkość chora,  
Ani ciałem, w ciężar chorem —  
Ten, co trzecim idzie torem,  
W kim ciał i dusz wspólny ruch,  
Ten, który tryumfotorem:  
Święty Duch! —  
Lecz on płynie — a nie skacze,  
Lecz on wschodzi — a nie spada,  
Ziemia pod nim krwią nie płacze,  
On nie woła: »Biada!«  
Arcy-światła w nim potęgil  
On zapelnia widnokreśli



Niewidzialne — a błękitem  
Nad niziną i gór szczytem  
Równo promienieje;  
Rankiem budzi  
Sennych ludzi  
Na nadzieję!  
I do ciemnej zbieży studni,  
By wysrebrzał cień —  
Aż się ranek wypoludni  
W bieluteńki dzień!

---

## II.

Moc Jehowy, nie gniew,  
Zlana z myślą Chrysta  
W jeden wiew,  
Iskra wiekuista,  
Wiew bez końca,  
Wskrósź przez ziemie — słońca!  
I oddech ten,  
Tak, jak sen,  
I przepływa  
I porywa  
I ciągnie za sobą  
Okryte żałobą  
Wszystkie wieki,  
Jak kaleki,  
Jak trupów rząd!  
Gwar — jęk — i szum —  
Wlecze się tłum:  
Będzie sąd!

\* \* \*

Oto w dole  
Jozafackie pole;  
Jednej trumny wieko:  
Niebios dach!  
Lzy wiekom z ócz cieką: —  
Wiekom strach!

A wszędzie w krąg  
Widm krwawych ciąg; —  
Przeszłości wspomnienia  
Jak zmory chodzące,  
Miecz potrząsające —  
Jak anioły, gońce  
Zatracenia!

\* \* \*

Do kata-aniola  
Każden z wieków woła:  
»Zlituj się nade mną!  
Gdzież zbawień świat?»

A anioł-kat:  
»Precz w otchłań podziemną,  
Boś żył nadaremno,  
Bo z wieki innemi,  
Braćmi twemi,  
Tyś nie zbratan! —  
Ja cię znam —  
Jam jest: — Ty sam —  
A twój Szatan!»

\* \* \*

W bezmocy,  
Śród nocy  
Wiek po wieku stęka —  
Obalon przyklęka —  
Leje się żar  
Zgryzotnych kar;  
Duszni i cielesni  
W krwi i pleśni;  
Przepaść tuż,

A anioły w górze  
Jak burze  
Strącające już!  
Nad dołem  
Drżą potępieni;  
By nie paść  
W tę przepaść,  
Wspierają się społem.

Jak łańcuch z pierścieni,  
Łono na łonie  
I zetknięte dłonie,  
Twarze obok twarzy;  
Miłość im marzy  
Przy zgonie! —

\* \* \*

Aż z męczarni doliny  
Krzyk jeden, jedyny  
Ziemiskich wieków wstanie:  
\*W piersiach nam, o Panie,  
Twoje strzały tkwią!  
My piekielni,  
Pókiśmy rozdzielni,  
Ale biedni,  
Gdyśmy w jedni;  
Twąśmy krwią;  
Twym obrazem!  
Miej, o Panie,  
Zmiłowanie!  
Już my razem! —

\* \* \*

A gdy tak jęczą,  
Od ich skrucch  
Niebo spłonie tęczę,  
Głos im wpadnie w słuch:

»Oto idzie Duch!«

I ujrzą w przestrzeni  
Zstępujący grom —  
Świat się przepromieni  
W dyamentowy dom!  
Potępionych wieków ile,  
Spada gromów tyle!  
Wiek każdy w piorunie,  
Na złocistej łunie,  
Co go niesie w dal;  
On się pali,  
Przepostacia.

Jak na morzu z fal,  
Przepostacieni  
Idą w mgle promieni,  
A wszyscy jak bracia!

Oto z gwiazd korona,  
Na czasie niesiona —  
Ludzkości to wieca!  
I Przeszłość zbawiona,  
I Przyszłość zaświeca!

\* \* \*

Znów po wszem lazurze  
Stworzenny wiew —  
Słychać w dole — w górze

Anielski śpiew: —

»Chwała z wieków w wiek,  
Bo stał się sąd!  
Łez krwawych ściek

Zmienion w świata prąd,  
Z dni starych grzech  
Już zwian, jak puch —  
I wlał w Duchy dech  
Wiekuisty Duch --

»I objął rząd!«

### III.

Stój, o wieszczu, w takiej wierze!  
Ni mów, że ty nie wiesz jeszcze  
To, co Duch wybierze!  
Tak nie mówią boży wieszczę!  
Ze świętości Duch jednolit;  
Ni mongolskich biczy,  
Ni czerwonych Rzeczpospolit  
W swe cuda nie wliczył  
Wolna tylko ludzka woła,  
Gdy iza i nieszczera,  
Taki tór obiera  
I nim ziemskie brudzi pola.  
Bo tak wolna, że aż zdolna  
Drogi boże same  
Przepiekielnić w zguby jamę;  
Bo tak wolna, że aż zdolna  
W imieniu braterstwa  
Rozsiewać morderstwa,  
W imieniu nadziei  
Świat wytrącić z swych kolei,  
By bez wstępnych sił  
Zśliznął się po wiekach w tył!  
Wie, że kłamie — a wciąż kłamie,  
Obluda — jej znamie!

I toć straszna wina,  
Co ni Ojca ani Syna,  
Lecz dotyka Ducha!

I z tej winy nie zmaże  
Żaden ból ni skrucha  
Ni żadne cmentarze!  
Ach, nie tylko wiek przeszłości  
Faryzejskie rodzi dusze —  
Za dni naszych i przyszłości  
Są Faryzeusze!

\* \* \*

Powtarzacie: »Chryste, Chryste!«  
A nie macie w sercu Jego; —  
Jakżeż Ducha wam świętego,  
Przejąć dobro wiekniście?  
Z was się każdy nad odlogiem  
Własnej próżni wspina Bogiem  
Na paluszkach wzdętej pychy —  
— I tak wy zwierzęciejecie. —  
Bo, kto sam się bóstwi w świecie,  
Ten naodwrot swego szału  
Odczłowiecza się pomału,  
Aż się stanie taki lichy,  
Że, padając, dójdzie chyba  
Do roślinnej istni grzyba! —  
Lub też dziki — sępny — chory —  
Miasto widzeń — widzieć zmory,  
Miasto natchnień — czuć wściekliznę  
Będzie; — zmać wiary, dzieje,  
Człowieczeństwo i ojczyznę,  
Zwątp rozpaczy i nadzieję! —  
Wtedy wśród błędów swych pędu  
Wezwie drugich do obłędu,  
Za każdym się krokiem



Przenazwie prorokiem —  
Zbawicielem — bożym bratem  
I dusz wielu będzie katem!

Aż, nie wątpiąc, że się zbożył,  
Że, jak Boga stwórcą znał,  
Tak się stwórcą sam tu stworzył,  
Coraz pełnszy własnych chwał  
Pocznie wierzyć jadowicie,  
Że mu sługą ludzkie życie:  
Stanie się i katem ciał!

\* \* \*

Nie tak z Duchem się obcuje,  
Nie tak w Ducha się wstępuje!  
— Gdy pochylišz kornie czoło,  
Zadrży serce — drga szpik kości,  
Z anielskiej rzewności —

I, klęczący, spójrzysz wkoło  
Na niesprawiedliwości,  
Kłęski — smętki — gromy —  
Babylony i Sodomy,  
Ujrzysz Carów w chwale  
Lub zdąsane ludu fale,

Świat zatracające,  
I przyćmione w górze słońce,  
I niebieskie mocy,  
Wstrząśnięte wśród nocy —  
A uczujesz miłość trudu

I męki odwagę,  
Wstaniesz ludzi zbawiać z brudu,  
Kryć ich wstydy nagie,  
I za rany — i za ciernie  
Podziękujesz tkliwie —  
I dotrzymasz wiernie  
Na nieszczęścia niwie,

Śród podłości — niespodlony,  
Śród krzywd — nieodmiłoŹniony. —  
WciąŻ tve usta Pana chwałą,  
WciąŻ pierś twoja twardą stałą,  
Co się błyszczy nieskalalnie,  
A tve oko płacze żalnie  
Ponad każdym cudzym bólem; —  
I tak stąpasz ofiar polem,  
Nigdy w kłamstwa podziemnice,  
Ciemnie i tajnice  
Nie zstępując; — bo do Boga,  
Wiesz, że jedna tylko droga; —  
I jej światłem widny — biały —  
Nie dbasz o wrogów nawały,  
Co z lochów piekielnych  
Czyhają na dzielnych,  
Co, czarni i nocni,  
Tylko zdradą mocni  
I orężni pychą,  
Zabiją cicho!  
A gdy, stawiać tak tve kroki,  
Ty nie mówisz: «Jam wysoki»,  
Ale czujesz, żeś wciąŻ niczem  
Przed Pana obliczem,  
Wtedyś ty dopiero  
Duszą czystą, szczerą  
I czynów łańcuchem  
Połączasz się z Duchem; —  
A z Boga, co w niebie,  
Powraca do siebie  
Miłości spływ —  
I kiedyś, po męce,  
W Jego pójdiesz ręce  
Wszechwiecznie żyw!

I ja patrzę śród zamieci  
W niebios kir —  
I ja widzę, kędy leci  
Zdarzeń wir!  
Słyszę śród chmur  
Zmartwychwstałych chór —  
Ach! znany głos!  
Lecz nie we krwi,  
Którą zemsta leje,  
Cel Polski tkwi. —  
Zemsty dzieje  
Zemstą tylko,  
Chuci chwilką —  
To nie Polski los!  
Jej od Pana  
Pomyślana  
Cudniejsza cześć!  
Nie pożogi  
Ani trwogi  
Ma świata nieść!

\* \* \*

Tu Sybiry mroźne  
I Iwany Groźne,  
A po drugiej stronie  
Kłubowe tyrany,  
Kule strute — kwas siarczany —  
Ludożercze bronie!  
Boże, zmiłuj się nad wami!  
Między dwiema szkaradami  
Wstać ma Polska kojarznicą!  
Dwóch barbarzyństw ma być spojem!  
I to zwiecie — *Tajemnicą*,  
To — wieków pokojem! —  
W jedno zło jedyne

Wszetecznym poswatem  
Siostrę gilotynę  
Ślubić z knutem bratem,  
Rozdeptać kościoły,  
Pomieszać plemiona,  
Sumienia anioły  
Wygnać z ludzi Iona —  
I mieć Polskę tego *działa*  
Czarną spełnicielką,  
W krew truciznę jej lać wszelką,  
By *sprawy* się jęła,  
Trząść przed wzrokiem jej pochodnie  
Wszechświata pożaru,  
Obiecywać jej za zbrodnie  
Nadziemską moc czaru,  
Kusić dziejów anielicę,  
By pod koniec męki  
Odrzuciła świętych wdzięki,  
Upiorowe wdziała lice  
I, odkłaklszy z przed ocz Pana,  
Szczerwieniona — rozczochrana  
Zakochała się w Szatanie,  
Świadczyła mu o tej chwili,  
Jak pierwsi Chrześcianie  
Niebiosom świadczyli —  
To wasz pomysł — to *Raecz* wasza!  
Takie świty  
Duch wasz skryty  
Nam przynasza!

\* \* \*

Wszak nie w takim stroju,  
O wiekuisty Panie,  
Do ostatniego boju  
Polska twoja stanie?

— Nie jędza w niej przebrzydła! —  
— W ustach z Twym pacierzem —  
A nad jej pancerzem  
Spływające skrzydła;  
W jej dłoniach kształt dwóch mieczy  
Z przedziwnej jasności,  
Co nie rani, ale leczy;  
I woła: »Ja się śpieszę,  
»Bo zapraszam w gości  
»Do niebieskich włości  
»Ludzkie rzesze!»

\* \* \*

Lecz wprzód jeszcze sądy Pańskie:  
Na czas, czasów zwrót  
Rzeczpospolity szatańskie  
I północny knut,  
I trząść będą całym krajem,  
Wytracając się nawzajem!  
Patrz, świat, kat twój, Polsko, leży  
Rozciągnięty w pyle!  
Ten, co obrał cię z odzieży,  
Urażał ci tyle,  
Co, związawszy twe ramiona,  
Dziki — podły — dumny  
Wbijał gwoździe ci do łona,  
Jak do desek trumny —  
Patrz, świat, kat twój, Polsko, oto  
Zapadł w krew i błoto,  
Od morza do morza  
Porwał się do noża,  
Bratobójczo się przewala,  
Wije nakształt gada,  
Podnosi — i pada,  
Aż, znękany, czci Moskala!

\* \* \*

Zleć, o Polsko, zleć, aniele  
W promienistem ciele!  
Nie bądź katem twego kata!

Ach, śmiertelny pył,  
Gdy raz w śmierci zstąpi kraje,  
Tylko cnotą znów dostaje  
Nadśmiertelnych sił!

A inaczej — rwie zatura  
W głąb tej samej kary  
Ofiarników i ofiary.

Zostaje ruina  
I nadgrobek na niej świata:  
»Chrystus tylko z grobu wzlata,  
Lecz nie Katylin!» —

\* \* \*

Przyjdź, o Polsko, zleć, aniele  
W promienistem ciele! —  
— Pragnęli wolności,

A Boga nie znali!  
Po ziemiach ich kości,  
Ich prochy na — fali; —  
A żyjących, co zostali,  
Samo życie boli,

Bo w niewoli!  
Z jednych ojczyzn — puste cisze,  
Nad gruzami się kołysze  
Bluszcz wietrzany;  
A gdzieindziej w pysze  
Sprośne pany,  
Bez koron na głowie,  
Lecz z różgą ze stali,  
I służą Jehowie  
Lub z Schizmy powstali! —  
Duchoborce — Roskolniki:

I po nocach słyhać ryki  
Rozrzynanych ciał  
Na cześć Molochowi. —  
Tak panują ludzie nowi,  
Jak z tarpejskich skał  
Wzad przez dziejów wschody  
Zepchnięte narody! —  
I zlatują do ciemności  
Coraz głębiej — dalej,  
Bo chcieli wolności,  
A Boga nie znali! —

\* \* \*

Przyjdź, o Polsko, zleć, aniele  
W promienistym ciebie!  
— Zwiesz się: »Bogumiła«,  
Czerwonym sztandarem  
I moskiewskim carem  
Zarównoś wzgardziła!  
Od dwóch tych zatracieli  
Tak czarno w Europie!  
Śród nawałnic na potopie  
Jedna świecisz w bieli!  
Ledwo stopa się twa zetrze  
Z wierzchołkiem balwanów —  
I przemijasza przez powietrze  
I ścigasza szatanów!  
Przed dwóch mietzy twych jaśnieniem,  
Przed twych skrzydeł tęczą  
Obalają się i jęczą,  
Jak przed Boga cieniem! —

\* \* \*

Idź, o Polsko, idź, aniele  
W promienistym ciebie!

Świat nie poznał ciebie z lica,  
Świat cię zabił — aż na mękę  
Sam jest wzięty, a ty rękę  
Dasz mu — jego męczennica!

Idź, o Polsko, idź, aniele  
W promienistem cie!e!  
W tobie ludzkość przechowana!  
Ponad złości i nad szaty,  
Ponad hańby i nad kały —  
Tyś niepokalana!

Idź, o Polsko, idź, aniele  
W promienistem cie!e!  
W dłoniach twoich nie puginał,  
Gminnym uwieńczon wawrzynem,  
Co pierś wroga porozrywał —  
— Innego blask oręża!  
Bożoczłowieczym tu czynem  
Duch tylko zwycięża! —  
Nadziemsko ty bożą,  
Boś boleści tu boleścią  
A miłością bożą —

I powracasz z dobrą wieścią.  
Wokół ciebie Zło się pieni,  
Ty nie zważasz przecie,  
Sypniesz z dłoni garść promieni —  
I znów jaśniej w świecie!  
Aż przelecisz wszystkie kraje  
I światłością obosieczną  
Śmierć odegnasz od nich wieczną.  
— Tak się zmartwychwstaje!



V.

PSALM DOBREJ WOLI.

THE END OF THE WORLD

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,  
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!  
Tysiącoletnie dałeś panowanie,  
Ubrane w śnieżne, przechrześcijańskie blaski  
Nadeuropejskiej cnoty — Twego Syna  
Dałeś nam pierwszym w świecie wpoić dzieje;  
Z Polski ojczyzna w przeszłości jedyna,  
Co z piersi miłość, a nie rozbój, sieje,  
Co mieczem — tylko świat ewangeliczny,  
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy,  
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca,  
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słońca.  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

\* \* \*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie.  
Gdyśmy zstąpili z życia Kapitolu  
W porozbiorowej doliny otchłanie,  
Zmarłych żywemiś trzymał na walk polu;  
Choć nas nie było, przecieśmy bywali  
Ponadgrobrowo — choć w grobie złożeni —

Na bojowiska każdego przestrzeni,  
Z orłem ze srebra i szablą ze stali.  
Do serc, wsmętnionych w cierpienia czyścowe,  
Wlewałś bicie śród nicstwa nowe;  
Wiecznieś nas kąpał w jakiejś dziwnej cnocie.  
Wrzkomo z nas trupy — a Duchy wistocie. —  
Co elektrycznych nadziemnych strumieni,  
Wszystkieś zgromadził wokół naszych cieni,  
By nam powrotne, wstające z mogiły,  
Na wstyd Europie ciało uiskrzyły.  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

\* \* \*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:  
Żywot najczystszy — a więc godzien krzyża,  
I krzyż — lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża,  
Najwyższe dałeś w czasie powołanie.  
Tchem dzieje świata Tyś przegiał, jak kłosa,  
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa; —  
Ziemiś nam ujął — a spuścił niebiosy,  
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa.  
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić; —  
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić,  
Boś tak ugodził wysoko człowieka  
I naród kaźden, że twój zamysł czeka,  
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem  
Człowiek lub naród jego pójdzie torem.  
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —  
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,

Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

\* \* \*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:  
Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,  
W której tak długo było Twe kochanie,  
Aż się rozwiała w perzyny i dymy,  
Rozdarta w sobie — a zemstą do końca  
Przeciw ludzkości całej szalejąca.  
I ona kiedyś być miała królową  
Pogańskim katom, świecącą w koronie;  
Lecz, że wciąż śniła o tych katów zgonie,  
A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,  
By nad nich podnieść się życiem na nowo,  
Odkrólewszczona — i stała się wdową,  
I dotąd płacze na Twojego Syna  
Za to, że plemion toporem nie ścina,  
Jedno krzyż wzięwszy w zmartwychwstałe dłonie  
Światy obala, gdzie tym krzyżem wionie.  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

\* \* \*

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:  
W ciemnościach naszych sprośne gwałtu wzory  
Szkaradne rzezie i nieczne zabory,  
Za które dzieciąt przeklina ich łkanie,  
Za które sami, z łaski Twej promieni,  
Jakby z pancerza, już odpancernieni,  
Stoją w nagości popelnionych czynów

Bez starożytnych na czołe wawrzynów,  
Z żałób największą okryci żałobą:  
Hańbą serc własnych, zhańbionych — przed Tobą.

Nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie  
Kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie.  
Żadna z nich żadnych nie ma przywilei;  
Król czy gmin jaki dopuści się zdrady  
Słowu Twojemu — przepada z kolei;  
Aniołów nawet przepadły miryady!  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

\* \* \*

x      Wszystko nam daleś, co dać mogłeś, Panie!  
My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku;  
Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie,  
Usta rozwarłe do wesela krzyku,  
Ku nam z błękitów, jakby z Twego łona,  
Złote jutrenki, jakby Twe ramiona,  
Śpieszą już na dół od nieba po ziemię,  
By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemię. —  
Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —  
Anioły patrzą — a tam, z drugiej strony,  
Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!  
I pnie się — wzdyma — rośnie, ku nam zmierza  
Przepaść — śmierć wieczna, w której niema Ciebie,  
Co od początku złych i pysznych grzebie,  
A sama pychą, i złością, i swarem,  
I mężobójstwem onem, jak świat, starem,  
I kłamstw i bluźnierstw rozkipionymwarem!

I wstała siwa w pasach z czerwoności,  
W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie,

Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości  
Na swych topielach piętrzy ku wyżynie,  
Gdzie wpół nad grobem, a wpół jeszcze w grobie  
Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie.  
Jeśli zawrotnym na nią spojrzym okiem,  
Jeśli się jednym ku niej ruszym krokiem,  
Wnet zórz nam światło poblednie na skroni  
I Syn nad nami Twój łzy nie uroni  
I Duch nie będzie nam Pocieszycielem:  
Na dnie jej sobie nicestwo pościele!

*chwila  
proby*

Zmiłuj się, Panie, broń nas, bądź Ty z nami!  
Nie — darmo; — teraz tu stać musim sami!  
Ach, wiem: ta chwila już do nas należy;  
W ostatniej losów tej naszych przemianie  
Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży!  
Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie! —

Lecz wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi,  
Że, nim wiek począł się ten dziejów drugi,  
My w przeszłym wieku Twój nakaz już czcili  
I nie czekali chwil spełnionych chwili,  
By uznać Ciebie za ziemskiego władcę  
W królowej polskiej — Twojej ziemskiej Matce!  
Odkąd z mgły czasów naród wyjawiony,  
Z ciał polskich polskich dusz wyszło miliony  
Z Jej świętem w śmierci na ustach imieniem.  
Niech im dziś Ona odwspomni wspomnieniem,  
Niech, w wielką zmarłych tych ubrana chmurę,  
Na twych niebiesiech do Ciebie się modli,  
By nie związali nam stóp, dążnych w górę,  
Szatani z piekła — lub też ludzie podli!

Spójrz na Nią, Panie, gdy z dusz onych rzeszą  
Co wokół wieńcem powietrznianym śpieszą,  
Zwolna ku Tobie wznosi się bezmiarem!

Wszystkie się ku Niej gwiazdy rozmodliły,  
Wszystkie, w przestworach wirujące, siły  
Zmiękły pod smętnym rozrzewnienia czarem.  
Coraz to wyżej, jakby na powieniach,  
Wschodzi, niesiona na tych bladych cieniach,  
Płynie w lazury, za dróg mlecznych chmury,  
Płynie za słońca taka bielejąca,  
Coraz to wyżej — do góry — do góry!

Spójrz na nią, Panie! — Śród Serafów grona  
Oto u tronu Twego rozkłączona —  
A na Jej skroniach lśni polska korona  
I płaszcz błękitny zamiata promienie,  
Z których tam przestrzeń, i wszystkie przestrzenie  
Czekają; — modli się bardzo po cichu —  
Poza Nią, stojąc, płaczą ojców mary;  
W dłoniach Jej śnieżnych jakby dwa puchary —  
Krew Twoją własną w prawym Ci kielichu  
Podaje, Panie — a w lewym, co niżej,  
Krew krzyżowanych na tysiącach krzyży  
Poddanych Twoich, krew, płynną przez lata  
Po wszystkich ziemiach pod mieczem Trój-kata.

I boskim, tamtym wzniesionym kielichem  
Błaga drugiemu przelaski Twej, Panie.  
Przepaść tymczasem wielkim huczy śmiechem,  
Podplanetarnych fal jej słychać granie;  
Węzowych głębin splotami wciąż toczy,  
Mgłą, wichrem, pianą zalewa nam oczy,  
By nas prześmiertnić w kłamce i morderce.  
Nie widzi, marna, co dzieje się w górze —  
Nie widzi marna, że niczem jej burze,  
Gdy takie za nas tam dręczy się serce!

O Panie, Panie! Więc nie o nadzieję —  
— Jak kwiat się sypie; — więc nie o zgon wrogów —



- Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje; —  
Więc nie o przestęp cmentarzowych progów —  
— Przebyteć, Panie; — ani o broń władną —  
— Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —  
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole; —  
Lecz śród tych zdarzeń strasznego wybuchu  
O czystą tylko blagamy Cię wolę  
Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!

O Ty najdroższy, wszędzie utajony,  
Widny z za światów przejrzystych opony,  
Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,  
W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,  
Co tak gwiazd bunt rozsiemasz na szczęty,  
Jak serc przewrotność — Ojcze, Synu, Duchu,  
Ty, coś rozkazał człowieczej iściznie,  
By, nędzna siłą i kolebką małą,  
Przez moc ofiary się wyanielala,  
I polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,  
By wwiodła w miłość i mir ludu bliźnie  
Niezatraconej prawości przykładem,  
Choć wciąż pod głazów grobowych opadem  
Wszystkich tych ludów otruwana jadem —  
Ty, co w dziejowych odmętów rozruchu  
Wściekłych piorunem przybijasz do darni,  
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni,  
Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,  
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,  
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,  
A światu męscy; — my, co się nie boim  
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,  
Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,  
Co za nas Twego doprasza się słuchu,  
My, zawieszeni pomiędzy otchłanią  
A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,

Blagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,  
Skronią już w wiosen Twych kąpani dmuchu,  
Czasów pryśniętych otoczeni kołem  
I państw ginących — Ojczy, Synu, Duchu,  
Blagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,  
Odnów w nas zmysły, z dusz wypłen kąkole  
(Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste  
Śród dóbr Twych dobro — dai nam dobrą wolę!  
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO  
»PSALMÓW PRZYSZŁOŚCI«

---

Str. 195. Dusza i ciało... duch — Krasński różni trzy pierwiastki w człowieku: ciało, duszę (oba śmiertelne) i ducha (nieśmiertelnego).

Str. 203. Niewinnie umęczony — Polska.

Str. 211. Znieść niewolę — usunąć niewolę, uwolnić się.

Str. 213. Francji Cezar nowy — Napoleon.

Str. 214. Feniks — ptak mityczny, odradzający się w ogniu.

Str. 219. Demagog — wzgardliwe miano dla przywódcy ludu.

Str. 222. Prości — prostuje.

Str. 223. Caryca — Katarzyna II.

Str. 227. Napisano pieśń w podobnym ich kształtow; kształcie — poeta mówi tu o odpowiedzi poetyckiej Juliuszałowackiego na pierwsze trzy psalmy: Do autora trzech psalmów.

Str. 230. Wersalskie dzieci — rewolucyjne stowarzyszenie emigracyjne, znane pod nazwą: Centralizacya Wersalska.

Str. 230. Padać miały trupy — mowa tu o rzezi galicyjskiej w 1846 r.

Str. 233. Inkwizytor — członek sądu inkwizycji, wstawionej okrucieństwem.

Str. 233. Wandalskie dni — aluzya do najścia plemienia germańskiego Wandalów na Rzym (V w. po Chr.), którzy zniszczyli całe miasto, nie szczędząc dzieł sztuki.

Str. 233. Attyla — krwiożerczy król Hunnów, słynny w dziejach.

Str. 245. Klubowe tyrany — członkowie klubów, stowarzyszeń rewolucyjnych, np. jakobini.

Str. 248. Duchoborce, rokoszniki — sekty rosyjskie.

Str. 249. Moloch — bożyszcze u starożytnych Fenicyan, którzy składali mu ofiary z ludzi.

Str. 250. Bożoczłowieczy czyn — czyn taki, jak Boga-człowieka Chrystusa.

## DZIEŃ DZISIEJSZY.

Iluż ich zwiędło w samym życia maju —  
Czy w własnych domach — bez domu i kraju —  
Czy na wygnaniu! — I milczeli długo  
Z dziwnym uśmiechem nad zadziwem świata,  
Co im chciał darmo Ojczyznę być drugą; —  
Milczeli z dziwną litością przez lata,  
Aż w padli w niemoc; — lecz w skonu godzinie  
Dan im wzrok w przyszłość cudowny, proroczy —  
I ona Świętą widzieli na oczy,  
Co nie zginęła i nigdy nie zginie!

## OXEN DZISISY

The first thing I saw on the morning  
of the 1st of June was a fine  
fine day, and the sun was  
shining brightly on the water.  
The water was very calm, and  
the sky was very blue. The  
water was very calm, and the  
sky was very blue. The water  
was very calm, and the sky  
was very blue. The water was  
very calm, and the sky was  
very blue. The water was very  
calm, and the sky was very  
blue. The water was very calm,  
and the sky was very blue.

Może ja zasnął — umarłem już może?  
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi!  
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,  
Nikt rany mojej pod niebem nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo znużony,  
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,  
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną.  
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybujać z tych cieśni!  
Już i tak długo byłem z wami razem.  
Wy życia tylko rozbitym obrazem —  
We mnie brzmia głosy nieznanych wam pieśni.

Na co czekacie? czegoż jeszcze chcecie?  
Czy, żebym przystał, że dobrze na świecie?  
Czy, żebym płakał, że umieram młody,  
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzeć, zaprządz się do pługą,  
Wić się po ziemi, jak ucisku sługa,  
Zuć tylko w nocy, w dzień działać inaczej?  
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojczyzny kościołach  
Zasiąść do biesiad na braci popiołach  
I katów zdrowie pić w Boga imieniu —  
Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem  
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?  
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spojieram  
Z miłością brata — i cicho umieram

I prawdę mówię pod skrzydłami śmierci:  
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,  
A sprządz go nazad wolą nie umiecie!  
— Z was niewolniki też dotąd na świecie. —

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,  
Ciało w Myśl natchnąć i Myśl stworzyć Ciałem. —  
Ah, nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi  
Snuć węzły życia i wieńce potęgi!

Nad grobem świętym — nędznych waśni sporem  
Nie chrystusowym płomieniem my gorem; —  
Jedni w bojaźni swej się zasklepili,  
Drudzy żądają gwałtu w każdej chwili. —

Śni się wrzeszczącym, że Lud się przez rzecie  
Rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie!  
Boże pioruny — nie ziemskie trucizny —  
Z upadku martwe dźwigają ojczyzny!

A czy wy wiecie — wy, na podłość chorzy  
Lub na bezrozum — gdzie ten piorun boży?  
On w piersi ludzkiej drga i zwie się »Miłość«  
I on rozcina tu Losów zawilość.



Tem, że się brudem szatańskim nie płami,  
Mści się straszliwie ponad Szatanami,  
Ryje na czole im potępień znamie  
I z krzywd budowne cesarstwa ich łamie. —

Wiedźcież, gdzie zemsta, gdy tak zemsty chcecie!  
Kto strachem wzgardzi — a nie tknie się zbrodni,  
I wskaże światu świętość Polski w świecie,  
Ten w arcy-zemstę czyny swe zapłodni. —

A czas zwyciężyć już, o przyjaciele!  
Nie rozumiecie może — dni za wiele  
Na martwych myślach wyście przeegrali —  
I na wosk zmiękły wam serca ze stali.

O, pójǳcie — pójǳcie przez rodzinne siola,  
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;  
Tam w kłosie każdym szemrzą ziemi żale,  
Tam lilia polna o pomstę zawoła!

Szum tylko borów słyhać tam w przestrzeni,  
A w borach groby z zielska i kamieni,  
A w każdym grobie męczennik spoczywa  
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa. —

Na polach wokół najemne grabarze  
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną,  
Obrazy świętych i stare ołtarze,  
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono,

By nie stał żaden przed oczyma ludzi  
Pomnik dni dawnych — by ziemia ta cała  
Nagim — bez krzyżów — cmentarzem się stała,  
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi. —

Ah, u bram miasta — patrzcie — tam, w dolinie,  
Rota żołnierzy o brzasku godzinie  
Strzelby nabija — i stoi — i czeka  
Na wóz ten czarny, na tego człowieka,

Co zwolna jedzie w śmiertelnej koszuli,  
Skazan od sędziów, by poległ od kuli  
Za to, że, wygnan, śmiał wrócić na łany,  
Gdzie ojców rola i braci kajdany!

Starców i sierot lud za nim się tłoczy —  
Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —  
Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina; —  
Lud podniósł w niebo obłąkane oczy.

On zstąpi z wozu — on w jaskrawe słońce  
Spójrzy, jak orzeł, i słów kilka doda:  
»Chleb ten był gorzki i zatrutą woda,  
Którąm żył tutaj — teraz na tej łące

Upaść mam ciałem, jak nieczułe brzemie.  
Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —  
Tę myśl, jak ziarno, rzucam na tę ziemię;  
Niech dziś się skryje — by jutro odżyła!»

Gdzież jestem? Mówcie! — Co się ze mną dzieje?  
Ten obraz cały tak prysnął przede mną —  
Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje!  
Lud — łąka — miasto, zapada w noc ciemną,

Jakby mój naród zapadał w otchłanie!  
Dni tylem płakał i prosił Cię, Panie,  
O błysk nadziei! — Podajcie mi ręce!  
Ja nie chcę skonać w tej Zwątpienia męce!

Trzymać mnie, ścisnąć — przykuć mnie do ziemi!  
Ja tu chcę zostać z temi umarłemi —  
Lub, nim odejdę, przeczuć w mojej duszy,  
Że duch Zwartwychwstań ich prochy poruszy. —

Mówcie co do mnie — już nic nie wiem zgoła!  
Czy tam nie widać mojego Anioła,  
Który obiecał — czy to mi się śniło? —  
Śnieżnem mnie skrzydłem przykryć pod mogiłą?

On stoi — widzę — niech chwilę poczeka!  
Co będzie z Polską? — Patrzcie, do człowieka  
Całkiem podobny! Czyż to twarz Anioła?  
Nie — to mój Szatan, który na mnie woła!

Znam cię, dusz słabych siwy kusicielu!  
Tyś przepsuł Wiarę — zatrul Miłość wielu; —  
Wiem — ty przyszedłeś w ostatniej godzinie  
Mnie prorokować, że mój naród zginie!

#### GŁOS SZATANA.

Ja jestem Rozum — ja jestem Konieczność.  
Nie czas mi bratem, ale siostrą Wieczność; —  
A choć mnie ludzie przezwali Szatanem,  
Mój Duch świat stworzył — i ja ziemi Panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,  
Ostatni jesteś z Bohatyrów rodu —  
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia —  
Zwiany jest z ziemi ślad twego narodu. —

Matką ci mara upadłej swawoli,  
A bracią twoją proch, co gnije w trumnie;  
Życiem twem było — tylko konać dumnie  
Lub siać lży marne na nicestwa roli.

Śmiercią trza umrzeć! — Śmierć jest poświęceniem;  
Gdy niepojęta — tylko wtedy kara,  
A gdy ją pojdziesz, Rozumu ofiarą,  
Przez zgubę cząstek całości zbawieniem. —

Tem bieży potok, że fale mijają —  
Tem ogół stoi, że szczególnie płyną —  
Tem Ludzkość żyje, że narody giną —  
I trwa tem Wszechświat, że światy konają.

Lud twój się dostał drugiemu ludowi  
Na krew i pokarm. — Ojców twych puściznę  
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;  
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości,  
Którą rozwiązać nie wam było dano;  
On ją rozetnie, depcąc wasze kości.  
Śpijcie na wieki! — Wam Noc, jemu Rano! —

Lecz ty — odpowiedz! — na coś z umarłemi  
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca  
Żyć nigdy nie chciał, lecz w czarnej zaciemi  
Sny swe, jak lampy, rozstawiał bez końca!

Darmo się zżymasz, przegrałeś w tym boju.  
Rozum na ciebie raz ostatni woła —  
Przed koniecznością ugnij wręście czoła —  
Zrzuć z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj, że dobrze — i mądrze — i święcie,  
Klękni przed zgodą, widomą w zamęcie,  
Co sprzęgła razem w okrąg nieskończony  
Trumny pogrzebów i życia korony,

A w tem uznaniu schwycisz wieczność całą,  
Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą —  
I wtedy będzie darowano tobie,  
Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

#### JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Jakkolwiek straszny ten czarny Jegomość,  
Zda się — rozległą ma rzeczy świadomość.

#### DRUGI.

Mógłby on dużo nam ująć cierpienia  
Przez myśl tę nową, co sprawy tor zmienia.

#### TRZECI.

Kołowrot w głowie — i tamto — i owo —  
Lecz czuję wielką odrazę sercową.

#### GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu bledniecie? — Obróćcie się ku mnie! —  
Bracia, nie patrzcie w posępną twarz jego!  
On duchem wprowadzie — ale duchem Złego,  
Fałsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ah, gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały —  
Co miał przyjść po mnie? — Czemu nie przybywa?  
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa,  
Lecz nie drzę, Duchu — boś nędzny — boś mały,

Boś jedną tylko Wszechżycia połową.  
Niedopełnienie — wieczna twoja dola!  
— Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,  
Bo wiesz, co przymus — a nie wiesz, co wola!

Ządza serc wielu może pod mogiłę  
Zstąpić, jak anioł — i anielską siłę

Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród; —  
— Bóg w Wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byle się nigdy w pychę nie spodliła,  
W cud się zolbrzymi, wciąż wzrastając Czynem;  
Pycha — to karłów zbuntowanych siła —  
Wawrzyn jej zwycięstw na krótko wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na twych lubych czole;  
Ich tryumf głosisz w człowieczeństwa kole!  
Lecz wierzaź, Duchu: Ciału bez Idei  
Nie zwiastuj nigdy nic prócz — Beznadziei!

Pogromcy wieków na dziejowej niwie,  
Tak, jak my walczym, walczą nieszczęśliwie,  
Jak my, po grobach żyją, nie na słońcu —  
A czemuż — powiedz! — ich wygrana w końcu?

Czemuż przed niemi na wydarzeń polu  
Świat wręście zadrży z niewymownej trwogi?  
Na niebie — z niebios pospadają Bogi,  
Na ziemi — Cezar spada z Kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, Duchu,  
Gdyś na ucisków trzymał ich łańcuchu; —  
Bo, wolni w wolnych głębokościach woli,  
Przysięgli wtedy, że i śmierć nie boli.

Coś nieznanego stworzyli pod słońcem:  
Stworzyli hańbę na wieki, dla ciebie,  
Stworzyli ciało wśród katów — a w niebie —  
I krew, z żył wziętą męczarni tysiącem,

Która wciąż świadczy o Dobru i Piękniel —  
Mówże, u jakich piekiel znajdziesz proga

Moc, co się woli praw strasznych nie zleknie,  
Gdy cierpi w świecie — a poczęta z Boga?

I dziś, jak niegdyś, wytknięta jej droga  
Łaską niebieską — i dziś zdola wroga  
Obalić ona — i zespoi razem  
Słowo dni zbiegłych z przyszłych dni wyrazem.

Konieczność, Duchu, jest sługą wolności.  
Ten żyć nie umie — kto prawa nie rości  
Myśl wieczną wcielać, ale w swoje ciało —  
A kto męczennik, temu się udało!

Zdejm z nas twój Rozum bez Czynu i Woli! —  
Nie nam przydatny, tylko tobie k'woli,  
Byś karki ludzkie, jak podle bydłęta  
Na dół przeginał i kuł w hańby pęta.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem,  
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem,  
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —  
Przeszłości chwała — przyszłości zbawienie!

Idź innych zwodzić! Tyś duch cudzoziemiec!  
Gdy zbrodnię jaki gdzie spełni morderca,  
Wraz ją uprawnisz teorią bez serca; —  
— Tyś idealny Moskal — chybaś Niemiec!

I prawdę wyrzekł: ja żyłem na grobie,  
Wszystkie kajdany wszystkich moich braci  
Mnie krępowały, zmarniałem w żalobie —  
Lecz Bóg mi wstydem twym ból ten odplaci.

Zanim na łożu tem ciało me skona,  
Ziawi się duszy mej dusza rodzona —

Zjawi się — wróci — obiecała przecie,  
Raz mnie ostatni gdy żegnała w świetcie.

Widzę, pamiętam: gasnąc na mem rękę,  
Tak mi przyrzekła — i zagasła w jęku.  
Mówię ci, Duchu, że z niebieskich bloni  
Wróci tu do mnie i przyszłość odsłoni.

Precz ty uciekaj przed tem objawieniem,  
Bo z ust twych wścieklizn łać się będzie piana —  
Albo też padnij mi tu na kolana  
I Polskę uczcij serca nawróceniem!

Coś ty mi radził, ja ci radzę teraz,  
Radzę, i szczerze; wielu zwieść i nieraz  
Jeszcze ty możesz — lecz to nie wygrzebie  
Z grobu przyszłości, ni twoich, ni ciebie.

Za to, że wiarą twą był topór kata.  
Że twą pięknością co podle a harde,  
Skazany jesteś na plwociny świata,  
Skazany jesteś na wieków pogardę.

Patrzcie, on znika! — Bracia, już go niema!  
W sercach się waszych tylko strachu zima,  
Na licu waszem tylko zwątpień znamie  
Po nim zostało. — Ożyjcie — on kłamie!

Na walkę, bracia, na godność bez końca  
Wyście skazani. — W ciepłym świetle słońca  
Zwierzętom igrać, lecz wam działać trzeba; —  
A przez Czyn — ziemi przychylicie nieba.

Jam ciężko grzeszny, wyznaję, o bracia,  
Bom dał zamieszkać w sobie tej żalości,



Co z czucia w końcu w krew się przepostacia  
I myśl zatrutą przewciela w szpik kości.

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,  
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,  
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,  
Mnie te dni naszych wciąż tak podle dzieje!

Jam pił zanadto z krynic, mętnych łzami,  
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem.  
Wiek wołał: »Czekaj!« — rok ciągnąc za rokiem,  
Codzień świeżemi witał mnie trumnami.

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem!  
Miłości moich krzyże tam po błoniach,  
Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach  
Z orłem na piersiach sennem, krwawem, białem;

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,  
A w bagnach rosną niezabudek kwiaty  
I czajka woła — jak wprzód — na dzieci,  
I słońce cicho nad równiną świeci.

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem!  
Ciężko mi, ciężko pod wspomnień nawałem.  
Czemu nie wraca moja utracona,  
Ta, co mnie kocha za grobem? Gdzie ona?

Nikt z was nie widział piękności na oczy,  
Bo piękność dotąd gdzieś jeszcze w zamroczu.  
Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;  
Lecz przyjdą czasy — lecz kiedyś się zjawi  
Córka człowieka i Boga — Niewiasta,  
I męskie serca od śmierci wybawi.

Ah, ona była nadejścia jej wskazem,  
Zorzą przeczucia w ciemnych nocy kole  
Wolnej a świętej, odbitym obrazem  
Z nieba dni przyszłych — na tych dni padole!

Widziałem niegdyś, jak wszyscy klęczeli,  
Plotąc jej z kwiatów wędniejących wieńce;  
Ona, na sercu w krzyż złożywszy ręce,  
Gardząc, miała grono kusicieli.

Jak mgły pod słońcem, szaty się jej śnieżą,  
Na ciemnych włosach z jasnych róż korona  
I z czarnych rąbków na głowie przesłona,  
Pod którą różę jak w śnie smutku leżą.

I tak szła zwolna przez tłum ludzki cały,  
Jak siostra zmarłych — milcząca z żywemi,  
Jak córka Bogów — samotna na ziemi,  
Duch, wszystek z bólu i z promieni chwały!

Ah, teraz wszystkie, te wszystkie obrazy  
Walą się na mnie, jak grobowe glazy.  
Mówcie mi, bracia, spokojnie pacierze —  
W ostatnich zgonu podrzutach już leżę!

. . . . .  
. . . . .

#### CHÓR PRZYJACIOŁ.

Umilkł — już skonał. — Na grobie mu wieniec  
Z cierniów złożymy i napis pod spodem:  
«Choć żył na ziemi, nie był z ziemi rodem; —  
Los jego — Rozpacz, a imię — Szaleniec».

#### JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Co też za życie tego czleka było!  
Ciagle mu tylko w mózgu się roilo

O nieskończonych błękitu obszarach,  
A tu na ziemi o kochanek marach  
I o ojczyźnie!

DRUGI.

To był patryota.

TRZECI,

Niema co mówić — lecz to stara cnota.

CZWARTY.

Cenię go mocno, ale ganię za to,  
Że nigdy nie był dość arystokratą,  
Bo tylko silny pierwiastek takowy  
Może kraj podnieść w byt lepszy i nowy. —

PIĄTY.

Cenię go mocno, lecz nie cierpię za to,  
Ze nigdy nie był dosyć demokratą,  
Bo tylko ostry ten pierwiastek zdola  
Ze zgniłych wyrwać nas przesądów koła. —  
Tuszę, że Polskę niechybnie uzdrowi  
Każdemu rzezią grozić szlachcicowi,  
A potem — później — jeśli będzie trzeba,  
To i dać paszport Ichmościom do nieba!  
Krwi sobie utocz, gdy stoisz nad grobem —  
W łeb sobie wypal, kiedyś mocuo chory!  
Takim się Francuz wciąż leczy sposobem,  
A zdrów i silny — z niego więc brać wzory!  
Żadnych półśrodków — precz z niemi do kata  
Wolność i Równość *et cetera* świata,  
Wreście komunizm — co bądź — wszystko jedno,  
Byłem Ojczyznę uratował biedną!  
— Wszak tak, Panowie?

### SZÓSTY.

Mylicie się srogo —

Będzie nam tylko z panslawizmem błogo  
I oszukamy tak gracko Moskali,  
Że ujrzą w końcu, iż my się dostali  
Do steru rządów. — Wtedy krzyknąć: »Brawo!«  
Oni nam będą, a nie my im, strawą.  
Tak sztuki stanu radzi polityka. —  
Żal mi niezmierny tego nieboszczyka,  
Że się z tą prawdą minął oczewistą —  
On był powinien umrzeć panslawistą!

### SIÓDMY.

On był powinien umrzeć komunistą!  
Pozwólcie chwilkę! Nad tym trupem szczerze  
Powiem wam, bracia, w co ufam, w co wierzę. —  
By zrzucić ucisk, nie leż nam i pisku  
Ale gorszego trza jeszcze ucisku!  
Despotyzm zbijesz tylko despotyzmem,  
Nie liberalnym żadnym krytycyzmem.  
— Czem postępować? Nie zważać na prawa.  
Kiedy, gdzie jaka przyjęta ustawa,  
Celom się twoim na nic nie przydawa.  
— Czem znów genialność? Ot, w jednym momencie  
Przelamać naród w odmienne nagięcie  
I, wciąż twórczości trzymając pochodnię,  
Czuć się nad wyrzut wyższym i nad zbrodnię.  
Cnotliwym ludziom zanadto wygodnie;  
Żadnej wewnętrznej nie spełnią ofiary,  
Nie narażają się na zgryzot mary,  
Nie chcą się zhańbić i skałać dla Ludu,  
Jak *Sen-Żust* — *Marat*, ci dwaj Święci Brudu,  
I są spokojni nawet na szafocie.  
To moralności jakby wielkie pany,  
Co chodzą w uczuć jedwabiu i złocie!

A co z tej cnoty, gdy kraj podeptany?  
Uwagę oną zrobił mimochodem,  
A nią dowiodłem, że, gdy Twórczość każe,  
Słuszną wziąć nawet przemoc nad narodem,  
I, że Tyranią marząc, źle nie marzę. —  
Niech się wam serca zbytnie tu nie zrania,  
Bo oczewiście komunizm tyranią,  
Ni takiej znają niewoli na świecie  
Ci, których Turek albo Chińczyk gniecie!  
Przed komunizmu dopiero obliczem  
Każden szczegółnik w społeczeństwie niczem.  
Własność przepada; twe włosy — twa skóra  
Nie twe, lecz Rządu; — to mi Dyktatura!  
Aleć wiadomo: sławiańskiej natury  
Normalnem prawem żądza Dyktatury.  
Myśl, pot, grosz wszystkich przez władzy przetaki  
Wciąż przelatuje. — I władzy tartaki  
Wciąż kraj pilują — ot, Centralizacya!  
— Nie dość krwi tylko chcieć, jak demokracja; —  
A któż krew przyjmie za co gdzie w zapłacie?  
Wprzód, niż krew, pieniądz wojnę rozpoczyna;  
W skarbie drga zwycięstw ukryta sprężyna,  
A skarb oparty na dóbr konfiskacie.  
Rząd gdy jedynym właścicielem będzie,  
Zaraz się zjawi moc i pogrom wszędzie;  
Ci wywłaszczeni wszyscy w jednej chwili  
Jak lwy się będą — obaczycie — bili!  
Nic tak człowieka w animusz nie wpędza,  
Jak zwrot do stanu zwierząt: głód i nędza!  
Mnie się to widzi lekarstwem jedynem.  
Stare przysłowie: »Klin wybijać klinem!«  
Więc dla mas wynajdź jakby kształt Caratu,  
Więc podnieś Moskwę jakby do kwadratu,  
A taką Moskwą obalisz Moskała.  
— Piekłem na Piekło. — Tak Duch świat ocala!

# ÓSMY.

Patrzcie, panowie! — Na tej zgasłej twarzy  
Jakby sen dotąd cierpienia się marzy;  
Choć oko szklanne — choć jak z glazu wargę —  
Z ust i z oczu płynie jeszcze na was skarga.  
Od wszelkich stronnictw napuszonej mowy,  
Pełniejsze życia milczenie tej głowy,  
Na której rysach się ból narodowy  
Rozpostarł wszystek — on ból, co od wieka  
Każdego w Polsce rozdziera człowieka.  
Błogosławiony on ból, co dowodem  
Nieśmiertelności — bo już z grobu rodem!  
On ból czyścowy, opatrny, obrończy,  
Co nas, rozbitych, jak religia łączy,  
Aż cud, nie zaznan w świecie, żeń wykwita:  
Pośrednia polskich dusz Rzeczpospolita!  
— Z takiej tajemnic i ofiar głębin  
Świejsze, ja tuszę, i prawdy i czyny  
Wyjść na jaw muszą, niż gwałt, konfiskata  
Lub rzeź gdzie jaka; czci — sił — czasu strata,  
Małpiarstwo tylko starych zbrodni świata!  
Co wy myślicie — ty i ów — i drugi?  
Zamiarów Bożych nieświadome sługi,  
Wy, źdźbła przyszłości, z których każde śmiało  
Prawi o sobie: «Jam przyszłością całą!» —  
Wy mędrzy — twórcy — wy krzykacze — zuchy —  
Wielkiej Idei studenty, nie Duchy,  
Żaden z was kraju pod dłoń swą nie zgarnie; —  
Nie na toć naród zniósł takie męczarnie!  
Nie — nie zwycięstwem stronnicych mierności  
Kończą się sprawy, w których Bóg sam gości,  
Lecz Myśl się boża tutaj Dobrem zowie —  
Dobrem zaś tylko jest Dobro, panowie,  
A Brud jest brudem; — myj go sofizmami  
Pierz i lat tysiąc — on zawsze cię splami!

Wszystko cochwilnie rusza się i zmienia  
Prócz w piersiach ludzkich — ludzkiego sumienia!  
Tu wynalazków daremna ochota!  
Środków działania i w myśli i w ciele  
Masz do odkrycia nieskończenie wiele,  
Lecz jeden tylko w sumieniu tkwi: — Cnota!  
Inaczejś, bracie, nie człowiek — lecz zwierzę!  
Oto, panowie, w co ufam i wierzę. —  
Żadna Genialność w tym razie nie nada,  
Bo to nie moja ni twoja zasada —  
To prawo światów, co światami włada!  
To nie sławiańskiej wynik Dyktatury,  
Lecz bożej w ludzką zstąpionej natury.  
A nieboszczyka, owszem, chwałę za to,  
Że komunistą, ni arystokratą,  
Ni panslawistą, ani demokratą.  
Ni jakimkolwiek bądź innem przezwiskiem,  
Co z klęsk ojczyzny tylko pośmiewiskiem,  
Nie zwał się nigdy... Jeśli jakim znakiem  
Znaczyć go chcecie, zwijcież go Polakiem.  
Bo kochał Polskę oną wiekuistą,  
Ziemsko-potęzną — i anielsko-czystą,  
W której się zaród wieków szlachetności  
Tak dowielmożni i tak dochrześciani,  
Że z niej się stanie jak duchowa Pani  
Innych narodów! — On żył w tej miłości  
I w niej też umarł. — Serce jemu wrzało  
Goręcej w piersiach, niż u innych ludzi!...

#### DZIEWIĄTY.

Kogóż już teraz taki zapal złudzi?  
Praktyki trzeba — sercem żyć za mało.

#### DZIESIĄTY.

Aha, tak — prawdę mówi obywatel;  
Poszło już serce teraz w rząd bagatel,

I lepsza jedna z Londynu młockarnia,  
Niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia.

CHÓR.

Nie traćmy czasu, bo życie praktyczne,  
Którym żyjemy, liczy w sobie liczne  
Zajęcia! — Zatem, gdy już dni na niebie,  
Bądź zdrów, umarły, pożegnamy ciebie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Dzięki wam, ludzie! — Jam nie skołał jeszcze.

CHÓR.

Jak? — Co? — Ty żyjesz?

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ja z śmiercią się pieszczę.  
Ból zwątpień przeszedł — noc ducha ustała,  
Coraz mi płynniej ciąży ciężar ciała,  
A już nie marzę, nie walczę, nie mdleję —  
Cały w błękitną zmieniam się nadzieję.  
Słodko umieram — słyszę głos Anioła —  
Głos wiosen moich, głos tak dawniej znany,  
Wiecznie pamiętan i wiecznie kochany,  
Tu — przy mnie — wszędzie — nade mną — dokoła!

CHÓR.

Nic my, na honor, nie słyszymy zgola. —  
Cieszy nas tylko, że cię myśl wesola  
Cieszy w tej chwili — winszujemy tobie! —  
Może się kryzys w twej zjawi chorobie. —

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

O ty, nade mną tak się kołysząca,  
O ty, coś piękna pięknnością bez końca.



Bo wiesz już Pana niebieskie wszechcele,  
I na twem licu tej wiedzy wesele.  
O siostró, błagam cię — słuchaj — niech oni  
Ujrzą cię także — niech światło z twych skroni  
W pierś im przepłynie — niech głos twój usłyszą.  
Nastrój ich myśli ducha twego strojem,  
By wrzask ich niezgód stał się odtąd — ciszą  
I walczyć mogli zwycięskim już bojem!  
— A co? — widzicie?

#### CHÓR PRZYTOMNYCH.

Jakież ciebie лихо  
Znów opętało? Leż spokojnie -- cicho!  
Wnet ci się nerwy wściekłym skręca spazmem,  
Gdy z takim będziesz gadał entuzjazmem.

#### GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czy ty mnie słyszysz? Siostró, błagam ciebie,  
Zjaw się im wszystkim tu nagle, odrazu!  
Może ci na to bożego rozkazu  
Potrzeba? — proszę — proś Ojca, co w niebie,  
By ci pozwolił — módl się — módl — mów: »Panie,  
»O co mnie błaga mój brat, niech się stanie!«  
Nie bój się — dobry jest Pan — On pozwoli,  
Byś im zwiastunką była Jego woli,  
Byś słowem moim w mej śmierci godzinie  
Dała świadectwo, które nie przeminie.  
Bóg ciebie kocha, boś kochała wiele,  
Najnieszcześniejsza z niewiast człowieczeństwa,  
Niewiasto polska niegdyś... Ty, męczeństwa  
Duszo i iskro — a dzisiaj Aniele,  
Słuchaj ty — wymóż to na sercu Boga —  
Uczyń to dla mnie, o Siostró, o droga!  
— A co? — widzicie?

### CHÓR.

Wciąż się łudzisz marą

A nasze oczy widzą, co widziały:

Ten pokój, lampą wpół oświecon cały,

Fortepian — stolik — po ścianach broń starą,

A pod tem oknem ten splot róż, co wzrasta

Z tych donic kilku — wręście piec — i basta.

### GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Prawda, we wszystkim dotrzymałaś wiary.

Póki na ziemi — kochałaś do zgonu,

A teraz z góry — aż z pod Boga tronu —

Przez zagrobowe wróciłaś bezmiary

I czekasz na mnie — i stoisz przede mną,

By mnie wprowadzić w noc grobu tajemną.

Prawda, o Siostró, a to wszystko na nic. —

Słuchaj — niech raczej w tę otchłań bez granic

Spadam bez ciebie — niech bez twojej opieki

Tam błdzić muszę — może błdzić wieki!

A wzamian żądam, by im się twa postać

Ukazać mogła i Słowo twe zostać

Z nimi wszystkiemi! — Śpiesz się — wszak cierpienie

Me widzisz! Śpiesz się, ja woli nie zmienię!

Nie mem mi moje zbawieniem zbawienie,

Lecz ich i Polski. Było zostać raczej

Gdzieś była, Siostró — bo pomódz inaczej

Mnie ty nie zdołasz. — Krótka nasza radość,

Jeśli mej prośbie nie uczynisz zadość;

W jakibądź Zaświat odejdziem oboje,

Ściągać mnie będą zgryzot niepokoje,

Żem już gdzieś z tobą schroniony i żywy,

A kraj mój Polski dotąd nieszczęśliwy,

A oni wszyscy wciąż w klótni i w błędzie!

I choćby w niebie — źle mi w niebie będzie;

I będę gorzki — i będę okrutny —

I ty, choć anioł, będziesz anioł smutny;  
Aż, patrząc na mnie, krzykniesz: »Nieszczęśliwam!«  
Więc mnie wysłuchaj — raz jeszcze cię wzywam —  
Wysłuchaj, Siostró — patrz — już dogorywam!  
— A co? — widzicie?

CHÓR.

Co to za muzyka?

Strun niewidzialnych szum dźwięczy w przestworze  
I dźwięk nam każdy wkróś duszę przenika.

GŁOS W GÓRZE.

Wszecchświęty Ojczy, Synu, Duchu — Boże!  
Dziękuję Ci, Panie, żeś w ostatniej chwili  
Dał znów być razem tym, co razem byli  
W życia przeszłości; — na ziemi on bratem  
Był mi, a teraz go z umarłych światem  
Przyszłam pobratać; — lecz, nim mu ust pieniem  
Duszę odwiążę i jednym westchnieniem  
Porwę go z sobą — wysłuchaj mnie, Panie,  
Niech serca jego spełni się żądanie!

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Już nie dźwięk tylko — wyraźnie brzmią słowa.

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Czemu się jeden za drugim tak chowa?

JEDEN Z PRZYTOMNYCH.

Słowo honoru! Gdybym wierzył w Boga,  
Toby mnie zdjęła w tym momencie twoga...  
— Daruj mi, Boże, padam na kolana!

INNY.

Jakby w płomieniach cała stoi ściana!  
O Jezu, biję się w piersi żałośnie;  
Zgrzeszyłem, Jezu! — Jakżeż blask ten rośnie!

GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A co? — widzicie?

CHÓR.

Oszalejem wszyscy!

Czy my zbawienia czy też zgonu blizcy?

Widzim, ah, widzim bielejące szaty

I skrzydła widzim — i na głowie kwiaty —

Tyś prawdę mówił — twoja, ah, wygrana!

GŁOS W GÓRZE.

I będzie Polska — będzie w imię Pana!

CHÓR.

Umieramy po kolei!

Serca nasze, jak tłum liści,

Gdzieś niesionych wśród zawiei,

Opadają w dół zawiści;

Rwie nas w górę wir nadziei,

Umieramy po kolei!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Gdzie dusz naszych wieczna rana?

Już nas wewnętrzny ból nie gniece;

Piersi skaczą — myśl pijana

Od radości, co nieznana.

My umarli już na świecie!

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imię Pana!

CHÓR.

Wszystko wokół — gdyby rajem —

Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —

Tak nam dobrze — tak nam miło —  
Święty Boże, zmartwychwstałem!  
Pierś do piersi — do rąk ręce!  
Zesplatajmy się, jak wieńce,  
I rozwieńczmy się nad krajem!  
Coraz jaśniej przed oczyma —  
Jednym Duchem już się stajem —  
Tam, gdzie Miłość, Śmierci niema —  
Ah, kochajmy się my wzajem! —

#### GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

#### JEDEN Z CHÓRU.

Mgła przyszłości z serc nam zwiana,  
Alleluja! — wraca życie;  
Ojców Duchy, czy słyszycie?  
O wy, niegdyś bardziej z Bogiem  
Niżli Franki — niżli Niemcy —  
W każdym czynie czuciem błogiem  
Zbawiciele lub Rozjemcy,  
Wy, zdobywce — lecz Uniami,  
Których ludzka krew nie płami —  
Wy, pogromce — lecz Tyranów,  
Schyzmatyków lub Poganów —  
Przez dziesięć wieków burzę  
Europejskich bram wy stróżę,  
Króle — Wodze i Rycerze,  
Weszli z światem w Wszechprzymierze  
Przeciw nocy, wiecznie ze dniem,  
Czy pod Moskwą — czy pod Wiedniem —  
Wy — jak w dziejach sny niebiańskie,  
Wy — godzące sprzeczne tory,  
Męczenniki wy chrześcijańskie  
I rzymskie Tryumfatory —

O, natchnijcie nas w tej chwili!  
Wprzyszlć przeszłość — oto pora;  
Niech skra wasza, co w nas chora,  
W płomień zdrowia się rozsili!  
Z głębi ludu — szlachty ród,  
By wczłowieczać w Ludzkość — Lud.  
Na to z bożej ją opieki  
Wybierały los i wieki!  
Póki przodem przed narodem  
Poświęcenia stąpa chodem,  
Żadna rana, w pierś zadana,  
Jej nie zmoże; — nie pochowa  
Żadna otchłań Kurcyszowa —  
Z tych otchłani ona rodem!

O Aniele, patrz, Aniele,  
My tu wszyscy jedną bracią!  
A kto ofiar spełni wiele,  
Ten na ofiar pada czele,  
I to — Arystokracją!

#### GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

#### DRUGI Z CHÓRU.

O ty śliczna, o świetlana,  
O motylu ty mój boży!  
Niech się serce me roztworzy  
U stóp twoich! — My nie kaci,  
A wyrzynać chcieli braci!  
Ah, bo błdzić — to rzecz łatwa,  
Kiedy myśli smutek gmatwa.  
Cudzoziemiec plótl nam dziwy:  
Że, gdy szlachtę kto pogrzebie,  
Ten na wieki już szczęśliwy; —  
Aż ja wieszać chciał i siebie,

Bom sam szlachcic — jak Bóg żywy!  
O Aniele, ja szalałem!  
Jużci szlachta u nas głową —  
— W niej mózg kraju — a Lud ciałem;  
Zetnij głowę narodową,  
Cóż zostanie-ć z pod obucha?  
Kadłub tylko — co krwią bucha,  
Aż się wrogom do stóp zwali.  
I po tylu wiekach trudu  
Ojczystego kadłub ludu  
Będzie grzeban przez Moskali!  
A pogrzebią go w koszary;  
Pod carskimi tam sztandary  
Trupa pocznie się zgnilizna. —  
W rój moskiewskich się żołnierzy  
Przerobaczy, sprzeniewierzy —  
Taka z mordu nam Ojczyzna!  
O Aniele, aż strach bierze,  
Żem tak długo żył w tej wierze.  
Gwałtu — ratuj! — Co się znaczy?  
Jak w śnie wszystko się majaczy!  
Czy to głos mój? Ktoś mną włada —  
Ktoś przeze mnie inny gada!

#### GŁOS W GÓRZE.

Nie opieraj się daremno! —  
Co oglądasz, mów!...

#### DRUGI.

Żle ze mną!

Krew się wzdyma przed oczyma —  
I szumi, i wali,  
I falą po fali  
Posuwa się dalej.

Białych ciał połowy —  
Ręce — nogi — głowy —  
W głowach, w piersiach — kosy — noże; —  
Z czerwonych strumieni  
Jeziora czerwieni —  
Z jezior — jedno morze!

Wielki Boże!

Kędy spojrzeć — w wszechprzestrzeni  
Krew kołysze się i pieni!  
Już od pian tych rudej pary  
Mrok w powietrzu rudoszary —  
Sklep nieba po szczyty  
Tym kirem obity —  
Pośrodku twarz słońca  
Jak lampa gasnąca —  
I zgasła nade mną.  
Jakżeż teraz ciemno!  
Tylko tam, gdzieś na chmur łonie,

W ładu stronie

Zorza płonie;

Tam, woddali

Świat się pali!

Z płomienistych łun w przestworze

Jak drugie krwi morze —

W dole — gruzów trzask,

Nad łoskotem huczy grzmotem

Stu tysięcy wrzask!

A tu bliżej — w łun obwodzie

Na szkaradnej onej wodzie

Oto wiosł płask;

Setne płyną łodzie —

Wszystkie płyną w brzegu stronę,

Bagnetami najeżone;

— Bagnetów tysiące —

Działa — lonty tłące —



Śród dział trony i korony,  
Flag purpury — i mundury:  
To króle Europy!  
Ha, na mordu fali  
Jedni się zostali  
Królowie i chłopcy!  
Szparko jada ci mocarze —  
Wesołe ich twarze —  
Prosto — prosto w te pożary  
Przez te krwi obszary  
Wiosłują wioślarze!  
I żelazo tych żołnierzy  
Uderzy — uderzy  
W chłopów ród,  
I będzie się pasowało  
Z ślepem ciałem ślepe ciało —  
Z brudem — brud!  
I będzie świat cały  
Nad grobowym progiem  
Bez Boga —  
Ostatnim mu Bogiem  
Wszechtrwoga!  
Przed Strachu bałwanem  
Zgniją ludzkie serca,  
Wiek tego panem  
Kat — szpieg — i morderca!  
Na przemiany wszystkie klęski:  
Dziś motłoch zwycięski,  
Jutro górą król.  
Wszędzie wstyd i ból,  
Widnokreżna podłość wszędzie —  
I nadejdzie dzień,  
I wyciętej w pień  
Żal wam szlachty będzie.

GŁOS W GÓRZE.

Zbudź się — zbudź się — w imie Pana!

DRUGI.

Światłość jawu mi oddana,  
Aż się jeszcze trzęsę — pienie!  
Kto w mych piersiach mówił za mnie?

GŁOS W GÓRZE.

Twój drugi »Ty« — twe sumienie,  
Co nie mówi nigdy kłamnie.  
Każden w sobie ma olbrzyma,  
Który z prawdą — nie z nim — trzyma;  
Wszechmoc drzymie w tym olbrzymie —  
Jemu »Wieczny Cud« na imie.

Gdy opisze ciebie kołem  
Twoich własnych żądz i myśli,  
Tak płomiennie ci je skryśli  
I rozwiesi poprzód czołem,  
Że w nie patrzysz ócz twych wzrokiem.  
Wtedyś sobie sam wyrokiem —  
Wtedy bywasz i prorokiem.

DRUGI.

Serce pękło — myśl strzaskana.

GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska — w imie Pana!

TRZECI Z CHÓRU.

O ty jasna — Bogu miła!  
Choć mi każda mózgu żyła  
Wstydu żary na twarz cedzi,  
Rwie mnie spojrzeń twoich siła,  
Klękam — klękam do spowiedzi.

Dusza tylko się została  
Narodowi, co bez ciała;  
Bóg tej Duszy rosnąć każe  
Ponad wszystkich klęsk cmentarze;  
Jej to straży powierzona  
Niw sławiańskich wszech-obrona.  
A ja właśnie do niej — do niej  
Zawolałem w burz godzinie:  
»Patrz, nóż błyska — pieniądz dzwoni,  
Od niemieckiej sprosnej broni  
Krew twych synów płynie!  
Zrzucaj z czoła cierniów wieniec —  
Zstąp ty z krzyża, gdzieś męczona,  
Stocz się w Cara, stocz, ramiona —  
On twój odtąd oblubieniec!

Był ci wiecznym kusicielem,  
Był zatracicielem; —  
Żebrz, niech będzie dziś — mścicielem!  
Konieczności taka droga.  
Już czasy łaskawsze  
Nie przyjdą od Boga —  
Zesamobójcz się na zawsze!  
Zatrać myśl twą i jej godła,  
Z wiar twych tajemnicą  
Rozwiedź się — wietrznico,  
Zeschizmatycz się — ty podła!

Całuj, Lubieżnico,  
Łańcuchy i bicze,  
Zwij siostrami pustyń dzicze!

Wszystko snem jest, coś kochała —  
Snem twa cnota — cześć — wstyd — chwała; —  
Zemsty jedną chwilką  
Ukój boleść niewyleczną,  
Zemsty żądaj tylko  
I giń — śmiercią wieczną!

A być może, iż Traf ziści,  
Że z bezedni tego błota  
Jakie wznijdą i korzyści,  
Polska zdatność a ochota  
Górę wezmą. — Będą jeszcze  
Z nas po carstwach urzędniki,  
Radcy stanu — pisarczyki —  
A u dworu — dworu wieszcz.  
Trzeba — trzeba, gdy Los woła,  
Z człowieczeństwa wyniść koła,  
Z chrystusowej zejść Kalwaryi  
Do moskiewskich kancelaryi...«

Miłosierdzia, o Aniele!

Ja upadam — to za wiele —  
Niepodobna ciągnąć dalej!  
Mózg na węgiel mi się spali.  
Daruj — daruj — ja tak szlocham  
I tak Polskę moją kocham!  
Na tej rzezi bratniej polu  
Jam był rozum stacił — z bólu!  
Lecz dziś dusza odzyskana —  
Świadczy mi sama, o przeczysta,  
Żem nie Moskał, panslawista!

#### GŁOS W GÓRZE.

Będzie Polska w imie Pana!

#### CZWARTY Z CHÓRU.

I ja płaczę, cudna Pani,  
I ja łaknę przebaczenia! —  
Ach, nie rozum, w klęsk otchłani  
Sercem stracił był — z cierpienia;  
Więc człowieka się połową  
Stałem tylko — tylko głową.

I ta głowa, sierzając skronie,  
Słów nie swoich brząca echem,  
Z pysznym — zimnym — dzikim śmiechem  
Tak wrzeszczała w braci gronie:  
»Lat tysięcy Fałsz już zbity,  
Rozwiązane Wiary Mity:  
Wszech-idea wiekuista  
Wszędobecna — wszędojedna,  
Lecz siebie bezwiedna,  
Lecz bezosobista,  
Absolutną matką — Ducha.  
I ta wielka — ślepa — głucha,  
W kształt się ludzki ubrać chciwa,  
Dyalektycznych sprzecni rojem  
Przez naturę wskrós przepływa,  
Aż się stanie w łonie mojem  
Świadomością i ustrojem.  
Ją to niegdyś Bogiem zwano —  
Lecz się grubo omylano.  
W niej pierwiastne tylko ciemnie,  
Co brzmią błędnych czuć szelestem —  
Dźwięk dopiero pełny — we mnie!  
Ja Bóg bardziej — niż Bóg — jestem;  
Jam ostatni kres wszystkiego,  
Wszechświat ku mnie tęskni — zbiega,  
Jam kwiat dobra — jam kwiat złego,  
Jam jest Alfa i Omega.  
Lecz mnie jednak na wsze strony  
Pierś mej matki opierścienia —  
Oczewiście — z niw istnienia  
Wracam w byt jej nieskończony. —  
Nicość czeka mnie — po zgonie.  
Każden człowiek się z kolei  
Znów roztapia w wszechidei,  
Jak kropelka w morza łonie.

O zaświaty tylko pyta  
Filozofia pospolita. —  
Takie, bracia, wam odkrycia  
Ja od pruskich niosę włości; —  
Wiecznej myśli — brak jest życia,  
Nam żyjącym — brak wieczności;  
Poprzysięgam — choć się zżyma  
Serce wasze — niema, niema  
Boga ni nieśmiertelności.  
Ludzkość tylko się odradza —  
W Duchu ludzkim więc Wszechwładza!  
Jak Jehowa rządził stary,  
Dziś ja rządę śród stworzenia:  
    Burzę wiary,  
    Spuszczam kary,  
Na śmierć znaczę pokolenia.  
A ze śmierci tych nasienia  
Wyższej myśli wstaną ruchy.  
Trzeba krwawe pchać ostrogi  
W przyszłych wieków gnuśne brzuchy —  
Żelaznemi niech kopyty  
Roztratują stare byty!  
Tak w Historyi jeżdżą Bogi.  
Gdyby nie te jazdy,  
Postępuby gwiazdy  
Nie błysły nad światem —  
Czyn mój miłosierny zatem.  
Oto prawda rzeczywista  
Tak, jakem Heglista.  
Zastosować tylko święcie  
Nam do Polski to pojęcie!  
    Kto posiada  
    Temu biada!  
    Egoista!  
Ja rozumem jemu świecę —

On opiera się Logice —  
Ślepota zuchwała!  
Lecz opór ten skruszę —  
Zrównam wszystkie ciała —  
Zrównam wszystkie dusze —  
Będzie sławy karta;  
Choćby rozwiać gmach w perzynę,  
Ja się stwarzam — w Katylinę —  
Chcecie? — w Bonaparta —  
Chcecie? — to i w Chrysta —  
W cobądz... Hej! — ja komunista!  
Tak krzychałem — tak — o Święta,  
Nie bądź — nie bądź mi za sroga!  
W myślnie Niemców skutę pętą  
Ah, wyznaję — jak zwierzęta,  
Już nie czulem wokół Boga.  
Choć mnie ust twych uśmiech rani,  
Nie odwracaj się, o Pani!  
O, patrz ku mnie, Światłolita!  
Wzrok twój w niebo chwyta.  
Wiem już, wiem, wiem: wszech-ubóstwem  
Być samemu sobie Bóstwem!  
Nie rozślubi żadna siła,  
Co myśl Zbawcy ześlubiła. —  
Nie my sami wiążem siebie,  
Duch nas boży wiąże — bratni.  
W nim moc pierwsza — cel ostatni —  
Ojcem ojczyzn — Ojciec w niebie —  
Królem Dziejów — jeden On;  
Ja mych braci tylko brat,  
Mnie nie wolno rzucać w świat  
Ból i zgon.  
Złe Ojczyznę — złe kochałem;  
Polska dzielność:  
Wierzyć tchnieniem piersi całem

W Nieśmiertelność.  
Złe Ojczyznę — złe kochałem;

#### GŁOS W GÓRZE.

O boleści — o gorycze —  
    Waśnie — dumy —  
    Bezrozumy:  
O serca stronnicze!  
Wina skrusze — darowana;  
Będzie Polska w imię Pana!

#### GŁOS UMIERAJĄCEGO.

A tych kilku? — patrzaj, Siostrze! —  
Przemów do nich — przemów ostro!  
Nie zgrzeszyli smutku szalem,  
Ale hańbą — ale kałem;  
Gdy nad matki krwawem ciałem  
Kirgizowa jazda tętni,  
Oni byli — obojętni!

#### GŁOS KILKU.

O, my bardzo biedni — marni —  
O, my nędzni — szlamazarni,  
My bez zbrodni i bez cnoty!  
Nam się śniło w śnie ślepoty,  
Że Car blizki — Bóg daleki  
I że naród śpi na wieki!  
Więc już tylko śród niewoli  
Do przemysłu — handlu — roli —  
Do dróg bitych — do farbiarni,  
By utuczyć, co zostało:  
To bez Ducha nasze ciało.  
O my biedni — szlamazarni!



### GŁOS W GÓRZE.

I wam daję pokój Pański,  
Pokój święty — chrześcijański.  
Lecz słuchajcie — azaż wiecie?  
Zanim wynieśmiertelniałam,  
Polką żyłam na tym świecie —  
Wtedy wami pogardzałam.  
I to wraca mi wspomnienie,  
Gdy wam głoszę przebaczenie...

### CHÓR.

Odrodzeni — świeży — nowi —  
Czy męczeństwem — czy żelazem  
Wszyscy walczyć my gotowi.  
Przebacz wszystkim — równo — razem!

### GŁOS W GÓRZE.

Przez was Myśl swą Pan zeźniwi  
I będziecie żywi; —  
Lecz bądźcie cnotliwi!  
Po kryształach — światło boże! —  
Sam Wszechmocny kłaść nie może  
W pierś nieczystą — wieków zorzę.

### CHÓR.

Ah, z rozpaczy nasze błędy!  
Nim dokoła rozwiośniały  
Nam promienie twojej chwały,  
Okolala nas śmierć wszędy.  
Prawem władnem ponad nami  
Wiek ten uznał — Wszech-bezprawie;  
W europejskich państwach ustawie  
Nam kazano — żyć zbrodniami,  
Nam kazano — być szpiegami,  
Nam kazano — wydać syna,

Wydać ojca — wydać brata,  
Gdy syn — ojciec — brat przeklina  
Niechrześcijańskość tego świata. —  
Kto z nas wyznał świętą Matkę,  
Kto Czyn poniósł jej w ofierze,  
Ten jak dzikie ścigan zwierze  
Od mórz włoskich — po Kamczatkę.  
Ah, okrutnie — ah, niezdolno!  
W bożej nawet już świątnicy  
Imię Polski — rzeczą sprośną!  
Tylko imię to rzec głośno  
Wolno było — z szubienicy!  
Sprzysiężona ludzkość cała  
Cześć i życie wziąć nam chciała.

#### GŁOS W GÓRZE.

Jej zapłaćcie, jak Syn boży  
Jej zapłacił przed wiekami:  
Za krzyż — wszechdobrodziejstwami!  
Niech wasz przykład ją przetworzy!

#### CHÓR.

Już nam widno — już nam wiedno:  
Tak do Polski — jak do Pana  
Iść się musi drogą jedną,  
Tą, co nigdy nie skalana!

#### GŁOS W GÓRZE.

Wszechświęty Ojcze, Synu, Duchu — Boże  
Twey łaski, Panie, potrójnej nad niemi!  
Niech im zrozumieć w tym dniu dopomoże,  
Jak sam ich wiodłeś ścieżki tajemni!  
Łaski Twej — łaski — miłości Twej, Panie!  
Oto już dawnych wyrzekli się klótni —  
Oto już drgają na Twej pieśni granie,

Jak struny różne — a tej samej Lutni.  
O, przyspiesz czasy! Niech przez tych strun dźwięki  
Wieku przejściowe zakończą się męki,  
By świat ten poznał, że Sąd i Zatrata  
Na wicki mieszka w każdej zbrodni świata —  
By świat ten poznał, że Twoja Uroda  
Zejść i na planet potrafi niziny —  
By świat ten poznał, że w końcu nagroda  
Uwieńcza tylko poświęcenia Czyny!  
Bo, kiedy próba minęła znikoma,  
Znów chwale Twojej w Twojej Polsce doma!

A teraz, Bracie mój dawny, jedyny,  
Musisz ty, musisz w nieznane krainy.  
Zdawna już twoja wciąż bije godzina,  
I moja tylko do nieba przyczyna  
Wstrzymuje dotąd ciebie w dnia promieniach.  
Lecz już i we mnie mdleje wstrzymań siła;  
Mówże więc do nich, com ci objawiła.  
Kiedyś mnie ujrzał w pierwszych zgonu cieniach,  
A, jako chciałeś, będę ci świadczyła  
I pocałunku śmierci na twej głowie  
Nie złożę, póki, co było w mem słowie,  
Raz im ostatni twój głos nie wypowie!

#### CHÓR.

Srebrnem go skrzydeł obwiązała kołem,  
Wzrok jej gdzieś w górze — lecz rąk jej promienie  
Spuszczone k'niemu — i, spływając dołem,  
Na skroń mu kładą niebieskie natchnienie.

#### GŁOS UMIERAJĄCEGO.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem!  
Ja wam zwiastuję, że Polska nie będzie  
Królestwem tylko lub Rzeczpospolitą,  
Lecz nad państw świeckich skończenne krawędzie

Prawem miłości, rozlewalnem wszędzie,  
Niedziłą wieków, na jaw wydobyta.

Nagle, jak poseł, ukaże się Ona —  
I pośród mocarstw spodłonego grona  
Przezwa ją ludzie: »Mocarstwem-Aniołem«.  
Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem  
Będzie na ziemi widomego Czynu.  
Przed nią pobledną, potępione społem,  
Królów uciski i wściekłości gminu  
I będzie — będzie — w tej Polsce i chwała,  
O którą szlachta w dziejach harcowała,  
I będzie — będzie — i wolność ludowa,  
Ludziom romańskim i germańskim nowa,  
Bo krwią rusztowań ni rzezi nie błotna,  
A w wyższą dolę codzień wstępniej lotna,  
Aż w ruch bezprzerwny; wraz i w spokój wielki  
Rozstrój i rozbrat pobratan już wszelki,  
Aż religijnym stało się obrzędem  
W Bogu Ojczyzny polskiej sprawowanie —  
I Ludzkość poszła natchnień polskich pędem,  
Panu się wszystka dała na mieszkanie —  
I toć Ludzkości pierwsze Zmartwychwstanie!

A wszystko sprawia to, sprawia — Duch święty  
Duch Chrysta z nieba nazad w ziemię wzięty,  
O którym wasi marzyli ojcowie.  
Gdy doń wznosili cochwilne modlitwy,  
By się wprzypadniał czy w sejmy, czy w bitwy.  
Lecz trud ich przerwan klęskami w połowie,  
I do otchłani wy zejść musieliście,  
By cel ten wieczny dopełnił się istic.  
Duszę tam waszą od ciała rozjęto;  
Dusza zapadła w czyścową tęsknicę,  
Ciało przez zgonu przeszło tajemnicę,  
Lecz Duch żył mocą, światu niepojętą.  
I Duch ten wstanie z promienniejszem ciałem. —

Patrzcie tam — patrzcie! Europejskie święto  
Zbliża się — zbliża, gromowym nawalem  
Śpieszą wypadki. — Już na dół się chyli  
Złe, co was gniotło; źle ze złem w tej chwili!  
Ten co z serc waszych pasował się wiarą,  
Dotknięt już zwątpień i rozpaczy karą;  
Na czole jemu ciężka Pana ręka,  
Jego się wszczyną — wasza kończy męka.  
Przemarni żywot, kto piekła kapłanem:  
Pan jeden wielki — Pan jeden jest Panem!

Czy nie słyszycie tych głosów tam wdali?  
Wszystkie na Czasu już stworzonej fali  
Płyną tu, płyną i krzyczą w podziwie:  
»Śmierć sama zmarła — a Zabity żywie!«

Zaprawdę, bracia, tęsknijcie cierpliwie!  
Żli oszaleją zaślepienia szaleń,  
Olsną im oczy przed Boga oczyma —  
Dziś są — a jutro spojrzycie: ich niema!

O, ja was żegnam — ja was tak kochałem,  
A odejść muszę. — Ah, nie będę z wami,  
Gdy w on dzień zabrzmie pierś wasza hymnami,  
Gdy to, co judzkie śpiewały proroki,  
Zstąpią wam z góry tęczane obłoki,  
Spłyną wam w dole miodowe potoki  
I starych bólów zrzućcie zewłoki.  
— Nie będę z wami... ledwom już na jawie...  
Za mgłą mi czarną wy znikli już prawie.  
Czy mnie słyszycie? Chciałbym was do łona  
Przycisnąć wszystkich, nim ten kształt mój skona.  
Sercem i myślą ja wam błogosławię —  
Ja błogosławię wam, ah, całym sobą,  
Wolnością Woli i Losem istoty,  
Wszystkiemi memi w Wszechświecie żywoty,  
Kolei ziemskich przebyta żalobą —  
Prochem tych, trumnie przeznaczonych, kości,

Pokutą, którą za grzechy odbędę,  
Całą wiecznością mej nieśmiertelności  
I niebem — jeżeli ja w niebie zasięczę —  
Wszystkiem, czem byłem — czem jestem — czem będę,  
Wam błogosławię. — O bądźcie mi czyści,  
O, bądźcie święci, a com rzekł, wam ziści  
Sprawiedliwy Bóg! . . . . .

#### GŁOS W GÓRZE.

— Już wszystko spełnione.

Za mną, idź za mną, nowonarodzone  
Ty Grobu dziecię! W jedną idziem stronę. —

#### CHÓR.

Coraz wyżej, wyżej w górze,  
Jak w dwóch głosów zgodnym wtórze.  
Jeszcze nuta brzmi pieśniana...

#### GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska w imie Pana!

#### CHÓR.

Jak kapiące dźwięku rosy,  
Tają — mdleją — nikną głosy —  
Pieśń już ledwo dosłyszana...

#### GŁOSY GDZIEŚCI.

Będzie Polska w imie Pana!

---

OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO  
»DNIA DZISIEJSZEGO«.

---

Str. 272. Beznadzieja — brak nadziei.

Str. 277. Et caetera (łac.) — i tak dalej.

Str. 277. Komunizm — system społeczny, polegający na zniesieniu własności prywatnej i uspołecznieniu warsztatów pracy.

Str. 278. Pansławizm — idea polityczna, dążąca do zjednoczenia w jedno państwo wszystkich Słowian.

Str. 278. Sen-Žust (właściwie: Saint-Just) i Marat — krwawi przywódcy Wielkiej Rewolucji francuskiej.

Str. 279. Centralizacya — system polityczny, dążący do silnego rządu, skupiającego w swych ręku wszystkie władze.

Str. 288. Otchłani Kurcyuszowa — aluzya do podania rzymskiego o otchłani, która w r. 362 przed Chr. rozwarła się pośrodku rynku rzymskiego, wróżąc Rzymowi straszne klęski. Dla odwrócenia tych klęsk powinien był, według orzeczenia wieszczków, poświęcić się jeden ze szlachejnych Rzymian; uczynił to Marcus Curtius, rzuciwszy się w pełnym rynsztunku w przepaść, która się nad nim natychmiast zawarła.

Str. 295. Alfa i Omega — pierwsza i ostatnia litera alfabetu greckiego, przen. początek i koniec.

Str. 296. Heglista — wyznawca filozofa niemieckiego, Jeżego Wilhelma Fryderyka Hegla (1770 † 1831), profesora uniwersytetu berlińskiego.

---

THE HISTORY OF GALLIUM

BY THE REV. J. G. G. G.

OF THE UNIVERSITY OF GALLIUM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.

THE HISTORY OF GALLIUM

FROM THE FIRST SETTLEMENT OF THE GALLIANS

TO THE PRESENT STATE OF THE KINGDOM

IN TWO VOLUMES. VOL. I.



## OSTATNI.

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemie.  
Widzieli zdała obiecaną ziemię,  
Widzieli światło niebieskich promieni,  
Ku którym, w dole, ciągnęło ich plemię —  
A sami do tych nie wejdą przestrzeni,  
Do godów życia nigdy nie zasięda  
I nawet może — zapomnieni będą!

*Bezimienny.*



Zyciam wiek cały przemarnił w więzieniu,  
W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu,  
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,  
Tym, co mnie znali, coraz nieznajomszy,  
Od kochających coraz mniej kochany,  
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!  
Za to pod czarnym pogrzeban sklepieniem,  
Żem, jak syn światła, niegdyś ziemi śpiewał  
I pieśń, jak ziarno, w ludzkie serca wsiewał,  
By równem memu odkwitła natchnieniem!

\* \* \*

Byłem ja dumny — lecz dumny z dumnymi;  
To nie popłaca na murawach ziemi,  
Kto pognębiony — w tego bij — a wygrasz;  
Lecz, jeśli pysznie z pychą władców igrasz,  
Jeśli w nich patrzysz, jak w dzikie zwierzęta,  
Ponad któremi dan ci wzrok człowieka,  
Straszna cię zemsta od tych zwierząt czeka,  
I będziesz nosił — ty, człowiek — ich pęta.

\* \* \*

Dni moje pierwsze to u losu wzięły,  
Że skorym biegiem prędko przeminęły,

Jak bystre łodzie — jak orły lecące. —  
Lecz biedne, biedne — same nie wiedziały,  
Dokąd tak lekko i chyżo leciały,  
Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,  
I każda chwila była wiosny kwiatem,  
I człowiek każdy — siostrą albo bratem,  
I świat, dziś głuchy — młodości mej światem!

\* \* \*

Gdzie jest ten anioł, co groby odwała  
Po mąki próbach i skonu godzinie,  
Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?  
— On Bogów tylko, nie ludzi, ocala!  
Gdzie jest ten drugi anioł, który zdziera  
Z bram mamertyńskich śród nocy zawiasy  
I święte Pańskie z rąk katów wydziera?  
— Lecz ja nie święty — i dziś inne czasy! —  
Twardsza dłoń wrogów, niżli śmierć — bo ima  
Żywego jeszcze — i w trumnie go trzyma,  
W której dla ducha Zmartwychwstania niema!

\* \* \*

Duch twój albowiem, lotny gość Wszechświata,  
On, co wprzód marzył pół-boże koleje,  
Śród ścian więzienia tak osierocuje,  
Że będzie szukał — ot, w pająku brata  
I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata!  
Aż miną chwile — dni — miesiące — lata —  
Żadne do ciebie nie zajrzą nadzieje  
I duch twój wkońcu na nic znikczemnieje.

\* \* \*

Ileż ja razy sam z sobą walczyłem  
I mrące myśli tchem woli cucilem,

By się nie poddać umysłowej śmierci! —  
Lecz gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,  
Strach, po tym gwoździu jaka krew się leje,  
Jak mózg stopniami zsycha i więdnije!  
Serce też — serce do zgonu się skłania —  
Nie pęka zaraz — kostnieje powoli,  
Aż zbezsilnieją w niem wszystkie kochania —  
I z wszystkich bólów ten najbardziej boli! —

\* \* \*

Jak olbrzym, rwałem się za pas z nicością,  
Z osamotnieniem — z brakiem życia — z czczością.  
Krat się pytałem: »Mówcie, czy nie wiecie,  
Co tam się dzieje na żyjących świecie?«  
Lampę tę smętną brałem w sine ręce  
I długom liczył popiołki jej knota,  
By czemś odmiennem rozerwać się w męce.  
Nic nie pomogło — jakaś mgła i ślota  
Codzień mi ciemniej duszę zalewały  
I świat, wewnętrzny mój, zagasił mi cały  
I samem został — bez natchnień — bez Ducha —  
Skuty na zawsze do tego łańcucha,  
Który te, wrosłe w kość moją, kajdany  
Spaja z tym hakiem, wkułym do tej ściany.

\* \* \*

O, dawniej — dawniej — starce ostrzegali:  
»Pójdiesz ty z harfą twą brzmiącą, młodzieńcze,  
W głuche przepaści, pod rygle ze stali,  
Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze!  
— Ludziom nic dzisiaj po dumkach wolności;  
Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba  
Nienaruszonej handlu spokojności.

U nas mordują takich, jak ty, gości; —  
Zginie, kto światu nosi wieści z Nieba.  
— Jam ich nie słuchał lub waśnił się z nimi.  
Ha! — ja żyć chciałem, a nie gnąć na ziemi!  
Więc gnąć mi przyszło pod ziemią bez końca.  
Światłość mi wzięta, wszystkim jaśniejąca,  
I, odczłowieczon, ja spadł tak głęboko,  
A Bóg na niebie został tak wysoko,  
Ze mnie i Boga nie dojrzy już oko.

\* \* \*

Tak — ja w najniższym twierdzy tej więzieniu,  
Gdzie wszelkie życie zmiera w znicestwieniu;  
Lecz tam nade mną piętrzą się sklepienia  
W inne, świetlejsze, wolniejsze więzienia.  
I w nich szczęśliwsi mieszkają zbrodniarze,  
Których łaskawiej rząd cesarski karze,  
Boć matkę tylko — lub ojca — lub brata  
Zamordowali — więc lepsza ich krata!  
Wolno im z okien patrzeć w bezmiar świata,  
Wolno na wiosnę pić wichry krzepiące,  
Gdy nad te śniegi powraca tu słońce.  
— Im wszystko wolno — lecz mnie — co innego!  
— Jam od nich gorszy, na Chrystusa rany!  
— Jam człowiek — Polak — jam Duch zbuntowany,  
Więc ze mnie Szatan w tem Państwie Dobrego!

\* \* \*

Prawda, jam wskrzeszał prochy ojców stare,  
By miękkie serca twardą pieśnią trumny  
Przerzucić z podłej w wyższą życia wiare!  
Prawda, ja byłem szalony i dumny!  
Jam się nie rodził synem czasu mego,

Bo wiek mój wiekiem był przejścia i złego.  
A w tem złem przejściu osadzić go chcieli  
Ci, którzy sądów bożych nie pojęli:  
Książęta ziemi i ziemi handlarze! —  
I, jak świątynia niegdyś Salomona,  
Nim gniew Chrystusa wygnał z niej kramarze,  
Cała kupiectwem Żydów obłudniona —  
Tak za dni moich stał gmach świata stary,  
Blizki upadku — pełny win — bez wiary,  
A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany,  
Igrząc, walczyły o prym naprzemiany. —  
Raz zysku chciwość — to znów wojen trwoga —  
— I świat ten cały był Giełdą — bez Boga!  
A jako szatan archanielskiej mocy,  
Ponad tą Giełdą od lodów północy  
Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,  
Który mnie dotąd w tych okowach trzyma,  
A oni wszyscy — miasto dziarsko, razem  
Uderzyć w wroga ogniem i żelazem,  
Z żelaza tylko kuli dróg koleje  
I w parach wodnych pokładli nadzieje.  
Bo się nie bali ni Boga — ni sromu,  
Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —  
I dobrze było Mieszczanom tym w domu!

\* \* \*

Zostalić oni gdzie bruki, gdzie kramy  
I tryumfalne nad targami bramy,  
— A ja przepadłem śród moich szkaradnie;  
Tak, jak śmierć nagła, wróg mnie pojmał — zdradnie.  
— Myślim ostatniej nie zwierzył nikomu;  
Ja z kochanymi się nie pożegnałem!  
Nocą — bez śladu — cicho — pokryjomu —  
Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem,

I polskie tylko pamiętają gwiazdy  
Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

\* \* \*

U władz bezecnych stawili mnie sądu.  
Sąd ze mnie szydził, żem mógł i na chwilę,  
Polak bezsilny, zapomnieć o sile  
Zgon lub zbawienie dającego rządu!  
Więc car wraz z Bogiem na mnie za bezwiarę  
Ślusznie i święcie zesylają karę.  
I pójdę pieszo — aż za świat — w te lody —  
— Rzeczpospolitej wnuk ja i swobody —  
Pośród złodziejów skajdanionych trzody!

\* \* \*

I takem poszedł do strasznych guberni  
Pośród moskiewskiej podłych zbójców czerni.  
A kat — pamiętam — wiódł konia przed rzeszą —  
Ni siadł nań kiedy — wciąż szedł, jak my, pieszo. —  
Na siodle leżał tylko knut rzemienny,  
I kat powtarzał: »Instrument kazienny«  
I głowom ludzkim bić kazał pokłony,  
Jakby krzyż z siodła sterczał poświęcony.  
— Tak mnie to carskiej wszechprzynomni godło  
Nawskróś przez państwa bezmiernego strony  
Ku północnemu biegunowi wiodło.

\* \* \*

A owi lotrzy, fałszerze, złodzieje,  
Wszyscy na lepsze odeszli koleje:  
Zdjęto z nich okuć żelaznych pierścienie,  
I rozlecieli się na *posilenie*!



Lecz jam się dalej włókł pustyni bloniem,  
Wciąż za tym katem i knutem i koniem,  
A gdy na nogach i rękach kajdany  
Coraz mi głębsze wyżerały rany,  
Bywa czasami, do kata się modłę:  
»Daj mi, człowieku, wytchnąć na tem siodle!«  
A Moskal: »Umrzyj, przeklęty Polaku,  
Umrzyj, a nie tknij praw cesarskich znaku!«  
Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!  
— Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.  
W dniu szczęścia skonasz — zginiesz w dniu zwycięstwa —  
— Niezatracałnyś, gdy żyjesz cierpieniem!

\* \* \*

Ah, gdzie rodzinne majowe obszary?  
Gdzie zbóż mych lany — gdzie mych łąk moczary?  
Gdzie bory sosen, szumiące nade mną  
Jakby modlitwą dziwną i tajemną?  
Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?  
Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?  
Gdzie katolickie litanie pospółstwa?  
Gdzie lud, co Maryą królową swą zowie?

\* \* \*

Boże! gdzież jestem? — Boże, cóż się stało?  
Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,  
Gdzie nie zagasła gromnica pamiętek?  
Coś we mnie jeszcze ludzkiego zostało?  
Lat już dwadzieścia — nie wiem — Ty wiesz, Boże! —  
Jak martwy padłem na to śmierci łożu!  
Wszystko, co było — co jest — i co minie,  
W jednej się dla mnie ściemniło godzinie.  
Lecz teraz nagle pobladły ciemności

I stróż mój anioł znów ze mną tu gości!  
Lzy mi się cisną — dawno nie płakałem —  
Dawnom nie marzył i nic nie kochałem.  
Daj mi wspominać — daj kochać, aniele!  
Co każdy człowiek wziął na wieki w dziele.  
O to cię proszę: na chwilę znikomą  
Duszę mą własną zostaw mi widomą!

\* \* \*

O myśli moje, czy wy dotąd wiecie,  
Przed zgonem waszym co już dniało w świecie?  
Jakiem przeczuciem pierś ludzkości cała,  
Gdyście konały, o biedne — już drżała?  
Wszak głos niczyi, a głos brzmiały wszędzie,  
Zwiastował ziemi, co na ziemi będzie:  
„Ludy przyklęką i króle oniemią,  
Znów do poczętych zstąpi Niepoczęty!  
Jak krąg błękitu, wiszący nad ziemią.  
Nad rodem ludzkim zawiśnie Duch Święty!  
Bo z głębi czasów idzie Wyjawiciel,  
Obiecan niegdyś idzie Pocieszyciel,  
Wszystkich krzywd ludzkich archanielski Mściciel!  
I w nim myśl Pańska tak jasno zaświeci,  
Ze da planecie wiek planety trzeci!»

\* \* \*

Takie już wiedzy zewsząd biegły wieści  
Po świecie, pełnym gwałtu i boleści;  
Z góry je boscy szeptali anieli.  
A my, Polacy — my dobrze wiedzieli,  
Że tą postacią powtórna Messyasza  
Nikt inny, jedno święta Polska nasza; —  
Bo z mąk jej krzyża tyle krwi wyciekło,

Że ta krew ziemskie odkupiła piekło!  
O, ja tak wierzył, że Duch mego ludu  
Po trudach śmierci znów do życia trudu  
Już wznosi skrzydła i chwyta miecz cudu!

\* \* \*

Ileż to razy — ach, może zawcześnie! —  
Boga przyszłości widziałem ja we śnie!  
Bez krwi na rękę i bez krwi na łonie,  
Ten sam, a inny, wiekom Chrystus płonie;  
Twarz, jako słońce, a bielsze od śniegu  
Szaty Go niosą w nadpowietrznym biegu —  
I macza w światów wschodzącej jutrzence  
Odkrzyżowane — wniebowstępane ręce.

\* \* \*

A zwolna — zwolna — za Człowiekiem-Bogiem  
Cudna pięknością i bez śladów zgonu  
Idzie ma Polska i staje nad progiem  
Obiecanego wszem ludom Syonu!  
Oręż Cherubów w jej rękę się pali,  
A tam, gdzieś w dole — gdzieś w głębi — gdzieś w dali —  
Innych narodów zgromadzone koła —  
I głos jej do nich z wyżyn świętych woła:  
«O, do mnie — do mnie — wy bratnie plemiona!  
Ból już przepada i znika pokusa,  
Chrystus mnie wiedzie w głąb bożego łona,  
Wy za mną idźcie w królestwo Chrystusa!»  
A wtedy z dołu narodów chór śpiewa:  
«O trzykroć, trzykroć — jak Bóg — nieszczęśliwa,  
Męczarnia nasza przez ciebie z nas zdjęta!  
I ty nam trzykroć święta — święta — święta!»

\* \* \*

Ah, pomnę nieraz, w noc jesienną, ciemną  
Głos matki zmarłej czy jakiego dziada  
Z grobu się zerwie, wzbije się nade mną  
I przyszłość myślom moim rozpowiada.  
A z jego szmerem przed oczyma memi  
Snują się tłumem obrazy, widzenia,  
Ciągną zwycięzcy wieńcami długimi,  
Słyszę milionów tryumfalne pienia,  
Przechodzą białe — świetlane postaci  
Siostr zmartwychwstałych — zmartwychwstałych braci —  
I wśród nich stąkam i czuję sam siebie  
W nieznanem jakimś, pogrzebowem niebie!

\* \* \*

— A kto wie? — może nad Polski mogiłą  
Już się proroctwo snów mych dopełniło? —  
Mnie tam, ach, tylko — mnie, trupa, nie było  
Śród żywych duchów. — Ha, za temi kraty  
W czas — w przestrzeń sięgam — głęboko — daleko,  
Wskróż przez te mury, jak przez trumny wieko,  
Czuję. — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —  
Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty.  
Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem  
Jednym się niebo rozpromienia świtem;  
Tam ludów zlanych jedno błyszczy morze,  
I nad niem świeci Sławian Słowo boże.  
Wiem — imię święte mej polskiej Ojczyzny  
Dziś już imieniem całej Sławiańszczyzny!  
— Tak duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny! —

\* \* \*

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,  
W każdej mi żyłe drga, jak luteń drgnienie.

Krew moją słyszę, jakby się już cała  
W dźwięk idealny jakiś przedzźwięczała.  
Lekko mi — lekko — prawie mi bez ciała —  
Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany —  
We mnie — przede mną — jakaś światłość błoga,  
Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga —  
Ot, lochu mego przejrzystnieją ściany! —

\* \* \*

Wszech mi obecność dana magnetyczna.  
Widna mi przestrzeń cała okoliczna,  
I widno — jasno — coraz szerzej — dalej! —  
Co tych przestworów! — Jak fala po fali,  
Tak uciekają. — Precz niebo za niebem  
Zwija się — niknie — za chmur tych pogrzebem,  
Co tak trumniano się tam w górze ciemi.  
Błękit! — Ot, błękit! — Wiosna od zachodu!  
Precz za tem piekłem z moskiewskiego lodu  
Oto zieloność mojej polskiej ziemi  
I tłum tam wielki polskiego narodu!  
Powietrze barwne chorągwi tysiącem,  
Wieca, zebrana — jak niegdyś — pod słońcem.  
Wszyscy tam moi na polach bez końca  
Szczęśliwi — złoci — w złotem świetle słońca!  
Widzę ich — widzę — dotykam ich wzrokiem —  
Zda się — ach, jednym tylko stąpnąć krokiem,  
A ręką dotknę! — Nic, nic już nie boli —  
Niech się napatrzę — napatrzę dowoli!

\* \* \*

Czy sejm się jaki walny rozpoczyna?  
Ta cała żywa głów ludzkich równina  
Zadrżała jednym, olbrzymiem wzruszeniem,

Jak drżą zbóż fale pod wiatru powieniem,  
Nad głów rzędami podnoszą się wszędy  
Rąk niezliczone i powiewne rzędy.  
Ku tej północnej pokazują stronie —  
Ku tej tu, mojej — i odrazu — razem  
Jakimś w powietrzu skinęły rozkazem  
Te stu tysięcy wyciągnięte dłonie.

\* \* \*

O, jakżeż dziarskie te hufce — te konne,  
Co się na północ, jak skrzydlatą zgrają,  
Od jasnych onych tłumów odrywają!  
To jeźdźce moje litewskie — koronne.  
Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go niema —  
Bezmiar i oni tylko przed oczyma!  
O, jakżeż pędzą! — Wciąż, jak błyskawice,  
Sadzą przez wzgórze — mijają padole,  
Na północ pędzą — za wszystkie granice.  
Zbawienia mego witajcie anioły!  
Od bieli lśnienie i od karmazynu —  
Skrzą wam z rąk szable, jak pioruny czynu,  
I tak lecicie, o wy ptaki boże,  
Moskiewskim stepom zwycięsko i dumnie.  
— Car ni Czart żaden już dziś nie pomoże!  
O ptaki moje, wy lecicie ku mnie!

\* \* \*

Co na tej wielkiej, bezbożnej przestrzeni  
Ohydnych świątyń na cześć Cara-Boga!  
Co twierdz z krwi ludzkiej, wapna i kamieni!  
W ileż to więzień wam się jeży droga!  
Widzę, przed każdym stajecie więzieniem  
I, zeskakując na chwilę ze siodła,

Straży anielskiem każecie skinieniem,  
By was w podziemne te groby powiodła.  
— Słychać krzyk życia w umarłych mogile:  
— Mar nazad z wami, ah, powraca tyle!  
I znów was pędzi dech bożej wszechmocy  
Dalej i dalej . . . . .

\* \* \*

Jak chwilki — dni, nocy!  
Czy nocą czarną, czy o słońc rozświcie,  
Rąco, bez folgi — widzę was — pędzicie.  
Dobrze — ah, dobrze — jużście wlecieli  
Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!  
Prawdaż? — Widnokrąg świata odmieniony:  
Mgła — mróz — śmierć wieczna — same lody — szrony.  
Lecz, Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska,  
Co rozpromienia pustyni mgławiska.  
A żwawo, moi! — a prędszej! — a do mnie!  
Jezu Ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!  
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!  
Ratuj mnie, Boże, bo mi serce pęknie!

\* \* \*

Wszak gród moskiewski wy ten już widzicie?  
Widzą — ah, widzą — skreślił się w biegu —  
— Lecą piorunem — do rowów tych brzegu  
Wkrótce dopadną na bram tych rozbicie!  
Chwili brak jeszcze — jednej chwili mgnienia,  
A Polska wejdzie do mego więzienia  
Oddać mi, dla Niej stracone, me życie!  
O, bądź pochwalon, wiekuisty Boże,  
Że też się wkońcu i złe skończyć może!

O, ja nie będę umierał w rozpacz!

O, bądź pochwalon . . . .

\* \* \*

Hej, bracia, co znaczy,  
Ze tak wśród pędu osadzacie konie?  
Dzicz, koczującą na pustyni łonie,  
Wyście dostrzegli — wy z nią mówić chcecie!  
— Ruszajcież z miejsca — krok jeden już przecie!  
Z ciemnym tym czasu nie traćcie narodem!  
Wyszli mchu trochę uzbierać pod lodem;  
O niczem więcej nie słyszeli w świecie.  
Czasem i Moskal w ich hordę się wberze —  
Lecz nie ufajcie — gorsze od nich zwierze!  
Im się przynajmniej szczerłość w sercu plemi. —  
Czemuż tak długo mitrężycie z niemi? —  
O bracia — bracia! . . . .

\* \* \*

Przez powietrza ciszę  
Kaźde tam słowo wymówione słyszę. —  
Pytają moi: »Czy męczą się jacy  
W tych murach czarnych skazani Polacy  
Za to, że niegdyś im polska ich wiara  
Nie dozwoliła uczcić Boga-Cara?«  
A głos wśród ludu jakiś odpowiada:  
»Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada.  
Innych tam więźniów niema, jedno tacy,  
Co matkę — ojca zabili lub brata.«  
Kłamstwo! ah! kłamstwo — nie wierzcie rodacy!  
— I znów głos moich ponad śnieg ten wzlatu:  
»Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —  
Polska jest świętą — świętym żywot daje,



Lecz matki, ojca lub brata morderca  
Niech tu w moskiewskim dognije pogrzebie —  
Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —  
Polska na ziemi nie skłoni doń serca!»

\* \* \*

Bracia, o bracia — zaczekajcie chwilę!  
Ah, nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem!  
By grób przekleństwa bocznym minąć skrzętem!  
O, ja czekałem na was wieków tyle —  
Męczarniom wszystkim sprostało me życie!  
I pękł nad ziemią hart Moskiewskiej stali,  
I wieki przeszły — i wy nadjechali —  
I wy tak blisko — a mnie nie słyszycie!  
Jam ojca, matki nie zabił — ni brata,  
Jam nie kat żaden — jam wróg był Wszechkata!  
Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!  
Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona —  
Nie mogę pobiedz do was w mej bezsile —  
Ten łańcuch trzyma — stójcie jeszcze chwilę!  
Oto spróbuję — zwiędłe ręce moje  
Sił mych ostatkiem w żelaza te wpoję —  
Będę je targał i kruszył potrosze —  
Tylko wy stójcie, na Boga was proszę!  
Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!  
Stójcie! — Ah, biada! — już się w bok zwrócili  
I spięli konie; — czy nie posłyszycie?  
Obywatele! — ziomki! — dobrodziejce!  
Ja tu — tu jestem, pod ziemią — tu skrycie!  
Zawróćcie nazad! — Boże, co się dzieje?  
Mgłą mi już wszystko — wzrok mój już nie może  
Tych ścian przebijać...

\* \* \*

O Boże! O Boże!

Znów tam po śniegu szorują kopyta —  
Coraz to ciszej śnieg szumi, lód zgrzyta,  
Odgłos tętentów głośnieje woddali —  
— Nic już nie słysząc — już mnie odjechali!  
Wszak ja nie marzę? — ah, czy to być może?  
Oni tu byli — oni właśnie byli —  
Oni tu byli — i mnie zostawili  
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

\* \* \*

Czy mnie słuch zmylił? — Nie koniż to rzenie? —  
— Może czas jeszcze — a ja skrępowany!  
Ha, czy nie wyrwę cię, haku, ze ściany?  
Czy was, ogniwa, nie rozodpierzścienię?  
Naprzód, wy, piersi — naprzód, wy, ramiona! —  
Tak — ot, tak, dobrze — lej się, krwi czerwona!  
— Może czas jeszcze! naprzód! — ah, daremno! —  
Coraz mi słabiej — w oczach już tak ciemno —  
A nikt — nikt w świecie — nikt nie dopomoże!  
I znów tak cicho — przestrzeń milczy wściekle,  
Wszędzie spokojność w widnokreśnym piekle.  
Gdzie wy jesteście? gdzie? — ah, czy być może?  
Oni tu byli — moi własni byli —  
Moi tu byli — i mnie zostawili  
Śród ojcobójców — o zmartwychwstań porze!

\* \* \*

Wy bracia niby — nieprawda — wy katy!  
Wy życia mego mi wzięli ostatki.  
— Ah, czy ja ojca albo własnej matki  
Nie zamordował gdzie, kiedy, przed laty —  
I zapomniałem? — lecz wiedzieli oni —

I zostawili mnie w zatraceni toni?  
Nie! — ah, to nie to — co innego jeszcze  
Wynajdź, o myśli! — W mózgu gdyby kleszcze —  
Gdyby sztylety; — chyba po tych głazach  
Tarzać się będę w tych zgrzytnych żelazach —  
Sam zgrzytający. — Co się ze mną dzieje?  
Wiem — znam — rozumiem — czuję: ja szaleję!

\* \* \*

Gdzież ja znów jestem? — Znów ta lampa tłąca,  
Znów za tą lampą noc lochów bez końca,  
Znów to moskiewskie obrzydliwe łoże,  
I nic — nic więcej — a Ty — gdzieś Ty, Boże?  
— Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę; —  
Jak pies, sam skończę — gorzej niż pies może.  
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?  
W cara mieszkalem — umrę w cara domu.  
Innej jata w życiu nie doznał opieki! —  
Ah, znienawidzam wszystko, w co ufałem!  
A już ma wola nie włada mem ciałem  
I oczom moim tak ciężą powieki...

\* \* \*

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy  
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.  
Miłości niema w świecie — ni za światem. —  
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,  
Jak nieskończoność, takie nieskończone.  
Ni Bóg gdzie ojcem — ni anioł gdzie bratem,  
Niebieskie, ziemskie — jeden zawód — włości; —  
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!  
Ona ból tylko w ból drugi przemienia —  
Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia! —

Ja chcę nicości — bo chcę Wybawienia.  
Zapomnij o mnie, o Ty, Stworzycielu!  
Z przepiekielnionych lat życia mych wielu  
Tę jedną prośbę wnoszę Ci przy zgonie:  
Niechaj nie będę tam, gdzie żywot płonie!  
Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie,  
Jak pamięć moja w mej polskiej krainie!  
Ah, nawet w Polsce nie będą wiedzieli,  
Na jakiej konam śmiertelnej pościeli —  
Nie będą nawet, że mi raz ostatni  
Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!

\* \* \*

Polska! co? — Polska! — prawda, zmartwychwstała!  
Wszak prawda, Panie? dziś już Polska cała  
Już na śmierć w pętach, jak ja tu, nie czeka?  
— Daruj więc, Ojcze, rozpaczy człowieka!  
Dzikim uniesion bluźnięm ja szalem —  
— Przebacz mi, Panie, ja Polskę kochałem —  
I Ciebie, Panie, nie siebie — nie siebie —  
Ona na ziemi żywa — a Tyś w niebie —  
A więc umieram, błogosławiąc Tobie  
Na zawsze — wszędzie — przed grobem i w grobie!  
Z Twojem i Polski umieram imieniem  
Na tych mych ustach, co będą kamieniem  
Za chwil już kilka. — Święta Twoja wola!  
Święta moskiewska ma długa niewola,  
Święta okropność mej samotnej śmierci,  
Gdy nie rozdarła już więcej na ćwierci  
Ziemia mych ojców!...

\* \* \*

Dzięki, żeś w widzeniu  
Oczom ją moim pokazał na jawie; —

Dzięki Ci, Panie, że choć w tem więzieniu  
Jam tych oglądał, co służą w jej sprawie; —  
Dzięki Ci, Panie! — Otoś mi dał w darze,  
Że ludu mego ja zamknę cmentarze.  
Polski-m ostatni trup w carskiej pieczarze!  
Dzięki Ci, Panie! — ah, sił już tak mało —  
Kłęknać nie zdoła sterane to ciało.  
W krzyż składam ręce — gdzież już strona nieba?  
Tak czarno wszędzie — a po sercu jeszcze  
Krząta się — czuję — jakieś tchnienie wieszczce.  
Modlić się — modlić — modlić mi się trzeba  
O Polskę moją!...

\* \* \*

O Panie! O Panie!

Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,  
Niech na tej ziemi, po raz pierwszy, ona  
Niepokonalne na ziemi — pokona!  
Czego nie mogły żadne świata pany,  
Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczańcy —  
Przemienne tylko — a równe — Tyrany,  
Skoro tryumfu im błysły mamidla —  
Niech ponad czasu, w dół rwące, otchłanie  
Wyżej, niż pokus i pych wszystkich sidła,  
Wyżej, niż ślepe fal losów igranie  
Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!  
Daj jej na wieki wszechmiłości siłę!  
A jak zdeptała ciemność i mogiłę,  
Zwycięży, żyjąc, nietrwanie żywota!  
Nie — nie rozsypie się, jak z krwi i błota  
Bryły państw wszystkich — bo w niej będzie cnota  
I mądrość Twoja — a toć są okręgi  
Arcy-zwycięstwa i arcy-potęgi.  
Niech u narodów wszystkich się nazywa:

Ta, która szczęściem narodów szczęśliwa,  
Więc nieśmiertelnie i władna i żywa! —  
Niech lśnią jej czołu sławiańskie korony,  
Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony  
Przez czyn na ziemi — przez królestwo boże!...  
— Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —  
I owszem, Panie...

\* \* \*

Coś się miga — bieli...  
W pierś mi się ulga nieskończenna leje —  
Smętne w pamięci tają życia dzieje —  
Harfy! — gdzieś harfy! — widzę — ah, anieli!  
Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —  
O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!  
Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —  
O Polsko! — dusza już moja nie ranna —  
Gdzieści odpływa... Hozanna! — Hozanna!

OBJASNIENIA WYDAWCY DO  
«OSTATNIEGO».

---

Str. 310. Pół-boże koleje — losy pół-bogów.

Str. 314. Posilenie (ros. właściwie: posielenje) — osiedlenie.

Str. 317. Syon — góra w pobliżu Jerozolimy, przen. przyszłe królestwo Boże na ziemi.

Str. 318. Sławian Słowo boże — Polska.

---

OF THE  
CITY OF NEW YORK

IN SENATE,  
JANUARY 1, 1880.



NIE-BOSKIEJ KOMEDYI

CZEŚĆ PIERWSZA

WIT BORISZ I KOMELOD

WIT BORISZ I KOMELOD

WSTĘP

WESTER

*(Góry w okolicach Wenecyi — wschód słońca — na skale Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim.)*

MŁODZIENIEC. Patrz, przyjacielu, w jakiej purpurze Bóg dnia się zrywa! — Bodałby tak się rodzić człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz, jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera! — Mówią, że tkliwe serca tak zwykły konać przed światłem geniuszu. O słońce, bywaj, bywaj! Zajrzyj w te jary, kędy dotąd lęgną się ciemności, i mostami tęcz połącz brzegi tych bladych potoków! — Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro, ostro, tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. — Gemza, co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa — ot, trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

ALIGIER. Ja tu zostanę. —

MŁODZIENIEC. Co tobie dzisiaj? Od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stąpałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie — a teraz, gdy lowy się rozpoczną, gdy od grania psów zadrżą wszystkie kory sosen i ziemia i skały i Duch w nas — ty się ociągasz, ty nie chcesz być z nami?

ALIGIER. Czy nie wiesz, że o tej godzinie zwykłem modlić się do Pana? —

MŁODZIENIEC. To poczekam,

ALIGIER. Czy nie wiesz, że w samotności zwykłem modlić się do Pana?

MŁODZIENIEC. To powiedz, kiedy chcesz, a wrócę po ciebie!

ALIGIER. Wieczorem zastaniesz mnie na tem samem miejscu.

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego, człowiecze, chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować! — Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształ rosną i dzikie zawieszają się kozy — chodź! Strzelcy mówią, że stamtąd świat cały widać.

ALIGIER. I stąd można cały świat zobaczyć.

MŁODZIENIEC. Jak?

ALIGIER. Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem,

MŁODZIENIEC. Znowu zatrabili — bądź zdrów! Teraz z góry na dół, potem znowu w górę, w górę, aż pod te obłoki. — Aligier, serdecznie mi żał, że nie chcesz iść ze mną.

ALIGIER. Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi — widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy. — Lotem ptaka leci, jak gdyby nie ciężał do ziemi. — Plocho, wysmukle, niedbale o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne Duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszają — ale one znają tajemnice życia. Ono i o życiu nic nie wie. — Jak eter, z którego błękity uwite, zrósć się może w bryłę ciemną lub w jasne słońce lub w nikłą parę, igraszkę powiewów, tak i ono wszystkim być może lub niczem — wybranym niebios lub ofiarą piekła.

*(Wnosi ręce)*

Ojcze niebieski, onych dni zaciemniły się Twoje drogi na tej kuli ziemskiej. — Twarz Twoja zakryła się obłokiem. — Znow Cię ludzie szukają i znaleźć nie mogą. —

Ty wschodzisz — Ty wejdiesz. — Czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokręgi? —

Ojcie niebieski, ta chwila przejścia, to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! — Jeśli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie.

*(Kłeka)*

Za tym Cię proszę, Panie, któregoś duszę mi powierzył. — Wysłuchaj o niej świadectwa mego! — Ona bezustannie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu Twemu się wydziera. Zaród wszelakiej piękności, iskra Twoja, pali się w jej głębiach, tylko że ciało, jako mgła wielka, obeszło ją zewsząd — przez mgłę Duch, którego strzegę, szuka Ciebie.

I nie przejrzał dotąd, że Ty nie tylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego samego przebywasz. — Daruj mu więc, Panie, że tęskni za Tobą!

I oto smętno mi aż do śmierci, Panie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna, straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie, Panie — zmiłuj się nade mną, miłując się nad nim.

*(Zniża czoło do samej ziemi)*

A nie proszę Cię, Ojcie niebieski, byś mu ujął coś z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygnanych w świat, a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przeżyć musi, gdy pokusy wybiję godzina. — Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — poniż go wśród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo! — Jedno uskam mu hańby podłości, jedno zbaw go od nocy wiecznej Ducha! —

A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili!

— Niech dzisiejsza noc mnie słucha, gdy ją zaklnę Twojem imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków zlecą się do mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postaci, natchnę je myślą Snu, który jutrzejszej nie dożyje Zorzy! —

Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miłuję, wspomni kiedyś o Wiekuistej Twojej i za to Ty go zbawisz, o Panie!

*(Chwila milczenia)*

MŁODZIENIEC *(wchodząc)*. Cóż to? — Dotąd na tem samem miejscu, pod tą samą jodłą i dotąd się modliłsz? — Daj mi rękę — wstań!

ALIGIER. A ty tak prędko wróciłeś, Henryku?

MŁODZIENIEC. Czy śni się tobie? Wszak porzuciłem cię o wschodzie słońca, a teraz, patrz, ono z tamtej strony nieba za cyple skał się chowa! — Tak prędko! — a od kiedym cię opuścił, trzy razy wzdłuż i wszerz przeszedłem lodnik Hewaldyny, byłem na wierzchołku tych gór i po trzykroć trąbką odzywałem się z parowu — musiałeś mnie słyszeć?

ALIGIER. Prawda — już wieczór!

MŁODZIENIEC. Dzień ci więc przeminął, jako jedna chwila?

ALIGIER. Szczęśliwy, komu tak całe życie mija — znać, on żyje w wieczności! Lecz cóż się z tobą działo? Co ta krew znaczy na twoich piersiach i na rękojęści noża?

MŁODZIENIEC. O małym nie zginął — to nie krew lekkiej gemzy lub niewinnego daniela — słuchaj tylko, a zarazem idźmy drogą naszą, bo strzelców wyprawilem na-przód i, nim ich dogonimy, noc będzie! —

ALIGIER. Zstępuję za tobą.

MŁODZIENIEC. Otóż słuchaj! — Strzeliłem do dzikiej kozy, spadła z urwiska, potoczyła się aż na samo dno przepaści. Wołam więc moich Tyrolczyków, powiadam, wskazuję, ale żaden nie był, nie widział. — Zatem sam muszę iść



do jaru po zgubę. I poszliśmy we trzech, obchodząc daleko, szukając przeprawy, coraz niżej na dół, aż w bory ciemne, wielkie bory sosen. — Czarno tam, a taki szum, jakby się każde drzewo modliło do Boga. — Idziem, a tu coś łamie się po gęstwinie, tuż przed nami, nie dalej, jak na strzał — może sarna, jeleń może — ja do strzelby — patrzę, zapomniałem nabić — sięgam więc po nabój — aż w tej samej chwili niedźwiedź wydobywa się z zarosli — i stanął — i wietrzył — i ujrzał nas. — Moi od razu, razem oba wystrzelą — kule gdzieś po skórze tylko drasnęły niedźwiedzia. — Stanął dęba i, rycząc, sunie ku nam. — Oni krzykną na mnie i pierchnęli — krzyczą jeszcze i co tchu na blizkiej sosny wdzierają się konary. — Sam jeden zostałem — nie wiem, czemu, bo jakież chwały człowiek dorwać się może w boju ze zwierzęciem? nie wiem, czemu, ale wstyd mi było uciekać. — Ojcie moi nigdy, czy z łowów, czy z pola bitew, nie uciekali. Dubeltówką rzucił — nóż wyrywam z pochwy — a już kudłaty król boru siedzi mi na piersiach — jak człowiek chciał mnie opasać rękoma — pazury w żywe mięso mi ciśnie — natychmiast go pchnąłem w pierś i w pierś go pchnąłem raz drugi. — Za trzecim dopiero się obalił — padłem z nim razem, ale on już leżał pode mną, bez ducha. Potem strzelcom w oczy pluąłem i darowałem im skórę zakłutego — na pamiątkę podłości.

ALIGIER. Pan cię obronił — za ocalenie podziękowałżeś Panu?

MŁODZIENIEC. Może nie słowami, ale całem serca czu-  
ciem, kiedym się zerwał, otrząsł i, rad, że żyję, wzniosł  
ręce do nieba.

ALIGIER. Są chwile, w których Pan więcej nie żąda od nas.

MŁODZIENIEC. Dziwna! — anim o tyle nie upadł na si-  
łach — takim rzeźki, jak zrana. — Uważaj, Aligier, jak  
prędko schodzimy — już mieszkania ludzi niedalekie być  
muszą, kiedy to dziewczę tędy przechodzi! Hej! dobry

wieczór, śliczna! — Czy nie słyszysz? czy się boisz? za-  
trzymajże się i daj mi konwalie, które trzymasz w dłoni! —  
DZIEWCZYŃKA (*przechodząc*). Nie dam ich tobie, ale tam-  
temu. —

MŁODZIENIEC. A to dlaczego?

DZIEWCZYŃKA. Bo całkiem wygląda, jak ten biały anioł,  
co stoi po prawej stronie Bogarodzicy nad naszym wiel-  
kim ołtarzem. — Lecz ty z innych stron zapewnie, tyś  
nigdy nie był w kościele naszym, tyś nie widział tego  
anioła. (*do Aligiera*) Dobry wieczór! — Proszę cię, weź  
te kwiatki, paniel!

ALIGIER. Dzięki ci, dziecię — bądź szczęśliwem, dziecię!

MŁODZIENIEC. A zatem jam brzydki, panienko?

DZIEWCZYŃKA. I ty piękny, lecz nie tak, jak anioł —

(*przechodzi*)

MŁODZIENIEC. Daj mi połowę tych kwiatów; zachowam  
je na pamiątkę, że proste dziewczę uczuło to samo, co  
ja, kiedym pierwszy raz w życiu cię ujrzał! — Prawdę  
mówi, prawdę — i nie tylko lica twoje urodziwsze, ale  
i Duch twój wznioślejszy od mego. — Aligier, czy pa-  
miętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? — ona  
mi w oczach, gdyby terazniejsza. —

ALIGIER. I mnie równie, bo o tej chwili stałem się przy-  
jacielem twoim. —

MŁODZIENIEC. Ot, widzę ten stary budynek, w którego  
salach tysiąc równieśników moich siedzi, a nauczyciele  
z katedr mówią do nas — widzę te, w węża załamane,  
wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny,  
na którym mi się objawiłeś! — Nieprawdaż, harde było  
ze mnie chłopię, choć niedorósłe i wątłe na siłach. — Sze-  
dłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszyst-  
kich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą —  
lecz czemu, nieświadom. Ścisnęli się kolem i coraz mi  
ciaśniej — krzyczą: »Panicz, Panicz!» jakby hańbą być

miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał  
niejeden z Ojców moich i w jakim leży pochowany ko-  
ściele. — Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz  
wtedy piekło się urodziło — poręczy żelaznych się uchwy-  
ciłem — oni ciągną mnie na dół za ręce, za nogi, za  
płaszcz zwoje. Byłbym może pod ich stopy runął, ale  
tyś się ukazał — schodziłeś z góry taki sam blady, taki  
sam wysmukły, jak dzisiaj, tylko, że z okiem w płomie-  
niach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem  
i pamiętali wyraz twego czoła — krzyknąłeś — oni od-  
padli ode mnie, jak liście suche odpadli ode mnie. — Daj  
rękę, Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę!

ALIGIER. O niej możesz, Henryku, ale słów, którem wtedy  
wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie, nigdy nie za-  
pomnij!

MŁODZIENIEC. Tak — czuję jeszcze twój uścisk — słyszę  
jeszcze głos twój: »Oni niesprawiedliwi. — Ty bądź wię-  
cej, niż sprawiedliwy — przebacz im w Duchu i kochaj ich  
w czynach!« — Potem zeszedłszy razem, a tyś, przegho-  
dzając wśród nich, spokojnym czasami powtarzał głosem:  
»Hańba wam!« —

ALIGIER. I od dnia tego nierozdzielni byliśmy. —

MŁODZIENIEC. I będziem do śmierci — bo od dnia tego  
wiem, żeś wyższy ode mnie, i za to kocham ciebie.

ALIGIER. Do śmierci, mówisz?

MŁODZIENIEC. Tak —

ALIGIER. Ja umrę przed tobą! —

MŁODZIENIEC. Nie szpec takim uczuciem tej cichej go-  
dziny! — Raczej całem okiem pijmy to światło złago-  
dniałe — piersią całą to letnie powietrze, woniami róż  
dzikich natchnione — patrz, te ostatnie promienie na  
śniegu gór, ta gwiazda, wschodząca nad szczytem skał,  
to uśmiech Boga nad nami — a ty ze mną, a ty przy  
mnie — czegoż więcej nam trzeba?

ALIGIER. Jeszcze raz ci mówię: ja umrę przed tobą. —

MŁODZIENIEC. Niedobryś — przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych, między którymi wzrosłem, odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej, dalekiej ojczyźnie. — Sam jeden żyję, ostatni z rodu mego — a tybyś miał opuścić mnie także, pójść tam, gdzie lepiej, nie zostać się ze mną? — nie — nie, Aligier!

ALIGIER. Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać, a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie, choć postać moja odleci. Z serca do serca przeskrzydla się myśl. — Czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem, byś był mężem wśród ludzi — wśród duchów niebieskich aniołem. Kiedy już, na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbyś czas w biegu zatrzymać i wołać: »Piękny, piękny!« — Henryku, pomyśl, jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc, każdy wołać musi: »Ty piękną jesteś!« Braciom twoim daj szczęście takie! Bądź wśród nich arcydziełem!

MŁODZIENIEC. Czy mi ostatnią wolę zapisujesz? — Aligier, daj pokój — nie chcę słuchać tego! — Zwiąłeś mi wszelkie przeźrocze z błękitu niebios — zasłona jakaś roztacza mi się przed oczyma — powiedz, gdzie jesteśmy? co to się znać? przecież już nam blisko było doliny? Dziś jeszcze, kiedyśmy razem o brzasku tędy przechodzili, krzyż tu na prawo gdzieś widziałem — gdzieś się podział?

ALIGIER. Idź za mną! —

MŁODZIENIEC. Alboż znasz lepiej ten kraj ode mnie? Ot, wschodzi księżyc, przyjaciel mój — on mi rozwiąże zagadkę. —

ALIGIER. Czekajmy więc!

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego! im więcej światła przybywa, tem bardziej niewidzianą nigdy wydaje mi się okolica. — Niech tylko opadną te wyziewy — tam, tam bieli się droga — nie — to mgły wstęga na łać! — Hej!

czy niema tam kogo? Hej! Hola! odezwijcie się! — Wystrzelę — może nas usłyszą.

ALIGIER. Góry usłyszały i odpowiadają.

MŁODZIENIEC. Jaki grzmot echowy! — Czy pojmujesz, jakim my sposobem zabłądzili? — Zdaje się, szliśmy wciąż, jak się należy — wtem jedną razą, czy uważasz? potrojone skały — same niebo się odmieniło — tam morze z chmur jar zalało i, jak niewzruszony lodnik, świeci. Stąd wstają wyziewy, snują się, snują, aż w mózgu się zawraca. — Teraz ciemno, choć oczy wykłuj — ot, znów księżyc górą, a taki jaskrawy, przykry! — Aligier, ja już nie trafię do ładu!

ALIGIER. Czegoż więc czekasz dłużej? — idź za mną!

MŁODZIENIEC. Na lewo, tym ciasnym wąwozem?

ALIGIER. Takie natchnienie moje.

MŁODZIENIEC. Pójdę, gdzie chcesz; szukaj, krąż, wstępuj w górę, schodź w dół, wszystko mi jedno! — Nim zorza zejdzie, musim błądzić wciąż. — Nigdy takiej nocy nie widział — kto wśród niej mądry będzie, ten albo wilkiem, tych puszczy dziedzicem, albo gemzą, tych skał panią. — Hej! gdzie ty? odezwij się!

ALIGIER. Tu, obok. —

MŁODZIENIEC. Przeklęta mgła buchnęła mi z pod samych stóp, zaćmiła oczy — a teraz sobie w górę płynie, do tamtych sióstr. — Patrzaj, czy to nie stary król na tronie, z berłem w ręku? — za nim zaraz wąz ogromny — nie — smok raczej — nie, już teraz czteroskrzydlny cherubim — a tam, ot tam w przedziale między skalami, widzisz, cały naród cieniów śpieszy na sąd ostateczny! — A to co? na czymże się ja tak potknąłem?

ALIGIER. To wywrócone wrota, za którymi stary cmentarz leży.

MŁODZIENIEC. I właśnie księżyc teraz zaświecił, jak błądy czyściec dusz nad tym cmentarzem ciał — przed chwilą jeszcze taki rzeźki byłem, lżejszy od powietrza, a w tej

chwili tak mi ciężko, tak serdecznie źle — nie wiem czemu i skąd — chyba mnie te stare nieboszczyki urzekły. — Gdybym usiadł na tym kamieniu, zdaje mi się, zasnąłbym.

ALIGIER. Oprzyj się na mnie!

MŁODZIENIEC. Dobrze — bo kleją mi się powieki i chciałbym tu zostać.

ALIGIER. Dalej jeszcze trochę — aż do tej białej kaplicy! —

MŁODZIENIEC. Dobrze — ciszej nam będzie pod dachem, niż na wietrze tym. —

ALIGIER. Czemu więc stajesz? idźże!

MŁODZIENIEC. Boże! czy wzrok mój oszalał od jadu tych wyziewów? albo czy śpię już i śni mi się?

ALIGIER. Co widzisz?

MŁODZIENIEC. Czoło twoje dziwnie żółkło w tych miesięcznych promieniach — oczy tak ci zapadły — wychudłeś — zdajesz mi się coraz starszy, wyższy — czy to ty?

ALIGIER. Ja, Henryku.

MŁODZIENIEC. Głos twój tylko jeden podobny do ciebie.

Teraz marzy mi się, że wieniec laurowy błysnął koło włosów twoich i krąży i znika i znów się pokazuje — odpędź go — ja się boję ciebie — nie pójdę dalej — sen mnie tłoczy ku ziemi — padnę — daj mi upaść! — Bóg widzi, żem twarz gdzieś podobną oglądał — gdzieś —

ALIGIER. Jeszcze kroków kilka. —

MŁODZIENIEC. Gdzie to było? — gdzie? — a znam ten wieniec, znam ten podziemny ogień w oczach, z innego świata przyniesion! — Taki obraz w sali godowej, w domu ojca, na obiciu w gwiazdy srebrne, na obiciu zielonem, w domu ojca... Tak — i ojciec mawiał, że przed laty człowiek ten zwiedził Piekło i Czyściec i w raju był...  
*Stawia* Mistrzu, mistrzu, gdzie mnie wieszysz?

ALIGIER (*wnosząc go do kaplicy*). Teraz możesz zasnąć.

## SEN.

Zdało się młodzieńcowi, że się postać Danta k'niemu odwróciła i rzekła: »Kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, stamtąd mnie posłano, bym ci pokazał piekło dni terażniejszych — zbądź więc trwogi wszelkiej i, kędy idę, idź!« — I, jak słup bladawy, uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. — Czasem z pod jej stóp wyrwał się nikły meteor, a stąd i zowąd podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły woddali; — a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała, dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność złego.

\* \* \*

Postać zatrzymała się na szczycie góry jakiejś i niby we wnętrza jej zstępować zaczęła, a rozwidniało się stopniami i z obu stron drogi stały kute w skale ściany — przez ciasne strzelnice śniady świt się wdzierał — przy ścianach, na prawo, na lewo, zbrojni w jednakim stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem — a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne luty, które trzymają w ręku. Postać dotknęła powiek młodzieńca znikomym dłoni powiewem, mówiąc: »Przejrzyj — boć tu zaprawdę wstęp do piekła na

ziemi!« — A wnet obaczył dusze onych wszystkich, napół z ciał wychylone, nie mogące ani wstąpić do nich napowrót, ani też w pełni się oderwać — i, targając się, płakały: »Nam ni żyć, ni umrzeć — gdzie każą, iść musim — przeciw Bogu, a idziemy — przeciw braciom, a idziem — biada nam!« — I płacz ich był nieukojonny. — Postać stanęła, pytając: »Mówcie, czem wy i jakie imię wasze?« — Lecz usta onych ciał wszystkich nic nie odpowiedziały. — »Gdzie ojczyzna wasza?« — A oczy onych ciał wszystkich podniosły się w górę, pełne podziwu. — »Gdzie dom wasz?« — a śród ócz tylu niektóre tylko upuściły łzę jakoby mętnego wspomnienia. — Lecz ramiona wszystkie coraz żywiej się ruszały, gładząc wciąż lufy i ostrząc kolce bagnatów — aż z nad niemych ciał odjękły wszystkie dusze razem: »Dziećmi nas jeszcze zagnano w świat — kazali nam zapomnieć o sobie, a drugih zabijać — kto się opierał, ten sam, jak zdrajca, kulą zabity, legł — a teraz nie pamiętamy, skądęśmy wyszli, ni wiemy, gdzie pójdziem«. — A na to im blada postać: »Dawniej, kiedy męże stawali do boju, znali, jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać — oni jako Bogi wojny, a wy jako jej bydłota«. — I, jednym skinieniem rozerwawszy łańcuch zbrojnych, poszła postać ku wschodom, co się wily w głąb. —

\* \* \*

Za wieszczem zeszedł młodzieniec w ciemne podziemia — nagle potop światła roztoczy się przed nim, ujrzał mury czarne i kraty i obręcze z łańcuchami, wpojone do murów, i w lampach alabastrowych lubieżne płomienie i jedwabie kobierców na ziemi — i mnóstwo ludzi koło jednego człowieka, który na wyniosłem krześle, biały i wysmukły, jak niewiasta, przewraca kartki księgi czarnej. — Przed nim krzyż marmurowy, olbrzymi, pod same sklepienia — i rozpięty na krzyżu posąg Chrystusa. — Od stóp do głów



wzdrygnął się cień Danta i rzekł: »U starych potępieńców nie spotkałem tego świętego znaku. — Oni przynajmniej nie umieli bluźnić Bogu Boga samego imieniem — ale patrz i słuchaj!«

\* \* \*

Przełożony nad mnóstwem schylił się i ciągnął z pod stóp krzyża ciężkie wory złota. — Wszyscy, którzy tam stali, kołem przystępują do niego — wszyscy wyciągnęli ręce — pot chciwości kapie im z czoła. On, im płacę rozdając, uczy ich, a głos jego piszczący i drgliwy, jak zgrzyt ryłka po szklannem zwierciadle: »Gdziekolwiek się wkradacie, bądźcie uprzejmi i słodcy — w domu starożytnego pana sypcie dumie pochlebstwa — w domu ubogim przy-  
milajcie się nędzy! Gdzie mąż nęka żonę, pocieszajcie ją — gdzie ojciec synom skąpi, pożyczcie im grosza! — Wszędzie, gdzie silniejszy słabszego uciska, bądźcie słabszemu obroną, a wszystkie ich skargi i nadzieje, jak skarb ukryty, staną przed wami otworem! — Jeśli kto ponury i milczący, sami zacznijcie rozpaczać, a krzyk wasz obudzi głos jego! — Jeśli gdzie młodych spotkacie, drżących niecierpliwie do czynu, zwiążcie ich zaraz strasznemi przysięgi — dajcie im pod szaty tajemnicze oręża — bo z ludźmi, jak z kłosem: im pełniejszy, tem prędzej wykruszon! — A pamięć wasza niechaj będzie chciwa, ostra, nieskończona! — Gdy wiatr trąca liście po drzewach, obzierajcie się za tym szumem — szpilkę gdy znajdziecie na drodze, podejmcie ją i przynieście tu — więcej ona warta, niż miecz — bo gdzie miecz leży, tam już nie czas! — Kochajcie dzieci i bawcie się z niemi; — jak motyle na kwiatach, tak na ustach niedorośląt siadają czasem ich rodzin tajemnice. — Wiedza jest darem darów. — Ciała wszystkich w jednym się nie zmieszczą więzieniu, ale głowa jedna zdoła objąć myśli wszystkich i, jak wieczne więzień sklepienie, zawisnąć nad

niemi. — Idźcie w świat! — A owi wszyscy, ciężarni złotem, poznikali, jak mary.

\* \* \*

Z drugiej strony lochu zwinęła się różana makata — drzwi się za nią żelazne rozwarły. — Weszli posługacze, wiodąc pod boki człowieka w lachmanach, który się wyprostował i ryknął, jak zwierzę: »Dajcie jeść, dajcie pić — wczoraj ojciec umarł z głodu — dziś rano matka skonała — a mnie pali gorączka i ja umrę w nocy!« — Skinął przełożony, a wnet podniosła się naprzeciwko lazuruwa makata, za którą błysnął stół, gnący się pod srebrem mis i kryształem czar. — Rzucił się zgłodniały — ale wstrzymali go: »Wprzód przysiąż nam na wierność!« — »Jeść, jeść, a przysięgnę potem«. — Na to rozśmiał się wysmukły i wskazał na krzyż, a konający padł na kolana przed krzyżem.

\* \* \*

I zdało się młodzieńcowi, że głos przełożonego wzbił się, jak syk węża: »Na Trójcę świętą i na mękę Pańską, co obaczę, co usłyszę, czego się domyszę, donieść tu przyrzekam, choćby jęć brata, choćby siostry westchnienie. — Jeśli co przyjaciele, jeśli co krewni knują, wypowiem — a niech ich gardło pod nóż kata się dostaje! — Gdybym co zataił, niech sam zginę, przybity do deszczek i rwany kleszczami, palon ogniem i pojon trucizną!« — Ale klęczący nie chciał powtórzyć słów onych i padł na ziemię, wołając: »Umieram!« a wysmukły odrzekł mu: »Umieraj!« — i, założywszy ręce, czekał.

\* \* \*

Nastąpiło wielkie milczenie — i zdało się młodzieńcowi, że się sam pyta postaci: »Mistrzu, gdzie są dusze tych lu-

dzi, że nie widzę ich, choć wzrok Duchów od ciebie przejąłem?» A postać: »W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem, w wiekuistą puszczone pogardę, stożsamiły się ze swemi ciałami. Im tylko wśród wszystkich święty dar żywota odebran i, gdy te ich pierwsze ciała się rozwiążą, ich samych nie będzie już nigdzie«. Wtem podrzucił się zgłodniały w stronę zastawionej biesiady — »Przysięgnę« szepnął, sypiąc skry oczyma, a przełożony podał mu rękę i postawił go znów na kolana. — On zaczął przysięgać. —

I mara jakoby anioła z zasłoną na czole wyjrzała z przestrzemi, krzyż broniąc kręgiem skrzydeł swoich — i, dopóki trwała przysięga, stał anioł rozpostarty przed krzyżem — lecz go nikt z tych wszystkich widzieć nie mógł. — A gdy skończył ostatni wyraz przysięgi, gdy ciało zgłodniałe, wstawszy, wlokło się dalej, twarz anioła pokryła się wielką śniadością — i zasłonę rozdarł, wołając: »Dusza jedna, Panie, zginęła!« Ten krzyk nawskróś przeszył serce młodzieńca i zdało mu się, że musiał spuścić głowę z nieznośnego bólu.

Gdy oczy podniósł, wszędzie ciemności — a środkiem ich płynęły blade cmentarze, pełne sterczących rusztowań i kości nie pogrzebanych, płynęły jedne za drugimi, jak nawalne chmury. — Z nad nich wzbijały się jakoby tumany liści jesiennych z szumem żalobnym — pełno tam głosów mieszało się razem, a wszystkie skarżyły na donosicieli — i niewieści szloch i dziecinny płacz i mężów donośny jęk. — A cień Danta rzekł do nich: »Przyjdzie na was czas, niebożęta, i żyć będziecie podwójną wiecznością — waszą własną i tych, którzy was zgubili — bo z nicości, im przegna-

czonej, wycofnie się duch i przejdzie do was. — Uciszcie się więc, o nieszczęśliwi! — A gdy tak mówił, zapłakał sam. —

\* \* \*

I napowrót szedł ku powierzchni ziemi, aż znów wstąpił pomiędzy zbrojne, którzy już stali teraz pod bronią, jak rzędy posągów. — Dźwięk trąb i bębnow odmierzał im spadkami czas i tryb życia. — Jedni odchodzili na spoczynek, drudzy, jak głązy, na ich miejsca się wbijali — inni, wzięwszy na cel leżących na ziemi więźniów, strzelali ich wiecznie z palcem na cynglu, z kolbą w piersiach, z okiem bez ruchu, nie oddychając. — Czasem gdzieś z tyłu, gdzieś po bokach, odzywał się huk rozstrzelania; — a w miarę, jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstępowały się ściany, wykute w skale, coraz szersze chwytając przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosięgną zdoła oko.

\* \* \*

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną wszerek i rosną w górę, Ignąc do widnokręgu kamiennem obiciem, sklepieniu niebios podścielając się kamiennem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny, jak świat, granitowy, szary, bez błękitów i bez zieloności. — A w tym świecie ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkiem oddaleniu, przybitą do pochyłych gzymsów i świecącą wiecznie ukośnemi promieniami. — A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło; — i w tej \* śniadości przechadzały się tłumy niezliczone, jakoby narody ziemi — i, jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbijał się.

\* \* \*

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: »Mistrzu, gdzie jesteśmy?« A on jej na to: »W świątyni, w której Ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga nie-masz«. — I wstąpił zaraz między zgrają ludzi, przy wejściu siedzących. — Każdy miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki, jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemioł narzędzia. — I każdy z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem, jak u obłąkanych; — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. — A ile razy godzina śmierci, bijąca woddali, odezwała się na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów tu i owdzie spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. — Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół zębatych, stemplów, lewarów wznosiły się i płynęły równolegle do ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.

\* \* \*

A na widok wieszczu powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzycząc: »Jeśliście Bogi lub czarty, a wszystko nam jedno, o których słyszeliśmy kiedyś, złota dajcie, złota!« I trzęśli się, jak kościotrupy, z wyciągniętymi rękoma. — Zapłonila się biała postać Danta krwią gniewu i odparła im: »Opętane najemniki!« — a oni poupadali na ziemię, jak martwe bryły przed Duchem.

\* \* \*

I zapłonila się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: »Iżali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? — Kiedy ciało moje jeszcze z tam-

tej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także naonczas wyrobnicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. — Szarlatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na lądzie sypać niezdobyte szańce. — Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj z palcami jak wosk miękkimi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza, wy, bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo, a laskający złota? — A chłopię śliczne, jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się — i, głowę kładąc na stopach widma, rzekło pocichu: »Zmiłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a na-  
zajutrz o świcie znów robić musim. — Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i, ledwo co zjadłszy, znów robić, by jeść — zmiłuj się nad nami!« — A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał i, wzniosłszy oczy w górę, westchnęło: »Przeszłość nie powróci, dziecię; — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech!« A chłopię odeszło, szemrząc: »W niebiesiech — może, ale nie na ziemi«. — Tamci tymczasem zgrzytali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł wśród nich, jak nawałnica, unosząc się dalej.

\* \* \*

A inne tłumy w środku świata tego stały pochylone nad ogromnym otworem. — Twarze zacierających pływały w łunie czerwonej — grunt naokoło trząsł się od podziemnych huków i zdało się młodzieńcowi, kiedy się przybliżył, że ujrzał jakoby łożę wyschłego jeziora, ocembrowane zewsząd kręgiem skalistych, prostopadłych ścian. — A od głów ludzkich czarno tam w dole, od głów ludzkich, miotanych, jak

fale w burzy — a od węgli palących się krwawe światło tam, od węgli, dymiących, jak żużle wulkanu — i nieustannie wzbijały się stamtąd groźby i przekleństwa.

\* \* \*

Jak matka dziecię przytula do piersi, tak widmo ogarnię młodzieńca rękoma i zleci aż na ciemne dno otworu. — Tam wrą i kipią dzikie postacie — ich lica zarosłe kudłatemi brody — rękawy podkasane, ramiona sine od nabiegłych żył — naprzemian kupią się i rozsypują — czołgają się po ciemnicy, jak żmije, to w blasku ognisk zrywają się, jak męże, gotowi do boju. — Koło najbliższego płomienia dwunastu, roślących jak olbrzymy, ukłękło — do pół ciała zdarli szaty z siebie; — trzynasty przybył z sztyletem w prawej, z czarą w lewej ręce i rzekł: »Poświęć was« — olbrzymy nabożnie pochyłili głowy, a on na ich barkach nagich, kędy odbłysek żarów się płomieni, ryje ostrzem pugi nał głoski krwawe. — Z nich żaden nie jęknie, ni zadrży. — Słowo »Równość« i słowo »Wolność« na każdego plecach ranami wykwiła. — Wieszcz wtedy: »Patrz, jak ten człowiek zbiera w tę czarę krew, kapiącą z ciał braci, zbiera każdą kroplę jej! — Może myślisz, że on ją zachowa jako świadectwo męki, lub okaże ludowi jako godło zemsty?« — A młodzieniec pocichu: »Mistrzu, czyż inaczej będzie?« — Głos widma rozległ się, jak łoskot podziemny: »Zaprawdę, on tę krew sprzedaje kupcom na miejscu i o godzinie targów — przejdź więc i nie patrz na niego!«

\* \* \*

A gdy szli dalej, rzesza jedna czarna wołać zaczęła, zataczając się wśród węgli gasnących: »Ehej, ehej! Czyż na zawsze ciemny padół mieszkaniem naszym? nigdyż się nie dostaniemy na powierzchnię ziemi, do przybytku kupców?« —

A druga rzesza, powiewem rąk budząc śpiące żary, przejęła głos pierwszej: »Do świątyni złotego słońca, kędy do- stać i słodkich win i smacznej strawy i cienkich szat — do giełdy, kędy człowiek grą zdobywa potęgę, a od kolebki do śmierci rąk ni razu nie kaleczy pracą!« — A trzecia wy- lala pełne flaszki oleju na ogień, krzycząc: »Bądźmy od- ważni, a wstąpię do giełdy narodów — przecież i u nas znajdują się piersi, jak mur, i kły, jak u drapieżnych lwów; — a długie gwoździe weźmiem z sobą, bo nie mamy szabel!« — Wtedy wszystkie zgraje razem klasnęły w dłonie, rycząc: »Choć opierać się będą inne plemiona, my się wędrem na te brzegi kamienne. — Raz tylko, raz jeden niech nam losy zdarzą położyć się w raju bogaczy, na ich jedwabnych ko- biercach! — Izaliż lepiej może być w niebie, jako im na ziemi? — Bądźmy więc, jak oni, szczęśliwymi przed śmier- cią!« — A wtem wstąpił między wołające on człowiek z pu- ginałem i czarą, wiodąc za sobą napiętnowane olbrzymy.

\* \* \*

Mnóstwo przywitało go pijanym wrzaskiem, pytając: »Którego dnia wywiedziesz nas stąd?« — On odparł: »Po- czekajcie jeszcze nieco, a przyjdzie godzina!« Olbrzymy pod- nieśli ręce; słyszano ich kości łom, krew świeża tryśnie im z ran, przysięga zagrzmi z ust: »Za was zwycięstwo lub zgon!« — I przeciągnęli za wodzem w stronę jaśniejących szubienic, które stały długim rzędem, jedna w drugą gore- jącemi kagańcami strojne.

\* \* \*

A pod każdą klęczały chłopięta, po bokach siedzieli praw- nicy i biegli w piśmie, ucząc je, jak mają imię naddzia- dów przeklinać. — Dzieci owe przekleństwa szemrzącym powtarzały chórem — a gdy które ucichło z niemocy lub



zaplakało ze wstrętu, przystępowali nauczyciele z biczem w rękę, a ono, zasłaniając się rączkami, ciągnęło dalej. — Jak słup szary, stanął cień Danta przy tym smugu kłęzących — i słuchał — potem nagle krzyknął głosem wielkim. — Prawnicy zbledli i zapytali: »Kto przemówił?« — A on na to: »Jeden z tych, którym złorzeczycie, wy, kłamcy, wy, obłudni — wy gorsi, niż podły gad, bo macie wzrost szlachetnych i mowę uczonych!«

\* \* \*

»Patrzcie się w moje umarłe oczy — jeżeli nie pęknie wam serce ze wstydu? Wiecie-li, co wolność Ducha? Biada wam — wy znacie tylko, co wygodą ciała!« — I przywołał dzieci i rozciągnął ręce nad temi, co w pobliżu się cisnęły, i w stronę tych, co dalekie były, błogosławiąc wszystkim: »Nie wiercie fałszom — wyście sługi — ale ojce ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich! — Wiara w Boga tarczą im była od ucisku ludzi. — Świeżość wiosny rozkwitała w ich duszach — w chacie równin, czy w zamku na szczycie skał oni byli sobą — kochali, kochając, lub walczyli, walcząc. — Dziś, jako świat wielki, tak miłości niema i, jako świat wielki, tak i walki niemasz.«

\* \* \*

I zdało się młodzieńcowi, że jeden z prawników podniósł się i szedł do postaci trzymając dwie lufy w rękach — a był jednooki, krzyczał: »Równość i mord!« i czapkę miał na baki, a na niej wyszyte słowo: »Lud«. — Idąc, zataczał się, a gdy stanął, odwiódł kurki i zaczął mówić mieć, przewracając oko samotne i pieniać się na ustach. — Lecz postać przerwała mu: »Wrzask twój dźwięk marny, a nie żadna myśl; — nie krzykiem, lecz czynem, nie mordem, lecz nastrojem wszystkich stoi Rzeczpospolita. — Tyś zwierze, a nie

Duch, — i, zanim przeminie lat dziesięć, ty sam lud twój zdradzisz!« — Oko mówcy zaszło krwią i, truchlejąc, zniżył lufy żelazne, a cień Danta rzekł do młodzieńca: »Przechodząc, plwaj na tę daszę pogarda! Z fal ta najgorzej hu- czy, co się ma rozbić na piasku; — piersi ludzkie, to fale świata«.

\* \* \*

A tu grunt zaczął niżej zstępować, a światło szubienic przyświecało jeszcze, ale coraz słabiej, aż ukazały się w dole inne gwiazdeczki, sine, niewzruszone, na wzór lamp, czuwających w szpitalu. — Każda z nich nad rogożą zatknięta — na każdej rogoży niewiasta i lud cały niewiast leży, jęczy, wzdycha, płacze. — Gdzieniegdzie ozwie się krzyk ostatni, śmiertelny — i znowu jęk, westchnienie, płacz, przeciągnion w coraz dalsze i głębsze podziemia.

\* \* \*

Jedna z tych zerwała się przed widmem Danta, okręciwszy koło rąk włosy rozpuszczone i targając je; — a młodzieniec ujrzał jej duszę, wpłcioną między te włosy, od głowy do rąk i od rąk aż do stóp spływającą z niemi w nieznośnych podrzutach. — »Mów, ty« krzyknęła »ktokolwiek jesteś, i ty drugi, mówcie wy oba, mężczyźni, czemu mnie z powierzchni świata zepchnięto do dołu? — Pókim ciało miała nadobne, chodziłam w promieniach słońca — ludzie dobrzy byli dla mnie. — Gdym zwiędła, jak kwiat, jak najpiękniejszy, wzięli mnie, zrzucili między gnijące, w ciemny mrok, gdzie płacz i zgrzytanie. — Im, mężczyznom, kiedy zestarzeją, młodzi pieśni pochwalne śpiewają; — nam przede dniem śmierci na wiele dni jeszcze każą kłaść się do trumny. — Prosim się, skarżym się, wołamy. — Oni daleko, oni nie słyszą — potem konać zaczniesz — oni jeszcze dalej, oni nie przyjdą nas pożegnać — i tak trzeba umierać«.

A gdy mówiła, inne się dźwigały i wstawały, wołając: »Sprawiedliwości, sprawiedliwości!« — A za temi inne jeszcze, tłukąc się w pierś, szlochając, przeklinając — aż strugi łez z ocz ich spłynęły na włosy ich długie i z włosów kapły na ziemię z głuchym szelestem dżdżu jesiennego. — A słabsze lub bardziej znękanе, ledwo się podniosły, znów upadały; — inne, tylko klęczeć mogąc, wlokły się na kolanach; — inne, twarz przez pamięć piękności zasłaniając rękoma, szły ku widmu, a z za ich palców ocz tylko dwoje gasnących świeciło.

Ujrzał wtedy młodzieniec kilku starców w czarnych, długich szatach, z kropielnicą w ręku, rzucających wodę na te wszystkie głowy i śpiewających głosem ponurym. — Jedne z niewiast spuścili czoło i cicho na rogoże pokładną się nazad. — Inne, przykląkwszy, całują tych starców w ręce i szepczą przed nimi nieskończone żale. -- Ale ta sama, co pierwsza się zerwała, jeszcze gwałtowniej drąc włosy, krzyknęła ku nim: »Tam, na powierzchni świata, mężczyźni już nie słuchają was, ale rzekli wam: Idźcie, bądźcie szpiegami kobiet umierających! Gdy dusze ich od ciał się odrywają, uciszajcie ich skargi! — Gdy klną nas, zamykajcie im usta, bo ich jęki niemile nam! Czasem z przepaści gdy wzniosą się razem, psują nam porę biesiady lub godzinę targów. — A wy poszli, zstąpili, przyszli. — Wy nas uczycie, jak cięcho umierać. — Otóż ja umrę głośno, wołając: Duszę miałam, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali! Ty sądz, Boże, Ty, coś mi duszę dał!« — I dusza jej przed oczyma młodzieńca ostatnią konwulsją wyrwała się z plecionki jej włosów i poszła ponad lampy w ciemną przestrzeń, jak krwawe płótno, przekłute tysiącami igieł.

Wieszcz przechodził zadumany, nic nie odpowiadając, jakoby ze wstrętem. — Aż przyszedł do łoża białego, co stało na uboczu w wielkiej odległości od tych wszystkich innych. — Tam paliła się lampa na słupie marmurowym, pod krucyfiksem, i w szacie żałobnej odwrócona klęczała niewiasta. — Cień wieszca się zatrzymał i, stojąc, milczał, jakoby w smutku głębokim.

\* \* \*

»Mistrzu, kto ona?» zapytał się młodzieniec. — A cień mu na to: »Przed laty jedną tylko kibić podobną tej widziałem, raz na ziemi — a potem raz drugi tam wysoko, tam w niebie. — Gdy twarz obróci, kto ona, poznamy«. — I stał, nie przerywając modlitwy niewieście.

\* \* \*

A młodzieńcowi się zdało, że obok czarnej klęczącej widzi białą klęczącą, zupełnie taką samą, tylko, że miasto długich włosów skrzydła dwa miała anielskie, cicho w krzyż zwite i złożone niżej ramion. — A na tych skrzydłach głębokie rany i w każdej ranie gwóźdź sterczący, tak, że się skrzydła rozwiązać nie mogą. — Po chwili obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. — Wtedy cień: »Oto skończyła modlitwę, bo jej śnieżna dusza zniknęła« i dodał, jakoby mimowolnie: »Beatryks«.

\* \* \*

Czarna Pani obróciła się i rzekła: »Ta, która to imię nosiła przed laty, nic oprócz raju nie знаła na ziemi, bo zgasała w pierwszej wiosnie życia — nic oprócz raju za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło do siebie. — Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. — To nie moje imię!« —

I, załamawszy dłonie, stała z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

\* \* \*

A gdy ją wieszcz zaklął, tak mówić pocznie: »Urodziłam się w ziemi, mlekiem i miodem płynącej, którą zwą dziś ziemią mogił i krzyżów — zwą też i ziemią niedoli. — Tam, w górze, wyście słyszeli o mnie. — Lecz języków tysięcy zatruło i rozszarpało imię moje, zanim doszło do was. — Zrazu zwali mnie rodzice: niewinną, śliczną, szczęśliwą — później nazwano mnie inaczej: niewolnicą!«

\* \* \*

»Bo obyczajem świata mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmiłosną, wydano czy sprzedano za męż. — O, zapłacicie nade mną i nad temi wszystkimi siostry mojemu, które, nie jeszcze nie wiedząc ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym, co wszystko wiedzą i wszystko już czuli — ale którym wiedza nie przyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrłość zgrzybiałą szatanów!«

\* \* \*

»Wszystko zniosłam — bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia: — pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękojeścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? Im, co już tylko tem jednym, tem śmiertelnem skute są do siebie żelazem? — Jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając, aż śmierć wreście pobłogosławi, rozdzieli? — Kazałam sobie: nie — a musiałam — prosiłam się Boga, by nie — a musiałam pogardzać!« Tu, umilkłszy, znów stała niewzruszoną, z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

\* \* \*

A gdy ją wieszcz znów zaklął — jęcząc, odrzekła: »Bogu w dzień sądu, Bogu samemu nie odpowiem. — Jedna ja wiem, jedna pamiętam! — Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęzmi słońce zachodzące. — Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się, jakby w le-targu. — Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś go-tuje na ziemi naszej. W powietrzu śród zapachu sianożęci pływało jakieś przeczucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma powstać i walczyć i zginąć! — A mąż mój wysmukły i biały, jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś. Ach, czeka z uśmiechem nigdy niezapomnianym!«

\* \* \*

»Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie — znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele, są-siedzi. — On im ściska dłonie, coś obiecuje, przysięga. — Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzić. — Każden broń odpasał, usiadł na murawie. — On klasnął, znak dał — do syku węża podobny był gwizd jego. — Żołnierze zewsząd, żołnierze, żołnierze...«

\* \* \*

»Nie pytajcie mnie — jam imię tego człowieka nosiła — jam mu była przysięgła na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich!...«

\* \* \*

»A teraz oto trzecie imię moje na ziemi: zhańbiona. — Wiecież wy, za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozerwała mi serce — a przyszedł dzień, w którym ukochaną zosta-łam; — za to, że w tym dniu uwierzyłam w Piękność i Do-broć i Rozum na ziemi — za to, że umarłą podniosła

głowę, żem krzyknęła: O, jakże z trumny dobrze w niebo  
rość! — za to, żem święcie kochała!« —

\* \* \*

I tu, umilkłszy, znów stała niewzruszona, z twarzą bez  
krwi, białą, jak alabaster. — A gdy ją wieszcz po raz trzeci  
zaklął, rzekła cicho: »Chodźcie za mną!« — i, zdjawszy lampę  
z pod krucyfiks, coraz bardziej się oddała od ludu niewiast  
leżących, wijąc się w jakąś przestrzeń podziemną, w lochy  
ciasne, a rozdużające się żywotnie w miarę, jak ona rękę  
wyciąga i lampę podnosi. —

\* \* \*

Wszędzie te same ściany, płaczące wilgocią — ciągle  
to samo sklepienie niskie i duszne. — Szelestu jej stapań  
nie słyhać — żaden powiew nie igra z jej lamp płomie-  
niem. — Młodzieniec idzie, a coraz mu tęskniej i zwiędlej  
i słabiej; — niby to powietrze umyka się zewsząd, odpływa  
od niego — niby to ciężar jakiś niewidomy głowę mu przy-  
gniata — niby to w piersiach krew mu już stygnie; —  
i zdało mu się, że sam krzyknął: »Nie pójdę dalej!« —

\* \* \*

A czarna Pani, obróciwszy się, rzekła, lampę mu nad  
czołem trzymając: »Jednej godziny nie możesz wytrzymać,  
ty, z rodu mężczyzn, ty silny i dzielny, tam, gdzie mijają  
i przemijają wszystkie lata moje — odejść więc w pokój!«

\* \* \*

A wieszcz smutno się odezwał: »Gdzież ten, który ko-  
chał ciebie?« — Ona, spuszczaając oczy, odrzekła: »Tam,

gdzie go jego męskie losy zagnały — wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w ducha samotności — kochałam go, a opuścił mnie.« I wskazała na kamień daleki, bielejący wśród tych ciemnic, mówiąc: »Tam już dusza moja, w własne skrzydła obwinięta, pochowana leży — a to ja, na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd nie umiało skończyć.« —

\* \* \*

I z wielkiego smutku padła na kolana, wołając: »Ty, który wiesz, powiedz, czy z nami tak na wieki będzie?« — I pierwszy raz wtedy zapłakała.

\* \* \*

A wieszcz, rękę położywszy jej na czole: »Wyście dotąd były jak lilije boże, co rosną, nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. — Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzn i przejdą w dłonie wasze. — Oni, do stóp wam pochyleni, błagać was będą o jedną pieśń osłody — o jedno proroctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dolą będzie. — Lecz wy, zapatrzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich płaczu. — Wtedy im serca pękną, jako wam od wieków.« —

\* \* \*

»Wyrzec jeszcze jedno słowo do mnie!« rzekła czarna Pani, modląc się do wieszczki wzrokiem. — A on: »Tak będzie, a przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zbawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie«. — A gdy czarna Pani coraz rzewniej pla-



kała, dodał: »Odwołaj duszę, a nie lękaj się — bo gdyby co zaginać mogło, prędzejby w sądach Pana ołsnęła męska gwiazda chwały, niż wyszła napróżno łza nieszczęśliwej.« —

\* \* \*

A gdy klęcząca spokojniejszą się wydała, Cień ją opuścił — i szedł prosto ku grobowi, porywając młodzieńca za sobą — i, gdy grób ten biały mijał, rzekł: »Zaprawdę, ona umrze w tych ciemnościach i tu odpoczywać będzie — bo czas idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd.« — I, grób ten pobłogosławiwszy, niósł siebie dalej — nazad z głębi w górę. —

\* \* \*

Aż przez otwór przepaści, wysoko, wysoko nad sobą znów ujrzał młodzieniec sklepienie granitowe świata. — W miarę, jak się dobywał z głębi, ono się rozszerzało w śniadem świetle swoim — słyhać było stamtąd jakoby huk tysiąca rozkołysanych dzwonów — jakoby odgłos kroków śpieszących się, kroków miliona — i stęki kamiennych posadzek pod niemi. — A gdy widmo stanęło u brzegu otworu i znakiem dłoni, jak wirem, przyciągnęło młodzieńca — on obaczył wszystkie narody ziemi, idące ku żółtemu słońcu i pod tem słońcem wystawę olbrzymią, czarną, na której trony jakieś w oddaleniu świecą. —

\* \* \*

Jak gnane wyziewy, jak płynące koryta, jak pędzone trzody, tłumy prą się, rwą, rzucają jedno za drugimi, wszystkie w tę samą stronę. — Dzwonów niewidzialnych dźwięk brzmi po całej przestrzeni — starce i młodzi, niewiasty i dzieci nadchodzą, przechodzą, mijają, pomieszani razem; — a starce proszą się młodych, by zwolnili kroku, by się za-

trzymali na chwilę, by ich wzięli z sobą. — Tamci ni się odwrócić, ni słuchać chcą — biegną. — I blade dziewice, stanawszy i płacząc, proszą się braci, proszą się kochanych, by na nie zaczekali. — Oni się nie obejrzą — biegną. — I matki tam z niemowlętami na piersiach mijaly, śpiesząc się — i nagle tu i owdzie dziecko, potrącone w biegu, zapłaczę, odwinie rączki, spadnie na posadzkę. — Zewsząd inne następują tłoki — matka żadna się nie zatrzyma ni schyli, ale bieży dalej. — Nad takim całkiem dziecięciem zdeptanem stanął młodzieniec, pytając: »Mistrzu, czy to już sądu ostatecznego godzina?« A widmo, twarz zasłaniając rękami: »To tylko godzina sądu kupców — to Gieldy i Targów godzina!«

I, rzekłszy, poniosło młodzieńca nawskróś przez świata przestrzeń, aż na tamten koniec, gdzie słońce ono i ona wystawa; — i zdało się młodzieńcowi, że stoi zawieszon w równi z tą wystawą, a niżej od słońca tego — i że go jakby skrzydła czyjeś utrzymują w powietrzu — a postać mistrza oblekła się w wielką pogardę i znikła.

A owo słońce było jakoby ze złota i ze sztucznych płomieni — a wystawa była z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam, gdzie górowały trony świecące. — Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole; — a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu. —

I czasem z tych leżących podnożów wyrwały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. — I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców, ukryte i spętane, płaczą. — A w miarę, jak się nieszczęśne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących — i, gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.

A gdy się biedne uciszały, oni wolnym i chrapliwym głosem zaczęli radzić, wskazując czasem rękoma na odmet ludów, ciągnący ku nim z stron wszystkich. — A nad idącymi narody wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami rudej jasności; — i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich, zgromadzonych razem i lecących zbiorowo nad ludźmi — niby krew ulotniona, niby żuźle roztopione, niby żar, dogorywający wśród wielkich ciemności.

Pod tą luną, jak pod piekłem nadpowietrznem, szły narody, na wzór kry huczącej, na wzór burzy, co grzmi. — Czasem wzbijał się krzyk padających, głuchy stęk duszonych i deptanych. — Jeden z kupców z tronu wstał — skinął — i wnet obok wystawy, na dole, rozsunęły się ogromne glazy, roztwarły się lochy i rzędem z pod nich, niemo, posągowo, powstawać i iść zaczęli żołnierze z bronią w ręku, z bagnietami u łuf — i potrójnym szeregiem stanęli z obojej strony wschodów marmurowych.

Coraz więcej huku, loskotów, jęków, nawoływań — każdy ród, każde plemię, każda zgraja chce się pierwsza prze-

cisnąć. — Ogromy, zbite z tysiąca rąk, głów i piersi prze-  
walają się, zniżają, podnoszą. — To błysnie krwawem  
światłem luna nad niemi, to znów szaro i sino i marnie  
w powietrzu. — Jak trąby morskie, jak walący potop wód  
i chmur, już dochodzą do stóp wystawy. — Żołnierze za-  
grzęgotali bronią i broń wymierzyli ku mnóstwom; — na  
chwilę wielka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i za-  
wołał: »Oto się targi rozpoczynają« — i dzwony bijące,  
raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

\* \* \*

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłe-  
go — a w miarę, jak mu z dołu głosy przełożonych nad  
ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waśniach  
i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim  
wspólnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza na-  
stała. — Słyszać tylko szept głosów kupieckich w grani-  
towym świetle. — Luna nadpowietrzna zbladła, wszystkie  
dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania.

\* \* \*

A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił, o ile się  
podniosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi. — Wtedy  
z mnóstwa nie oddychającego wzniesie się nawałnica po-  
klasków i zlorzeczeń, krzyku i płaczu. — Jedne zgraje wo-  
łają: »Z głodu pomrzemy!« — a drugie: »Niech żyją kupcy  
wszechmożni!« — Jedne płasają, wrzeszcząc: »My wygrali!  
wygrali!« — a inne: »O kupcy, o Bogi nasze, zmiłujcie się  
nad nami!« — I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordow-  
wać — znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę,  
deptając po tamtych.

\* \* \*

Trupów wiele ujrzał młodzieniec, strатовanych przed wystawą; — a po trupach, porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. — Pierwsi szli książęta z berłem w ręku, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. — Sklepienie z żołnierskich bagnietów wzniosło się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich schodów; — a tam kupcy zstąpili ku nim i, ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

\* \* \*

Za nimi wstępować zaczęli wszyscy przemysłni świata — rękodzielniki i wyrobniki — lichwiarze i kramarze; — jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje. — W miarę, jak dochodzili połowy wschodów, musieli stawać, a grzmiący głos z góry pytał się o imię każdego z nich. — Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielnia, albowież liczbą jaką — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.

\* \* \*

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobył się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w ręku, dźwigający na plecach dawne jakieś miecze, kolczugi i hełmy. — W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: »Patrz na starej szlachty ostatnich potomków!« — I, obejrawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

\* \* \*

Orszak wstępował po wschodach czarnych, aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. — Każden z tych ludzi wtedy zaczął nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tłuc ją, rozry-

wać i łamać. — A widmo: »Patrz, jak wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchnie dyamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytniej chwały ponieść kupcom na sprzedaż!« — A gdy tak skarżył cień Danta, oni odłamki rozbitych zbroić rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tylu hełmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

\* \* \*

A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie, pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym, by mogli wstąpić między książęta i handlarze. — Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i, wzniósłszy głos, zaczną się targować o cenę kosztowności onych. — Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: »Piekło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!«

\* \* \*

I położył dłoń niedotkliwą na głowie młodzieńca, mówiąc: »Pamiętaj!« ... Ale w tej samej chwili zdał się znowu znikać i stopił się z przezroczem przestrzeni — i nie było go. —

\* \* \*

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbił się teraz posępny, wściekły wrzask, który przeleciał ponad głowy narodom i rozbił się o wystawę. — Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmiali się tylko, głaszcząc brody siwe.

\* \* \*

Szły stamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza, trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę. —

\* \* \*

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego ponad głowami innych ludzi zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. — Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im posiąść i czekać. — Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów, jak lew.

\* \* \*

A jeden z kupców zeszedł k'niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. — W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskier i że gniew czoła jego mięknieje. — Jednak, stanąwszy wśród kupców, krzyknął głosem, podobnym do grzmotu: »Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew; — równy podział wszystkim, albo zgon wam!« — I głosowi temu odklasnęły zostawione na dole męczenniki — i głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali odkrzyknęła przepaść.

\* \* \*

Olbrzym schylił się i obosieczny pugiinał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i jak przełamany

siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: »Mówcie prędko — za tę czarę krwi wiele dajecie dzisiaj?« —

\* \* \*

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli naznaczyli, on odparł: »Nie dosyć za tę krew dzisiaj. — Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy zstąpić do niej?« — Teraz tam zgromadzeni wyją i czekają na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości. — Dziś, po tylu już zawodach znów zawiedzeni, może się zbuntują — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obiecankami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić — A wy się tu ze mną targujecie! O kupcy i pany ziemi, czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochę więcej złota?« — Kupcy mu na to: »Alboż nie codzień to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi, którąś przyniósł, podwyższamy cenę.« — I, radząc między sobą, ofiarowali mu więcej. — Lecz on znów odparł: »Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj!« — I, wznosząc czarę do góry, udął, że chce wstawać z tronu. —

\* \* \*

Wtedy jeden z kupców z przepaski purpurowej na czole odpiął ogromny dyament i rzekł: »To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekształcił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. — Nazajutrz zaraz zrana prapradziad mój oderwał go z drzewa. — Odtąd chowamy go w rodzie naszym. Mów, czy ci dość tego dyamentu za krew twoich braci dzisiaj?« —

\* \* \*

Olbrzym spojrział — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom,



mówiąc: »Gwóźdź moim.« Żyd rzucił mu dyament do próżnej czary, która w jękliwy oddzwoniła dźwięk.

\* \* \*

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. — Zstępując, złorzeczył i groził, aż przybył do swoich, którzy się podnieśli, pytając: »A co? kiedyż?« On dumnym głosem im odparł: »Wy tylko za mną idźcie teraz — dziś nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina!« — I, pociągnąwszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo w stronę przepaści. —

\* \* \*

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczeńność na ziemi — że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedając i kupnem. — Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich orszak szlachty pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęły zdarte ze zbroi klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku. A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpłynne — i powstał gwar waśniących się i godzących się; — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także. —

\* \* \*

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze straciły — ale nikt ich nie słuchał. — Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących — ale nikt na nie nie spojrzał. — Leżały tam

gdzieniegdzie ciała strатовane, ustami jeszcze ruszające i szemrzące: »Ratunku!« — ale nikt im ręki nie podał. —

\* \* \*

A gdy tak działo się na ziemi, owa łuna dusz wszystkich, pluskając krwawemi polyski, coraz bardziej w przestrzeniach siniała. — Naksztalt serc, co jedno po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światełka, promienie. — Wreszcie, czepiając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisła nad gmachu ścianami — i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny szerniał widnokreńnie od postaw swych po szczyty swoje. — Kupcy tylko jedni na tronach wśród tej nocy błyszczą. — I świat był jako Giełda jedna, ciemna — a oni jako króle świata.

\* \* \*

I wszystkie te obrazy, zachodząc jedne na drugie, mieszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. — Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoju — i młodzieniec usłyszał: »Odwróć się od tego piekła podłych!« — i chłód orzeźwiający, jakby powiew nocnego wiatru, z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

\* \* \*

Widmo ujęło go za rękę i poszło przodem — i szło po chmurach jakichś białych i cichych, wśród zapachu niewidzialnego ziela. — Szafir nieba tu i owdzie się wynurzał — gwiazdki jakieś migwały w oddali — aż znów jęk wielki przybiegł z za tych chmur i rozległ się po nich i skonał; — a ledwo skonał, drugi się podniósł — i trzeci — i czwarty. —

A srebrne chmury się rozsuwały, jak stado potrwożonych labędzi.

\* \* \*

I zdało się młodzieńcowi, że na jednej z nich został wraz z wieszczem — i że stamtąd, jak z wyniosłego ganku, patrzy na szeroką równinę i szczyrych błękitów krąg, którym pełnia księżycowa przyświeca. — I zdawało mu się, że przed sobą, na polach onych, widzi wszędzie jakoby las z samych chudych i wysokich drzew — niby to sosny, a dziwnie obcięte — każda o dwóch konarach tylko i każda na osobnej mogile — a jęki nie ustawały — owszem, częściej zaczęły powracać — a każdy z nich trząsł powietrzem, jak grzmot — jakby tysięcy ludzi, cierpiących razem, przedśmiertny, słysznokrężny krzyk. — Cień zapytał się: «Czy widzisz czyściec dni terażniejszych?» — Młodzieniec na to: «Prócz niebios tych i boru tego nie widzę nic». — Wtedy wieszcz, wznosząc powoli ręce: «Powtórnym widzeń dar przejąć musisz ode mnie, bo wzrokiem, którym przenikałeś podłych, ujrzeć nie możesz szlachetnych. — Lecz wprzód, coć powiem, wysłuchaj uważnie!» —

\* \* \*

«Śmierci niema — są tylko straszne marzenia o niej. — Pan nigdy i nigdzie jej nie pomyślał, bo wszędzie i zawsze sam żyje. — Własnem znikczemnieniem tylko zadać sobie można wiekuisty zgon; — a kto umrze tak, temu życia ni grobu już niemasz — spodlił się do nicości i znicestwił przez podłość. — Chyba po milionach lat coś rozbudzi się z niego. — Taki nie oczyszcza się ni zmartwychwstaje. — Lecz, kto odżyć ma, ten przemienić się musi; — każde przemienienie, do czasu nosi pozór śmierci. — Oto próba grobu!» —

\* \* \*

«A w niej pełno szyderstwa i łez i bólu i złudzeń. — Osobniki i całkie plemiona i ludzkość i światy muszą ją wytrzymać — każdy nieśmiertelny musi się jej dotknąć. — Kto jej nie zniósł, ten zginął na zawsze. — Bądźże lwiego serca teraz, bo tych złudzeń kształty oto się rozwiódą przed tobą!» I, dłoń przykładając mu do powiek, tchnął na nie. —

\* \* \*

I zdało się młodzieńcowi, że z każdej sosny boru tego wytryska przed nim postać ukrzyżowanego męża. — Ujrzał mnóstwo ciał, w powietrzu rozpiętych, krwawych, drgających; — coraz ich więcej i więcej. — W widmowym świetle księżycy tłumy ich za tłumami występują tu i tam i ówdzie i dalej jeszcze i dalej, jedne obok drugich, jedne za drugimi aż pod sam widnokrąg się ciągną — cała przestrzeń żywa, głośnie, konająca niemi. — I poznał młodzieniec, że to naród cały w chrystusowej męce rozwieszon nad własną ziemią swą — i łzy zalały mu wzrok. —

\* \* \*

A Cień wtedy: «Nie odwracaj się, ale patrz, choć wstrętno ci! — By zwyciężyć ból, w ból wwiedzieć się trzeba. — Uważaj: w tym lesie niezmiernym pracą umyślną, potężną każda sosna odgałęzniona i przeciosana w krzyż! — Uważaj: każda podparta mogiłą z gruzu — a gruz ten, to żywych niegdyś kościołów i zamków dziś sucha kość! — I uważaj jeszcze: wszędzie między mogiłami jednakie odstępki — krzewów ni darni nigdzie! — Jak skały przebudowują w miasto, bory te przebudowano w jeden cmentarz mąk. — Doskonały kat tylko tak odmierza ból, tak porządkuje śmierć».

\* \* \*

I spozirzał znów młodzieniec i zdało mu się, że widzi po tych wszystkich mogiłach jakoby wstęgi mgły, miesiącem osrebrzonej — a choć wiatru żadnego niema, to podnoszą się, to zniżają naprzemian, jakby cierpiące także i bezspokojne. — I poznał młodzieniec, że to szeregi niewiast i dzieci, w białych szatach pod krzyżami stojące. — I widać było ręce ich, wyciągnięte ku wierchołkom drzew, gdyby mnóstwo skrzydeł białych, chcących, a nie mogących wzlecieć — i z niemocy opadały na dół — a wtedy wszczynala się drżąca, modlitwiana pieśń, którą pochłaniał płacz.

\* \* \*

A krew kapie i kapie z góry na te tłumy śnieżne — i przelewa się przez nie — i ścieka pomiędzy mogiły; — a stamtąd słychać jakoby strumieni wzbierających szum. — I znów zdało się młodzieńcowi, że go Widmo upomina: »Nie odwracaj się od tych topniejących mnóstw i od tych czerwonych potoków! — Teraz idzie na wszystkie ukrzyżowane śmiertelny, przepływny dreszcz — skonać nie mogą, ale muszą konać tak, a ty widzieć to. — Rozkazując, patrz!»

\* \* \*

A nim jeszcze spojrział, już usłyszał jęk z tysiąca tysięcy krzyków, rozgrzmiewający się — i wszystkie drzewa od kończyn równiny zaskrzypiały — i wicher powstał od tyłu głosów rozdzierających i wiał tu i tam. — Wszystkie ciała, jakby jednym bólu podrzutem schwycone, trzęsą się i szarpia, każde na krzyżu swym — i, jakby po piorunie letni deszcz, tak wszędzie krwi gęstsze puściły się strugi. — I zwolna przemija ta burza mąk — stopniami umilka równina — znów na wszystkich krzyżach niewzruszenie, porządnie — wszędzie cicho znów — krwi tylko słychać nieustanny spad.

\* \* \*

I oto przez powietrze przeleciał śmiech, rozrzucający je. — I spojrział młodzieniec w stronę śmiechu tego, pod sobą zaraz; — a tam na czystym polu, przed pierwszym rzędem krzyżów, czernieje kopiec wysoki z samych rozwalin i węgla, jakby ostatek miasta po wielkim pożarze — a z warstw popiołu wyzierają szczątki dział i połamana broń — i snuje się dym siny, opasujący stojącego na tych zgłiszczach olbrzyma.

\* \* \*

I w tej chwili promień księżycy wpłynął nań. — Znać koronę ze stali, jakby plecioną z łańcuchów — znać płaszcz żołnierski, kajdanami podpasan, tylko, że zamiast miecza bicz rzemienny wisi u kajdan tych i aż do stóp mocarza spływa. — A gdy jęk ukrzyżowanych się odezwie, on głowę wyteżę, przysłuchuje się; — a gdy zabrzmi niewieści szloch, on odpowiada nań dłoni poklaskiem. — A cień Danta rzekł: »Doskonały kat! Słuchaj teraz, on ich kusić zacznie!« —

\* \* \*

I zdało się młodzieńcowi, że przechylił się z nad kopca ukoronowany olbrzym i że rękę wyciągnął ku umęczonym mnóstwom, a drugą trzymał na pasie z kajdan i na biczu, jakby na orężu jakim — i wołał: »Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga — uznajcie mnie przeszłością i przyszłością, ojczyzną i Bogiem — a, jakom kazał was powbijać na krzyż, tak każę z krzyża zdjąć! — Tłuszcze me przywołam i zdejmą — i naród szczęśny uczynię z was. — Dam jadła i napoju i wszelkiej obfitości moc. — Będą jeszcze ciała zdrowe, świeże, tyjące z waszych nędżnych, podziurawionych ciał«.

\* \* \*

Ale tłumy ukrzyżowane nie odpowiadały nic — zwykłym nawet nie skarżą się jękiem — krwi tylko wystąpił aż poza pierwsze krzyże szeroki płąd — i, jak balwan morski w brzeg, uderzyła w kopiec, a w bryzgu tym usłyszał młodzieniec jakoby słowo: *nie*. — I śnieżne tłumy niewieście nie odpowiadały nic — tylko, gdy fala od kopca wracała, schyliły się i zerwały z ziemi dzieciątka swe — a całe rzędy dzieci onych, trzymanych w powietrzu, krzyknęły: *nie!* — A ledwo rozległ się ten tysiączny drobnych głosów szmer, wielka się jasność rozleje w przestrzeni — i młodzieniec oczy w górę wzniosł. —

\* \* \*

A tam wysoko, wysoko, na samym szczycie nocnych błękitów, zdawało się, że z ponadniebnych głębi zstępują dwie drogi mleczne, przecinające się z sobą w jeden ogromny, jasno-biały krzyż — i na krzyżu tym widać było rozwieszoną postać, w coraz dolniejsze spływającą przestrzenie, z rozpostartymi nad światem ramionami, których łuk się rozszerzał i olbrzymiał co chwila. — I ujrzał młodzieniec na tem czole nadniebnem koronę cierniową, jakoby z palących się a cichych piorunów — i na tych dłoniach i na stopach tych ujrzał jakoby ran trzy, błyszczących jak trzy czerwone księżycy — i nieustannie z nich lały się jakoby tęcze krwi — i każda tęcza taka, spadając, przekraplała się na roje gwiazd, które rozsypywały się i świeciły po niebie. — I tak w chwale i krwi, ukrzyżowana i stwarzająca, coraz to niżej i niżej spuszczała się postać, rozsloneczniając przestwory pod sobą — aż z dróg mlecznych, które ją niosły, stały się jak dwie bezmierne obręcze ze srebra, od wschodu na zachód i od południa na północ okuwające widnokrąg — aż z krwi płynącej stało się milion gwiazd, jakoby welon gwiazd, który przesłonił jej kształty. — I wzrok ócz jej tylko przebijał, jak dwie żywe błyskawice, które nie rozchodziły się na wszechświat, ale

szły prosto na dół od nieba do ziemi i padały w pełni na ukrzyżowanych las. —

\* \* \*

I w tem spojrzeniu bożem wystąpiły te wszystkie ciała blade i zbroczone i wszystkie te głowy, jakby trupie już, ze zgasłemi oczyma. — I zdało się młodzieńcowi, że widzi naród cały zamordowany, pływający w morzu niebieskiej jasności — i zawołał: »Za późno, za późno!« —

\* \* \*

Wtedy cień Danta, przyklekły na chmurze, wstał i rzekł: »Zaprawdę, zaprawdę, tu czyścić dni teraźniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umęczone — ale nad duszą narodu tego czuwa Najdroższy Utajony sam!« — A gdy młodzieniec płakał i bił się w piersi i ukoić się nie mógł, mistrz dodał: »Nie płacz nad nimi, ale nad tamtymi, nad szarym światem z granitu — bo tam piekło i rozpad i śądny zgon -- a tu ból tylko! — Wszakem powiedział ci: z bólu zmartwychwstaje duch — z podłości tylko zmartwychwstania nie masz!« — A gdy tak mówił, zasuwawała się kurtyna chmur — a równina i las i niebo i wzrok postaci niebieskiej znikwały. —

\* \* \*

Coraz to chłodniej i rzeźwiej i jawniej. — Wieniec, tlejący nad czołem Mistrza, zaczyna się roztopiać. — Młodzieńcowi się zdało, że widzi znów wewnątrz jakiejś kaplicy i pola i góry i wschodzące słońce — i wyciągnął ręce, wołając: »O Mistrzu, Mistrzu, pokaż mi niebo — owo trzecie — na ziemi!« —

\* \* \*



Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem wśród napływającego światła. — Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, skąd przybył. — »Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyścić — ale Duch Pana zamieszkał wam w piersiach — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. — Wiara wzbudźcie je w jaśń — skrzydłem woli świętej wnieście je w górę, wynieście nazewnątrz; — przed sobą, nad sobą, wokół siebie rozwidnokrećcie je Miłości czynem! — Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz baczenie pilnie — żaden doń inny nie powiedzie tor — ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej pychy kłam! — A biada wiekom, jeśli gwałty niebożemi kuś się będą o dóbr bożych łup; — bo do tyła was uszanował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszem zwyciężać Go; — lecz skoroście wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje wzamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. — Czuwajcie więc nad losami planety waszego!«

\* \* \*

I, mdlejąc wśród światła poranku — srebrząc się ostatnim śladem w powietrzu — coraz to szerszemi kręgi — coraz to przejrzystsze — jak wiry wód poruszonych — jak powiewów uciszających się tchnienia — jak sen, co przemija, poszła postać Danta w przestrzeń — w oddal — w blask słońca — poszła w niewidzialność nieskończoności.

KONIEC WSTĘPU.

The first thing I saw when I stepped  
out of the car was a beautiful  
day. The sun was shining brightly  
and the birds were singing. I  
felt like I was in a new world.  
The air was fresh and the  
scenery was amazing. I had  
never seen anything like this  
before. It was like a dream.  
I had heard that the place was  
beautiful, but I didn't know  
it was this good. I was  
in luck. I had found a  
great place to visit. I was  
in the heart of the country.  
The people were friendly and  
the food was delicious. I was  
in a great spot. I was  
in the middle of it all. I was  
in the best of places. I was  
in the heart of the country.  
The people were friendly and  
the food was delicious. I was  
in a great spot. I was  
in the middle of it all. I was  
in the best of places. I was  
in the heart of the country.

I had heard that the place was  
beautiful, but I didn't know  
it was this good. I was  
in luck. I had found a  
great place to visit. I was  
in the heart of the country.  
The people were friendly and  
the food was delicious. I was  
in a great spot. I was  
in the middle of it all. I was  
in the best of places. I was  
in the heart of the country.

THE END

I.

WENECKIE PODZIEMIA.

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY

*(Karnawał na placu Ś-go Marka w Wenecyi — kościół Ś-go Marka i pałac dońów w głębi — mnóstwo masek na placu pod portykami —* MŁODZIENIEC — BANKIER-KSIĄŻE, *wchodzący.*

CHÓR GRECZYNEK. Eulaloe lana! My z Archipelagu uciekły — z seraju baszy pohańca uciekły! Czy widzisz ócz naszych ogniki? Zdejm nam maskę, zdejm! Eulaloe lana!

CHÓR WENECYANEK. Na czarnej gondoli niegdyś patrycyusz i patrycyanka! — Róże, aksamit i perły, miecz, gitara i puginął — wkoło szmery fal!

Po dziś dzień gondola, po dziś dzień róże, po dziś dzień szmery fal — a reszta gdzie? — i sama, pusta, czarna gondola po falach z tą wiązką róż płynie!

CHÓR CYGANEK. Do nas, tu, do nas! Za groszaka przyszłość — za groszaka przeznaczenie — o groszak prosimy cię!

JEDNA Z CYGANEK. Stójże, młody panie!

MŁODZIENIEC. Czemu mnie zatrzymujesz, maseczko?

CYGANKA. Dajże rękę, daj!

MŁODZIENIEC. Chcesz przeczytać mi losy me?

CYGANKA. Co tu pokrzyżowanych ścieżeczek na dłoni tej!

Wszystkiego podostatkiem — miłość — rozpacz — samobójstwo — burze — klęski — szczęście — natchnienie — szal. — Strzeż się kobiet, strzeż!

MŁODZIENIEC. Więc mnie puść, bym dopełnił przestrogi!

BANKIER-KSIĄŻE. Pan Hrabia pewnoś w życiu jeszcze takiego karnawału nie oglądał?

MŁODZIENIEC. Wistocie, nigdy. Co za pstrokaczni tłum,  
co za mruczenie i pisk!

BANKIER-KSIĄŻE. Skorom też list, rekomendujący mi  
Pana Hrabiego od Rotmana i Spółki, prawdziwego króla  
gield europejskich, zawczoraj odebrał — natychmiastem so-  
bie ułożył w myśli służyć sam Panu Hrabiemu za prze-  
wodnika wśród dzisiejszej uroczystości — wszak do-  
brzem uczynił? wszak zabawnie i miło, kochany Hrabio?

MŁODZIENIEC. Co mi tu najmilszem, to, że te błękity bez  
maski, że słońce to bez maski, że taką wonią fijałków  
rzuczanych rozpojone powietrze, że deszczem róż wszystkie  
te poczwary między sobą się biją! A jaki ten kościół tę-  
czano-mozaikowy! a jaką przepaską koronkowych filarów  
ten pałac obwieszony! a to morze dalej jakimże puklerzem  
jednym widnokreśnym ze srebra!

BANKIER-KSIĄŻE. Wejźmy pod same portyki! — Tam  
najwięcej porządných masek. Będę mógł Panu Hrabiemu  
pokażać osoby z tutejszego towarzystwa.

MŁODZIENIEC. Szkoda, że stamtąd ni morza ni tych nie-  
bios nie widać; — ale, kiedy książę chcesz, idźmy!

BANKIER-KSIĄŻE. Musisz Pan Hrabia mieć namiętność do  
malowania krajobrazów, kiedy tak ciągle się zajmujesz  
powietrzem i wodą?

MŁODZIENIEC. Wcale nie. — Lecz wzrok Boga mi z poza  
nich, osobliwie w tych stronach, przebija.

BANKIER-KSIĄŻE. Aha, tylko dlatego! Widzę, drogi Hra-  
bia egzaltacyi pelen — zwyczajnie młodość, wyobraźnia!  
I ja też taki sam byłem, tylko że mi czasu nie starczyło  
do takowych spostrzeżeń. — Musiałem pod ojca okiem  
w biurze siedzieć, do kantorka przykuty, od rana po wie-  
czór — inaczej nigdybyśmy książętami nie byli zostali —  
ale zupełnie taki sam byłem, gdym miał lat osiemnaście.  
Oto jeden z moich agentów mnie szuka — na chwilę  
przepraszam Hrabiego. A co, Petruccio?

AJENT. Stoją metalliki sto dwa i ćwierć.

BANKIER-KSIĄŻE. Wstrzymać się jeszcze, aż dojdą sto trzy — wtedy puścić hurmem!

AJENT. A jak nie postąpią tak wysoko?

BANKIER-KSIĄŻE. Wątp o słońcu, że świeci, ale nigdy nie wątp, gdy ci zapowiadam ruch giełdczany jaki -- za godzin dwie będą sto trzy!

AJENT. Ale, Jaśnie Oświecony Książę, gdy wszystkie odrazu rzucim na targ, to mówią, że dom Pignatelli i Merecz ucierpi znacznie — może upadnie —

BANKIER-KSIĄŻE. Właśnie dlatego — właśnie dlatego — ruszaj!

*(do młodzieńca)*

To bardzo niedoświadczony jeszcze, nowo wzięty do mojej buchhalteryi pisarz — lecz się wyształci. I ja taki byłem, zupełnie taki sam, gdym miał lat osiemnaście. Czy widzisz, drogi, tego Arlekina?

MŁODZIENIEC. Widzę.

BANKIER-KSIĄŻE. Najpoufalszy mój przyjaciel, prawdziwy przyjaciel. Markiz, grand hiszpański pierwszego rzędu, kawaler runa złotego, kommandor Moncenigo, najstarszy szlachcic z całej Wenecyi.

MŁODZIENIEC. Z tym pół-łokciowym nosem, z temi brzęczącemi szmaty i tym czarnym z tyłu ogonem?

BANKIER-KSIĄŻE. Tak, ten sam, ten sam! Jak się masz, Moncenigo? Zaraz cię pod maską poznałem. A to, to przyjaciel mój, Hrabia z Polski, zarekomendowany mi zawczoraj przez Rotmana i Spółkę — zapoznajcie się, panowie! Przepraszam cię, drogi Hrabio, takie imię twe słowiańskie trudne, że nie mogę... Lecz już nas minął Moncenigo — poleciał za tą dziewczyną w różowym domino — na drugi raz zapoznanie. — Prawda, jaki piękny i gibki mężczyzna! — Przewybornie mu w tym stroju półdyablim, półarlekinowym!

MŁODZIEK. U nas w Polsce, gdyby się tak przebrał, powiedziano, że...

BANKIER-KSIĄŻE. Że co?

MŁODZIEK. Ot, na ustach mi się rozplęknęło —

BANKIER-KSIĄŻE. Ale powiedz, drogi — ciekawym nader!

MŁODZIEK. Roztopiło się.

BANKIER-KSIĄŻE. Ale proszę cię!

MŁODZIEK. Pozwalasz księżu?

BANKIER-KSIĄŻE. Koniecznie wymagam — zabawnego coś być musi.

MŁODZIEK. Koniecznie każeś pan?

BANKIER-KSIĄŻE. Ale musisz, drogi! Mówże, cóżby powiedziano o najwytworniejszym z naszych elegantów, tak humorystycznie zamaskowanym?

MŁODZIEK. Powiedzieliby, Mości Księżu, że ojców dziarskich znikczemiały syn.

BANKIER-KSIĄŻE. A to czemu? — Nie stracił ani grosza z ich majątku — dotąd wszystko ma!

MŁODZIEK. Powiedzieliby, że dopóki po waszych rynkach chodzą obce najezdźniki przy pałaszach u boku a z pychą na czole, to wam nie za Arlekinów się przebierać, ale w milczeniu wybohaterować się na dawnej Rzeczypospolitej mścicieli.

BANKIER-KSIĄŻE. Rozmaitość obyczajów narodowych! Hrabia i politycznie, widzę, egzaltowany — ja taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście — a tego, tego czy też widzisz, tego mnicha z kosturem i w sandałach? To malarz pierwszy tutejszy — dobry dzień, Arpeggiani! Nie zapomnij obiadu u mnie we środę, punkt o siódmej! — Drogi Hrabio, ja sztuki, uważasz, proteguję ogromnie. Po trzy razy w tydzień zapraszam wszystkich artystów, czy pędzlem, czy muzyką, czy rymami się odznaczają. Cóż chcesz, Hrabio! Gdy się miliony ma, trzeba być wspaniałym. Pieniądz dziś, czem było papieżstwo dawniej. — Więc ma się obowiązki. — Trza też sypnąć



czasem! cha! cha! cha! tak dalece, że ludzie, no, naturalnie pochlebcy, o mnie głoszą, że'm Mecenasem tego miasta, inni, że'm z Medyceuszów rodem chyba. — Może też nasze rodziny kiedyś tam się i powikłały! Cha! cha! cha! — Spójrz się na lewo, Hrabio!

MŁODZIENIEC. Co takiego?

BANKIER-KSIĄŻE. Śród tych dwóch rzędów masek, co się rozstały, najpiękniejsza kobieta z całej Wenecyi idzie naprzeciwko nas!

MŁODZIENIEC. Ta, oparta na rękę onego wysokiego mężczyzny.

BANKIER-KSIĄŻE. Ta sama, w czarnej sukni, bez maski. — Szkoda tylko, niepowetowana szkoda, że od jakiegoś czasu chudnieje wciąż. Przypatrzyć się jej! Per Baccho! oto mi rysy! oto mi oko! oto mi chód! wielkiej damy chód!

MŁODZIENIEC. Wistocie, coś królewskiego...

BANKIER-KSIĄŻE. A co?

MŁODZIENIEC. Kolana moje proszą się mnie, bym przykląkł. —

BANKIER-KSIĄŻE. Drogi Hrabio, bledniesz — czy słabo ci?

MŁODZIENIEC. Nie, nie! — o, słuchaj! Chciałbym w tej chwili być tą wiązką fijalków, co w twojem rękę — wziąłbyś mnie i rzucił pod stopy te!

BANKIER-KSIĄŻE. Widzę, żeś Pan Hrabia egzaltowany i co do kobiet. — Taki sam zupełnie byłem, gdym miał lat osiemnaście. — Zatem obowiązuję się kochanego Hrabiego zapoznać z księżną. — Lecz teraz nie sposób, gdyż, znać, śpieszy się, a potem, książę z nią — a to pan całą gębą i, mówiąc między nami, to — to...

MŁODZIENIEC. Przeszła! tak przeszła, jak sen!

BANKIER-KSIĄŻE. Jakżeż to powiedzieć? — to — to człowiek niezmiernie poważny, przytem niezmiernie grzeczny, ale szczególnym sposobem. Głęboko też rozumny — wielka figura — rozumiesz? nie wiem, jak ci to wytłómaczyć... to straszny człowiek! —

MŁODZIENIEC. Jakto?

BANKIER-KSIĄŻE. Tylko, na miłość Boga, nie powtarzaj nikomu, drogi Hrabio — ja, uważasz, szczerym, otwartym z tobą — boś mi pan Hrabia zarekomendowany przez Rotmana i Spółkę — mówię zatem, czegobym drugiemu nie powiedział, nikomu drugiemu, zarekomendowanemu przez inny dom, mniej kapitałny, nigdy, słowo honoru, nigdy nie powiedział! Ale też za to nie zdradź mnie przed nikim! Czy mi dajesz słowo honoru?

MŁODZIENIEC. Spójrz mi w oczy! Czym do zdrajcy podobny? Zważ przytem, Książę, żeś mi nic nie wykrył, wcale nic, powiedziałeś tylko, że to straszny człowiek. —

BANKIER-KSIĄŻE. Za wiele już i tak! — Chodźmy dalej, nie stójmy tu, nie spoglądaj pan tak za niemi — jeszcze powiedzą, że nie za panią, tylko za panem patrzysz, że jego ruchów pilnujesz! Bóg wie, czego ludzie nie wyklamią!

MŁODZIENIEC. Ale któż to, powiedz mi pan wreście!

BANKIER-KSIĄŻE. Książę Rahoga, bardzo znakomity człowiek. — Rusz się, Hrabio, z miejsca, w zakręt wejźmy ten! —

MŁODZIENIEC. A ona?

BANKIER-KSIĄŻE. Księżna Rahoga, żona jego.

MŁODZIENIEC. Żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE. Tak.

MŁODZIENIEC. Czy pewno żona jego?

BANKIER-KSIĄŻE. A jużciż! Co za pytanie?

MŁODZIENIEC. A więc żona, powiadasz, że żona?

BANKIER-KSIĄŻE. Powiadam, powtarzam, przysięgam, tak, jak że dwadzieścia tysięcy sześćset pięćdziesiąt i jeden Napoleonów w złocie, ni mniej ni więcej, leży w tej chwili w prawej szufladzie szafy mej bankowej. Roztargnionyś pan Hrabia — cóż w tem tak dziwić cię może?

MŁODZIENIEC. Dziwić, nie dziwi — ale boleć, boli!

BANKIER-KSIĄŻE. A to co?

MŁODZIENIEC. Dziwak ze mnie, nie lubię żon! Idźmy da-

lej! Ja już gdzieś tę postać powietrzną spotkałem — ale gdzie, gdzie?

BANKIER-KSIĄŻE. Zapewne w Rosyi, bo Rosyanka.

MŁODZIENIEC. Nie bluźń — nie prawda — być nie może!

BANKIER-KSIĄŻE. Napewno wiem, że ani Włoszka, ani Niemka, ani Angielka, że słowiańskiego jest pochodzenia.

MŁODZIENIEC. Polka być musi!

BANKIER-KSIĄŻE. A może być — podobno tak nawet, niezawodnie! — Tak, masz rację pan Hrabia! — istotnie, przypominam sobie teraz, jak mówiono niedawno, że spadło na nią dziedzictwo jakieś w Polsce, ale w tej Polsce, co to Rosyą jest.

MŁODZIENIEC. Skądżeś więc był sobie Książę wyobraził, że Moskiewka?

BANKIER-KSIĄŻE. Alboż to nie prawie jedno?

MŁODZIENIEC. Tak, jak ateizm i religia jedno — tak, jak dźwięk twoich sztuk złota, a szczerk napoleonowej szabli jedno, mości Książę!

BANKIER-KSIĄŻE. Dla nas, Włochów, niema różnicy. —

MŁODZIENIEC. Ah, powiedzże mi jej imię polskie!

BANKIER-KSIĄŻE. Co tego, to nie potrafię.

MŁODZIENIEC. Chichotania tych masek mnie zarzynają.

Co tylko wiesz, powiedz mi pan o niej!

BANKIER-KSIĄŻE. Opowiadano więc, że dziedzictwo jakieś niespodzianie spadło na nią i to w pobliżu dóbr znacznych, które sam książę posiada także w tamtym kraju — podobno gdzieś niedaleko miasta Odessy. — Nawet przydawano, że książę z tego bardzo zły.

MŁODZIENIEC. Czemuż zły?

BANKIER-KSIĄŻE. Usunąć się z drogi tym pędzącym Mandarynom! — Widzisz, słysząc, że Książę wziął ją bez posagu, choć ze znakomitego domu — zwyczajnie z takiego, co to, uświetnion herbami i chwałą, nie pilnował interesów, nie przejrzał, jak my, finansisci, że tajemnicą, która władnie światem, pieniądz jest. Tak, drogi

Hrabio. Ja się nieraz siebie zapytuję, gdy po nocach się przebudzam, jak Bóg świat stworzył bez pieniędzy. — Musiał mieć kapitał jakiś i sypnął nim! Czyż gwiazdy nie dukaty Jego? Cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC. O księżnie, o księżnie mówmy!

BANKIER-KSIĄŻE. Zatem Książę, który sam posiada ogromne majątki wszędzie, w Austrii, Szląsku, Włoszech i tam, koło Odessy, zły był, że się ona dostała do czegoś własnego. —

MŁODZIENIEC. Nie pojmuję. —

BANKIER-KSIĄŻE. Rzecz jednak arytmetycznie jasna. Wszak majątek przynosi niepodległość, obdarza siłą, rozwija nawet rozum, pamięć, wolę, wyobraźnię. A wszystkie te dary boże w żonach plagami mężom. Miał, miał, na honor, z czego być zły książę! Teraz nią rządzić tak, jak dawniej, już nie sposób — deptać po niej już nie sposób — zamykać na klucz już nie sposób! Znajdzie przecię takich, co wybiją drzwi. Patrz, Hrabio! co to pieniądz znaczy!

MŁODZIENIEC. Alboż ją tak uciskał? męczył? więził?

BANKIER-KSIĄŻE. Ponure rzeczy opowiadają, a można wierzyć, bo zazdrośnik niesłychany i żelazny despota.

MŁODZIENIEC. Chyba ten Rahoga szatanem!

BANKIER-KSIĄŻE. Niedoświadczonyś, Hrabio! — Proszę cię, proszę i zalecam, ciszej mów — imion własnych nie wykrzykuj tak w głos na publicznem miejscu! Zmiłuj się! —

MŁODZIENIEC. Jemu samemu w oczybym powiedział!

BANKIER-KSIĄŻE. Możeby bezpieczniej było, niż za oczy — bo gotówby przebaczyć — tak, gdy mu powtórzą, nie daruje.

MŁODZIENIEC. Alboż tu wszyscy jego krewnymi, przyjaciółmi, sługami?

BANKIER-KSIĄŻE. Nie — ale czemś innem, może.

MŁODZIENIEC. Czemże?

BANKIER-KSIĄŻE. Przedstaw sobie, drogi Hrabio, że u dworu

ma wzięcie nadzwyczajne, niewypowiedzialne! Choć żadne urzędu oznaczonego nie posiada, gdy przychodzi, drzwi cesarskiej sypialni same z siebie odmykają się przed nim — a gdy wychodzi, panuje — wszyscy bledną — wszyscy biegną, gdzie skinie.

MŁODZIENIEC. Lecz tu nigdzie wkoło nas pod maską ni cesarza samego ni dworzan wiedeńskich niema, by, mnie podsłuchawszy, zaraz pobiegli mu donieść. Samych tylko widzę szalonych, zapustami pijanych, skaczących Turków, Indyan, Bogów i poliszynelów.

BANKIER-KSIĄŻE. Nachyl no bliżej ucha, Hrabio! —

MŁODZIENIEC. Słucham.

BANKIER-KSIĄŻE. A szpiegów niema może na tym rynku Świętego Marka?

MŁODZIENIEC. Jakto? Co mówisz? Tej kobiety mąż policyantem?

BANKIER-KSIĄŻE. Któż no bo takie rzeczy przypuszcza? skąd? jak? czym co podobnego powiedział? Ale gdzież tam policyantem! Alboż cesarz naprzykład policyantem? alboż gubernator miasta Wenecyi policyantem? a przecież i cesarz i gubernator czytują sprawozdanie policyi!

MŁODZIENIEC. Więc czemuż ten Rahoga? Raz mi powiedz już, a nie męcz!

BANKIER-KSIĄŻE. Opisać go dokładniej panu Hrabiemu istotnie nie potrafię. — Wie wszystko — trzęsie wielą rzeczami w państwie — i prześliczną żonę ma, z którą pana Hrabiego zapoznać się będę starał. Na kiedy, Hrabio, mam zapowiedzieć cię salonowi jej? bo, jeżeli się nie mylę, jużś zakochany! Cha! cha! cha!

MŁODZIENIEC. Pan ani pojęcia o nas nie masz. — Polska ojczyzna bajecznym ci krajem — nie wiesz, jakie kwiaty uczucia wydaje najrozdeptańsza ziemia Europy, orana le-mieszem klęsk, łzami zroszona pokoleń. Nie domyślisz się nigdy spójni, co łączy jej ziomków. — Acz się nie znają naocznie, skoro Los ich zetknie, wiedzą zaraz o sobie, że

równi i ciż sami bolem bezmiernym. Dość, że Polką ona, bym ja, Polak, na obcej tej ziemi zaraz siostrę w niej wyznał.

**BANKIER-KSIĄŻE.** Broń się, Hrabio, jak chcesz, ja twierdę, żeś zakochany — cha! cha! cha! A dobrze robisz, choć trudna sprawa — dobrze, na honor! Jakaż to kibić! jakie nóżki! bravo! bravissimo! cha! cha! cha!

**MŁODZIENIEC.** Mości książe! muszę cię jeszcze ostrzedz o jednym narodowym obyczaju polskim.

**BANKIER-KSIĄŻE.** O jakimże?

**MŁODZIENIEC.** Polacy byli wesołymi niegdyś, ale dziś sponurzeli w grobie, nie lubią żartów. Za pierwszym tylko razem je znoszą — za drugim przestrzegają — za trzecim zaś albo sami giną, albo ginie żartujący z nich.

**BANKIER-KSIĄŻE.** Ale się nie gniewaj, panie Hrabio, ale się nie gniewaj! Jestem na jego usługi! — Jakżeż — przez taki dom poleconyś mnie, przez Rotmana i Spółkę, dom wszechmocny, gruntowny, wiekuisty! — Anim myślał cię obrażać, panie Hrabio! Dajże mi rękę, daj! — Kiedy zechcesz, zaprowadzę cię do Rahogów — dziś, mów, o dziewiątej, chcesz?

**MŁODZIENIEC.** Dzięki najuniżeńsze księciu składam — odłożmy nieocenioną łaskę księcia na później! Zresztą i sam trafię do nich, jeśli po myśli mi będzie.

**BANKIER-KSIĄŻE.** Tylko rozkaż, drogi — kiedy tylko ci się przyśni, o każdej minucie na twoje-m rozkazy!

**MŁODZIENIEC.** Racz, Książe, pozwolić, byśmy o czem innem mówili! — Widzę, znów ktoś za Księciem goni

**BANKIER-KSIĄŻE.** Drugi mój agent. — A co, Gregorio?

**AJENT.** Przed pół godziny do stu trzech się podniosły — natychmiast wszystkie sprzedaliśmy hurtem. Pignatelli i Maracz dołem — Wasza Ekscellencya górą!

**BANKIER-KSIĄŻE.** Doskonale, Gregorio! Wiedziałem, że stanie się tak. Pignatelli więc i Maracz niezawodnie dołem?

AJENT. Klnę się na wszystkich świętych, co w raju, że dołem!

BANKIER-KSIĄŻE. Jakże mi spać będzie miło tej nocy! — Wracaj do kassy, Gregorio! (*do młodzieńca*) Czemuś tak zasępił się, drogi Hrabio? Przykro mi, prawdziwie przykro! We mnie owszem humor naradza się wyborczy — zdrowie jakieś mi bieży po ciele od stóp do głów. Zapusty, to pyszna zabawa — miasto Wenecya, to najpiękniejsze miasto Włoch! Na honor, Hrabio, że tak jest! Hrabio, bawże się! chodź ze mną do mnie na obiad! — ożywe się — obudź się — odezwiże się!

MŁODZIENIEC. Raczysz książe się na mnie nie gniewać, że go pożegniam. — Dość mi zabawy na dzisiaj. (*Wychodzi*).

BANKIER-KSIĄŻE. Ale proszę cię, drogi mój, zostań! Gdzie się tak śpieszysz, najukochańszy Hrabio? — Już odszedł — czy się wściekł? Jeszczem takiego egzaltowanego nie widział. U tych Polaków siarka i saletra w żyłach miasto krwi — pewno z niego Jakóbin! Ja odrazu człowieka przepatrzę — pewno Jakóbin! Nigdy się nie myłę — pewno Jakóbin, Jakóbin!

(*znika wśród tłumu masek*).

*(Pomieszkanie młodzieńca. — Sala o maurytańskich oknach z wysuniętym krużgankiem — palące się świece na stole — na krużganku ALIGIER — drzwiami w głębi wchodzący JAKÓB).*

ALIGIER. Jakżeż two niebioso dziwne, o Pani! Pędne, wirujące, żywe, a takie spokojne! I ta Wenecya jakżeż dziwna, o Pani! W balsamie promieni miesięcznych taka urodziwa, a taka umarła! Lecz pod tą srebrną niewzruszonością głębie tajemnicze także, a w nich pęd i ruch, tak samo, jak w górze tam. — Ty sam wiesz, o Boże!

JAKÓB. Proszę też Wgo Pana...

ALIGIER. Toś ty, Jakóbie?

JAKÓB. A jużci, Wny Panie!

ALIGIER. Czego chcesz, mój Jakóbie?

JAKÓB. Proszę Wgo Pana, że też to mówią ludzie, iż naród w tych stronach nie taki pocziwy, jak u nas...

ALIGIER. Prawda poniekąd.

JAKÓB. Więc proszę Wgo Pana, bo dobrze już w noc, a Pan Hrabia nie wraca, więc ja się przeląkł i myślę sobie, żeby się nie stało szkody jakiej JWmu Hrabiemu.

ALIGIER. Gdzieś go zapusty zatrzymały — nie lękaj się!

JAKÓB. Boć to zawsze tak, Wny Panie, bieda i bieda!

Gdy weźmie, wychodząc, krócić lub pignąć, już dufa sobie, że i stu rabusiomby poradził — a kiedy czasem ja mówię: »Jasny Panie, weź z sobą Jakóba«, to jak spoj-



rzy na mnie, to aż markotno się robi. A dobry, dobry pan, jeno upór taki w sercu u niego; — żeby przynajmniej w słoneczku się kochał, ale to on, uważałem, Wny Panie, bardzo lubi gwiazdę wszelaką — przytem, skoro pełnia, toć już czekaj a czekaj, a on chodzi po dworze gdzieś i Bóg święty wie, co tam i do kogo czy gada, czy śpiewa coś. Dobrze raz, dobrze drugi, dobrze i setny, ale kiedyś kryska przyjdzie na Matyska, oj, przyjdzie!

ALIGIER. Cyt, czy słyszysz?

JAKÓB. Jakby plusk wiosel.

ALIGIER. Zbliża się odgłos ku zakrętowi kanału.

JAKÓB. Dalby Pan Bóg, żeby to on był!

ALIGIER. Z poza murów wysuwa się gondola.

JAKÓB. Proszę Wgo Pana, czy to J Wny Pan?

ALIGIER. Czekajże — zdaje się, że on — tak — on sam.

JAKÓB. Więc, proszę W-go Pana, pewno stoi i patrzy się w niebo, a nie na tych złodziei, co powożą.

ALIGIER. Nie zgadłeś na dzisiaj, bo właśnie rozmawia z niemi. — Zejdź i świeć mu na wschodach!

JAKÓB. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

(Wychodzi)

ALIGIER. Na wieki wieków, amen! (Do młodzieńca) Podnieś oczy, Henryku, ja tu na ganku!

GŁOS MŁODZIEŃCA z dołu. Widzę, widzę — zaraz! Hej, Jakóbie, bram pałacu nie zamykaj, bo ten wioślarz idzie ze mną na górę i powróci jeszcze!

ALIGIER (zbliża się ku drawiom w głębi — młodzieniec i gondolarys wchodzi). Gdzieżeś tak długo się bawił?

MŁODZIENIEC. Pozwól, niech tylko z tym człowiekiem skończę! Zowiesz się?

GONDOLER. Ambrosio, na waszej Sygnoryi usługi.

MŁODZIENIEC. Gdzie zwykle stoisz z gondolą twą?

AMBROSIO. Tam, gdzie mnie wasza Sygnorya wzięła, u mostu Rialto.

MŁODZIENIEC. I pewno, mówisz, w pałacu Kornerów, gdzieś mi te pyszne filary oglądać kazał po księżycu, mieszka książę?

AMBROSIO. A któż tego nie wie w Wenecyi?

MŁODZIENIEC. Dwaś sfinksy także mi pokazywał koło drzwi bocznych i coś napomknął mi czy o sfinksach, czy o drzwiach tych — już zapomniałem.

AMBROSIO. Miałem zaszczyt mówienia waszej Sygnoryi, że temi drzwiami zwykle księżna w każdą niedzielę zrana wychodzi, by płynąć na mszę do San Giorgio.

MŁODZIENIEC. Tak — prawda — mówiłeś, że książę sam nigdy na mszy nie bywa.

AMBROSIO. Przepraszam waszą Sygnoryą, bo o tem ja nie wiem — zapewne bywać musi, jak każdy prawowierny katolik, tylko, że o innej godzinie; — alem mówił, że z rana w niedzielę każdą tamtemi drzwiami zawsze księżna sama jedna siada do gondoli i do San Giorgio płynie.

MŁODZIENIEC. Być może; o tych sfinksach myślałem i słowa twoje pomieszały mi się. — Wszak jutro niedziela?

AMBROSIO. Niewątpliwie jutro.

MŁODZIENIEC. Niedokładniem obejrzał te sfinksy z porfiru — pyszne już w promieniach miesiąca — cóż dopiero we dnie, gdy się kaźden szczegół rzeźby uwydatni.

AMBROSIO. Przysięgają znawcy, że to dzieło Michała-Anioła samego.

MŁODZIENIEC. Masz za przejażdżkę.

AMBROSIO. Dziesięć razy więcej, niżliśmy się zasłużyli, ja i Beppo, Sygnoryi waszej. — Przez Adryatykę, i Dożowie dawniej nie płacili tak!

MŁODZIENIEC. To za sfinksy — bo, widzisz, i ja trochę artysta. Jutro rano bądź z gondolą tu!

AMBROSIO. Myśmy sługi — wasza Sygnoryo panem.

*(Wychodzi)*

ALIGIER. Stoisz i patrzysz się. — Cóż, Henryku mój, ręki mi nawet nie ściśniesz?

MŁODZIENIEC. Ah, powietrza, powietrza! Chodź na krużganek — mówić, gdzie te świece się palą, nie mogę!

ALIGIER. Otóż i stoim już w pełni niebieskiego światła.

MŁODZIENIEC. Wszak te wstęgi z wód jasnych, te z mostów obręcze, te gondole szparkie, jak strzały, czarne, jak trumny, rozkoszne, jak pośmiertne zbawienie, wszak te błękity, te gwiazdy, żrzenicujące po nich, ten księżyc, taki pałacy mnie, jak słońca wzrok, wszak to wszystko z miłości jest, miłością jest przed wiekami i na wieki? Wszak Bóg, nim stworzył świat, zakochał się w niestworzonym jeszcze — i dlatego stworzony taki precudny? Wszak tak? O Aligier, co mi się dzieje też!

ALIGIER. Ty gorączkę masz!

MŁODZIENIEC. Powiedz mi, gdzie to było, gdzie to mogło być, gdzie ja ją spotkał już? A spotkałem raz, niezawodnie, tak, jakem żyw, spotkałem ją! I tak się męczę — i tak się znoję aż do krwi pamięcią — a nie mogę, nie mogę sobie przypomnieć.

ALIGIER. Ją? kogóż to?

MŁODZIENIEC. Jakto, jeszcze ci ja będę musiał opowiadać? Dziś, tam na rynku Ś-go Marka, z tym nieznośnym Bankierem-księciem idąc, nagle obaczył postać, gdzieś ujrzaną już... Zowią ją imieniem jej męża — jej mąż zwie się Rahoga — a ona Polką! Co? nie widziałeś, żem ją spotkał? To mnie dziwi! Ty mnie tak kochasz, Aligier, a nie uczuleś nic?

ALIGIER. Ah, strzeż się!

MŁODZIENIEC. Czego? Czy tych uniesień niepojętych, co we mnie naradzają się tak, że wszechprzytomności bożej prawie dotykam palcami we wszystkim — ot, nawet w tych tu promieniach, co tak pełzają ku mnie po marmurze tym!

ALIGIER. Rahogi i domu jego się strzeż!

MŁODZIENIEC. Czemu?

ALIGIER. Jeden z najzaciętszych wrogów polskiej Ojczyzny.

MŁODZIENIEC. I ona też? — Więc taki anielski kształt obłądą? Płaszczem ciała promiennym, rzuconym przez Stwórcę na ramiona duchowi nieczystemu, świętokradczyni-Polce, która nienawidzi Polski? Nie może być! — Zaraz mi tu prawdę mów — nie kołysaj mi noża ponad sercem — utop odrazu!

ALIGIER. Czym powiedział co na nią?

MŁODZIENIEC. Ah, jakżeż ty dobry, miłosierny — jaki ty uroczysty i święty w tem świetle miesięcznem; — ja tak cię kochałem zawsze, jak tak cię Kocham! Więc ty przeciwko niej nie świadczysz, tylko przeciwko niemu?

ALIGIER. Przeciwno niemu tylko.

MŁODZIENIEC. Tem lepiej.

ALIGIER. Jakżeż »tem lepiej«, kiedy on mężem jej?

MŁODZIENIEC. Mężem jej a prześladowcą braci jej? Co za mąż? Chyba kat tylko!

ALIGIER. Więc rad jesteś, że on katem jej?

MŁODZIENIEC. Nie — lecz jeśli on katem, to ona ofiarą — zatem ofiarę od kata obronić potrzeba! Cóż tak rękę w piersi wgniótł?

ALIGIER. Chore serce, jak zwykle, mi się przypomina — nie dziw! Bijąc, wszędzie obijało się o ukochanych błąd, o ukochanych szal, o ukochanych zgubę — i w tej chwili, teraz, uderzywszy o ciebie odskakuje ranne błędem, szaleńcem, może zgubą twoją!

MŁODZIENIEC. O, a ja taki szczęśliwy, a ja taki silny się czuję! Zda mi się, gdy spojrzę w tę noc, że tchuby mi wystarczyło na odwiedzenie wszystkich tych światów jednego po drugim — i że na progach samego Boga jeszcze nie padłbym zmęczony. —

ALIGIER. A jednak miasto nieśmiertelnej młodości, zawczesna starość właśnie blizka ciebie!

MŁODZIENIEC. Ja starym kiedykolwiek mógłbym być? Ja?

ALIGIER. Ty, i niezadługo!

MŁODZIENIEC. Skąd? jak? czem?

ALIGIER. Raj, migający w powietrzu, zaprowadzi cię aż do drzwi wroga — przejdiesz przez nie, nie błogosławiąc im — owszem przeklinając je. A to źle tak wchodzić do cudzych bram, gdy jędzą konieczności lub anioł obowiązku nie wypycha nas do nich — i odtąd zaczniesz Duch wędrowną twój.

MŁODZIENIEC. O Aligier — oparty na poręczy granitowej, z głową na rękę, nie chcesz patrzeć na mnie i grube łzy u powiek ci się zawieszają, o Aligier!

ALIGIER. Jakżeż więc, o Panie! — Nigdy synowi człowieka nie wystarczy piękno, tak, jak w łonie Twojem spoczywa! Nieskończoność nie zagasi pragnienia jego — musi zejść do skończoności i szyderską pomyłką ziemię za niebo mieć, nieba właśnie szukając! To, z czego wszystko jest, Ideal, to, w imieniu czego sam zakochuje się we wszystkim, niczem mu! I porzuci Ciebie, niestworzonego Stwórcę, dla stworzenia, co nie tworzy nic! Dopiero w dwojgu ócz śmiertelnych będzie wyczytywał, żeś Ty jest, Ty, coś w każdej z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie, Ty, coś w każdym dziejów powieniu szumiący po ziemi! — Jeden tylko wśród milionów inaczej Cię poznał! Ah, prawda, Panie, on Tobą samym był! — Lecz cóż z nami wszystkimi, jeśli nie dobratnim się Jemu? O Panie! o Panie!

MŁODZIENIEC. To ty pierwszą siwiznę rzucasz mi na serce takim żalem okropnym twym!

ALIGIER. Tobie, człowiecze, we dwójnasób Idealu się dostało! Francuz, Anglik, Niemiec po połowie tylko Boga czują — nie dotykają ran Jego codzien w męczeństwie narodu, nie oglądają cudów żywota Jego codzien w niezłomnej odwadze narodu! — Oto skarb twój! — Co klejnotów w nim, co boleści, co ofiar, co zasług, co wspomnień, co nadziei, co nieśmiertelnych żądz! Nie dosyćże ci? Będziesz mi jeszcze błakał się po manowcach za ognikami — będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwo-

*Polka -  
naród  
wybrany*

*Konflikt miłości ze sprawą.*

skale, w górę, wśród mgły, skarb ten krzyżowy dźwigając i krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie opaść w dół?

MŁODZIENIEC. Ah, tyś widzenia tego nie oglądał! A ja ci mówię, Aligier, że, jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka, jest bezmiarem nieszczęścia, ubranym w nadziejski wdzięk! Nigdy nie podobniejszego do przechodzącej Ojczyzny nie widział!

ALIGIER. Pochlebiaj, przebaczaaj, kłam sobie samemu, dziecię śmiertelne! Zwołuj namiętności i zachcianki swe, jak car bojarów, i niech ci radzą: — »Najjaśniejszy Panie, tak jest« — aż pierś własną poczynisz sobie przedpokojem, pełnym dworzan podłych — i wmówią w ciebie, żeś wielki, gdyś mały — żeś waleczny, gdy mdlejesz — żeś wolny, gdy zstępujesz w opętanie!

MŁODZIENIEC. Skąd gorycz taka?

ALIGIER. Bo mi się zakochujesz w sobie samym, ludząc się, że w drugiej istocie — i tem rozwiązujesz się sam z potęg istoty twej.

MŁODZIENIEC. Jakżeż powiem błyskawicy, co oblała mnie światłem: »Nie świeciłaś mnie«? — czy nie wiesz, że tajemniczo a nieodwołalnie Duchy ciężą ku sobie? — W Bogu się może gdzieś znały i odnajdują się na tym świecie i znów po śmierci gdzieś będą razem. Ty wiesz o tem, lepiej ode mnie wiesz!

ALIGIER. Wiem może — i dlatego właśnie płaczę nad tobą — bo czyś zbadał prawa krążących tych Duchów? — Czy wiesz, jak czasem, spłynawszy do siebie, kometą oderwanym się stają, co przez wieki wieków odbiega od środka i zwiedza otchłanie wszechświata, nim zawrócić zdoła do porzuconego słońca? — Czy wiesz, ile tam Czyśców? a w nich ile przywiązań żałobnych? serc pękających wciąż? grzesznych postaci, porwanych wirami rozpacz, darmo wołających wśród mroku; »Przebacz nam, o Panie!« —

*Konflikt miłości z brogą doskonałości*

MŁODZIENIEC. Ja i stamtądbym ją wyniósł i zaniósł do Boga!

ALIGIER. Mówisz, mówisz, a nie wiesz, o Henryku mój! —

MŁODZIENIEC. Czegożże ty myślisz, że ja pragnę? Oto niech mi przyjaźni świętej da z serca swego trochę — a na toć jedynie, bym mógł nieco ulgi jej przynieść — nie żądam nic innego! — Ah, bo, Aligier, powtarzam, przysięgam ci, nigdy takiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: »Posąg medycejskiej być z niego ma« — a wtem znowu spojrzysz i patrzysz, aż nie kamień grobowy już i pod tą bryłą światła śmierć! — Więc klękaj i módl się i płacz — to ona!

ALIGIER. Nie dotykajże się grobów, kiedy wiesz, że obowiązkiem twoim żyć na to, by rozdawać życie twe braciom twym!

MŁODZIENIEC. A cóż pocznę, kiedy mi się śmierć kochać każe? Nie pycha, nie tryumf, nie połysek, ale ból, czy tu, czy tam, czy w braciach, czy w tej jednej z sióstr moich — zawsze smutek i ból mnie woła, mnie nęci. — Takie przeznaczenie me! Z tymi, co przegrali, grając w losy, wiecziem ja — bo beznadziejni być muszą, bo im potrzeba mnie!

ALIGIER. Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo! Tęskni, skrzydlaci, niepowstrzymani — w lazurowych przestrzeniach, niby człowiecze motyle — każdy z kwiatem swoim, obok niego latającym także; aż kwiat z liści opadł, aż i motyl ze skrzydeł — w dół, żwir, piasek, pył — wtedy zlatują oboje z nadpowietrznych łąk — do prochu proch! Iluż ich widziałem, a wszyscy tak samo!

MŁODZIENIEC. Co ty tak żalobnie tym gwiazdom opowiadasz?

ALIGIER. Dzieje lekkomyślnych.

MŁODZIENIEC. Możeż to być mają? O, nie szydź — daj pokój — powiedz mi lepiej, gdzie to ja ją widział już?

ALIGIER. O, biedny ty!

MŁODZIENIEC. Co?

ALIGIER. Powiedziałem: »O, biedny ty!« —

MŁODZIENIEC. Co mówisz?

ALIGIER. Nie rozumiesz-że już słów moich? — A czy pamiętasz też, com oznajmił ci, gdyśmy z gór zstępowali ku miastu temu?

MŁODZIENIEC. Co?

ALIGIER. I tegoś zapomniał — o ty nielekkomysłny!

MŁODZIENIEC. Nie, nie! Ale w tej chwili duchem całym czegoś szukał, wiesz, tak, jak czasem ucho nuty zatraconej szuka — a nuta nie wraca; — a za nią mimowoli coraz bardziej się odrywa nią, nie będącą, prześladowany słuch. Lecz owszem, wiem o czem mowa — powtórz tylko!

ALIGIER. Pytałem się, czy pamiętasz jeszcze, com ci zapowiadał, gdyśmy z ostatnich gór schodzili w stronę miasta tego?

MŁODZIENIEC. A jakżeżbym nie wiedział? Obiecałeś mi, że mnie wprowadzisz do grona utajonych i tęskniących, w którym się duchu przyszłość wypracowywa.

ALIGIER. Czyś gotów?

MŁODZIENIEC. O każdej godzinie!

ALIGIER. Za trzy dni, o samej północy zaprowadzę ciebie. Wtedy ujrzysz sam na oczy wszystkie dzieje ziemskie — porównasz je z jedną ziemianką — osądzisz, czy się godzi przy nich jeszcze marzyć o niej!

MŁODZIENIEC. Nie mówmy o tem! Daj mi twe błogosławieństwo, jak co wieczór — odejdę!

ALIGIER. Pierwszy raz w życiu łodowato mi w duchu przy tobie.

MŁODZIENIEC. Nie chcesz mi nawet dobrej nocy powiedzieć?



ALIGIER. Coś nad tobą zgubnego bardzo wisi w powietrzkęgu przeznaczeń, kiedy mi tak źle. Słuchaj — wyrzecz się jej — daj mi słowo, że..

MŁODZIENIEC. Przez Boga żywego, nie dam! O Aligier, czyś tyranem? Ja tylko dźwięk głosu jej usłyszeć chcę — nic więcej — i tegoby mi nie wolno było?

ALIGIER. Nic więcej?

MŁODZIENIEC. Sam się przekonasz — wierz mi! — Tylko dźwięk głosu usłyszeć, tylko myśl tej duszy przejąć — nic, nic więcej!

ALIGIER. On wierzy, i głęboko, że nic więcej!

MŁODZIENIEC. I cóżby ci pomogło nawet gwałtem duchowym przegiąć wolę mą? wydrzeć przyrzeczenie? Cóż nada gwałt? — po gwałcie bunt.

ALIGIER. Wiem i to.

MŁODZIENIEC. Kochaj mnie!

ALIGIER. Ponuro mi.

MŁODZIENIEC. O Boże, słowam jeszcze do niej nie wyrzekł, a już tak cierpię za nią!

ALIGIER. Masz, bierz, jak co wieczór, przyjaźni błogosławieństwo! — Nie chcę, byś cierpiał dziś już, ty, co będziesz cierpiał tyle!

MŁODZIENIEC. Ah, dziękuję ci! Daj mi się rzucić w twoje objęcia — tak — niech serce moje na twym chorem bije!

ALIGIER. Strzeż cię Pan, bo nie ustrzeżesz siebie sam, ni ja ustrzegę cię! Strzeż cię Pan! *(odchodzi ku drzwiom w głębi).*

MŁODZIENIEC *(idąc ku przeciwnym drzwiom).* A mozem nie oglądać jej nigdy oczyma — mozem tylko czuć ją gdzieś wkoło siebie, jak opasującą mnie strugę potęgi — aż teraz zoczyłem i zda mi się, że to nie pierwszy raz — a to pierwszy — oczom pierwszy — lecz nie pierwszy wiekuistemu bytowi? — Kto mi powie, gdzie ja z nią zetknęłam się już...?

*metemps...*

(*Ciemnia w podziemiach weneckiego palacu* — MŁODZIENIEC — ALIGIER).

MŁODZIENIEC. Zgasł ostatni błysk księżycy na tych wscho-  
dach — nic już nie widzę — słyszę tylko szum wody nad  
głową. —

ALIGIER. Trzymaj się ręki mojej — jeszcze nam głębiej  
zstąpić trzeba we wnętrzości ziemi!

MŁODZIENIEC. Czyż cię nie męczy ta droga, te wschody  
w gruzach?

ALIGIER. Każden spadek murów tu znam — wiem, gdzie  
stopień każdy sypkim pyłem, wiem, gdzie inne jeszcze  
stoją cało — wnet też się i rozwidni. — Przeskocz tu,  
Henryku — tak — dobrze — teraz powoli i niżej i niżej  
coraz!

MŁODZIENIEC. Dziwnie! Skoroś tylko znikł z powierzchni  
ziemi, zda się, zdrowie ci wróciło — aż Bóg widzi, że te  
czarne przepaści mnie lubemi się stały. — Radbym w nich  
zostać, bylebyś tu żył ze mną razem, długo i bezboleśnie.

ALIGIER. Możebyś niegdyś był się tak dla mnie poświęcił —  
lecz teraz — o nie, nie! — boś już wstąpił w życie, a kto  
dotknął potoku, ten, przerobiony na fale, musi płynąć da-  
lej — ani też, Henryku, takiego poświęcenia potrzeba. Tem  
silny jestem, tem zdrow w tej chwili, że chcę i muszę  
w świat przeczuciów i w świat Ludzkości cię wwieść —  
gdy wrócę rankiem na ziemi powierzchnię, ujrzysz mnie

przy słońcu i znów powiesz: »Odchodzący«. — Lecz teraz nie myśl o tem — natęż ucho — wzrok zaostrz — całym sobą bądź przytomny sobie! — Wschody się kończą — czy widzisz tę kroplę światła w oddali?

MŁODZIENIEC. Jakby zorzę maleńką, co usiłuje wznieść, a nie może.

ALIGIER. Chodźmy!

CHÓR DALEKI. Wy, co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy, co stawiać Teraźniejszość i odkryć Przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości! — Bo, choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wieczny jeden i prawda jedyna. Ona Duszą, a Świat piersią Duszy coraz szerszą, większą — i jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu, tak Ludzkość cała przez wieki. — I jako rozbudzający się rankiem coraz jawniej się widzi i czuje siebie, aż powie: »To ja« — tak i tej ziemi Duch.

MŁODZIENIEC. Idźmy prędej — podsuńmy się bliżej — zorza rośnie a rośnie!

ALIGIER. Słuchaj — znów śpiewają!

CHÓR DALEKI. Każda myśl, poczęta w Bogu, z Wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząstka prawdy, jako córka boża to samo cierpieć musi, co Bóg-Syn przecierpiał wcielony. Objawi się wśród ludzi — opowie nieba część — i męczy się i krzyż swój nosi — i grób swój ma. —

Jedne zginęły przed czasem, jak święte Dziewice — inne w samej pełni sił padły, jak Bohaterzy. — Inne później doczekały trumny w poniżeniu, w nędzy, z wierchołków zeszele do katakumb życia. — Żadna nie skonała w białej szacie, w której zstąpiła na ziemię — żółcią i octem pojone, krwią zbryzgane, zniknęły.

Ale każda zmartwychwstała w następnej — każda z grobu się podniosła w innem, wyższem ciele.

Wy, co chcecie przeczuwać, wspominajcie! Wy, co

stawiać Teraźniejszość i odkryć Przyszłość z jej szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości — bo dopiero tak z tych, co przeminięły, jak z tych, co przyjdą kiedyś, Całość prawdy jest!

MŁODZIENIEC. Coraz światła więcej — skądże ono przybywa? czyż znów sen cudowny mnie chwyta?

ALIGIER. Nie — wprowadźcie wieki, jak sny, przelatywać zaczną, ale już nie wewnątrz, jedno zewnątrz ciebie — podstępuj wciąż!

MŁODZIENIEC. Co za jasność rażąca, południowa! aż skwarno mi! — co za gmachy w oddali! — Coraz mi bliżej do nich i one też, jakby cichym wiatrem niesione, przywiane, zbliżają się do nas. —

ALIGIER. Poznajesz je?

MŁODZIENIEC. Nigdy ich nie widział. —

ALIGIER. Czyż Ludzkość, na której łonie wzrosłeś, nie dała ci wieków pamięci? Czyż oczyma jej Ducha, we-tkniętymi w duszę twą, nie możesz poznać kształtów, które na tym planecie istniały przed tysiącami lat?

MŁODZIENIEC. Przypomniałem, pamiętam! — ot, nadpo-wietrzne ogrody, a tam wystrzelone ku niebu gwiazdar-nie — tu znów świątynia olbrzymia, krużgankami okrę-Babiloncona — jakiż kryształ wód! — gdyby palące zwiercia-dła! — jaka kwiatów moc — wszędzie palmy — to Eu-fratowy brzeg! — to Babilon!

ALIGIER. Czy widzisz tych w szkarłacie?

MŁODZIENIEC. Zgromadzonych u stóp wieży tej? — Zło-tem kapią im na głowach tyjary — gwiazdami zasiane ich szaty. — To chaldejskich wieszczbiarzów ród!

ALIGIER. Słuchaj, słuchaj!

CHOR CHALDEJCZYKÓW. O czasie bez miary i granic, o światło niewzruszone, spokojne, wszystkich światel Pra-ojcze, jakże daleko, daleko do ciebie! — Twój pierwo-rodny Ormuzd i twój młodszy, zbuntowany Aryman wie-cznie walczą wszędzie, pasując się czy w barwach tęczy,

czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłynąć ku tobie — i niższe ludzkie my porwać chcieli z ciemności ku Słońcu, ku Ormuzda błoniom! — A teraz, czuję, nasza siła znika — a teraz, czytamy, napisano planetami na niebie, że przyjdzie Zdobywca, dzięki Pan, ot, przyjdzie! — Jada na wozach — jada i konno — ciągną pieszo, a zwycięzcy wszyscy — słabiej nasza Myśl — przeinaczy się nasza Cześć — o, czemuż umieramy, kiedyśmy syny światła?

CHÓR DALEKI. Ale nie światłem samem. —

CHÓR CHALDEJCZYKÓW, Zoroaster, zesłannik Ormuzda, obiecał, że Ormuzd zwycięży kiedyś — i że sam Aryman, w ogniu pokuty przetrawion, wróci na łono Wszechświatła. — Lecz nas nie będzie już wtedy — nie będzie i jutro już! Daremno więc, daremno, o święta Jasności, my chcieli się wyzwolić, wyczyścić, wypłynąć ku Tobie!

CHÓR DALEKI. By żyć dalej, wprzód się przelać, wprzód się przewcielić, wprzód wam umrzeć trzeba!

MŁODZIENIEC. Co się dzieje z nimi, Aligier? Błyskawica ogromna, podobna do spadającej wieczności, oblała ich i mury i bramy i rzekę tę — wszystko, wszystko pożarła — jakżeż ciemno znów!

ALIGIER. Stój na miejscu, na tem samem, wciąż — wnet inny rozświecił się wiek!

MŁODZIENIEC. Ten trzechstrunny, jednostajny dźwięk boli mnie — któż tak nam przegrywa?

ALIGIER. Na prawo spójrz!

MŁODZIENIEC. Za każdym dźwiękiem skądś ponury promień wytryska. — Niewidzialny księżyc gdzieś wszedł i podnosi się — już trzech piramid wierzchołki tleją nad pustynią — pod lasem obelisków czarny sfinksów tłum — wszak to Memnon tam w głębi ponad światłem siedzi?

ALIGIER. Zważaj na bramę wielkiej piramidy!

MŁODZIENIEC. Pełno mar z niej wychodzi i siada każda na granitowym grobie.

CHOR EGIPSKICH KAPŁANÓW. U nas przechowana Tajemnica tajemnic. — My pierwsi poznali Ciebie, któremu na imię: »Był i jest i będzie«. Jak fale pod skałą, tak Czas i przestrzeń mącą się u stóp Twoich — a na tych mętach dobry Ozyrys, zły Tyfon i smętna Arneryda ścigają za sobą — ich tylko widzą oczy śmiertelnych, a Ciebie nie!

Czemuż, o nieskończony Ty, wymykasz się nam? Zwolna my chcieli zepsute plemię wiecznej prawdy nauczyć — zwolna Duszę odpętać od ciała, by poszła radosna w niebieską ojczyznę. — Wszak my zachowali trupy, wszystkie trupy nasze, by lud przywykał do nieśmiertelności!

Czemuż więc teraz przybytek wstrząśniony, przed czasem z niego wylana nauka? Z ogromu Piramid, z Labiryntu skrętów Ty odchodzisz od nas ku innym strodom — kędy słońce zachodzi, tam potęga Twoja się przenosi — tam zawieszysz nad weselszemi ludy — a my tu w goryczy wyschniem, my, najstarsze syny Twoje!

CHÓR DALEKI. Ale nie jedyne ni ostatnie.

CHÓR EGIPSKICH KAPŁANÓW. O, czemuż konamy, kiedy czujem, żeśmy zesłańcami Boga?

CHÓR DALEKI. Ale nie Bogiem samym — On jeden tylko nie umiera, by odżyć!

MŁODZIENIEC. Jaśn księżycowa wzrasta, wzrasta — a ich podchwyciły groby te i z grobami wraz zapadają w głąb — Cóż to za jęk ogromny, taki dźwięczny, czysty?

ALIGIER. Wschodzące słońce drasnęło Memnona!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Z egipskich ciemnic, o Myśli ludzka, poniesiem cię w róż, myrtów i błękitów kraj. Tam, gdzie Zeus pokonał Tyfona — gdzie wąż potwór legł pod strzałami Słońca — gdzie na pianie morskiej Afrodyty kołysana postać — tam, gdzie na wzgórzach Pallady posągi.

Zwiń się, płowa pustynio, uciekajcie, piramidy, schyl-

x słoneczność Hellenizmu

cie się, obeliski, przed pierwszą prawdziwą pięknoscią! Tu mądrość — tu Harmonia — tu wdzięczna Psyche odszuka Erosa.

MŁODZIENIEC. O, jakże ślicznie, ślicznie przemienia się wszystko! — Brzeg taki zielony — takie lazurowe morze — skały w tunikach z winnic — upoję się rozlaną wonią w powietrzu!

ALIGIER. Widzisz, wprost przed nami coś się śnieży, coś kształci. — Światło pracuje i buduje gmach — już na greckim wzgórzu wybłyska świątynia z marmuru paryjskiego, niepokalana Eleuzis!

MŁODZIENIEC. Brzęk lyr i cytar z niej słychać — a teraz Hymny wzniosły się. —

ALIGIER. Powoli zapelnia się dziedziniec.

MŁODZIENIEC. Z pod kolumn, z za gajów, z za posągów wychodzą przecudne postaci.

ALIGIER. Oto Hierofant tajemnic, ten w białych szatach, z sierpem złotym w ręku.

MŁODZIENIEC. A ten, ten?

ALIGIER. Który?

MŁODZIENIEC. Ten najpiękniejszy z nich wszystkich, ten szerokopierśny, wyniosły, podobny nieco do Chrystusa.

ALIGIER. Boski Platon.

MŁODZIENIEC. Tak mówiło mi serce. —

CHÓR ELEUZYJSKI. Duszo, zablakana w cielesności matniach, Dziewico, opuszczona na dalekich brzegach, oczyszczaj się, oczyszczaj i wzdychaj i tęsknij, a wrócisz do świata pierwowzorów, do Ojca twego i do matki Eimarmeny!

Patrz z za opony zmysłów, w którąś się oblokła, patrz, jako niebo to błękitne a ziemia ta kwiecista — z każdej fali odbłyśków tysiąc — z każdego promienia barw mnóstwo — z jednego Boga bogów miryady rodzą się co chwila!

HIEROFANT. I te wszystkie bogi ziemskie, to siły tylko niebieskiego Boga!

CHOR ELEUZYJSKI. I ziemia i niebo i gwiazdy pełne sił,  
piękne, rytmiczne, żyjące — czemże?

HIEROFANT. Cieniem tylko — odbiciem tylko Idealu.

CHÓR ELEUZYJSKI. Kochaj więc, o Duszo, Ideal nad  
miarę!

GŁOS PLATONA. Kochaj niezrównaną miłością i spłoń  
w tej miłości! Tam, u Niepoczętego nigdy, tam dopiero  
pięknie, nieśmiertelnie, miarowo! Znaj się — i, znając,  
wzniesź motyle skrzydła; poniosą cię one do domu —  
a dom twój, rodzinny dom, to pierś boża, ludna wielkim  
ludem, ideami Wieczności!

CHÓR ELEUZYJSKI. Choć wiarę nam przynosisz i dajesz  
nadzieję, czemuż nam tak smętno?

GŁOS PLATONA. Bo dotąd nie macie Miłości!

CHÓR ELEUZYJSKI. Czemuż nam zaczyna się marzyć  
o końcu blizkim? Jak posąg Fidyaszowy z kości słoni-  
wej i złota, pryśnie Grecya nasza — i odłamki jej leżeć  
będą w popiele i w prochu.

HIEROFANT. Cel wasz, o dusze, nie na ziemi tej.

CHÓR ELEUZYJSKI. Szkoda nam jednak, o, szkoda hel-  
leńskiej ojczyzny — i widomych świątyń — i śpiewnych  
igrzysk — i marzonych bogów — marzonych tak cudnie!

GŁOS PLATONA. Ujrzeć i kochać i rozłączyć się — znów  
pokochać i rozłączyć się znowu — to doczesna próba  
dusz, aż wieczne ukochają wiecznie.

CHÓR ELEUZYJSKI. Nie zjawił się taki, co poratuje nas?  
Śmiertelnemi oczyma Miłości, której brak nam dotąd, nie  
ujrzemyż nigdy? Czyż z nią dopiero na Eteru spotkamy  
się bloniacz!

CHÓR DALEKI. Bądźcie dobrej myśli, o biedni! — Na  
falach czasu Pożądaniec wieków już zbliża się do was.

MŁODZIENIEC. A teraz co? — te same wody — ale inny  
brzeg, inne wyżyny — jaskiń pełno — nigdzie śladu lu-  
dzi — tam wysoko cedry — tu, w dole, z włosiem długim  
daktylowe drzewa. — Nad zmierzchającymi wzgórzami



szczyt jakiś płonie purpurą i złotem. — Słońce musi z tamtej strony zatapiać się w morzu. — Aligier, cóż to za pustelnicy wschodzą temi ścieżki? — wszyscy, wszyscy idą na szczyt ten.

ALIGIER. To pierwsi zakonnicy Karmelu — ileż to razy witali i żegnali słońce z tych wierzchołków — ileż razy psalmem na tej puszczy modlili się Panu, Pana przeczuwając — i takie z lnu cienkiego szaty nosili, o, takie! — i w rękę Harfy lekkie mieli, te same, te!

MŁODZIEŃCIEC. Mówisz, jakgdybyś na tych górach ich był widział sam.

ALIGIER. A teraz świat już nie wie o Esseńczykach — o tych, co tak wyglądali zwycięstwa Duszy nad zmysłów potęgą! Ty pytasz, kto oni? — Zapomnieni zawsze ci, którzy zapowiadają. — Pamiętano tylko dopełniony Czyn!

CHÓR ESSEŃCZYKÓW. Ojciec nieznany, od obliczności świata, od pychy gnijącej my uciekli do Ciebie.

Bo Duch Twój nad przepaścią mórz — a gdzie milczy pustynia, tam mówisz Ty!

Wodą źródeł czystych plamę grzechu zmywamy ze skroni. Bogaczy i ubogich między nami niemasz — wszyscy my równi — wszyscy my bracia — wszyscy my syny Twoje.

Zmiłuj się! — jako te brzegi w mroku, tak lud nasz i wszystkie inne poblady, zsiniały od brudu i kału.

Zeszlij Myśl czystą! niech wewnętrznym żarem przepali i zniszczy ciało wszelkie — niech odrzuci je, jak popiołu garść — prorokom widny niegdyś Chrystus Twój niech zstąpi!

MŁODZIEŃCIEC. Przyklękli — jednym krzykiem w niebo wszystkie zadźwiękły Harfy.

ALIGIER. I ty przyklęknij a patrz!

MŁODZIEŃCIEC. Nic nie widzę innego — nawet już ich widma stopiły się z nocą i brzęk strun omdlewa też.

ALIGIER. Przyklęknij, mówię ci!

MŁODZIENIEC. Teraz już nie widzę nic — tylko czuję  
twoją rękę na ramieniu — czemu gniewasz mnie tak?  
Czy i ty kłękasz?

ALIGIER. Jak w oną godzinę, której powtórzenie się zbliża.  
MŁODZIENIEC. Jakto?

ALIGIER. Nie pytaj — tylko patrz! — A co? — obaczyłeś?

MŁODZIENIEC. Ah, kraj szaty tylko, znikający gdzieś  
w górze, w tem świetle bezmiernem — ah, stóp dwoje  
tylko, jak dwie gołębie śnieżne, wniebowstępujące!

ALIGIER. A teraz spójrz na dół!

MŁODZIENIEC. Oczy moje poleciały za tej szaty błęki-  
tem — ócz nie mam — przyłóż mi rękę do powiek!

ALIGIER. Grobu tego nie widzisz?

MŁODZIENIEC. Dzięki ci — przejrzałem. — O, piękne,  
śliczne Anioły, co przy grobie tym!

ALIGIER. A tam za niemi ta win pełna, a z win zbawiona  
przez Miłość, ta tęskniąca, ta czujna, ta siostra siostr, co  
pierwsza lice Jego ujrzała po śmierci!

MŁODZIENIEC. Kwiaty jakieś, niby to lilie, niby to kon-  
walie w jej ręku. Jak westchnienie przesunęła się.

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Płynący, bez-  
przerwny Czas rozstał się. — Z jednej strony dni prze-  
szłe — wszystkie przyszłe z drugiej — a pośrodku nich  
Słowo wcielone — widomy Pan, Słup wiecznej jasności!

Syonie świętoszku, rozpustnico Grecyo i ciemieżco  
Rzymie, gdzie wy? Darmoście plemię ludzkie zatrzymać —  
darmo przepsuć — darmo zabić chcieli — nie zginęło! —  
Syn człowieczy skonał, zmartwychwstał Syn boży!

Odtąd żaden lud, co stał się Narodem, nie umiera na  
ziemi.

Odtąd żaden człowiek, co stał się Duchem, nie umrze  
w grobie. — Hosanna! Hosanna!

CHÓR DALEKI. Duszą i ciałem i Duchem potrójny a je-  
den, objawion Bóg — a niegdyś był Duszą jednemu  
plemieniu! — On stał się ciałem jednego Kościoła —

On Duchem będzie nad jedną Ludzkością! — Hosanna!  
Hosanna! —

MŁODZIENIEC. Już grób chrystusowy mdleje, już rozwiewają się te cudne, anielskie postaci.

ALIGIER. Weź mnie za rękę, byś się nie potknął wśród ciemności!

MŁODZIENIEC. O, gdzie ta szata w białym ogniu? gdzie te stopy? — teraz tak czarno znów!

ALIGIER. W tem miejscu zniżyć się zaczyna sklepienie — schyl się!

MŁODZIENIEC. Gdzież idziem?

ALIGIER. W chrześcijański świat, w drugą Dziejów część, do innych prób Ludzkości.

GŁOSY NADPOWIETRZNE. Na skale Piotra kościół budują dniem i nocą.

INNE GŁOSY. Wieki, jak dni — przez dni siedem budovali go, a ósmego opanował świat.

INNE. Bo żywe Słowo — Mądrość i Miłość — były w nim — Duch Święty w nim!

MŁODZIENIEC. Gdzież te głosy lecą?

ALIGIER. Przed nami lecą, dokąd i my śpieszym. — Teraz podnieść się możesz, tu już nie brak przestrzeni.

MŁODZIENIEC. Słyszę jakoby szelest stóp wielu, gromadzących się tam, gdzieś, gdzieś daleko, naprzeciwko nas.

ALIGIER. Nie zwodzi cię słuch. —

MŁODZIENIEC. Żeby światła choć trochę!

ALIGIER. Licz kroków jeszcze dziesięć — i stań!

CHÓR DALEKI. Jak z tysiąc, rozkołysanych myśli opatrna Rada, jak z mnóstwa żądz młodzieńczych wielki, męski Czyn — tak z zamętu ucisków i prześladowań, ze zgiełku marzeń i wątpliń i kacerstw wzniosła się Piotra moc. — On pierwszym, najstarszym sługą sług chrystusowych na ziemi.

Pod jego stopami królów korony i czoła — w kolebce, jego prawicą kołysanej, Narody-dzieciątka.

I rośnie sam Ciałem, deptając po Ciele!

— I stało się! — Oblókl się w szkarłat! — Zwiemożniał! — Zrzymianiał się! — I oto już teraz zacznie się jęk ludzki skarżyć nań. Więc słuchajcie i patrzcie, wy, co Teraźniejszość znać chcecie i Przyszłość odkryć z jej szczytów!

MŁODZIEK. Jaki widok! — aż strach, Aligier!

ALIGIER. Tak, nie inaczej, tak za dni Albigensów wyglądały prowaukie równiny!

MŁODZIEK. Stada kruków w tem lazurówem powietrzu! — Śród tych oliwnych drzew wszędzie trupy — trupy — a tam dalej zwęglone stosy i czaszki i dymu ostatek!

ALIGIER. Wnet i żyjących obaczysz. —

MŁODZIEK. W głębi tej jaskini, zda mi się, błysnęły gromnice.

ALIGIER. Zwykle takim pochodem ciągnęli kacerze — tak, z wnętrzości ziemi występując, światło dnia witali.

MŁODZIEK. Jakie wyschłe, ponure twarze — kaptury — habity — każdy z mieczem i pugiuałem — straszi!

ALIGIER. Masz ich prześladowane obrzędy: stają półokregiem — spowiada się jeden drugiemu — tamci znów ręce sobie nakładają i wzywają Ducha w milczeniu

MŁODZIEK. Ale jakżeż pogrzebnie, jakby raz ostatni!

GŁOS RYCERZA. Lecę od wielkiej rzezi — koń mój pada już i ja z nim padnę też — okrążyli was rzymscy — nim dzień się skończy, koniec wam! — Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS NIEWIEŚCI. Dziecię u piersi i pierś, katolicką przeszło mi strzałą — nie dowlokę się już do was. — Bracia, do widzenia gdzieś!

GŁOS STARCA. Czterech synów mi wczoraj spłonęło na stosie — Duch z nimi, Duch z wami! — Noc całą szedłem — usiadę, by umrzeć. — Do widzenia gdzieś!

KILKA GŁOSÓW. Kiedyż Paraklet obiecany przyjdzie?

CHOR ALBIGENSÓW. Dla nas dziś, bo umrzmę dziś,  
a świata kiedy? Jeden Ojciec w niebiesiech i Syn tylko  
wiedzą!

KILKA GŁOSÓW. Więc już nam nie mieć jutra żadnego  
na ziemi?

CHÓR ALBIGENSÓW. Po lochach kajdany, na rusztowa-  
niu topór — oto jutro nasze! Odchodząc, przekrzywione  
słowo Chrystusa zostawiamy Rzymowi — połączył się  
Rzym z przemocą okrutnych i świeckich i będzie gnębił  
po świecku, aż sam zgnębion będzie.

KILKA GŁOSÓW. Chrystus porównał sługi i pany, męża  
i niewiasty, a kościół ukamienował nas, żeśmy chcieli  
być wolni i równi!

CHÓR ALBIGENSÓW. Puchar niedopity życia wysuwa się  
z rąk naszych — inne usta ku niemu się nachylą. O Tem-  
plaryusze, w ręce wasze składamy go — przejmijcie go  
od nas! — Wy obalicie niesprawiedliwość i gwałt — wy  
doczekacie się Ducha!

KILKA GŁOSÓW. Czemuż opuściłeś nas, Panie? Wszak  
my prawe syny Twe, a dajesz zwycięstwo pasierbom!

CHÓR DALEKI. Na ziemi Sierotą, a nie Synem Pana, kto  
żąda zawczasie, bo ten nie zna przedwiecznej Mądrości!

Lecz zaprawdę pasierbem Pana, kto rzezią zawczesne  
morduje westchnienia, bo ten nie zna przedwiecznej Mi-  
łości.

MŁODZIENIEC. Jakież jęki, jęków tysiące — zewsząd na-  
stępują jeźdźcy z kopiami — tratuja i żną ludzi, jak  
kłosy! — Czemu mnie trzymasz, Aligier? — na obronę  
im — na obronę! Po hełmach książęce, hrabiowskie ko-  
rony — i krzyż — miły Jezu, krzyż Twój! Jezus Marya!  
krzyż wszędzie i pod nim wszędzie ludzka krew! Stamtąd  
wieniec pożarów już równinę oplomienił — przysuwa się —  
ścieśnia — dym zamglewa mi oczy — dym już, tylko dym,  
jak kurtyna, przede mną — a za nią zgrzytanie, płacz  
i psalmów kilka i ot, ten jeszcze krzyk!

ALIGIER. To było, a nie jest!

MŁODZIENIEC. Co? — gdzie? — magnetyczna siła jakaś mnie obwiodła i nęka — myśl zaczyna mi się psuć. — Wszystko, co widzę, takie na jawie, tak żyje życiem, tak umiera śmiercią!

ALIGIER. Człowiecze, czyż nawet obrazu znieść nie potrafisz, kiedy rzeczywistość znieśli bliźni twoi kiedyś? — To krew idealna, a już bledniejesz?

MŁODZIENIEC. Bo cudza, nie moja.

ALIGIER. Obróć się ku mnie — już niema prowanckiej równiny — patrz, więzienie tylko i lamp kilka grobowych — i Mistrz wielki, skazany — i bracia, co za nim pójdą na stos!

MŁODZIENIEC. Ileż mi się razy dziecku śnił na białych tych płaszczach czerwony krzyż ten — i potępiony zakon kochałem za to, że potępiony.

ALIGIER. A teraz słuchaj słów, które starzec wyrzekł w samą wigilią śmierci — powtórzy je zaraz ten siwy kształt jego!

MŁODZIENIEC. Ten, ten, co się przechadza wśród okutych i milczących?

ALIGIER. Widzisz, zatrzymał się i wznosił ręce w kajdanach — oto mówić będzie.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Templariusze, syny i bracia! Wszak świętym był pomysł i święty z niego miał wytrysnąć Czyn? Od morza do morza, od wschodu na zachód jedna Rzeczpospolita, a w niej Królestwo boże na ziemi! Jako ja wam, i wy mnie świadczcie w ostatniej godzinie!

Wszak nie na błąd was wiodłem; a choć pomrzecie, nie oszukałem was! Wszak my byli, wszak my żyli tam, gdzie urodził się Pan i w powiewie wiatrów nad oliwnem wzgórzem my słyszeli głos Jego?

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. I jasną nocą, koło Golgoty przechodząc, widzieli postać Jego.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Nie ukrzyżowaną.

CHOR TEMPLARYUSZÓW. Z gwiazdami u dłoni, z gwiazdami na stopach płynącą w powietrzu.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. A choć nie mówiła do nas słowem, słyszeliśmy Ją, myśl Jej słyszeliśmy — i wiemy odtąd, że nie tyło człowiek jeden — nie tyło zbiór ludzi — nie tyło naród i narodów kilka, aleć wszystkie, wszystkie razem, toć Kościół powszechny!

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. Wiemy i świadczym. — Jednać owczarnia być ma i musi: Ludzkość — i jeden-ci pasterz: panujący Bóg.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. A dziś co? Papież i Król, Król i Papież, jak dwa miecze bolesne w sercu jednym, w sercu świata! — Wszystko rozdarte, co spojonem być winno. — Za grobem niebo wydzielone ucieczką nieszczęśliwym — obecny czas żywem nieszczęściem uczynion — niebo i ziemia odgraniczone na wieki. Tam woła Pana. — Tu woła Papieży i Króli!

CHOR TEMPLARYUSZÓW. A jako na niebie i na ziemi jedna tylko jest!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen. Lecz my nie ujrzymy tego — nam czas się pochylić i w popiół rozsypać a nieśmiertelnymi być. O, szkoda na wieki! Wszystko w pogotowiu czekało — Europa z tęsknoty i nadziei drżała! Bracia, w ręce rycerzy, co zostaną na ziemi, a już zwać się, jak my, nie będą, w ręce wiernych braci, w ręce Różokrzyżowców oddajmy puhar niedopity Życia!

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. W ręce ich oddajem go.

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen. *Gloria Deo in excelsis!*

CHÓR TEMPLARYUSZÓW. Niech wyzwolą ciało wszelkie — proch marny niech im zadrga życiem — kruszec niech się każdy prześlaca im w rękę — potęgą cudu wewnętrzny z zewnętrznym niech pogodzą świat! Niech Duch im pocieszycielem będzie, im i wszystkim na ziemi!

GŁOS WIELKIEGO MISTRZA. Amen.

ALIGIER. Noc ich owiała — czas ich pochłoniął — za czasem w pogoń, Henryku — za mną, za mną, dalej!

MŁODZIENIEC. Wszystkich przemian ból, wszystkich zgonów żal razem spada na nas tej nocy.

ALIGIER. Kto nie umarł wszystkimi zgonami, nie zmartwychwstał wszystkimi zorzami Ludzkości, kto nie dorównał cierpieniem jej cierpieniom i statkiem jej wytrwania, ten nie obaczy od wieków zgotowanego dla niej Welsa. — Kiedy ci mówię, chodź!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Ponad wiekami lecim i patrzymy i płaczem. O biada, biada! Rozpadło się słowo boże! — Kościół w opokę stwardniał, a Ducha ludzkiego morze milionem fal skacze ku niej — to odpływa wstecz — to przehucza mimo. — Opoka tu, a fale tam!

O biada, biada! Europejski Gmach trzęsie się — nie wyrósł na katedrę ni też wybudował się cesarskim Pałacem — napoły księży i napoły świecki, nie dociągnion do niebios ni doparty do wnętrzości ziemi, on runąć ma — a co gwałtu, co rozdarcia i bólu i smętku i wojen!

O biada, biada! Król czy kapłan, czy gmin, kaźden w dniu zwycięstwa bezmiłosierny! — Probuja się — i na przemiany jeden tratuje po drugim. Coraz mniej Chrystusa w świecie — mniej Ducha żywego!

CHÓR DALEKI. Dziecię dom opuszcza, gdy w niem lata zakipia młodzieńcze. — Mąż dopiero kiedyś powraca do domu. — I z Ludzkością tak — a jej domem Bóg!

MŁODZIENIEC. Wszak możemy stanąć? — Przecież tam światło się już pokazuje i pewno śmierć czyjaś się rozpoczyna.

ALIGIER. Nie smętnij mi tak!

MŁODZIENIEC. Duch ochotny, ale ciało mdłe.

ALIGIER. Ten tylko Duchem, Henryku mój, kto zarówno duszę jak ciało swe umie nawlec na Wolę swą — oto jak giętką rękawiczkę na dłoń.



MŁODZIENIEC. Znów inne, inne upiory stają mi przed oczyma — ni wiem, przed jakjemi: czy ciała, czy duszy — zda się, widzę — i nie widzę znów!

ALIGIER. A ja mówię ci, że widzisz. —

MŁODZIENIEC. Witam was, kragłe kapelusze i czarne płaszcze, z pod których długi miecz się wymyka! Witam was, kuźnie i miechy i tygle i młoty! To wy, syny Templaryuszów, Alchemicy, Czarnoksiężniki, coście ziemię nurtowali, aż runął tron Sztuartów!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Ciało, jeśli nie od Boga, a jest, więc samo Bogiem — a jeśli od Boga, więc bożem być musi — i, jako Pana twór, żyje i wzdycha do Pana. Pokój ciału wszelkiemu — długo przeklęte i uciśkane, ono wznieść się chce, ono rozblysnąć w złoto, rozkwitnąć w różę Alchemii.

— Wolność i natchnienie, oto prawa nasze! — Natura, oto siostra nasza żyjąca, urodziwa. — Jak Chrystus nas, tak my ją odkupim, i wyszlachetnieje w miłości naszej. — Pokój jej i ciału wszelkiemu!

CHÓR MISTRZÓW. Jeszcze nie czas, nie czas!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. A my już starzy, już strawieni pracą!

CHÓR MISTRZÓW. Wprzód jarzmo, gdziekolwiek cięży, prysnąć musi — czy z dusz na ciało, czy z ciała na dusze — w Kościele — w Państwie — w Ludzkości!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Nadaremno więc my ufali wam — gasną wszystkie ognie nasze nagle — w żużlach nigdzie nie znalazło się złota — perzyny tylko wiją się w powietrzu — i my, jak one, rozwiewamy się! O Mistrze, wyście nam kłamcami byli!

CHÓR MISTRZÓW. Świętąśmy prawdę opowiadali!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Alboż w Domu wiecznym już przez Merkura księżyc w jedno połączon ze słońcem? Gdzież kamień mądrości? gdzie Umarłych wskrzeszony Cień?

CHÓR MISTRZÓW. Póki królestwa bożego niemasz, póki nie zstąpił Duch, póty Cudu nie będzie, póty Natura i ślepa i głucha. Więc gotujcie ścieżki Duchowi, starajcie się o Sprawiedliwość na ziemi! Przetwarzajcie społeczny skład! Dobądźcie mieczów i ostrzcie sztylety!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. O biada nam! — pomrzem, a nie obaczym końca! Kwiat wszelki i złoto wszelkie nie dla nas, nie dla nas! Jako przodki nasze, ci wielcy, ci umęczeni, od których idziem, i my nie dopijem pucharu żywota!

CHÓR MISTRZÓW. Inni was zastąpią, jeśliście małej wiary i skrzepłego ramienia. Teraz łać krew i własną i cudzą potrzeba — teraz rządy kruszyć i głowy królewskie zdejmować z nad karku europejskich ludów — teraz Kościół nowemi rozdzierać bólami, by uczuł, że żyje i ocknął się! — Inny wiek, inny trud — naprzód więc!

MŁODZIENIEC. O biedne, blade mary! Dobyły mieczów, a wyleciały im z rąk — schylają się, padły na ziemię, rękoma wiążą stopy Mistrzów. O, nic nie pomoże, gdy czyja minęła godzina!

CHÓR MISTRZÓW. Widzicie sami, proch już tylko, sypki proch z was! Nie opierajcie się — nie zwlekajcie! — Wymówcie z własnej woli słowo, które przelewa z przeszłości siłę Tajemnic na przyszłość!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. W czyjeż, czyjeż ręce oddać trzeba puchar życia?

CHÓR MISTRZÓW. W ręce Braci Mularzy oddajcie go!

CHÓR RÓŻOKRZYŻOWCÓW. Amen. — Niech przyspieszą królestwo lat tysiąca — niech im u końca zawodu z serc nie wymknie się wiara i nadzieja, jak nam!

MŁODZIENIEC. Straszne konanie!

ALIGIER. Zwątpienie i śmierć to najwyższa próba Duchów — ostatnia, która przez nie zwyciężoną będzie! Gdyby jej nie było, o całe niebo zmniejszałaby zasługa ich — a bez zasługi, bez trudu jakżeż stać się sobą samym? jakżeż nieśmiertelnym być?

MŁODZIENIEC. Mistrze odeszli — a oni leżą rozciągnięni —  
ognie ich dogasają nad ciałami ich. Gdzieś, pomnę, Kar-  
tuzów widziałem tak pokładłych na posadzce kościoła  
wielkiego.

ALIGIER. Pokój umarłym — idźmy w stronę, kędy Mistrze  
poszli — nie odwracaj się — już tam tylko ciemności!

MŁODZIENIEC. Mnie umarłych żal.

ALIGIER. O dziecię! Umarłych, których zostawiłeś z tyłu,  
jeśli odnaleźć chcesz, to nigdy się nie oglądaj, ale owszem,  
patrz naprzód! Patrz przed się, a już oni tam przero-  
dzeni, żywi, na błoniach przyszłości!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Nad wiekami  
lecim i patrzym i płaczem.

Rozdzieliła się Dusza świata, Kościół się rozdzielił,  
a wszędzie, czy w Rzymie czy w Augsburgu, Dusza po-  
kłoniła się Ciału — Kościół pokłonił się Królowi! A Ciało  
świata w jednego Ducha nie zlewa się z Duszą. — Spy-  
szniało — chce samem sobą żyć — porosło w sto głów,  
w sto koron — król tu i owdzie — król wszędzie! —  
Imię Europy, to król!

Podwalinami ich tronów głowy bohatyrskie ścięte —  
i każdy z tych Bogów ziemskich zapomniał o niebieskim,  
że wszechobecny — a że córką Jego Ludzkość — a że  
jej synami Narodowie i że syny ku matce iść muszą, aż  
ją odnajdą i u stóp jej poleżą w radości!

O narody, o wy, światła na ziemi, gaśnięcie, gaśnię-  
cie! Ze zwłok waszych marne zlepiają się mocarstwa,  
trupy, ruszane iskrą galwaniczną Rządów.

I wszędzie Gwałt — i wszędzie Mus — i wszędzie  
Bunt!

CHÓR DALEKI. Patrzcie i zważajcie! — Od krzyża, na  
którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni i rzewnijesz-  
ej męki nie było na planecie tym. Tam Bóg zamordowan  
w Człowieku — tu Ludzkość w Narodzie! Ale ufajcie, bo  
nieskończoną Zbrodnię odkupić musi nieskończone Dobro!

Z Męki bez granic w jednym, wstać musi Życie bez miary we wszystkich.

MŁODZIENIEC. Na Boga, na Boga, zewsząd, z góry, z dołu, z boków wytryskują lampy i wieszają się po ścianach — wszędzie czarne obicia, przesłony, srebrne orły wszędzie — i zgłęb sztandarów karmazynowych — i kiry przejrzyste, latające w powietrzu. Czyż to pogrzeb? Czy wszystkich na świecie tym?

ALIGIER. Zaprawdę, że Człowieczeństwa.

MŁODZIENIEC. I rozstąpiła się ziemia — i wznosi się z przepaści katafalk — jakiż wysoki, wielki — a zakryte na nim Ciało!

ALIGIER. Ci trzej, co wstępują zwolna po wschodach katafalku, oni oderwą całun — i ujrzysz.

MŁODZIENIEC. Jakby karłów trzech drze się do tej ogromnej Postaci. Cóż to oni mają w ręku?

ALIGIER. Berła — ale, miasto krzyża, zakończone bagnetem.

MŁODZIENIEC. A na głowie jakieś bardzo duże perły i korałe?

ALIGIER. Tak — skrzepłe łyzy i krew ludzką.

MŁODZIENIEC. Już dochodzą.

ALIGIER. Odrywają — patrz!

MŁODZIENIEC. Archaniół w dalmatyce białej z własnych skrzydeł od ramion po stopy. Umarły Archaniół, o Boże! — i skrzydła, spięte na piersiach trzema rękojeściami trzech mieczów, wbitych, jak trzy wielkie krzyże, w pierś!

ALIGIER. I to Imię ponad nim, napisane krwią świetlaną w powietrzu!

MŁODZIENIEC. Ah! — chciałbym ustami dotknąć się tej tęczy z krwi! — muszę coś pocałować — muszę — choćby ziemię przed tem Imieniem!

ALIGIER. Podnieś się!

MŁODZIENIEC. Nie — chcę krzyżem leżeć — to mój, mój Archaniół, i ja wiem, że on nie umarł — trupy takim światłem nie zieją wokoło. — On śpi tylko! — przezeń

Bóg do mnie mówi i mówić będzie. — Ja z niego — ja cząstką tej bożej Piękności — tej świętości — tej sprawiedliwości i bólu! — To Ojciec mój i Matka moja — to moje wszystko! — Czemu mi nie dajesz spocząć w prochu? — nie zrywaj mnie tak!

CHÓR KARLÓW. Zakryć znów całunem! zakryć i zakryć, bo oddycha! — a póki oddycha, porządku nie będzie — pokoju nie będzie — nie zeżniem naszego żniwa i na snopach z ciał ludzkich nie zaśniem.

MŁODZIENIEC. Ani na chwilę jedną nie zaśniecie nigdy, ni tu na ziemi, ni tam w grobie. Nieśmiertelności przez zgryzotę i hańbę, jako inni bywają przez wesele i chwałę!

ALIGIER. Widzisz, jak drżą i trzęsą się?

MŁODZIENIEC. I znów mi zakryli dobro moje, kształt mój wszechpiękny!

ALIGIER. Tyś wstał, a oni poupadali i tarzają się w prochu.

CHÓR KARLÓW. Kiedyż, kiedyż przestanie serce bić w tej piersi, pod temi ostrzami trzema? Co chwila berły naszemi, jak młotem, przybijamy te rękojeści, a to serce je zawsze odpycha — i te skrzydła takie niepokalane, choć my je krwi potokami obleli. Co to znaczy? Miałożby być prawdą, że Duch czyjś, a nie ślepy Los rządzi światem tym?

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Nieprawdą! — Nieprawdą! — ni wiercie — ni marzcie! Jest tylko Ciało czujące i przypadkowy Traf i Odmęt. — O Bogu myśl, to gorączka ciał — a mądrość ciał, to rachuba, to porządek, to władza na ziemi. Ze śmierci wielu żywot kilku jest. A ci kilku żyją, bo zabić umieją. Zabić, to owdądnać zamęt!

CHÓR KARLÓW. Nazad spokój zstępuje nam w piersi.

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Światło z niebios, o najprzeirzystsze, najczystsze, spłyn zewsząd i, jak fale niosą, unieś, o, unieś Tego, który śpi do czasu!

MŁODZIENIEC. Niech się przyczepię do tych mar! niech

mnie ten potop światłości zabierze ze Świętym moim razem! O Aligier, puść mnie!

CHÓR DALEKI. Od dnia śmierci Sprawiedliwego nie spocznie europejski świat, aż sam sprawiedliwym się stanie. Jak człowiek, któremu by wydarto serce, tak będą wszystkie narody bez tego narodu. Żyją, a wiecznie im życia brak. Są i nie są, bo nie mogą według bożej Myśli być. — I lud każdy w rozpacz będzie — i król każdy w przeżeniu — i trząść się musi ziemia pod krokami ich, a oni zataczają się po niej, pijani sumienia wyrzutem!

MŁODZIENIEC. A ci trzej gdzie?

ALIGIER. Nie światło ich zabrało — gdzieś musiały ciemności!

MŁODZIENIEC. Czemuż żaden piorun ich nie rozgniół?

ALIGIER. Gdyby zaraz zginęli, nie podkopaliby sami własnego dzieła i ono puścizną po nichby zostało w świecie. Żli muszą być samobójcami własnego Złego! Na toć to, na to dni im przedłuża Pan, szydząc z nich, a miłosierny nam!

A teraz inni nadchodzą. — Słyszysz te dzikie wrzaski? Inni, nienawistni im, a wzbudzeni przez nich i równi im, bo światło, co świeci każdemu, Chrystus zgasł także w ich duszach. — Uważaj!

MŁODZIENIEC. Jakież mnóstwo! jakież rozmaity strój!

ALIGIER. Ci pierwsi, z wzniesionemi szpadami w stalowe sklepienie, to Ucznie i Czeladniki — a Majstry mularze, widzisz? z tyłu idą, niosąc Biblią, węgielnicę i cyrkle.

MŁODZIENIEC. A owi w kapłańskich szatach?

ALIGIER. Należą do stopnia Wybranych.

MŁODZIENIEC. A ci znów, z trupią głową i kośćmi i krzyżem na piersiach?

ALIGIER. Kawalery szkockie.

MŁODZIENIEC. Czyż to znów inni, ci kilku, ci ostatni, w płaszczach, co od krwi kapać się zdają?

ALIGIER. Najwyżsi Mistrze Illuminaci — a nazwisko ich: Odrodzeni.

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY. *Mak benak!* ciało odpada od kości! *Mak benak!* Zwycięstwo lub śmierć! *Mak benak!* Wolność i równość!

CHÓR ODRODZONYCH. Zbliża się wyroczna godzina. Strach ogarnie kulę ziemską — rozedrze się w starej świątyni spróchniała zasłona. Przysięgacież nam na wierność do śmierci?

CHÓRY INNE WSZYSTKIE. Przysięgliśmy, przysięgamy, przysiężem!

CHÓR ODRODZONYCH. Dzisiaj nienawiści trzeba; praca nienawiści, to nienawidzonych zguba! Bez litości będziecież ich gubić?

CHÓRY INNE. Będziemy.

CHÓR ODRODZONYCH. Wieki marzyły o duszy, a nie zdziały nic. — Zaczniemy od ciała! — Nieskończony Ucisk tłoczy je.

CHÓRY INNE. Ciało, ciało wyjarzmiajmy wszelkie!

CHÓR ODRODZONYCH. Co w niebie, o tem nie wiemy nic — co na ziemi, to widzimy, to czujemy, to cierpimy, to nas pożera i usychamy. By przepis chrystusowy mógł się urzeczywistnić, mniej dbajmy o tych, co noszą chrystusowy znak! To kłamcy, to szalbierze! Ich obalić, ich zatracić, a zacność moralna wcieli się już nie w usta kilku, ale w rozsądek wszystkich.

CHÓR WYBRANYCH. Rozsądek, to Ludzkości obiecany, jedyny Król!

CHÓR ODRODZONYCH. Przed nami więc idźcie przewodem! — My wami kieruję, wy losami ludów — kto z nami, ten nasz — z tym filantropicznie! — kto przeciwko nam, ten nie człowiek! — Z nim, jak ze zwierzem — kuć go i wiązać i wodzić i biczować — a wręście i zarznąć, jeśli zarznąć trzeba!

Teraz oto istna pora zapasów — miękkich włókien w sercu nie mieć! Tron, to deski i klej — Ołtarz, wapno i gruz!

CHÓR WSZYSTKICH MULARZY. *Mak benak!* Szkielet tylko zostanie nagi z europejskiego społeczeństwa — a my nowem mięsem i nową nawleczem go skórą — na ruinach wybudujem...

CHÓR ODRODZONYCH. O tem milczeć! — o tem my jedni wiemy! By stanąć mógł Salomona kościół, nasamprzód dawne gmachy zrzucić trzeba.

CHÓR MULARZY. Zrzucajmy, zrzucajmy! Naprzód — naprzód!

ALIGIER. Idźmy za tym orszakiem!

MŁODZIENIEC. Wszak już blisko nam do nas samych?

ALIGIER. Ot, tam, tam na końcu, w tych mgłach, wiszących za temi rzędami lamp, dni już nasze się kołyszają — ale od nich dzieli nas jeszcze potop klęsk i olbrzymi jeden Duch.

MŁODZIENIEC. Czyż koniecznie musimy przejść przez to morze krwi i łez?

ALIGIER. Ni serca przystaniem ni rozumu — ale stopami musimy — ale oczyma musimy. — Nie wzdragaj się!

MŁODZIENIEC. Wszak się nie mylę — to Gilotyny? — W miarę, jak ciągnie orszak, z obu stron się podnoszą — ulica z Gilotyn! jaka długa — długa! — wszystkie w ruch się wprawiają — tu, tam i znów tu i znów tam i ówdzie noże lyskają, spadają! Z pod każdej błyskawicy głowa leci jedna. — Ileż nożów! — ileż głów ściętych! — niepodobna przejść!

ALIGIER. Oprzyj się na mnie!

MŁODZIENIEC. A ci dalej kroczą — zaczynają śpiewać!

ALIGIER. Pamiętasz? — dusza, gdy się rozWSTRĘNI do ciała, ucieka na Tebaidę, wycofuje się od społeczeństwa ludzi, ah! nie żyjąc w innych, płacze nad sobą i więdnie! — a teraz patrz, czem ciało, gdy się oderwie od duszy, jak wścieka się i morduje! Tam i tu pełnej Miłości brak — Tam samobójstwo, a tu zabójcza rzeź!

MŁODZIENIEC. Samobójców od zabójców wolę.



ALIGIER. O, Duchów przekładaj żywych — bo pora ciał i pora dusz minie, a Ducha uderzy godzina! — Tamte były tylko przedchwilami tej.

MŁODZIENIEC. Rozkaż — uproś, by mi te głowy do stóp nie leciały tak — choć każda rozemdlewa się, jak sen, źle mi, źle mi bardzo, o Aligier!

ALIGIER. Iść musim, iść musim przez królestwo zbuntowanych ciał — póki nie przejdiesz, ja cię nie poratuję. — O, wstrzęsły się posady świata. — Wieków cierpienia nagromadzały się powoli i cicho, aż buchnęły wulkanem! Raz tak było — musiało być — ale, o Boże Panie, o Wszechduchu Duchów, wszak nigdy się już nie powtórzy tak zwierzęcy dzień i zbrodnia takowa?

MŁODZIENIEC. Mdło mi — mdło! Co za ohydne larwy! co za katów posępny rząd! każdy przy swojej pracowni! — i te kosze zbroczone, pełne — i te sine kadłuby — i ludu bałwany pstre, huczące z boków — co siekier, dzid, pałaszy! — a ten orszak zawsze taki sam, śpiewny taki, świąteczny taki! — idą, idą coraz dalej — sypnęli teraz kwiatami wśród tego motłochu i trupów tych!

ALIGIER. Zbierz myśli — uważaj, jaki wyraz na tych wszystkich twarzach!

MŁODZIENIEC. Strach na ich czołach kipi! Strach z ich włosów się wyjeża! Strach z ich krwi pluska! Wszędzie Strach, jeden wielmożny Strach tylko! O, wstyd wieczny wam, żeście się mniej lękali Zabójstwa lub Śmierci, niż Strachu! Jedne tylko te noże nie drżą i nie bledną! — Podnoszą się i spadają zawsze równo! — ah, jakie czerwone, kapiące, bryzgające — o Boże mój! o Boże mój!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Biada dniom onym! — W imieniu Boga królowie jedną z Myśli świętych Boga, Naród wśród Ludzkości żywy, rozćwiertowali — a teraz w imieniu Człowieka lud zarzyna króle i kapłany i wszelką władzę ludzką! — O biada, biada!

MŁODZIENIEC. Dzięki wam, nadpowietrzni! Teraz przejdę

tą ulicą z rusztowań i nie upadnę — Bliższych mi ojców i braci zabito — ukochańszych Duchów straciłem! — co mi do ludzi tych? — przecież w grobie i Archaniół mój! CHÓR MULARZY. O Odrodzeni! o Mistrze najwyżsi! Niema już komu i niema już kogo zabijać! Od pracy rumianej ręce opadły robotnikom i z nich każdy położył się na rusztowaniu swem. — Czy słyszycie nad szmerem spływającej krwi ciężkie chrapanie katów?

CHÓR ODRODZONYCH. Idźcie dalej!

CHÓR MULARZY. Gdzie? — nie wiemy. — Dwie ostatnie Gilotyny tu stoją, a za nimi Ciemności! —

CHÓR ODRODZONYCH. Dalej — zawsze dalej!

CHÓR MULARZY. Nic się nie naprawiło dotąd ni dla ciała, ni dla duszy — pusto i smutno — para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje naokoło nas — ślepiemy!

CHÓR ODRODZONYCH. Nie wszczynaj się tam choć jedna ścieżeczka? Nie błyszczysz przed wami choć jedno światło?

CHÓR MULARZY. Nic nie widzimy — tylko coraz ciemniej i wokoło nas i w nas samych!

CHÓR ODRODZONYCH. Budźcie śpiących! Budźcie robotników!

CHÓR MULARZY. Nikt się nie przebudza! Umarli bez głów leżą, jak drewna i głazy — żywi tak samo w letargu; co pocniemy? co? — Za nami Śmierć głucha, przed nami Nieurodzonego Coś, jakoby Nicestwo! Gdzie wy nas zagнали? gdzie my jesteśmy? czem my? gdzie Bóg? gdzie ziemia? gdzie niebo? Czyż wszystko tylko Snem, pełnym złości i bólu?

CHÓR ODRODZONYCH. Nie płaczcie jak niemowlęta! — nie rozciągajcie się w cieniu rusztowań po bruku! Stójcie na nogach! Stójcie przez chwilę jeszcze!

CHÓR MULARZY. *Mak benak!* I nam już ciało odpada od kości! *Mak benak!* I my spocząć chcemy — choćby oprzeć głowy o głowy ścięte i pokotem leżeć z trupami a zasnąć!

A wy bądźcie przeklęci, bo zdolacie śmierć roznosić, jak Bóg, ale, jak Bóg czyni, nie umiecie ani wskrzeszać, ani tworzyć! Przekleństwo wam, nie mogącym nic!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSOW. Oto zmiłuje się miłosierny Pan! — Wstańcie, wszystkie myśli Umarłych! wszystkie sny Śpiących, gromadźcie się! Wszystkie tęsknoty pokolenia tego, wy niedosze, wy przerwane, wy, coście pragnęły, a nie podolały, zerwijcie się i krąćcie nad krwi morzem tem!

MŁODZIENIEC. Czyż Sąd ostateczny się zaczyna? Ezechiel! — wraca mi widzenie?

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSOW. Krąćcie i zmięszajcie się — umiarkujcie się i przeniknijcie nawzajem — aż staniecie się duszą jedną i Wolą jedną i Czynem!

MŁODZIENIEC. Z głów tych, z tych piersi, z ciał tych wszystkich coś wyblyska — co chwila wzbija się i wiruje — to tli, to zagasa. — Jak ptaki nocne, polatują jakieś mnóstwa w powietrzu — słyhać szum, a nie widać skrzydeł.

ALIGIER. Tak, na tej ziemi jeszcze serca tych, którzy zniknęli, odżywają i przelewają się w innych. Toć pierwsze Zmartwychwstanie — a wtóre dopiero na dniu ostatnim Człowieczeństwa, kiedy każdy znów o sobie powie: — „To Ja!” —

MŁODZIENIEC. Gdzie Gilotyny? gdzie czerwone kałuże? gdzie lud ten cały, co leżał na dole? Wszystko w górę wyparowało, jak w dzień letni po burzy — a w górze niby iskry przewiewne, niby perzyny, wyziewy, orkany, niby elektryczne, wężujące nurty! Gdzie my się dostali? — jakież to nadpowieltrzny świat?

ALIGIER. Alboż nie widzisz, co się dzieje? jak z żywiołów tych jedna Siła i kształt jeden promienisty się tworzy?

MŁODZIENIEC. Coś takiego, coś takiego!

ALIGIER. Coraz wyraźniej! — Nie poznajesz-że już postaci tej?

MŁODZIENIEC. Na tle odmętu on jeden, on jeden — taki całki — taki jasny — z orłów złotych, rozskrzydlonych żywy namiot ponad głową! — Uśmiech jakoby dobroci na ustach, a grom, zda się, wyskoczy ze skroni! — To Cesarz! — to Napoleon!

ALIGIER. To dusza Napoleona, w świecie dziejów ludzkich — jedna, a wieki zawierająca — jedna, a wszystka — Idea z milionów myśli, drgająca, wcielona! — a teraz Pan jej powie: — »Idź naprzód!« — i nic i nikt jej nie wstrzyma — i pójdzie — i drogę dalszą znajdzie wśród ciemności!

CHÓR NADPOWIETRZNYCH GŁOSÓW. Kto mu równy z tych, co przemijali dotąd? Wszystko, co kiedykolwiek istniało w rozdziele, danem mu w spójni przedziwnej — i ciało Pół-bogów dawnych, niestrudzone, bezsenne, urodziwe — i dusza chrześcijańska bezdenna, a tęskna i rzeźbna — i Duch twórczy czasu i przestrzeni, magnetyczny Pan!

Wszystkie losy ludzkie w nim jednym się zbiegną! — Wszystkie trudy i tryumfy — potęgi i klęski — wesela i nieszczęścia! Jak świat z niczego, prosto z Boga stworzon, tak i on wśród ludzi z niczego zjawi się i wzniesie! Bohatyrem będzie, jak grecki Aleksander — Imperatorem tak, jak rzymski Cezar — Męczennikiem, jak Święty z pierwszych chrystusowych wiosen! I umrze, jak Mojżesz, sam jeden w obliczu Pana, umrze, prorokując o woli Pańskiej nad dniami przyszłemi człowieczego rodu.

MŁODZIENIEC. W słup ognisty skrzącemi skrzydły związały się orły — otoczyły go — palą się i kręcą — on z wiru tego wyciągnął rękę i, porwany, leci. — Miecz w ręce tej, jak płomień — Nicość się rozświećla — przestrzeń błękitnieje — znów w dole postaci ludzkie kształcą się, wyrastają, kupią. Widnokrag coraz nieskończonejszy przed nim!

ALIGIER. Nie przed nim — bo on musi się rozwiać, ale przed temi tłumami, których on na chwilę Pasterzem!

MŁODZIENIEC. Co za organów ofbrzymich śpiew?

ALIGIER. Słyszysz grzmoty bitew jego, przemienione w Harmonię wspomnieniem.

MŁODZIENIEC. Co za czarne tam roje, czy warstwy takie niewzruszone?

ALIGIER. Widzisz, że w miarę,, jak się Postać zbliża do nich, one zaczynają świecić się i ruszać?

MŁODZIENIEC. Prawda — jak żywe mielizny — i krzyki z nich się wzbijają — i błysk stali z nich tryska — rąk tysiące, tysiące widzę podnoszących się!

ALIGIER. Nie zasnęłyż były narody? Nie zasklepiłyż się były, jak gąsienice, one myśli boże w Europie?

MŁODZIENIEC. Z góry, ramionami, jakby magnetyzował je, przechodząc — jedne idą za nim — drugie zrywają się przeciwko niemu!

ALIGIER. Wszystkich, tych czy tamtych, on Wskrzesicielem. Odtąd ni króle ni ludy już władzy nie dzierżą — ale Narodowości i Ludzkość, a w imieniu Pana!

MŁODZIENIEC. Patrz, patrz! I on już blednie, choć coraz dalej leci — i on już blednie — już skręca się na dół! — Podbieżmy za nim!

ALIGIER. Nie dogonim tej postaci — przeżyty jej czas, odbyty jej trud — i Wieczność ją woła!

MŁODZIENIEC. Wirujące orły odpadają! Jak słońce nagie, sam pozostał — i zapada coraz niżej — niżej — huki i wrzawy cichną. Widnokrąg zamierzcha znów — Noc już teraz i milczenie — cóż dalej?

ALIGIER. My, bo chwila nasza uderza. Dosłuchaj tylko jednej zwrotki jeszcze!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Wyjrzyjcie z wnętrzości ziemi, wy, coście do nas się schronili, gdy Tytan zmiatał was, jak śmiecie, z nad europejskich niw! — Czas wam powrócić do dawnych dziedzin — śpieszcie się nazad, o, śpieszcie!

ALIGIER. Przypatrz się tylko, co za kształty jadą na tych trzech koniach, całe okłamione purpurą i szychem!

MŁODZIENIEC. Korony wysokie — długie berła, okręcone różdżką oliwną — płaszcze niżej strzemion, aż po ziemię się wloką!

ALIGIER. Teraz przeciągają blisko — wnurz oczy w nich!

MŁODZIENIEC. Ci sami trzej — tylko się nadęli, wspięli, rozdlużyli — obrzydliwe karły!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Nie jawnym już gwałtem, ale skrytym a wiecznym pracujecie — Święty pokój ogłoście — świętym skojarzcie się sojuszem! — Wszystko, co z was, niech zwie się święte! — święte! — święte!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Usłuchajcie prawdy — a może jeszcze dorośnięcie miary człowieczego wzrostu! Jedziecie na wielką naradę. — Bądźcie sprawiedliwi!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Sprawiedliwości pokostem niesprawiedliwość umalujecie wszelką!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Jeśliście chcieli zabić to, co nieśmiertelnem, wyznajcie winę! — Nie dobijajcie, ale wróćcie Życie!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Udawać, udawać, że się wskrzesza zabitych — że się żałuje morderstwa!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Jako Chrystus kazał, bądźcie pierwszymi sługami Narodów, a nie pójdziecie w pogardę!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Tuczcie ludzi na karmne bydło — a sami wtedy tłuste szyje oddadzą w jarzmo wam!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Stańcie się Budownikami Woli bożej na planecie tym — w każdym kształcie społecznym uwidomcie wiarę — nadzieję — miłość!

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Dyplomacją — Policją — Żandarmeryą!

MŁODZIENIEC. Zatrzymali konie — podali sobie ręce — słuchają.

ALIGIER. I przysięgają sobie.

MŁODZIEK. Tak cicho, że nie słychać.

ALIGIER. Gdyby na złość i rozum i cnotę, toby głośno przysięgali.

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW. Ot, tak — dobrze tak — a teraz ruszajcie — lećcie, jak strzały zatrute — a dalej — a dalej!

CHÓR NADPOWIELTRZNYCH GŁOSÓW. Daremno! — Wężowego splotu rąk tych trzech żadna nie rozwiąże przestroga! — Ślub nierozwalnym — lecz zaślubieni pogina.

MŁODZIEK. Pogina! — kiedyż? — Wszak od dość dawna już archanielska krew woła przeciwko nim! — Daro przytułasz mnie do piersi, Aligier; dreszcz lodowaty mnie gnębi — ah, już żaden obraz nie tworzy się więcej — nic — już nic — tylko loch ten ogromny, podobny do grobu bez końca! Bohatyry, proroki, święci, szli i przeszli i zaginęli! Karły jedne trwają — stały się — żyją! — O Aligier! Tylu natchnień i wieków także więc rozwiązanie? A to nie mara ni sen. Jak tu, w tych głębiach, tak i tam, na równinach ziemi, martwo — ciemno — podle! — Mierność i Złość siódmym dniem Człowieczeństwa! Oto odpoczynek, dany nam!

ALIGIER. Nie bluźń, dzieci! — Niedziela człowieczeństwa to przemiana — to zmartwychwstanie ciał — to Anielstwo! Daleko jeszcze ludziom do niej! — Nie wiesz, co mówisz — nie wiesz, na jakim miejscu drogi stoisz i ku czemu idziesz — ale oto dowiesz się!

MŁODZIEK. Alboż to nie nasz wiek już?

ALIGIER. Nasz — tak, jak wygląda, ale nie tak, jakim jest.

MŁODZIEK. Co mi wskazujesz?

ALIGIER. Z tej strony te dwie rozpalające się pochodnie.

MŁODZIEK. Jak dwa smutne księżycy! — ah, widzę jakieś drzwi ogromne pod niemi, drzwi żelazne w murze.

ALIGIER. Zbliżajmy się powoli — czytaj ten napis srebrny w górze!

MŁODZIENIEC. *Gens aeterna, in qua nemo nascitur.*

ALIGIER. Tu dopiero koniec przeszłości. — Za temi progi Teraźniejszość się wszczyna i zgromadzenie żywych Duchów marzy o tem, co stać się *ma*, bo stać się *powinno*.

CHÓR DALEKI. Witajcie, wy, co przystępujecie do obecnych czasów — wy, coście odbyli podróż wraz z Pielgrzymkami, Anielicami Pana — z Ideami Ludzkości!

MŁODZIENIEC. Jakżeż te głosy rosną — zbliżają się — mnożą! — Zda się, już obok nas brzmią te struny i śpiew ten się rozlega!

ALIGIER. Ściana ta tylko od nich nas dzieli.

CHOR. W imieniu Pana u tych podwoi przyjmujem was — a Pan troisty, choć jeden — i dzieje Planety troiste, choć jedno!

MŁODZIENIEC. Takich tonów nie słyszałem nigdy — powietrze całe w muzykę się rozedrgało. — Hymn ten w serce zstępuje, jakby wszystkich jęków serca Dźwięk Odkupiciel!

CHOR. Nadchodzi wręście obiecany Dzień! — Wiek, który zwie się Pocieszycielem! Godzina, która zwie się Dopelnicielką! Nie na zawsze Chrystus był odjęty nam — nie na zawsze Światło Żywota zaćmione! — Oto uwielbion będzie przez Ducha Syn, a Duch z Ojca i Syna jest i obu miłośnie kojarzy!

MŁODZIENIEC. Kończyłem się już — a teraz znów w pierśsiach Nieskończoność czuję! O, błogosławione akkorda!

CHÓR. A jako w niebie, tak i na ziemi!

Wszystko, co przeszło, a bolało przechodząc, wróci, ożyje, podwyższy się, ale ból już nie ma!

Myśli rozbratane, czyny sprzeczne, kolejne wieki uwielbia się i pokochają nawzajem.

Trzeciem Wszechmiłości tchnieniem Pan upomni się o planetę Swego — o ród człowieczy Swoją upomni się Pan!



ALIGIER. Zapukam — drzwi się otworzą — ty zaraz wchodź za mną!

MŁODZIENIEC. Gotów jestem, jak do nieba! — ah, jeśli wszystko ma się ku odzysciu, toć i Archaniół mój!

CHÓR. Pokój nasz dajemy wam. — Wejdźcie!

*Scena druga w weneckich podziemiach.*

*Ogromna sala. — Ściany i sklepienia obwieszono lampami. — W głębi na tronie wyniesionym PREZES w tocznej białej — po prawej stronie mównica, wystająca ze ściany, ze wschodami. — Wzdłuż ścian po obu stronach CHÓRY NARODÓW, każdy w barwach swoich. — PANKRACY na czele chóru polskiego. —*

ALIGIER — MŁODZIEŃC.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Kogoś wprowadzasz do Zboru?  
czy tylko nie ciało, pozbawione duszy?

ALIGIER. Takie ciało kamieniem śpiącym — kamienia nie wlokę za sobą, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Może duszę bez ciała?

ALIGIER. Taka dusza czemsiś, co niczem, jak sen. — Snu nie przynoszę wam, o ukochani!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Czem więc ten, który stoi za tobą?

ALIGIER. Żywym Duchem. — Duchem bez początku, bo z Pana wyszedł — i bez końca, bo ku Panu dąży napowrót, a nigdy nie stopi się z Panem. — Na pielgrzymkę nieskończoności duszę i ciało mu dano — on ciągle jeden, ten sam, niezatrącalny — one tylko umierające i odżywające naprzemian. — Kiedyś, kiedyś on wraz z wami zrzuci ludzki strój i inny, wyższy przybierze w dzień ostatni przypomnienia i Sądu. Lecz wprzód losy planety, wspólne nam wszystkim, rozwiązane być muszą — i on wstępuje między was, by pracować i przyspieszyć wraz

z wami wszystkie dni /poprzednie, wielkie, nadejść mające. — Ja was proszę, ja wam mówię: przyjmcie go!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Niech nam powie imię zasłużone, święte, którem go ochrzczono, gdy człowiekiem się rodził!

MŁODZIENIEC. Henryk.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Niech wyzna imię zbiorowe Duchów, dla których Pan chciał, by żył i umierał na ziemi, kiedy mu wśród nich narodzić się kazał!

MŁODZIENIEC. Polska.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Nadpowietrzny chór przyjmuje cię, ni żąda żadnej od ciebie przysięgi. Tem, że jesteś, tem, że wiesz się Duchem, już przysiągłeś na wierność i Panu i człowieczeństwu i prawdzie. Tobie, nie im, biada, gdybyś upadł, gdybyś zwątpił, gdybyś zdradził. Teraz niech cię ziemskie głosy witają!

CHÓR IRLANDZKI. My, pierwsi na ziemi zrzucający jarzmo białemi rękoma — my, z wdzięczną wieścią przychodzący, że już miłosierni i cisi zaczynają zwyciężać, pozdrawiamy cię! Ufaj harfom tym — każda struna w nich mieczem — i one zdobędą wolność katolicką Erynu!

CHÓR WŁOSKI. My, trupy, do dna grobu przyparte podwójnej chwały popiołem i przykryte lazurami niebios, my, pragnący po raz trzeci żyć, pozdrawiamy ciebie — ufaj czarnym płaszczom naszym, choć to pogrzebu znak — i zielonym czapkom, bo to wiosny przeczucie!

CHÓR GERMAŃSKI. Rozdzieleni w ciele, ale jedni Myśłą, my, Idei kapłani, my, co byli, a nie żyli, my, pragnący żyć, pozdrawiamy ciebie! Spójrz na nasze włosy i brody pierścienne — u greckich mędrców podobne się wily — i ufaj tym rapierom, wziętym po gockich naddziadach!

CHÓR FRANCUSKI. Żyjący pozdrawiają ciebie.

CHÓR SŁAWIAŃSKI. O, wielu, wielu nas jest, jak fale wezbranych, jak dzieci tęskniących z kolebek ku słońca promieniom — a wszystkie kolebki nasze takie podobne do trumien! Sami nie wiemy, czy się rodzim, czy zmar-

twychwstajem, ale słyszym Głos, co nas woła. Więc podnosim się, patrzym — a oto przed nami olbrzymi grób od morza do morza! — Niechże za nas odezwą się do ciebie ci, którzy w grobie tym — bo oni tam nie pokładli się na sen! Od lat stu ciemność im światłem — śmierć żywotem — rozpacz nadzieją. Naród-Król nas wszystkich, Naród-Duch plemienia naszego niechże wita ciebie!

CHÓR POLSKI. Trzykrotny bracie nasz, Duchu wśród Duchów, Człowiecze wśród Człowieczeństwa, synu Polski wśród synów jej, pozdrawiamy cię! A jako Duchem teraz tylko pod postacią człowieka, tak wiedz, że człowiekiem ci być się godzi teraz tylko pod postacią Polaka — inną wdziej, a niżej bydłęcia upadniesz! Zawrzej więc w jednej piersi twej zarazem żywych i umarłych wszystkie potęgi! Obchodź się bez niczego, jak trup! O żadną próżność ni zysk ni pychę nie dbaj, jak trup! Wrzкомо żadnego bólu nie czuj, choćby ci gwoździami serce przebijano, jak doskonały trup, a wiecznie miej się do czynu, jak żywy, kochaj braci, jak żywy, jak żywy ufaj w Boga żywych! A teraz idź ku tronowi i przystąp i słuchaj!

PANKRACY. Wprzód jeszcze z rąk moich weź biały płaszcz i karmazynową czapkę.

ALIGIER. Wdziej, coć dają; to znak, że do ich grona należysz!

MŁODZIENIEC. I ty już tak?

ALIGIER. Przecież i ja do nich, dopókim na świecie, się liczę.

MŁODZIENIEC. A teraz?

ALIGIER. Tak, jak ci kazali, zbliż się do tronu!

PREZES. Patrzałeś na mary tych śmiałych, którzy po wszystkie czasy w głębiach ziemi opierali się rządzącym jej powierzchni. — Niemi otoczony, przez dwa światy, co przeszły, przeszedłeś. Zrozumiałeś, czem przedchrystusowy, czem pochrystusowy wiek? czego pragnęli w prawdzie tęsknoty wiecznej, a w fałszu nieraz użytych środków owi

wszyscy tajemni, wyrywający się ku coraz dalszej przyszłości? — Mów, coś widział tej nocy!

MŁODZIENIEC. W pierwszych jej godzinach widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześcijańskiej Duszy, aż dostało objawu Niebianki.

PREZES. A w następnych?

MŁODZIENIEC. Widziałem rój myśli świętych, rozwieszon nad światem. — Lecz nie spuszczały się na dół, by osypać ziemię — niebieskie, kwitły tylko w niebiesiech.

PREZES. Dobrze, synu; i cóż stąd? wszak nie na tem był koniec widzeń twoich?

MŁODZIENIEC. Wtedy mnie otoczyła rozpacz ciał wszystkich — dawniej duszy nie znały, a teraz już urodziła się im — widzą ją nad sobą, a nie mogą jej do piersi ściągnąć — więc zaczęły płakać, więc zgrzytać — więc i krwią pluskać.

PREZES. Umarłych zrozumiałeś skargi. Starożytni wyglądali dusz powszechnego kościoła — nowożytni powszechnego społeczeństwa ciał — a może jedno bez drugiego być? a ze zlania obu czyż nie trzecie wstanie? I tamtym i tym połowy tylko rozłożone Ludzkości, nie wszystka Ludzkość w sercu biła — połowy, to złudy, a czasem i zbrodnie. Całość tylko Rzeczywistością na ziemi, w niebie. — Wszak wiesz o tem?

MŁODZIENIEC. Wiem, Ojcze.

PREZES. Odpowiadaj dalej! Czy wierzysz w Ojca, w Słowo, w Ducha Świętego, w oną Trójkę przedwieczną, na której podobieństwo i obraz, Wszechświat i każda cząstka jego i każdy z nas i wszelki drobiazg i wszelka arcy-potęga — kamyk czy Seraf — dostały w dziale Byt, dostały w dziale Myśl, dostały i Życie?

MŁODZIENIEC. Wierzę w Nią.

PREZES. I wierzysz, że Słowo stało się ciałem, że mieszkało między nami?

MŁODZIENIEC. Wierzę.

PREZES. Jeślić człowiekiem był Chrystus, więc zjawil się na pewnem miejscu i o pewnej chwili. Jeślić Bogiem, to panował wszystkim miejscom i czasom. Jeślić Bogiem-człowiekiem, toć musiał ogarniać wszelkie losy planety tego. Czy pamiętasz, jak w wigilią męki prorokuje o przyszłości człowieczeństwa, gdy oznajmuje ukochanym, że kiedyś Pocieszyciel przyjdzie?

MŁODZIENIEC. Obietnicę pamiętam.

PREZES. Ja ci słowa pisma powtórzę — kto przytomny, niech kęka!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Ojcze, możesz otworzyć Ewanielią Jana. — Wszystkie chóry ukękły. —

PREZES. — »Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie«. — »Lecz gdy przyjdzie on Duch Prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę«. — »On mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a opowie wam«. — Otoć, co rzekł Pan do wszystkich przyszłych wieków świata — i wiele ich odtąd przechodziło i przeszło już, a nie zrozumiały. Znać, znieść nie mogły dotąd.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Ojciec księgę zamknął — możecie wstać.

PREZES. Wyższej przepowiedni nie było, niema ani będzie. Sam o Sobie samym świadczący Bóg — o Sobie, że się wleje w ziemię trzecim wlewem Swym! Za dni Jehowy proroki Ojca oglądały już Syna przed sobą — a Syn w chwili, gdy umiera, widzi już Ducha Świętego — i inaczej nie mogło być. — Człowiek zwierciadłem wieczności — więc i w dziejach człowieka na wartkiej kuli tej odbić się musi następnie ta Trójca, co wiecznie Sobie spółczesna na niebie — ale dopełnionaż obietnica Pańska? mów, synu, czujesz, dopełnionaż jest? — Jakiż wiek z tych osiemnastu wieków chrześcijańskich uwielbił Chrystusa?

MŁODZIENIEC. Żaden, żaden, Ojcze!

PREZES. Do nich wszystkich, do nich wszystkich jeszcze mówi Pan: »Znieść nie możecie«, bo ten Go tylko uwielbi,

który przepis Jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi i udotkalni — a wtedy chwała świata takiego, że z Boga jest, sama świadczyć będzie. — Więc cóż, synu, cóż? Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, Czyn sam Pocięszycielem. A gdzież czyn ten, czy widzisz go?

MŁODZIENIEC. Nie.

PREZES. Spójrz w siebie, on tam jest!

MŁODZIENIEC. Jakto, Ojcze?

PREZES. W twojej, jak w każdej innej, piersi.

MŁODZIENIEC. Jakto?

PREZES. Ani osobnikowi, ani narodowi, ani Ludzkości Laska wiekuista nie zdała się na nic, jeśli aż pod same niebiosy rąk nie podniosą ku niej — bo połową Stworzenia woła Stworzonych. Choć minęło, co minąć miało, choć dopełniają się czasy, choć Duch obiecan już przewiewa ponad ziemskim padołem — jeśli go sami nie wysłużym, nie wypragniemy, nie wyczynimy, jeśli siebie samych nie przeoltarzmy Jemu, On nie zaświeci nam — i niepokieszeni zostaniemy.

MŁODZIENIEC. Cóż więc każecie?

PREZES. My dziś już nie rozkazujemy nic — prawdę tylko objawiamy, a kto ją pojął, ten sam rozkaże sobie. — Jej więc teraz słuchaj! — Póki ciało z duszą nie złane w jednego Ducha, póty czynu powszechnego niemasz — póty bitwą i zamętem dzieje Ludzkości. Wszędzie rozłam i rozpad i rozstrój — części tylko — a każda, nienawistna drugiej, we Wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne. Naród, państwo, stan, zasada, ustawa, prawo każde nie o postęp, ale o coraz starszą starość się stara. Co dłużej trwa, temu hołdują, nie, że święte, ale że obalilo przeciwników wielu — przedawniałość prawowitością. Wszelka nadzieja i wszelkie natchnienie buntem i świętokradztwem. Jak kat do szkieletu, siedzącego na stolicy, tak przyszłość wiecznie przystępuje do siostry swej, przeszłości — i wszelka Teraźniejszość, prochem jednej i krwią

drugiej zbryzgana, dotąd nędz kałużą jest. — Wszak prawdziwie świadczę nieszczęśliwym losom planety tego? MŁODZIENIEC. Ojczu, nieraz toż samo łyzy mi moje pisały na twarzy, gdym czytał historią — kaźden z luźli, ale ze wszystkich najbardziej Polak, zaświadczy świadcetwu twojemu.

PREZES. Tak żyć, to nie żyć, to konać wiecznie! Innem prawo Wszeczżycia — ani umierać, by zaginać i potępionym być — ani nawet umierać, by później z grobu wstać — ale ze siebie samego zmartwychwstawać wciąż, a bez omdlenia śmierci — oto rozwój Duchów, toć żywot ich wieczny! — Narody go na ziemi dostąpić powinny, nim kaźden osobnik go w zaświatach dostąpi — bo Czołwieczeństwo czemże, jeśli nie szkołą — próbą aniołów? Alboż ołtarze Boga tylko pod katedr sklepieniem? — wszędie: i w izbie poselskiej i na trybunale i w kole wyborców i w kole wybranych i na stolicy władnej i na rynku pospolitym i w rękodzielni i na giełdzie i w sztuce kaźdej i w kaźdej umiejętności Pan dojrzan, poznau, uczczon i wykonau być musi — być musi i będzie! Kaźden trud w posłannictwo, kaźden urząd w kapłaństwo się zmieni — i wciąż Tego, który jest, będzie być i żyć! Czy czujesz we wnętrzach istoty twej, że się spodziewasz takiej przyszłości, że wierzysz w nią i kochasz ją?

MŁODZIENIEC. Od kiedy oddycham, kaźdem serca uderzeniem pożądam piękna, wyzwolenia, szczęścia — a żyję śród potwornych klęsk; — młodym nigdy się nie czułem — a ty mi świata odmłodnienie obiecujesz, Ojczu! Jakżeż nie mam wierzyć tobie i dziękować ci!

PREZES. Odpowiadaj mi dalej: — wszak Bogiem w jednym człowieku był Chrystus?

MŁODZIENIEC. Tak.

PREZES. A Chrystusem we wszystkich ludziach kto będzie?

MŁODZIENIEC. Ludzkość chyba.



PREZES. Ale kiedy? wszak nie wczora? nie dziś? kiedyż więc?

MŁODZIENIEC. W ostatniej, najwyższej chwili dopełnienia swego.

PREZES. A przez kogoż się dopełni? gdzie Członki tego Ciała, w którym jeden Duch? Jakież to obrzędy w tym kościele powszechnym, rozmaite a ustanowione od Boga? Gdzie barwy tęczy, z których ta białość świetlana powstanie?

MŁODZIENIEC. Wszak się nie mylę, Ojcze? wszak o narodowościach mówić chcesz?

PREZES. Powiedziałeś sam — a patrz, jak za dni naszych wszędzie wola boża opatrzenie kusi wolę ich! Jednym zewnętrznego niepodległości, drugim wewnętrznego ukojenia brak — wszystkie za wolnością tęsknią — a wieszże, o synu, co to Wolność?

MŁODZIENIEC. Słucham, Ojcze.

PREZES. Ten tylko wolność osiągnął, kto tak ducha swego wyarcydzieliwał, że już nie walczy ni z sobą, ni z drugimi, ale w sobie spokój ma, a z drugimi miłość — więc samoistny jest — więc dokonany jest — więc ze siebie samego wystąpić może, zdwoić się, stroić, zesetnić w własnych utworach. Wolni tylko tworzą — i wolne tylko narody, jak lutnie różnobrzmiące, wydzwieczą z siebie Ludzkość, najdoskonalszy Wszchedźwięk swój. Niech więc nie zapominają o Miłości, bez której nic postawić i zbudować nie sposób — bez której Bóg, choć wszechpotęgą odzian, nie mógłby był stworzyć nic! Świat ich — niech tylko one będą! Jak z głazu posąg, niech tak się podniosą, a pod wewnętrznym własnej woli dłotem! Zaprawdę, zaprawdę niech pamiętają, że nie to, co niewzruszone i zbite, jak skała, mądrością na ziemi — ni też, co wściekle i wysadzające skalę w powietrze, natchnieniem i Czynem — ale że istną świętością i wybornem pięknem to, co płynne wciąż, a wstępujące coraz w górę wyżej, to, co szersze

co chwila, a jednak toż same, jak światła wschód nie-  
skończony!

PANKRACY. Proszę o głos.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Co to znaczy?

PANKRACY. Naczelnik chóru polskiego prosi o głos.

CHÓR NIEWIDZIALNY. Czyż nie wie polskiego chóru na-  
czelnik, że występkiem jest przerywać prezesowi, kiedy  
nowowstępującego naucza?

PANKRACY. Jeszcze raz domagam się o głos.

PREZES. Synu mój, zapominasz o prawach, podziemiami  
rządzących, i uporem narażasz się.

PANKRACY. A ty, Ojczy, nie narażaszże tej duszy młodo-  
cianej na zgubę, gdy o Miłości mówisz — i miasto hartu  
wtkliwasz miękkość jej do serca?

PREZES. Milcz!

PANKRACY. Słuchaj mnie, słuchaj, Arcy-przewielebny, słu-  
chajcie wszyscy, ilu was tu narodów i ludzi! Jeśliście  
z zachodu, wolno wam jeszcze i to marzyć tylko, że mi-  
łosierdziem chrześcijańskim wielkich dopokoicie się Ce-  
lów. Szlachcieście już zgilotynowali jedni — w błoto i nę-  
dźkę wepchnęli drudzy — dobrze, ale z bankierami finan-  
sistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą powtórnią pa-  
sożytnością na ludowem ciele, co poczniecie? Zresztą w tej  
chwili mniejsza o was, Zachodni. — Ja ze wschodu — ja  
Sławianin, ja Polak, więc powiem...

CHÓR NIEWIDZIALNY. Duchu niesforny, nakazujem ci  
milczenie!

PANKRACY. Jużem się odważył; — nie dam tego potomka  
Arystokratów lackich, tego z Antenatów rodem, omamiać  
Ideami, które kiedyś się dopełnią, ale przed których urze-  
czywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała muszą  
wyglądać jako jedno morze krwi! — Niech młodzik rze-  
czywistość zna — niech tu zaraz zrzuca z siebie szla-  
checkiego człowieka — albo niech wychodzi, ucieka, nie  
ogląda się — a ze sobą naszych tajemnic nie bierze!

PREZES. Chyba twoich, zbuntowany Duchu, bo w naszych niema przykazu krwawego. — Jest święta i orężna praw świętych i pokrzywdzonych obrona — morderstwa nie znajdziesz!

PANKRACY. Słuchaj mnie, młodziku, ty, coś z ojców twych rodem, ty, co ojców masz! Otóż ja, który ich nie mam, ja, który chodzę po tej ziemi, jakbym się z niej prosto narodził, ze żwiru, mułu i murawy, tak, jak Tytany niegdys a ludowi ludzie dziś, otóż ja powiadam ci: — z szlachtą polską i wszelką sławiańską koniec! — Jeśli chcesz, kłękaj i mów »Zdrowaś Marya« nad ich grobem! — Wolno ci! A znam was — a wiem was — nie ustąpicie — wszystkoście oddać gotowi: i pół ziem waszych i brzęczący pieniąż — ale klejnotu — ale pamiątek — ale dumy, nigdy! Więc poświęceniem nowem znów dorwiecie się władzy, której wspomnienia Wiecznośćby sama nie zdołała wam z ducha wygluzować. O, ja nie z was, a znam was, jak wy sami się nie znacie. — Więc co za rada z wami, z Urodzonymi? jedna tylko — trzeba was odurodzić, żadnemu nie przebacząc, żadnego z sieci śmiertelnej nie wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszych rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach! — Dopiero będzie równość i Lud, a wtedy, wtedy dopiero wszystko, co ten człowiek w bieli na tronie wyrzekł, prawdopodobieństwem się stanie — Miłość będzie możliwością na tym globie. — Lecz nie wprzód! — Wara! — Rozumiesz, ty, ojców posiadaczu?

MŁODZIENIEC. Aligier, gdzieżem ja? gdzieś ty mnie przywiódł? — Ja wyzwę go...

ALIGIER. Jeśli kochasz mnie, milcz!

*(Do prezesa).*

Przyklękam na znak uszanowania i prośby — bo łamać przepisów nie chcę odezwaniam się. A pozwól, Ojczy arcy-przewielebny, na chwilę dozwól, bym na tę mównicę

wstąpił i odpowiedział! — Ojcze, mnie idzie o tę duszę jasną i czystą, powierzoną mi — patrz, jak blednie ta twarz — patrz, jak gniew święty po żyłach tego czoła sinieje — jak ta ręka, powstrzymana od oręża, cierpi laokonowe drgania! — Ja muszę wstąpić i mówić, by go ukoić. — On pierwszy raz słyszy takie słowa!

PREZES. Zabronić ci, czego żądasz, nie mogę. Ów człowiek pierwszy stargał prawo.

ALIGIER. Dzięki ci, Ojcze!

*(Wstępuje na mównicę)*

PANKRACY. Teraz w żadne już rozprawy się nie wdaję, ja, chóru przywódca! Wypowiedziałem nieunikalne. Kto sam słowem konieczności, ten na marne, ludzkie słowa nie odpowiada. Hej, Kiermaszu, albo ty, Blaumanie, jeśli im o sentymentalność i paplarstwo chodzi, stań naprzeciwko mównicy, patrz się w oczy temu melancholicznemu przyjacielowi onego młodzieniaszka i odpowiadaj za mnie!

KIERMASZ. Ja wnet odpowiem — ja!

BLAUMAN. Precz, Kiermaszu, ja lepiej potrafię.

INNY. Mnie głos dać — Blauman nie potrafi! —

INNY. Panie Naczelniku, mnie wybrać!

KILKU INNYCH. Mnie — mnie — mnie!

PANKRACY. Już się swarzycie — patrzcie, jak tamta część chóru, z szlachty starej, co się odsunęła na stronę, przystojnie i poważnie się trzyma, choć wściekli! — Z wrzaskami precz! — Ty, Blaumanie, mów!

BLAUMAN *(do Aligiera)*. Błady i wychudły stronniku Aristokracyi, ty, z mównicy tej przechylony, z wyciągniętymi rękoma — a muszę wyznać: ty piękny — boć to wiadomo, urodziwi jesteście i gładkie rysy wasze i dłonie białawe — pfuj, kobiety! — Ha! więc ty się oburzasz przeciwko temu wielkiemu obywatelowi, że ci serdecznie, szczerze oznajmił o wyrznięciu logicznem i nieodwracal-

nem Magnateryi lackiej? Jeśliś patryota, jeśli ci w sercu cokolwiek polskiego, ojczystego zostało...

PANKRACY (*po cichu*). Nie mieszaj zbyt wyrazu Ojczyzny!

BLAUMAN. Czy i to arystokratyzmem?

PANKRACY. Tak i nie — ale słuchaj się rady mojej!

BLAUMAN. O, ja ci powiadam, jeśli Ludzkości choć źdźbło drga w sercu twojem, jakżeż ty inaczej chcesz zbawić kraj polski, ciśnięty od trzech tyranów, a przez szlachecką kastę gorzej rozdeptany jeszcze? Wspaniałomyślną rzezią tylko możesz...

ALIGIER. Pankracy, Pankracy! — Naczelniku chóru polskiego, ty nie Polaku! Ty, co tylko powtarzasz »Lud, Lude« a nigdy »Naród« nie powiesz — ty, co chcesz wielkich rzeczy się przez siebie doczekać a od Boga nie poczynasz — ty, co za podstawę przyszłej budowy kamieniem węgielnem stawiasz mężobójstwo — ty, co, zawiścią zdjęty, starasz się ją przemienić w prawo wiekuiste Postępu i nadajesz nikczemnym chuciom piersi własnej imię Konieczności — ty, co ranić umiesz i jad w rany zadane zapuszczać, gdy spotkasz dziecko, niewiastę lub młodzieńca wiosennej tkliwości — lecz nie potrafisz rozmówić się ani z Bogiem modlitwą, ani z mężem mądrością, ani ze sobą nawet samym wiarą i przekonaniem — ty, chciwy władzy, ty, człowieku, możny zmysłami i namiętnością i siłą jakąś okropną, utajoną w tobie — nie zastawiaj się pierwszym lepszym z uwiedzionych przez ciebie — ale w imię Boga, Sędziego nas wszystkich, Pana narodów i Duchów, Pana mojego i twego, odpowiedz: — Wierzysz-li sam temu, coś tu oświadczył przed nami?!

BLAUMAN. On, czy wierzy? On! kto? Pankracy! — ah, to już za wiele — nie bluźń takiemu Demokracie, ty Arystokrato!

ALIGIER. Wzywam cię, wzywam potęgą mi nadaną, tkwiącą w głębinach istoty mojej, za to, żem cierpiał wszystkością

serca mego nad wszystkimi cierpieniami braci moich, od kiedym rozemknął oczy i ujrzał, że piękny świat i piękne słońce — i Bóg wszechdobry i wszechmiłosierny, a Ludzkość nieszczęśliwa — a wśród nieszczęśliwej Ludzkości pierwszy nieszczęściem i bólem polski mój naród! — Wzywam cię, odpowiedz mi! Gdy spojrzę na kogo, zwykle mi prawdę odpowiada. Tylem się namodlił po szczytach gór, po falach mórz i wśród więzień cytadelowych i w lochach i w kopalniach i koło rusztowań i w salach sądowych, prosząc Pana za skazanymi — prosząc i za sędziami, których los gorszy czeka, niż skazanych — tylem się nabląkał po otchłaniach ziemskich, ciągle, o ilem zdołał ja nędzny, chęcią, myślą, uczynkiem w niebiesiech — że, wierz mi, człowiecze, darmo, ty się mnie nie odejmiesz! Musisz mi prawdę przed wszystkimi braćmi odpowiedzieć — a jeśli milczysz, to, że czujesz sam, iż nie możesz — to, że wiesz sam, żeś obłudnik i kłamca!

PANKRACY. Blaumanie, na bok mi! — Ha! Aligier, wzywasz mnie?

ALIGIER. Jak Bóg na niebie i w każdym z nas, jak Chrystus był na ziemi i dotąd Duchem coraz silniej rozlega się po niej, zaprawdę, że wzywam ciebie!

PANKRACY. Więc jaśniej, praktyczniej mów — o co się ty pytasz?

ALIGIER. O Sumienie twoje — o nic więcej!

PANKRACY. Praktyczniej się wyraż! Ja człowiek czynu — metafizyki nie rozumiem — nie chcę — i nie potrzeba jej mi. Jeszcze raz, o co się ty więc pytasz mnie?

ALIGIER. Wobec Tego, który między nami, choć nas dwóch tylko, trzecią przytomną Osobistością jest — tu, ot, jest — rozciąga się od ciebie po mnie, ode mnie po ciebie, i wokół nas — i widnokreślnie wszędzie — wobec Najdroższego Utajonego, jak Go lud polski nazywa, pytam się ciebie, czy czujesz sercem i wiesz rozumem nieodprzekonalnie, iż dla zbawienia Polski trzeba zaglady

szlachty polskiej? że dla odsunięcia głazu grobowego trzeba ręką Zmartwychwstańców rękawic z błota i krwi, a nie gromów z czystego Światła? że dla rozpoczęcia trzeciej godziny świata, którać chrystusową jest, należy wyprzeć się Chrystusa choćby na chwilę — Miłość Jego odłożyć na później — Bogu wszechmocnemu powiedzieć: »Wyjdź teraz, a wrócisz potem — boś dziś nam nadatkowy — dopiero potrzebny pojutrze?»

PANKRACY. Julinicz, ludowy wieszczu, toś ty powinien odpowiadać mu — boć w nim wieszcz siedzi także!

JULINICZ (*wychodząc z grona chórowego*). Ja wielki Duch, proroczy Duch! — znajcie mnie!

PANKRACY. Więc mu za śpiew odśpiewujże śpiewem!

JULINICZ. Nie czem innem, o bracia, jedno śmierci rozrobem kończą się Ery planety. — Otoć chwila — i wieków dwadzieścia ma umrzeć, a nim umrą, mają być wzięte na tortury za to, że zbrodniczyły wciąż a nie znaly, co Duch. Dziś nie to, co niegdyś! Niegdyś modlitwa i łza i skrucha — tem było Chrześcijaństwo! Dziś moc ucieleśniona, ruch, pęd, wir, ton, władza, nakaz, uorężnienie Pańskich technień! Dziś do dzieła nawet lotrów dobiera Pan! Jak młotów, kos, cepów, dzid i mieczów tysiącem, niemi obraca na wsze strony i bije się po świecie, by zatracić wrogi Swe, wrogi ludu! Dla Wszechprzyszłości cóż znaczy Szlachta lacka? kilkadziesiąt tysięcy ludzi — chcesz? — kilkakroć nawet — kropla w oceanie! Jeśli jej łaknie ocean, rzucić ją! Takie dzisiejsze Chrześcijaństwo — bo się wybrał ziemię sądzić Pan i sądzi ją przez nas, przez święte Swe, ujaśniewidnione Swe, proroki Swe! I ot, wspomnisz, ty niewierny, nadejdą burze i zawieruchy żywe, z żywych ludzi wiejne, mnóstwa, przechadzające się po zwaliskach i popiołach, ofiarujące mord Bogu — i będzie Bogu miłym mord — bo całopaleniem tylko ciąglem wstępuje w niebo on ołtarz kołujący, ten planeta, na którym Ludzkość kaplanem i ofiar-

nikiem wiekuistym, a zużyte jej plemiona i kasty i myśli ofiarami!

ALIGIER. Pankracy, Pankracy! Pamiętasz, jak głos z nieba wołał na ukrywającego się Adama po dopełnionym grzechu — na uciekającego Kaima po bratobójstwie? — Ty tak samo się kryjesz, ty tak samo uciekasz. — Pankracy, Pankracy, odpowiedz mi!

PANKRACY. Nieznośnyś. — Z Juliniczem hymnujcie sobie!

ALIGIER. Pankracy, Pankracy, a skąd ty się wziął? A kto wlał w Ducha twego mowę polską? a kto polski obyczaj? a kto wolności żądzę? a kto siłę czynów? Czyś ty z przyszłości się urodził? — Wszak nie? — Czemże więc ty, choć bez ojców imiennych, jeśli nie synem Matki Rzeczpospolity lackiej? — Mów mi, co byś ty mógł mówić na ziemi i czem klamać i czem zdradzać i czem sprzeniewierzać się przeszłości, gdyby ona właśnie wszystkiego ci nie była dała? Niewdzięczniku, ktoby głosu twego za ludem słuchał, czy wśród twoich własnych, czy wśród obcych, gdyby nie Chrobrych miecz, Jadwigi niepokalaność, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, Zamojskich rzymska cnota, Żółkiewskich zgon, Czarnieckiego żywot, Sobieskiego trud i europejski czyn? — Nicości bez nich, czemu powstajesz ty na nich? Czemu się targasz na Wiekopomne i Niezagubialne? — na to, z czegoś ty sam — na to, bez czego i kroku jednego postawić i słowa żadnego wyrzec nie zdołasz — na powietrze piersi twoich dziejowe? Wiedź dalej, jeśli błogosławieństwo Pana z tobą, naród twój! — Lecz nie odnarażaj go, jak czynią okrutniki, co go rozebrały! Nie bądź czwartym katem, do trzech onych przydanych przez piekło! — Pankracy, Pankracy!

PANKRACY. Przeklętyś z twoją przeszłością — z twoim głosem z przeszłości, bo jak z grobu wieje, a dźwięczy i dźwięczy!

ALIGIER. Upominam cię, bo w tej chwili zawód się twój cały przyszły zwierciedlani przede mną! Jeszcze czas!



Wolną wolę masz. Jeśli mnie nie usłuchasz, potężny będziesz, będziesz przed ludźmi na czas i pół czasu. — Lecz przepadniesz przed Bogiem i ślad twój w sercu Boga odnaleziony nie będzie!

PANKRACY. Hej, sztuki — zabobony — przesady — wróżby! Tak zawsze Teokracja i Arystokracja poczynają sobie! Myślisz mnie gusłami przegrodzić od czynu, od władzy, od nieśmiertelności? — a więc znaj prawdę — i wy wszyscy znajcie ją — i ty także ją znaj, Arcy-przewielebny! Kto we mnie wierzy, kto mój, niech się z chóru polskiego oddziela i staje tu przy mnie!

KIERMASZ. Niech żyje naczelnik!

BLAUMAN. Otom przy tobie.

JULINICZ. Aaronem będę w obozie twoim.

KILKU INNYCH. Demokraciśmy na rozkazy twe.

PANKRACY. Co tu wykładają, nudzi mnie oddawna. Wszystko gnuśne, religijne, filozoficzne. Żółwie takimi samymi. Kto sądzi, że świat ukoi, temu winszuję; — świat zgniły — szlachta polska zgniła. Rady niema — być albo nie być! Ja być chcę. Kto godzi w cel, ten środków się, jak strzał zatrutych, chwytą. Przekleństwo bałamucącym na drodze dziejów, leniwym i uczonym, miłosiernym i czystym! Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do Wszechludzkości. Zasady niech żyją, a niech ginie pół-Europo! Zrywam z wami wszystkimi.

ALIGIER. Świadcę się wami, Narody i ludzie: taką odpowiedź jego! O Henryku mój, zważ i naucz się! — Ten człowiek genialnym — Duch ten potężnym — ale niema potęgi, co zdoła odpowiedzieć na najprostsze zapytanie, skoro ono zacnem, a ona niecną jest. Tak Pan chciał, aby było. — Błogosławcie Panu!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Zatrzymaj się, oblakany Duchu! Czy nie pamiętasz, jaką hańbą pokalan, kto nam nie dotrzyma wiary? Po tej i tamtej stonie grobu opóźnion, zwsteczniom, nędzny i nikczemny będzie!

PANKRACY. Na tamtej stronie, przyjmuję, byleby nie na tej — a na tej synem dzieł moich własnych jestem! Ojcowie moi, których sam płodzę, Czyny, pomagajcie mi! Za mną, bracia!

PREZES. Chóry wszystkie, zastąpcie drogę temu niewiernemu bratu i nie puszczajcie go!

ALIGIER. Tylko błagam cię, Ojczy, nie każ drugiej części chóru polskiego, by miała stawać naprzeciwko braci własnych — bo, choć grzeszni, braciać zawsze!

PREZES. Was jednych, wierni Polacy, wyłączamy od dopełnienia rozkazu naszego. Pozostańcie na miejscu waszem!

PANKRACY. Czy myślisz, Arcy-przewielebny, że mnie, tłumem tym osaczywszy, obalisz na kolana przed sobą? że w tych głuchych podziemiach, gdy skiniesz, ty, co krwawego nie znasz nakazu, ci twoi mnie zarzną? Puszczajcie mnie, narodowe chóry!

PREZES. Łańcuchem nierozzerwalnym stójcie koło niewiernego!

PANKRACY. Blaumanie, Kiermaszu, Julinicz, do pugałów!

PREZES. Ilu tych kacerzy, wnieść trumien tyle!

PANKRACY. Do broni wszyscy, do broni — za mną! Jeśli chcecie żyć i czynić, a nie marnieć, za mną! Jeśli chcecie ujrzeć na oczy to, co mózgiem myślicie, czego pożądacie piersią, za mną! — Z jakiegobądź rodu i narodu jesteście, za mną!

PREZES. Teraz trumny te ustawić rzędem — przed każdym z niewiernych jedną!

PANKRACY. Opuuszczajcie te lochy, fantastyczności, poezye, widzenia! Za mną, gdzie słońce brylowate w górze a wrogі istotne na ziemi, by z nich wytoczyła się krew, a słońca promienie radowały się, tę farbę pijąc! Czyście ślepi, głusi? czy nikt z Włochów, Niemców, Francuzów przy mnie się nie opowie?

CHÓR NIEWIDZIALNY. Z chóru każdego po kilku przechodzi na stronę buntownika — o biedni!

PREZES. Trumien więcej, trumien więcej!

PANKRACY. Co? marzysz nas zabijać gwoździami w te pudła? czy nie widzisz w mojem ręku tych pistoletów? Bronić się będziem do upadłego!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Biedny, biedny ten człowiek! On mniema, że o zgon ciała jego chodzi! Biedny, biedny!

PREZES. Wierne chóry, ściśnijcie jeszcze bliżej ich. Tak — półkolem! A trumien dość, bo nikt więcej już nie zdradza!

PANKRACY. Hej, jeszcze, jeszcze do mnie! Hej, zawierście mi! O ludzie ospali, o chóry, o większości ziemskiel czyż zawsze mniejszość tylko dzielną i śmiałą, a wy nikczemne? — i przeto was ona wiecznie musi strachem i gwałtem w pęta swojej woli kuć!

ALIGIER. Tyran się z ciebie odezwał.

PREZES (*do młodzieńca*). Synu, przyszedłeś tu szukać prawdy i zbawienia — znalazłeś zgorszenie. Lepiejby temu, który gorszy serca niewinnych, było się nie urodzić. Teraz posłuchaj nad nim wyroku!

PANKRACY. Jeśli mnie i moich nie puścicie, strzelę!

PREZES. Rozdzieram szatę oną białą i czystą na piersiach przed wami wszystkimi, narody i ludzie — bo muszę z tronu tego rzucić śmierć na jednego z żyjących — bo muszę wyrzec przekleństwo nad Duchem, któremu niegdyś, jak wszystkim wam, pobłogosławiłem!

PANKRACY. Strzelę — do Arcy-przewielebnego samego strzelę!

MŁODZIENIEC. Spójrz tu, wrogu ojców mych! Czy widzisz lufę mego pistoletu? patrzy się czarnym okiem na czoło twe — jeśli palcem na cynglu zadrgniesz, to nie ten, który na tronie, lecz tyś zginął! — Strzeż się!

PREZES. Pankracy, naznaczonyś piętnem potępieńców! Po wieki wszystkie bywali na ziemi — kusicielką ich Pycha — czynem ich Niszczenie. Każdą Ideę nieborodną, przez Pana zesłaną w świat, odpychają od świata w niebo nazad, niecnie służąc jej — bo nie jej, ale sobie w jej imieniu

służą. I Bóg od nich, przyjmowany jak Szatan, oddala się precz, blednący z gniewu, że takie sługi ma. Jesteś jednym z nich. Ty się przeniewierzysz Świętościom ogłaszającym tu! Ty zdradzisz Chrystusa, ty zdradzisz Ducha Świętego! Tyś im Faryzeusz taki sam, jak królów pochlebcy, jak świętoszki, jak donosiciele, jak szpiegi! Albo marnie przepadniesz, albo też wstrzymasz rozwój Ludzkości — odwrócisz ją z toru wstępnego na boczne manowce — każesz jej po kałużach brudzić stopy białe — wieki przerażisz i cofną się w tył! Czegoby nie dokonał wszystkich mocarzy przebieg, moc, gwałt, ty dokonasz! Więc w imieniu Ludzkości, więc w imieniu Ducha Świętego przekleństwo na tobie kładę, o duchu zgubiony, bo, kto przeciwko Miłości wiekuistej, ten, wiedz o tem, choćby zwyciężył — ten zginie!

PANKRACY. Do widzenia w Wieczności!

PREZES. Te trumny, to pogrzeb wasz — na wiele, wiele wieków cofnięcie, o kacerze — i umieracie w tej chwili, a śmiercią gorszą, niż gdybym was kazał stracić — bobym ducha wam nie mógł kazać odebrać. — Samiście sobie odebrali go. Idźcie więc z ciałami waszemi, w tych trumnach wasze zacności i cnoty pozostają — w tych trumnach Myśli boże o was, które wami być miały samymi, a w któreście wżyć się nie podolali — w tych trumnach to, co w was ludzkiego było na ziemi!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Idei fałszerze! Idei najzaciętsze wrogi! Wy, co ją krzyżować będziecie, a szydersko, bo mianując się jej synami, wy umierający, wy, skoro za ten próg przejdziecie, umarli — idźcie, idźcie precz!

PREZES. Wszystkie chóry ziemskie, narody i ludzie, bierzcie każdy do ręki gromnicę — śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PANKRACY. Kiermasz, nie blednij tak! — Blauman, i ty także? Julinicz, czy u was, poetów, nerwy strunami lutni, że tak drgają? I cóż z tego, że tych gromnic czerwieni

się krag, że hymnów grobowych rozlega się dźwięk i to nawet sklepienie z granitu zdaje się śpiewać i nam wróżyć zgon?

PREZES. Naczelnik chóru polskiego umarł. — Aligier, obejmij nad współbracią rząd i jej wodzem bądź!

PANKRACY. Ah! Arystokracji doradca zastępcą mym! Kordecki, Rejtan, Ligienzo, Rymszo, Kazanowski, nie pójdziecież za mną?

CHÓR POLSKI. Pozostajem tu. Szabla i zacność, nie nóż i srom — oto hasło nasze!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń. Przeszłość rozdeptali — nie pojęli przyszłości — terazniejszość potwornie przez nich! Więc w Czasie ich niema, bo obrazili, okaleczyli, rozćwiertowali Czas! Gdzież oni są? w nicestwie Ducha są! Śpiewajcie im, śpiewajcie pogrzebową pieśń!

PREZES. Nieście ich trumny za nimi — odprowadźcie ich aż do tajemniczego progu. Rozemknijcie im ścianę podziemiów!

PANKRACY. Dziękuję ci, Arcy-przewielebny. Walczyć będziem ze sobą, bo ja — dobrze powiedział — ja Niszczyciel! Lecz zdrady nie obawiaj się — powierzchnia ziemi od żadnego z nas nie usłyszy ani o tobie ani o twoich!

PREZES. Kto Judaszem wiekuistej Idei, stać się może i ludziom Judaszem.

PANKRACY. Nie — nie! — Ty nie myślisz tak o mnie!

PREZES. Żyjący z umarłymi nie mówią — dość już. — Amen.

PANKRACY. Dawajcie klucze — oto próg — duszno tu! Lepiejbyście płuc nie suszyli sobie takim śpiewem — odmykajcież!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Do końca, do końca śpiewajcie im pogrzebową pieśń!

PREZES. A teraz niech każdy do nich mówi: »Zgaśliście!»

PANKRACY. Kiedyż koniec będzie obrzędowi tym?

PREZES. A teraz niech każdy zgasi gromnicę swą i iskry  
i popiół strząśnie ponad głową im!

PANKRACY. Puszczajcie!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Umarli — umarli — umarli!

PREZES. Narody i ludzie, rozejdźcie się w milczeniu i ciemno-  
ściach! zgorszeniście i smutni — za winą sąd nastąpił —  
nastąpiła i kara. Módlcie się i rozpamiętujcie — a pokusy  
nie przypuszczajcie do serca — bo wiednym Ducha grzech  
przeciwko Duchowi darowanym nie jest! Idźcie — na dzi-  
siejszą noc rozwiązany Zbór!

CHÓR NIEWIDZIALNY. Narody i ludzie, rozejdźcie się  
w milczeniu i ciemnościach! —

21.408



## OBJAŚNIENIA WYDAWCY DO

### »NIE-BOSKIEJ KOMEDYJCZĘŚCI PIERWSZEJ«.

Str. 338. Lodnik Hewaldyny — zmyślona nazwa.

Str. 344. Człowiek ten zwiedził Piekło i Czyściec i w raju był — Dante Alighieri, jako autor »Boskiej Komedyi«.

Str. 358. Beatryks — Delfina Potocka.

Str. 359. Ziemia mogił i krzyżów — Polska.

Str. 383. Eulaloe lana — wykrzyknik, nie istniejący w żadnym języku.

Str. 384. Stoją metalliki sto dwa i ćwierć — t. j. akcye jakiejś fabryki metalurgicznej sprzedają się na giełdzie w stosunku 102 $\frac{1}{4}$  za 100 jednostek monetarnych.

Str. 387. Mecenas — opiekun literatury i sztuk pięknych, pochodzi od imienia Gajusa Cilnusa Maecenasa, słynnego za czasów Cezara Augusta protektora poezyi.

Str. 387. Per Baccho — na Bachusa (bożek grecki wina i weselości), zaklęcie włoskie.

Str. 388. Napoleonów w złocie — moneta złota 20-to i 40-to frankowa.

Str. 389. Mandaryn — dostojnik chiński.

Str. 395. Sygnorya — rada 40-tu w Wenecyi, tutaj w znaczeniu: Wielmożność, Dostojność.

Str. 401. Paryjski — t. j. z wyspy Paros.

Str. 406. Nadpowietrzne ogrody — babilońskie ogrody Semiramidy.

Str. 406. Ormuzd — duch światła i dobra; Aryman — duch ciemności i zła według wierzeń chaldejskich.

Str. 407. Zoroaster — reformator religijny ludów chaldejskich (2000—3000 lat przed Chr.).

Str. 407. Memnon — po dziś dzień istniejący posąg legendowego faraona Memnona, wydający głos o wschodzie słońca.

Str. 408. Ozyrys, Tyfon i Arneryda — bóstwa egipskie.

Str. 408. Labirynt — olbrzymi gmach w Egipcie o 3000 komnatach.

Str. 408. Tyfon — potwór mityczny, pokonany przez Zeusa.

Str. 408. Wąż potwór — Pyton, pokonany przez Apollina, boga Słońca.

Str. 408. Afrodyte — bogini miłości, urodzona z piany morskiej.

Str. 409. Psyche — dziewczica w mitologii greckiej, co pokochała boga miłości, Erosa; psyche po grecku — dusza.

Str. 409. Eleusis — miasto w Attyce, słynne z tajemniczych obrządków (misteryi) na cześć bogiń Demetry i Persefony.

Str. 409. Hierofant — najwyższy kapłan, prowadzący misterye eleuzyjskie.

Str. 409. Elmarmene (właściwie heimarmene) — przeznaczenie (greckie).

Str. 410. Na Eteru błoniach — na tamtym świecie.

Str. 411. Zakonnicy Karmelu — Karmel, góra w Palestynie, gdzie zamieszkali pierwsi pustelnicy w IV w. po Chr.

Str. 411. Esseńczycy — sekta religijna żydowska w II w. przed Chr., propagująca pewne zasady późniejszego chrześcijaństwa.

Str. 412. Pełna win, a z win zbawiona przez Miłość — Marya Magdalena.

Str. 414. Albigeni — sekta religijna w XI w., przewana tak od miasteczka Albi w poł. Francji; wyprawa krzyżowa, powołana przeciw nim w r. 1209 przez papieża Innocentego III, wytępiła ich doszczętnie.

Str. 414. Paraklet obiecany — Duch św., którego przyście przepowiada św. Jan.

Str. 415. Templariusze — zakon rycerski, założony w 1118 roku w celu ochrony pielgrzymów, dążących do Grobu Chrystusowego, od Saracenów. Ulegli prześladowaniu ze strony Filipa IV, króla francuskiego, i Klemensa V, papieża, który ich zakon zamknął, a Templariuszów z wielkim mistrzem, Jakóbem Molay'em, skazał na stos (1312 r.).

Str. 419. Różokrzyżowcy — mniemane stowarzyszenie tajne, założone w XIV w. przez Chrystyana Rosenkreuza, w celu naprawy kościoła. W rzeczywistości nie istniało nigdy i było zmyślone przez teologa niemieckiego XVII w., Jana Andreego.

Str. 420. Bracia Mularze — tajne stowarzyszenie Wolnomularzy, czyli Masonów.

Str. 421. Ludzkość w Narodzie — t. j. w Polsce.



Str. 425. Mak benak! — wykrzyknik powitalny u Wolnomularzy.

Str. 426. Tebaida — puszcza w okolicy Teb w Egipcie, gdzie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zamieszkiwali pustelnicy.

Str. 427. Lud zaczyna króle i kapłany — aluzya do Wielkiej Rewolucyi francuskiej.

Str. 429. Ezechiela widzenie — Ezechiel, prorok izraelski (VI w. przed Chr.).

Str. 432. Święty pokój — aluzya do Świętego Przymierza, zawartego przez Rosyę, Austryę, Prusy i inne państwa na kongresie wiedeńskim w celu zwalczania objawów rewolucyjnych.

Str. 434. Gens aeterna etc. — wieczny naród, w którym nikt się nie rodzi.

Str. 437. Eryn — Irlandya.

Str. 449. Julinicz — aluzya do Juliusza Słowackiego, jako twórcy wiersza »Do autora Trzech Psalmów«.

Str. 451. Teokracya — rządy kapłańskie w państwie.

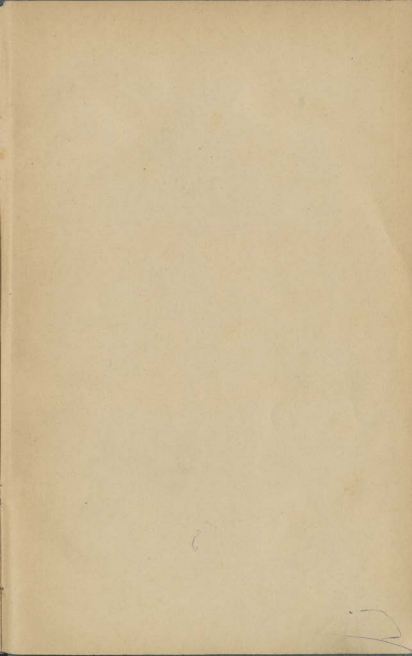
---

## SPIS RZECZY.

---

|                                                          | Str. |
|----------------------------------------------------------|------|
| Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie . . . . . | 1    |
| O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku . . . . .         | 41   |
| O Juliuszu Słowackim . . . . .                           | 117  |
| Przedświt . . . . .                                      | 133  |
| Psalmy przyszłości.                                      |      |
| I. Psalm wiary . . . . .                                 | 193  |
| II. Psalm nadziei . . . . .                              | 201  |
| III. Psalm miłości . . . . .                             | 209  |
| IV. Psalm żalu . . . . .                                 | 225  |
| V. Psalm dobrej woli . . . . .                           | 251  |
| Dzień dzisiejszy . . . . .                               | 263  |
| Ostatni . . . . .                                        | 307  |
| Nie-Boskiej komedyi część pierwsza . . . . .             | 331  |

---





40,-

